



Zatrzasnęły się drzwi, przez które weszliśmy na dno „beczki” – ostatnia możliwość, żeby wyjść... i nie jeździć po ścianie... Ale wtedy już nigdy nie będę mógł przyjść tutaj... dlatego że za każdym razem, gdy Goga Iwanow będzie w ryku i dymie startować z dołu... razem z nim z dna „beczki” będzie podnosić się mój strach...

Arkadij Wajner
Georgij Wajner

CZYTELNIK

beczka śmierci

Arkadij
Wajner

Georgij
Wajner

beczka śmierci

tłumaczyli
Elżbieta i Grzegorz
Abgarowiczowie

Czytelnik
Warszawa
1980

Tytuł oryginału rosyjskiego
ГОНКИ ПО ВЕРТИКАЛИ

Okładkę i kartę tytułową projektował
ZBIGNIEW CZARNECKI

Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza "Czytelnik",
Warszawa 1980

ISBN 83-07-00154-4

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Inspektor Stanisław Tichonow

...Aleksiej Dieduszkin patrzył na mnie smutno czarnymi aksamitnymi oczami i widziałem, jak pod jego cienkimi powiekami nabrzmiewają łzy.

– Wstyd mi za was... – powiedział swoim głębokim, miękkim barytonem.

No tak. Jemu za nas wstyd. Czy też może tylko za mnie, a za Saszke Sawieliewa już nie? Nie, chyba jednak za nas obu, gdyż rozmawialiśmy we trzech, a nasze spotkanie zawdzięczał nawet bardziej Saszce niż mnie. I chociaż ja też wstydziłem się swego zachowania (Saszke lepiej w ogóle pominąć milczeniem), zapytałem Dieduszkina:

– A jednak opowiedz mi, Dieduszkin, za co zostałeś nagrodzony tym orderem.

Dieduszkin wyjął z kieszeni białą chusteczkę, szybkim ruchem osuszył oczy i cicho, kulturalnie wytarł nos. Odsunął chusteczkę od twarzy, rozwinął, trzymając ją za rogi i przyjrzał się jej z uwagą, jak iluzjonista podczas występu. Ale – ku mojemu zdziwieniu – nie wyfrunął z niej gołąb ani nie zaczęły wypadać papierowe kwiaty. Dieduszkin po prostu złożył chusteczkę i schował do kieszeni.

– Proszę wybaczyć, ale jak dotąd cel naszej rozmowy nie jest dla mnie jasny. Jednakże postaram się zaspokoić waszą ciekawość i...

I po raz piąty zaczął opowiadać jakąś fantastyczną historię o przyjacielu z Bułgarii, którego poznał kilka lat temu na Krymie. Kąpali się kiedyś w sztormową pogodę i Bułgar zaczął tonąć. Wtedy on (znaczy Dieduszkin) z narażeniem życia wyciągnął go ze spienionych fal. Ura-

towany, przyszedłszy do siebie, odpiął od klapy marynarki order za bohaterstwo, którym został odznaczony podczas wojny, i ofiarował go swemu wybawcy.

– ...No i, proszę mi wybaczyć, przechowuję go jako pamiątkę – zakończył swoje przepojone uczuciem wystąpienie.

Prawie do każdego zdania Dieduszkin wtrącał „proszę mi wybaczyć” albo „bardzo przepraszam”, ale jego nienaturalnie modulowany głos drżał taką goryczą, że jeśli nie było się jeszcze całkowitym bydlakiem, należało zrozumieć, że przepraszać trzeba właśnie jego. Saszka Sawieliew wyglądał na człowieka, który zrozumiał już, że jest skończonym łajdakiem, i pogodził się z tym na zawsze. Dlatego też nieśmiało zapytał Dieduszkiną:

– No i co... stary był ten Bułgar?

Dieduszkin uśmiechnął się wyniośle.

– Co to znaczy „był?” Przecież to jeszcze całkiem młody człowiek...

Saszka, zdemaskowany w swojej ignorancji, zmieszał się i boleśnie pokręcił głową.

– Ojej! Ale kłopot! Teraz wszystko się poplątało...

– Przepraszam, ale nie rozumiem, dlaczego – z godnością odezwał się Dieduszkin.

Saszka rzucił na mnie szybkie spojrzenie i uśmiechnął się.

– Bo z naszych obliczeń wynika, że wasz bułgarski przyjaciel, obywatelu Dieduszkin, powinien mieć koło setki...

– Wybaczcie mi, ale niezupełnie...

Wzięłem ze stołu złoty, wysadzany brylantami krzyż na wstążeczce z mory i pokazałem Dieduszkinowi.

– To bardzo stary order. O tu na rewersie, wygrawerowano...

Dieduszkin popatrzył mi w oczy, a mnie zalał ocean wstydu za całą ludzkość. Teraz Dieduszkin wstydził się nie

tylko za mnie i za Saszkę, ale także za swojego nie znanego nam bułgarskiego przyjaciela.

– To znaczy, że on mnie okłamał...

– Aha – radośnie potwierdził Saszka. – A ja cały czas denerwowałem się, że to wy nie mówicie prawdy. Tymczasem okazuje się, że to tamten łobuz nałgał. Chwała Bogu! Teraz tylko wyjaśnimy, jak weszliście w posiadanie tej importowanej walizki, wyładowanej zagranicznymi rzeczami, i nasze malutkie nieporozumienie pójdzie w niepamięć.

– On z pewnością uratował obcokrajowca podczas katastrofy lotniczej – wyraziłem niewinne przypuszczenie i zwracając się do Dieduszkiną spytałem: – I za to ten obcokrajowiec nagroził cię swoją walizką. Prawda?

Dieduszkin wyciągnął z kieszeni swoją niezwykłą bątystową chusteczkę i wykonał nią cykl kuglarskich manipulacji. Potem smutnym głosem powiedział do mnie albo do nas obu:

– Jesteście źle wychowani...

Alocha Dieduszkin, pseudo Baton, doświadczony złodziej – specjalista od kradzieży na dworcach kolejowych i w pociągach – był moim starym znajomym. Słyszając więc to pełne żalu „jesteście źle wychowani”, po prostu zachichotałem, gdyż właśnie od tych słów zaczęła się przed ośmiu laty nasza znajomość. Zrobił wtedy niewybaczalny dla zawodowca błąd – pozostawił sobie bardzo piękny skradziony zegarek. Nosił go w górnej kieszeni marynarki na płaskim platynowym łańcuszku, przemyślnie przytwierdzonym do dziurki w klapie. Wytropiłem go właśnie dzięki temu łańcuszkowi. Dość bezceremonialnie wyciągnąłem go z kieszeni razem z zegarkiem, który zawisł na klapie jak jakiś wojenny medal. Wtedy właśnie powiedział do mnie: „Jesteście źle wychowani”. Całą swoją osobą – siwiejący, bardzo elegancki, z zegarkiem-medalem na piersi – wyrażał taką gorycz z powodu mojego złego

wychowania, że w pierwszej chwili zmieszałem się, a potem z młodzieńczą bezceremonialnością wygarnąłem mu, żeby lepiej myślał o sobie, że kraść w jego wieku to wstyd itd., itd. Prowadząc go na posterunek nagadałem mu z pasją masę różnych głupstw, a on słuchał nie przerywając. Potem powiedział z uśmiechem:

– Ta-ak, próżność zgubiła złodzieja... – i z nieoczekiwaną złością dodał: – Nienawidzę was, smarkaczy z kryminalnej. Pracować jeszcze nie umiecie, ale gorliwości macie za dziesięciu. Popatrzyłbyś na siebie, z tego podniecenia masz gorączkę. Ze czterdzieści stopni... Szczeniak.

Sprawa miniona, ale teraz mogę szczerze powiedzieć, że przez długie lata nie mogłem zapomnieć ani wybaczyć Batonowi tego „szczeniaka”. Na początku wymyśliłem nawet kilka błyskotliwych i zjadliwych żartów, którymi miałem zamiar poczęstować go, gdyby ponownie został zatrzymany. Ale życie mało kłopotczy się o zadośćuczynienie naszej groszowej pysze. Powoli, ale nieustannie wytrząsa nas ono na swoim twardym sicie i stopniowo odsiewają się różnorakie plewy; zapomina się o głupstwach i drobiazgach, znikają naiwne iluzje, aż w końcu z człowieka zostaje samo tylko ziarno. Zdarzało mi się, co prawda, widzieć, jak ludzie w całości przemieniają się w plewy, a może też nie było w nich w ogóle ziarna. Ale nie o tym chciałem mówić, tylko o tym, że potrzebowałem wielu lat, żeby rozumieć: po pierwsze, nic radosnego nie ma w tym, że znowu złapałem Batona, a po drugie, nie potrzebuję żadnych słów, aby wykazać swoją przewagę moralną czy fizyczną, bo on przegrał jeszcze przed pierwszym gwizdkiem. Przecież rzecz nie polega nawet na tym, który z nas jest mądrzejszy, bardziej spostrzegawczy czy który z nas szybciej biega, ale tkwi w samym charakterze naszego układu – ja zawsze go ścigam, zawsze jestem w ataku. Baton zawsze musi się ukrywać, uciekać. No i po trzecie – uświadomiłem sobie to dopiero teraz – Baton miał całko-

witą słuszość, kiedy nazwał mnie wtedy szczeniakiem.

Nagle zrobiło mi się żal tych moich bezpowrotnie minionych lat, tego parnego wieczoru w ekspedycji towarowej Dworca Kijowskiego, gdzie ostro pachniało świeżymi sosnowymi deskami, czuć było spaleniznę i niósł się zapach wiśni. Wszystko to wypłynęło z mojej pamięci i miałem wrażenie, że przeglądam kolorową taśmę filmową, na której zapisany jest nie tylko obraz, ale i dźwięki, zapachy i wszystkie moje emocje. Widziałem nas obydwo tak, jak gdyby nie było tych ośmiu lat, jakbyśmy wciąż stali na Dworcu Kijowskim – spokojny, świetnie ubrany Baton z zegarkiem-medalem na piersi i ja, zły, chudy, w modnym wówczas uczesaniu na jeża i ze sterczącymi czerwonymi uszami, w marnym, stale wygniecionym, mimo wszystkich moich sztuczek, polskim garniturku, starający się robić wrażenie pewnego siebie i spokojnego, a przez to coraz bardziej wzburzony i nieporadny. Pamiętałem nawet puch topoli, który Baton stracił z rękawa jednym lekkim pstryknięciem, i tego złośliwie pogardliwego „szczeniaka”. Ale wtedy nie mogłem jeszcze przypomnieć sobie słów wypowiedzianych przez niego na kilka minut przed owym „szczeniakiem”, które teraz natychmiast podsunęła mi pamięć: „Jesteście źle wychowani”. I właśnie teraz, usłyszawszy te same słowa, poczułem się w pełni pomuszony za „smarkacza” i „szczeniaka”...

– Tak, nie za bardzo rozwinąłeś się przez ten czas, Baton – powiedziałem wesoło. – Przez tych osiem lat mógłbyś wymyślić coś nowego...

Baton, nie patrząc na mnie, odpowiedział z wielką godnością.

– Przez ostatnie osiem lat rozmyślałem nad moją ciężką przeszłością i powziąłem mocne postanowienie, że będę żył zgodnie z prawem. A wasze wybryki, obywatelu Tichonow, znieważają ludzką godność i staną się, mam nadzieję,

przedmiotem zasadniczej rozmowy w komendzie moskiewskiej milicji.

No, no. Nawet nazwisko pamięta.

– Nie ma co mówić, Baton, jesteś typowym „człowiekiem z trudnym dzieciństwem”. Ale nie łudź się, że kradzież każdej walizki jest przedmiotem rozmów w naszej komendzie.

— Nie znam waszych zwyczajów, ale nie mam związku z żadną kradzieżą.

– Jasne – przytaknąłem. – Nie rozumiem, co prawda, po co ci ta komedia. W ciągu godziny przyjdzie zgłoszenie od obywatela, któremu ukradłeś walizkę, i twoja kolejna legenda umrze śmiercią naturalną.

Baton wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że wszystkie moje domysły nie dotyczą go w najmniejszym stopniu. Gdyby to wszystko odbywało się nie dzisiaj, ale osiem lat temu, pewnie odczuwałbym niemałą satysfakcję, wyobrażając sobie, że za chwilę pojawi się poszkodowany i opowie, w jakich okolicznościach Baton ukradł mu walizkę. Teraz jednak nie odczuwałem żadnej satysfakcji, dlatego że minęło tych osiem lat, nie byłem już szczeniakiem i dobrze wiedziałem, że przy rozpoznaniu, a potem podczas śledztwa i w sądzie Baton będzie występował jako człowiek niewinnie posądzony i jako taki pójdzie do więzienia. Nie czułem także żadnego zadowolenia z tego, że nie uważa mnie już za smarkacza.

– Co tam jest jeszcze w waszej walizce? – zapytał Sawieliew tak nieoczekiwanie, że aż drgnąłem, ponieważ dłuższy czas siedział w milczeniu, a ja tak głęboko pograżyłem się w swoich wspomnieniach, że zapomniałem o jego istnieniu. Saszka trzymał w rękach drogi japoński aparat fotograficzny marki Nikon.

– A, różne takie drobiazgi. – Baton popatrzył na Sawieliewa, po czym obrzucił uważnym spojrzeniem wspaniały aparat. Po chwili milczenia lekceważąco machnął ręką.

– Aparat fotograficzny na przykład...

Zwróciłem się do Saszki tonem pouczającym:

– Uczcie się, towarzyszu kapitanie. Oto piękny przykład bezinteresowności i wielkoduszności. Obywatel Dieduszkin uważa za drobiazg aparat, którego cena jest wyższa niż suma wszystkich pieniędzy, jakie zarobił podczas całego swego długiego pracowitego życia.

Ale Batona takimi głupstwami nie da się wyprowadzić z równowagi. Trzymał się ściśle raz obranej linii. Patrzył na mnie swoimi smutnymi, mądrymi oczami, jakie spotyka się na starych ikonach, i mówił z pobłażliwą uprzejmością:

– Dlaczego wy tak ze mną, obywatelu Tichonow? Nie mówiąc o tym, że jeszcze niczego mi nie udowodniliście w związku z tą walizką, moglibyście liczyć się chociażby z moim wiekiem – jestem przecież prawie dwa razy starszy od was...

Ależ bezczelny typ. Doskonale wie, że ja sam grzebałem wtedy w jego „biografii” i udowodniłem, że ma o piętnaście lat mniej, niż sobie przypisuje, i w tym roku skończy dopiero czterdzieści cztery lata. A jednak pruje jak czołg. Dobra, nie jesteśmy przecież na Dworcu Kijowskim, a ja, niestety, nie jestem już szczeniakiem.

– Dwa razy, tak?

– Dwa razy. Prawie dwa razy – grzecznie przytaknął Baton.

– A ja jestem, znaczy, źle wychowany i dlatego rozmawiam z tobą nieuprzejmie?

– Właśnie – potwierdził Baton. – Ja rozmawiam z wami uprzejmie... per „wy” na przykład... Może najpierw udowodnicie mi coś w związku z tą walizką.

– Udowodnimy, Dieduszkin, udowodnimy. O to możesz być spokojny – uśmiechnąłem się beztrósco. Ale nie było mi w tym momencie szczególnie wesoło i w głębi duszy narastał niepokój, że wciąż nie zgłasza się poszkodowany,

a bez właściciela walizki nie będziemy w stanie absolutnie nic mu udowodnić. Wtedy trzeba będzie wypuścić Batona, przeprosiwszy go uprzednio. Podczas tej nużącej, choć pozornie swobodnej, rozmowy z Batonem nie opuszczało mnie uczucie, że tu nie wszystko jest w porządku, i ze zniecierpliwieniem czekałem na wieści o właścicielu walizki. Nie mogłem wtedy wiedzieć, że on nie może zgłosić kradzieży...

Senny milicjant zwrócił się do Batona:

– No co, idziemy?

Baton wstał, skłonił się nam z godnością, przerzucił płaszcz przez rękę i dumnie ponióś ku drzwiom swoją piękną, siwiejącą głowę. Patrząc na niego pomyślałem, że jego krępy, silny tułów jest tylko urządzeniem do noszenia głowy, poważnej, dużej, uniesionej wysoko, jak u drewnianej figury na dziobie dawnej fregaty żaglowej. Milicjant w drzwiach przepuścił Batona, a ten łaskawie skinął głową. Postronny obserwator, widząc ich, z pewnością pomyślałby, że oto przypadkiem zajrzał tu jakiś minister i teraz w eskorcie obchodzi nasze skromne pomieszenia: – „Mówcie, towarzysze, jakie macie potrzeby?” ...

Rozdział drugi

Złodziej Alocha Dieduszkin, pseudo Baton

Dobry początek – połowa roboty. Tak powiedziałby mój ojczulek. Albo coś w tym rodzaju. Na każdą okoliczność ma pełno takich idiotycznych powiedzonek. A początek był rzeczywiście znakomity. Jak on mnie wykapował,

ment przeklęty!? Jak nie ma się szczęścia, to żadne planowanie nie pomoże. Kiedyś na etapie opowiadał mi Demka Farmazon, jak mu się udało pięknie obrobić pralnię chemiczną. Zapakował w dwa porządne toboły najlepsze rzeczy i wyrzucił z okna pierwszego piętra na podwórze! A tam, w zaciszu, dzielnicowy na służbie obściskował dozorczynię. Toboły spadły wprost na nich. Jak Demka zlął, to nie tylko go zakuli, ale i zdrowo przyłożyli za zakłócenie intymności.

Ale oczywiście najgorsze to to, że do tej historii przylepił się Tichonow. Z nim to ja się najem gówna. To jedno jest pewne. Paskudny typ, żeby go zaraza, i na pewno ma długą pamięć. Gdyby mój dziadek był pod ręką, powiedziałby: „Trzeba umieć układać sobie stosunki z ludźmi”. No tak, jemu było dobrze układać stosunki, kiedy wieczorami w Resursie Kupieckiej grywał w karty z rostowskim policmajstrem Święcickim. A gdy pułkownik Święcicki wlaził pod stół, żeby podnieść półrublówkę, mój drogi dziad świecił mu zapalonym banknotem sturublowym. Myślę, że Tichonow nie usiadłby ze mną do kart. No i ja dla sturubłówki też znalazłbym lepsze zastosowanie.

No więc, co? Wpadłem? Czyżby Alocha Dieduszkin był już spalony? Oj, Tichonow, przyjacielu mój zacny, gdybyś wiedział, jak mi się nie chce znów iść do pudła! To przecież tylko ty myślisz, że mam czterdzieści cztery lata. W rzeczywistości dopiero mi stuknęło trzydzieści siedem. Chociaż jesteś bystry chłopak, to jednak poprzednim razem zrobiłem cię w konia, no i zmyliła cię ta moja siwa maść. Znakomite mam włosy – piękna siwizna. Już od szkolnych czasów rosną mi srebrne włosy. Z taką szlachetną siwizną powinienem frajerom lale podstawiać, a z głupoty zająłem się obrabianiem w pociągach. Jak powiadała madame Frejdisz, która prowadziła metę w Marinej Roszczi, przy Piątym przejeździe: „Jak kto głupi, to już na zawsze”.

Oczywiście wszystkiemu winien ten palant, który wymyślił powiedzonko „Wiedza to światło, a niewiedza – ciemność”, dlatego że akurat wszystkie moje nieprzyjemności wzięły się z wiedzy. Właśnie te nieszczęsne prawie dziesięć lat, które odsiedziałem w szkole, zdeterminowały moje dalsze losy. Poczulem ogromny nadmiar wykształcenia – przepelniało mnie ono, po prostu dusiło, czułem, że mógłbym pół świata obdzielić moją nieprzebraną wiedzą. Nawet gdyby nie wywalili mnie ze szkoły za to, że gwizdnąłem i sprzedałem na Tiszynce palto naszego chemika, to i tak nie mógłbym się dłużej uczyć – już wszystko wiedziałem.

Nie wiadomo czemu często przypomina mi się ten chemik. Na pewno nie żyje, bo już wtedy miał ponad sześćdziesiątkę. Ale jego wspominać częściej niż wielu żyjących. Dziwny to był człowiek. Kiedyś, założywszy się z Waską Muchanowem o dwie kanapki, wstałem podczas lekcji i powiedziałem: „Piotrze Iwanowiczu, proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że pan jest głupi”. Stara sprawa – minęło lat dwadzieścia z hakiem – ale do dziś pamiętam tę przeraźliwą ciszę, jaka zapanowała w klasie. Wszyscy zamarli, jak gdyby strzelił piorun. Muchanow pobielał tak, jakbym mu gipsem chlapnął w mordę, bo przecież do ostatniego momentu nie wierzył, że ja to powiem. Ja sam też nie miałem na to ochoty, ale zakład stanął i nie było powodu, żeby wygrał ode mnie te kanapki. Więc powiedziałem. W klasie było cicho, tylko z bulwaru Cwietnego dochodził odgłos tramwajów i ochryple dyszały przerdziałe rury centralnego ogrzewania. Podniosłem oczy na nauczyciela – on także stał milcząc, wysoki, bardzo chudy, w niebieskiej wojskowej kurtce, starej, pocerowanej, pokrytej pyłem z kredy i popiołem tytoniowym. Stał z rękami założonymi za szeroki podoficerski pas i patrzył na mnie jednym zmrużonym okiem. Jednym dlatego, że na drugim miał duże, szare bielmo.

Milczał z pewnością długo, w każdym razie mnie się wydawało, że całą wieczność, a potem bez pośpiechu i niegłośno powiedział:

– Być może. Być może, z twojego punktu widzenia jestem głupi – potem znowu umilkł i zapytał, jak gdyby prosząc mnie o radę:

– Tylko jak ja mam cię dalej uczyć?

Nie wiem, gdyby dał mi po pysku albo wyrzucił z klasy, albo odesłał do Szkłowskiego, strasznego dyrektora szkoły – w ogóle gdyby zastosował jakieś niezbędne według ich nauczycielskich metody środki – to, być może, całe moje życie potoczyłoby się inaczej. Ale nie zrobił tego. Albo może to była metoda nie dająca się zastosować wobec mnie – chciał oddziaływać na mnie dobrocią, czego śmiertelnie nie znoszę. W każdym razie powiedział tylko:

– Usiądź, Aleksiej. Jak się mówi takie rzeczy, niekoniecznie trzeba stać...

No i, jak Boga kocham, do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego tak się zachowałem. Po prostu wpadłem we wściekłość. Wybaczył mi staruszek – siadaj, wytrzymaj nos i bądź cicho. Pobił asem atutowym twoją marną siódemkę, więc siedź i nie rzucaj się. Ale gdzie tam – wyciągnąłem lewego waleta z rękawa. Urwałem się z następnej lekcji, wziąłem z szatni palto chemika i zaniósłem na Tiszynkę. Palto było czarne, z wytartym aksamitnym kołnierzem, pół na pół z flauszu i kurzu. I wpadłem. Odstawili mnie na V Komisariat, a tam zapakowali do „akwarium”, w którym siedziałem razem z jakimiś pijakami, paskarkami, jednym kieszonkowcem i ostrzyżonym na zero typem, szerszym niż dłuższym.

Potem zobaczyłem przez zakratowane drzwi, jak do dyżurki w kłębie pary wpada z mrozu chemik Piotr Iwanowicz, owinięty w szalik, w damskim serdaku narzuconym na kurtkę. Widziałem jego obrzękłe uszy koloru buraków, widziałem, jak kurczowo rozciera zmarznięte

ręce, i wszystko się we mnie przewracało z litości dla niego i nienawiści do całego świata. Słuchałem jego cichego, brzęczącego głosu, odbijającego się od drewnianej bariery dyżurki, jak od ściany beczki, i wtedy, pewnie właśnie wtedy, pomyślałem po raz pierwszy, że wszyscy żyjemy w beczce, wielkiej beczce, która jest dla nas i ziemią, i niebem, i że wszystkie nasze zrywy i wzloty, wszystkie sukcesy i poniżenia, wszystko to jest ograniczone stromymi, smrodliwymi ścianami niewidzialnej beczki, która sama w sobie wcale nie jest żadną ostoją, a tylko kawałkiem łąna, poruszającym się na fali wszechświata.

Chemik mamrotał: „Nerwowy chłopiec... to eksces... przede wszystkim odpowiedzialni są nauczyciele...”

I wtedy z rozbiegu rzuciłem się na kratę drzwi, rozbijając sobie do krwi całą mordę i wrzasnąłem niesamowitym, wrywającym się gdzieś z brzucha krzykiem:

– Nie wiercie mu!.. Aaaaa! Sam za wszystko odpowiem!... Mam was wszystkich dość!... Ja ukradłem! Ja! Ja!

Rozdział trzeci Wolny czas inspektora Tichonowa

Prawdziwa kanalia z tego twojego starego przyjaciela Dieduszkina – szczerze stwierdził Saszka.

– Tak? – zdziwiłem się. – Niezupełnie. To określenie do niego nie pasuje.

– A jakie pasuje? – popatrzył na mnie ironicznie.

– Wróg. Myślisz, że ucinałbym sobie z nim czterogodzinną pogawędkę, gdyby był po prostu kanalią? To jest nasz wróg i dlatego wymaga poważnego podejścia.

– Co zrobimy?

– Jeżeli Baton zorientuje się, że nie mamy okradzonego, to kłapa. Ale ja sam nie mogę zrozumieć, dlaczego do tej pory nie było zgłoszenia.

– Nic dziwnego – powiedział Saszka – właściciel w ciągu tych czterech godzin mógł nie potrzebować walizki, a teraz pewnie już śpi. Rano stwierdzi kradzież i zgłosi...

– Taak? Tak myślisz? – zapytałem z nadzieją. – Ja też chciałbym tak myśleć...

– I co?

Leniwie przeciągnąłem się, pohamowałem ziewnięcie i powiedziałem:

– Dobrze byłoby napić się piwa. Z rybką i solonym grochem. Lubisz „Prazdrój”?

– Niezłe. Z rakami jeszcze lepsze. No więc co z walizką?

– Sam nie wiem. Nie mam żadnej koncepcji. Tylko... po prostu jakoś nie wierzę w roztargnienie tego podróżnego.

Saszka popatrzył na mnie ze złością. Wstałem, położyłem mu na ramieniu rękę i zaśmiałem się.

– No, już dobra, staruszk. Nic teraz nie wymyślimy. Nasze zadanie przypomina koszmarny sen matematyka. A wielowymiarowych zadań nie umiemy rozwiązywać w pamięci. Tak że wszystko jedno. I tak nic nie wymyślimy.

– Przestań się wykręcać! – poderwał się wreszcie Saszka. – Trzeba usiąść i pomyśleć, w jakim kierunku szukać...

– O, właśnie, w jakim kierunku szukać – ucieszyłem się. – Dobrze, że siedzimy teraz na Dworcu Kijowskim i wiemy, że pociągi stąd odchodzą tylko do południowo-zachodniej części kraju, w której znajduje się jedna czwarta radzieckich miast i ludności. Dlatego pozostałe trzy czwarte możemy pominąć...

Saszka zaprotestował gestykulując, ale zdążyłem dokończyć:

– ... pod warunkiem, że masz rację i pasażer wciąż

jeszcze znajduje się w pociągu. A jeżeli on – na odwrót – przyjechał do Moskwy?

– No to trzeba zbudować kilka wersji roboczych i...

– Dobra. Tym bardziej że ze wszystkich znanych mi rodzajów budownictwa ten jest najtańszy i najmniej męczący...

Mnie samemu odechciało się wygłupów, a Saszka jakoś nie dawał się nakręcić i gra przestała być interesująca. Oczywiście, wtedy cała ta historia nie wydawała mi się ani skomplikowana, ani interesująca. Po prostu dziwiło mnie, że nie pojawia się pasażer, któremu Baton ukradł walizkę. A może nawet nie dziwiło, tylko potem tak myślałem, tym bardziej że nie było powodu ani do zdziwienia, ani do przejmowania się – przecież minęło dopiero kilka godzin od kradzieży. Wtedy odniosłem się do tego wszystkiego dosyć spokojnie, gdyż w przeciwnym przypadku nie czekałbym do rana. Co prawda Saszka Sawieliew dowodził później, że nie byliśmy w stanie odszukać okradzionego tej nocy, a nawet gdyby się znalazł, to tylko wszystko byśmy popsuli. Szczerze mówiąc, do dzisiaj nie jestem przekonany, że najpewniejsza droga do prawdy musi prowadzić przez błędy.

Przywykłem już do myśli, że proces naszego dojrzewania, to coś w rodzaju wchodzenia do ekskluzywnego towarzystwa; żeby dostać się do tego „Klubu Doświadczonych”, trzeba dużo i drogo płacić – latami życia, rozczarowaniami, niekiedy też bólem i krwią. Za to otrzymuje się doświadczenie, czyli, jak mówiono dawniej, mądrość życiową. Rzecz niezbędna, uwalniająca przede wszystkim od poniżającego uczucia, że jest się szczeniakiem. A jak tylko człowiek się uwolni – od razu koniec. Nieuchronnie wychodzi się na durnia, ponieważ w pewnych sprawach pozostajemy szczeniakami do śmierci. Jeśli tylko zapomnimy o tym, traci się gotowość do spotkania z niewiadomym, które bierze człowieka za kołnierz i zaczyna

podtykać mu pod nos jego wspaniałą życiową mądrość: „Przecież już nie jesteś szczeniakiem?! Przecież należysz do klubu dorosłych, doświadczonych ludzi? No to jazda, rozwiąż moje zadanko!” Krótko mówiąc, popełniłem błąd. Albo popełniliśmy go obaj z Saszką. Ale moja wina była większa, bo ja byłem bardziej doświadczony, byłem szczeniakiem w mniejszym stopniu. I przez wiele, bardzo wiele dni i nocy naprawiałem swój błąd, abym, zrozumiałwszy i naprawiwszy go, mógł rozwiązać mój problem w całości i w ten sposób zapłacić za dumne poczucie, że już nie jestem szczeniakiem.

Powiedziałem do Saszki:

– Dobrze, poczekamy do jutra. Jeśli pasażer jutro się nie zgłosi...

– No, a gdzież ma się podziać? – słusznie zaprotestował Saszka. – Poza tym jutro można będzie połączyć się z kolejowymi posterunkami milicji. Kogo tam znajdziesz o tej porze, w dodatku w sobotę?

– Jutro, nawiasem mówiąc, też dzień wolny od pracy – przypomniałem.

– Ale to będzie dzień. Dzień, rozumiesz? Na pewno i w niedziele są tam dyżurni. A teraz noc!

– No dobrze. I tak porządnie się dzisiaj zmęczyliśmy i nic sensownego nie wymyślimy. Zostaw dyżurnemu telefon domowy na wypadek, gdyby były jakieś wieści, i jedziemy trochę pospać.

Na tym też stanęło.

Z metra wyszliśmy na Komsomolski. Plac był zalany przenikliwym, przydymionym światłem lamp rtęciowych, które, zmieszane z nerwowym migotaniem neonowych reklam i błyskami świateł samochodów, unosiło się nad śpiącym miastem jak łuna pożaru. Mżył zimny kwietniowy deszcz i jezdnie świeciły oleistym blaskiem, z ust unosiła się para i ludzie byli podobni do rysunków w komiksach, na których rozmowy przedstawia się w postaci zapisanych

obłoczków, odrywających się od ust. I gdybyśmy z Saszka napisali słowa na tych obłoczkach, to wszyscy mogliby przeczytać, o czym myślimy.

I chociaż większość ludzi w zasadzie jest nie od tego, żeby dowiedzieć się, o czym myślą inni, to akurat na tym placu najmniej im to w głowie. Plac podobny jest do ogromnego serca, które silnie i rytmicznie wtlacza i wytłacza przez trzy dworce niezliczone ilości pasażerów. Niekiedy myślę z przerażeniem, że może zdarzyć się coś niewyobrażalnego: wszyscy odjadą, a nie przyjedzie nikt. Ucichłby wtedy cały ten rwetes, zniknęło przyjemne napięcie przed podróżą, opustoszałyby perony, poczekalnie i przejścia. I chociaż wiem, że to bzdura, fragment jakiegoś koszmarnego snu, to jednak czuję lęk, ponieważ pusty dworzec i zabity deskami dom są dla mnie symbolami śmierci.

Z wyjścia metra niósł się równy, głuchy pomruk i falami wywiewało ciepłe powietrze o woni podgrzanej gumy. Nawet tu był wyczuwalny zapach wiosny, prześladowający mnie od rana, który zupełnie zaginął w przesyconym tytoniowym dymem pomieszczeniu milicji. Pachniało ziemią, zeszłoroczną trawą, tającym śniegiem, igliwem...

– Idziemy do mnie? – zaproponował Saszka. – Zjemy razem kolację, pogadamy, a jak będziesz chciał, przenocujesz.

Pokręciłem głową.

– Dziękuję, nie mogę. Mam dzisiaj spotkanie. Ścisłej mówiąc, wybieram się z wizytą.

– Gdzie się wybierasz o jedenastej wieczorem? Znam te twoje wizyty – zaśmiał się Saszka. – Machnij ręką, pojedziesz jutro.

– Nie mogę – upierałem się – tym bardziej że nie muszę jechać, ale iść. To pięć minut stąd. Obiecałem, że nie nawalę...

Patrzyłem w ślad za Saszka, na jego proste, silne plecy sportowca w wąziutkim, krótkim płaszczu i odczuwałem

poczucie krzywdy i żalu, jak dziecko, które dwukrotnie odmówiło, gdy proponowano mu jego ulubioną potrawę, a teraz jedzenie zostało wyniesione do kuchni i nie można powiedzieć: „Namysliłem się, proszę mi dać troszkę”. Częstowali bowiem ze szczerego serca i trudno wytłumaczyć, czemu człowieka ogarnia taki wstydlivy upór, zmuszający do mówienia i robienia głupstw. Chociaż sam w głębi duszy rozumiałem, że tej potrawy, której tak bardzo pragnąłem, nie można odkroić dla gościa ani kawałek.

A pragnąłem tak niewiele – tylko odrobiny zwykłego, mieszczkańskiego spokoju. Tego właśnie, którego zwykło się wstydzic, który bywa pogardliwie nazywany „drobno-mieszczkańskim ciepłkiem” i którego szczęśliwi ludzie nigdy nie wybaczą życiowym niezdarom. Tego spokoju, rodzinnego szczęścia, jakie przychodzą razem ze stabilizacją życiową, niezauważalnie towarzyszą sukcesom, otaczają wygodnymi meblami we własnym mieszkaniu, proponują smaczną kolację zamiast kanapki z kiełbasą i jeszcze pozwalają mieć ciepłe kapcie. Są takie kapcie, miękkie, filcowe, za cztery ruble, które, stojąc pod wieszakiem, są dla mnie symbolem spokoju życiowego, sukcesu i stabilizacji.

W ogóle jeśli się ma trzydzieści lat i masę nie rozwiązanych problemów życiowych, wiosna wywołuje bolesne uczucie smutku i odrazy do własnego zaniedbanego kawalerskiego pokoiku w przeludnionym wspólnym mieszkaniu.

Krótko mówiąc, w ten wiosenny chłodny wieczór czy raczej noc – nie wiem dobrze, jak traktować godzinę jedenastą – owładnęło mną męczące uczucie zagubienia, pustki i świadomość, że nie jestem potrzebny nikomu na świecie. Gdy szedłem przez plac rozmyślając, gdzie zjeść kolację, ogarniała mnie coraz większa złość, że nie przyjąłem zaproszenia Saszki; w duszy narastało jakieś niesłusz-

ne rozdrażnienie wobec nic nie podejrzewających ludzi, którzy byli w stanie urządzić swoje życie pięknie i bez konfliktów. Rozumiałem nedorzeczność swoich głupich pretensji i dlatego złościłem się na siebie jeszcze bardziej.

Torem obwodnicy kolejowej, lekko dudniąc, toczył się pociąg Leningrad-Suchumi. W oknach w świetle kolorowych abażurów widać było pasażerów w piżamach, papilotach i wszystkie te żółte, różowe i błękitne przedziały stąd, z mokrego trotuaru, wydawały się wspaniałymi mikroświatami przytulności, szczęścia i spokoju. Podniosłem kołnierz płaszcza i ruszyłem w kierunku hotelu „Leningradzkiego”.

Ludzi w restauracji było niewiele. Usiadłem przy oknie obok ogromnego, wprost przytłaczających rozmiarów wazonu, który na parapecie okna ustawiono pewnie za pomocą dźwigu. Kelnera nie było, zacząłem się więc przyglądać gościom. Młodzi mężczyźni czule szeptali do dziewcząt o jakichś im tylko wiadomych sprawach, delegowani ponuro żuli swoje sznycle, bawiła się na pełnych obrotach grupa obcokrajowców, sądząc z czerwonych karków i ogromnych ilości piwa – Niemców. Tak zgodnie tręcali się kuflami i z takim apetytem jedli pieczeń, że na sam widok dostałem kurczów głodowych.

Przyszedł kelner, szybko przyjął zamówienie i zapytał:

– A co będziemy pić?

W oczach miał stanowczość, jaką mają doświadczone pielęgniarzy, które już przywykły do tego, że chorzy uporczywie odmawiają picia absolutnie niezbędnego dla ich zrórowia tranu, ale tym razem, choćby nie wiadomo jak się wykręcali, ten numer nie przejdzie – wypiją jak baranki! Zrozumiałem, że i mnie nie ominie dzisiaj ta czara w dosłownym znaczeniu i powiedziałem niepewnie: „No, może koniaczku ze sto pięćdziesiąt gramów”, chociaż wcale nie miałem ochoty pić.

Patrzyłem na cudzoziemców i rozmyślałem, dlaczego

nie pojawił się ze zgłoszeniem o kradzieży właściciel walizki. Ciekawe, co on teraz robi. Jedzie dokądś z Moskwy pociągiem. Albo na odwrót, przyjechał, być może, nawet mieszka w tym hotelu i siedzi pijąc piwo razem z tym towarzystwem. Nie, chyba jednak nie. Gdyby przyjechał, musiałby już zauważyć brak walizki. Szkoda, że Saszka zatrzymał Batona tak późno – nawet nie było dokąd zadzwonić... Och, jak mi się chce jeść. Nagle pomyślałem, że Baton też jest głodny – do aresztu doprowadzili go już po wydaniu kolacji – i poczułem jakąś idiotyczną złośliwą satysfakcję. Nie trzeba było kraść, tylko zająć się jakąś spokojną, uczciwą pracą, założyć rodzinę i odżywiać się regularnie – od tego burzliwego życia na pewno ma chorą wątrobę i żołądek. Gdyby Baton nie był złodziejem, ale porządnym człowiekiem, to – jestem tego pewny – miałby pod wieszakiem filcowe kapcie za cztery ruble. Ale nie ma ich, bo jest złodziejem i musi nieustannie jeździć, uciekać, ukrywać się, a do tego kapcie stanowią najmniej odpowiednie obuwie. Ciekawe, dlaczego na przykład ja nie mam takich kapci?...Zapewne długo jeszcze rozmyślałbym o tych głupstwach, ale kelner przyniósł jedzenie. Traktował mnie z wyraźną pogardą i nawet nie starał się tego ukryć. Przecież człowiek dobrze wychowany nie będzie o północy zamawiał barszczu. Ale, po pierwsze, bardzo lubię barszcz, a po drugie, dobrze wiem, że podczas obiadu człowiek powinien spożyć jedno gorące płynne danie. Przeczytałem to w znakomitym czasopiśmie „Zdrowie”, gdzie w rubryce „porady praktyczne” jest masa podobnych odkryć. Dlatego postanowiłem zjeść swój barszcz bez względu na porę. A poza tym nie ze swojej winy tak późno jem obiad. Ponieważ wierzę w przeznaczenie, uważam, że swoje losy mają nie tylko ludzie, ale i przedmioty. Tak więc jeżeli barszcz można uznać za przedmiot, to było mu przeznaczone, że nie zostanie przeze mnie zjedzony. Ktoś powiedział cicho:

– Staś... Staś, co?

Nie oglądając się wiedziałem, kto stoi za mną i czule spogląda na mój kark. Barszcz stał się gorzki, a może kwaśny albo słodki, nie wiem, nie pamiętam, po prostu przestał istnieć, zapomniałem o nim, podobnie jak o wszystkich dobrych radach czasopisma „Zdrowie”, a także o nie nakarmionym Batonie i nieznanym właścicielu walizki, i o tym, że bardzo brak mi w życiu filcowych kapci, ponieważ ten lekko ochrypli, niski głos i czule, a zarazem niepewne „Staś, co?” mogły należeć tylko do jednej osoby na świecie. Do osoby, z którą absolutnie nigdy nie jest mi potrzebny drobnomieszczański spokój ani mieszkanie z miękkim tapczanem, przy którym stałyby kapcie, dlatego że gdy jesteśmy razem, po prostu nie mam czasu myśleć o tych głupstwach, dlatego że dotychczas jest to jedyna osoba, z którą chciałbym być zawsze razem, i ani lata, ani ból, ani mnóstwo innych ludzi, których spotkałem, nic tu nie mogą zmienić ani naprawić. Tak wyszło i widać nic się na to nie poradzi.

Nie oglądając się, kiwnąłem głową, przełknąłem łyżkę barszczu pozbawionego smaku, jak gorąca woda destylowana, i powiedziałem cicho i bezbarwnie:

– Oczywiście, ja. A któżby? Usiądź...

Nawet nie zdziwiła mnie wyjątkowa głupota mojej odpowiedzi – jakbyśmy co noc spotykali się w restauracji hotelu „Leningradzkiego” i ostatni raz widzieli się właśnie wczoraj. Tak, nie zdziwiła, gdyż ta kobieta miała rzadką umiejętność zmuszania mnie do zachowywania się tak, jak nigdy i z nikim się nie zachowuję. Usiadła bokiem na krześle, założywszy nogę na nogę, i spojrzała na mnie jak zwykle, czule i trochę filuternie.

– Zmęczony jesteś? Zmartwiony? Co, Stasiu?

Odsunąłem talerz z obrzydłym nagle barszczem i nie patrząc na nią powiedziałem:

– Nie. Bardzo lubię jeść barszcz po nocach. Zazwyczaj to zajęcie pochłania mnie całkowicie.

Położyła na mojej ręce swoją dłoń, a ja pomyślałem, że mogę przygotować się na spotkanie tysiąca Batonów, ale istnieje człowiek mieszkający w odległości dwudziestu minut jazdy, z którym w każdej chwili mogę porozmawiać przez telefon, z którym spotykam się raz czy dwa razy w roku, ale wobec którego zawsze pozostanę szczeniakiem, nie przygotowanym do spotkania. Bo kiedy ona kładzie swoją dłoń na mojej, ogarnia mnie jakieś słodkie szaleństwo i zapominam, że sto razy przysięgałem sobie gardzić nią, nienawidzić, nie szanować, nie kochać, nie pamiętać, i chciałbym w nieskończoność przedłużyć tę chwilę, kiedy siedzi przy mnie, czule się uśmiecha i trzyma mnie za rękę...

Ostrożnie uwolniłem rękę i zrozumiałem, że wyszło to śmiesznie i niezręcznie, i aby ukryć swoje zmieszanie, sięgnąłem po karafkę.

– Nalać ci koniaku?

W milczeniu skinęła głową i mimo że wciąż na nią nie patrzyłem, odgadłem jej gest, tak jak zawsze odgadywałem znaczenie jej gestów i doskonale rozpoznawałem jej obecność za plecami.

– Z pracy? – zapytała.

– Coś ty?! Przecież dziś sobota, nie pracuję. – Skłamałem niezdarnie, gorączkowo zastanawiając się, skąd mógłbym przyjść w sobotę wieczorem do restauracji na barszcz. Rzecz w tym, że bardzo nie chciałem wyglądać w jej oczach na zagonionego i głodnego – każdy głodny człowiek ma trochę nieszczęśliwy wygląd. Ale nie musiałem się zastanawiać, gdyż ona nachyliła się ku mnie, szybko powiodła ręką po boku marynarki, natrafiła na pistolet i zaśmiała się.

– Oj, kłamczuszkul! Tysiąc razy mówiłam ci, że nie umiesz kłamać, więc nie próbuj. A nawiasem mówiąc, jak

sobie radzisz w pracy? Przecież powinieneś umieć zręcznie okłamywać swoich bandziorów...

– Nie, oni mi i tak wierzą – uśmiechnąłem się.

– Ale jeśli mówisz im całą prawdę, to przecież nie udowodnisz, że są bandytami – zdziwiła się.

– Mogę po prostu nie mówić im całej prawdy – wzruszyłem ramionami. – Mogę im czegoś nie powiedzieć.

Trąciliśmy się kieliszkami. Dopiero teraz spojrzałem w jej twarz i – jak zawsze w ciągu tych długich lat – zamarło mi serce; gdybym wierzył w Boga, pomyślałbym, że ta twarz – to krzyż wiecznej męki, wyrok dożywotniego podporządkowania się człowiekowi, któremu jest to zupełnie niepotrzebne. Nie widzieliśmy się ponad pół roku, ale ona zupełnie się nie zmieniła, podobnie zresztą, jak nie zmieniła się w ciągu tych dziesięciu lat naszej znajomości. Możliwe, że nie jestem w stanie oceniać jej obiektywnie, ale wydaje mi się, że nie można by teraz dać jej więcej niż dwadzieścia dwa lata, chociaż jest dokładnie w moim wieku.

– A za co wypijemy? – spytała.

– Za co chcesz. To nie ma znaczenia. W ogóle wszystko to nie ma znaczenia.

– Nie, ma. To coś jakby znak szacunku albo rytuał oddawania malutkich honorów. Wypijmy za ciebie...

– Przecież wiesz, że nie lubię żadnych znaków. Ale jeśli masz ochotę, proszę bardzo, niech będzie za mnie.

– Życzę ci szczęścia.

– Dziękuję. To i tak nie ma znaczenia.

Oczywiście wolałbym w tym momencie wyglądać na pewniejszego siebie i „szczęśliwszego”, ale nawet będąc pod jej hipnotycznym wpływem wiedziałem, że żadna pomyślność ani skarby świata nie istnieją bez niej i że udawać zadowolonego z siebie durnia i wybrańca losu, byłoby po prostu głupio. Dlatego że, szczerze mówiąc, do szczęścia w życiu brakowało mi tylko jej i okłamywanie jej

nie miałyby sensu choćby dlatego, że i tak już nigdy nie będziemy razem. Przecież jeżeli choć jeden człowiek na świecie zna tajemnicę drugiego i nawet jeśli nigdy i nikomu jej nie zdradzi, to już i tak przestaje ona być tajemnicą, ponieważ obaj ją znają i ona albo ich łączy, albo rozdziela na zawsze. Ona знаła moją tajemnicę, moją miłość, mękę, moje szczęśliwe cierpienie. A do tego jeszcze umiała czytać w moich myślach.

– Przecież o wszystkim zapomnieliśmy – powiedziała. Zwróciłem się do niej gwałtownie.

– Nie! Nawet ty nie zapomniałaś. A ja zapomnieć nie chcę i nie zapomnę. Kiedy byłem młodszy i głupszy, starałem się zapomnieć. Chyba nie proponujesz mi teraz, żebyśmy zostali „przyjaciółmi”.

– Stasiu, mój drogi, ale to przecież nie może trwać wiecznie! Powinieneś jakoś urządzić sobie życie. Nie można do starości tak żyć i chodzić nocami do restauracji na barszcz. Nawiasem mówiąc, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy byli przyjaciółmi...

– Nie masz racji. Jeśli miłość i przyjaźń dzieli rozstanie, to znaczy, że nie było żadnej miłości albo przestaliśmy się kochać i o wszystkim zapomnieli. Ja nic nie zapomniałem i nie chcę zapomnieć. To po pierwsze. A co do urządzania sobie życia, to moje i tak jest pięknie urządzone. O, kapcie tylko kupię i wszystko będzie w porządku...

– Jakie kapcie? – zdziwiła się.

Roześmiałem się.

– Są takie znakomite kapcie. Ale to nieważne. Nie mówmy już o tym. Lepiej wypijmy za twoje zdrowie, opowiesz, jak ci się żyje, i będzie wspaniale.

Poczułem, że z głodu, wzruszenia i zmęczenia staję się pijany. I to po dwu lampkach koniaku! W sali zgaszono część świateł, jej twarz rozpływała się w półmroku, falowała i płynęła jak na portretach Wrubla. Przez chwilę wydawało mi się, że po prostu zdrzemnąłem się w oczeki-

waniu na kelnera i że wszystko to był sen – że jej wcale nie było i że cała nasza rozmowa to tylko dalszy ciąg dzisiejszych wspomnień, które wywołało spotkanie z Batonem. Ale naprawdę siedziała tuż obok mnie, nieskończenie daleka, a ja nie mogłem pokonać tej odległości, podobnie jak nie można przeskoczyć przepaści dwoma skokami.

– Ciebie z pewnością bardzo boją się przestępcy – powiedziała. – Jest w tobie jakaś przerażająca zapamiętałość. Ty nigdy nie będziesz szczęśliwy, bo nie przyjmujesz życia takim, jakie ono jest. A jeżeli czegoś chcesz, to wczepiasz się w to kurczowym chwytem jak buldog i nie puszczasz, zanim nie postawisz na swoim.

Zrozumiałem, że nie należy odpowiadać. Nie rozmawiała ze mną, tylko rozmyślała na głos.

– Straty też cię nie interesują. Ważna jest tylko wygrana, ale za jaką cenę – jest ci wszystko jedno.

Uśmiechnąłem się.

– Nie powinnaś robić ze mnie człowieka spalającego się w pracy...

Odpowiedziała szybko:

– Nie wygłupiaj się. Doskonale wiesz, o czym mówię. Byłeś taki sam jeszcze w czasie studiów i już wtedy bałam się takiego gołowąsa, jakim byłeś. Powinieneś być chyba zostać sportowcem – byłbyś dożywotnim mistrzem w boksie...

– To niemożliwe. Nie ma dożywotnich mistrzów – człowiek musi kiedyś przegrać.

– Właśnie o tym mówię. Tacy altruści jak ty są tyranami. Wierzą w swoją rację i dążą do podporządkowania całego otoczenia swojej idei, swoim pasjom i swojej prawdzie.

– A jeśli otoczenie się nie zgadza?

– Wtedy z nim walczysz, nawet jeśli z tego powodu musisz cierpieć i kochać. Ale ludzi dokoła jest dużo, Stasiu,

i dużo twoich pasji, a twoich sił niewiele. Dlatego przegrywasz. Życie jest krótkie.

– Możliwe – wzruszyłem ramionami. – Jeżeli krótkie, to szybko się wszystko wyjaśni.

Jak by to było dobrze, gdyby ona wyszła za jakiegoś dyplomatę i wyjechała z nim do Nowego Jorku czy do Rio de Janeiro. Wtedy doskonale wiedziałbym, że dzieli nas pół świata, że nie można zadzwonić ani przyjechać trolejbusem i że nie czyhają na mnie te przypadkowe spotkania, po których pozostaje gorycz i tęsknota. Może pogodziłbym się z myślą, że jej nie ma, że fizycznie prawie nie istnieje, kiedy między nami byłby jej mąż, tłuste dzieciaki, celnicy, osiem granic, tysiące kilometrów. Może wreszcie uznałbym konieczność uporządkowania życia i kupienia filcowych kapci. Ostatecznie jest milion kobiet, które zgodziłyby się dzielić ze mną moje pasje i nieść brzemię „altruistycznej tyranii”. Ale dopóki ona jest blisko, dopóki istnieją restauracje, do których mogę pójść o północy i przypadkiem ją spotkać – myśl ta jest zupełnie nierealna.

– Lena, ja mam trzydzieści lat, jestem normalnym mężczyzną o minimalnych zaletach i niezliczonych wadach, czyli po prostu najzwyklejszym człowiekiem. Kiedyś spotkam kobietę, której szukam, która jest mi potrzebna, i wtedy wszystkie problemy rozwiążą się same...

– Ale najprawdopodobniej ona będzie podobna do mnie. Co wtedy?

– Nie wiem, ale myślę, że wszystko ułoży się normalnie. Gdybym spotkał cię teraz, a nie dziesięć lat temu, wszystko byłoby inaczej...

– Tak, z pewnością.

Posiedzieliśmy trochę w milczeniu, a potem zapytałem, jak się tu znalazła.

– Podejmujemy delegację zagraniczną. To wydawcy i tłumacze z Finlandii – odpowiedziała. – Nasze wydawnictwo podpisało z nimi umowę.

– A ty co teraz robisz?
– Redaguję piękną książkę o średniowiecznych piratach.

– To na pewno interesujące. – Pomyślałem, że dobrze byłoby wejść teraz na pokład pirackiego galeonu. Zagrzmiałyby salwa z miedzianych gardzieli armatnich, poszłyby w górę flagi, nie byłoby goryczy, lęków ani kłopotów, tylko brawura i piękno walki. – Słuchaj, a dlaczego o nas, oficerach śledczych, nie piszą dobrych książek?

– To trudne. Aby książka była o wywiadowcy, a nie o felczerze, należy opisać wywiadowcę podczas pracy. Niestety zainteresowanie jego pracą jest zwykle większe niż zainteresowanie jego osobą. Dlatego pojawiają się książki o przeróżnych kryminalnych cudach, które wykrywają idealnie jednakowi bohaterowie w niebieskich płaszczach.

– W szarych. Teraz są nowe mundury.
– Ale bohaterowie przez to się nie zmieniają...
– No cóż, do zobaczenia?

Minie kilka miesięcy i znów – w metrze, na ulicy czy też, jak kiedyś się zdarzyło, na plaży w Adlerze – znów ją zobaczę, usłyszę pytająco-czułe „Staś, co?” i znów uderzy, łamiąc rytm, zakłócając, zabębni moje serce, a ona położy swoją dłoń na mojej ręce i pograżę się w radosnym cierpieniu i śmiesznym braku szacunku dla wszystkich uporządkowanych, szczęśliwych ludzi, bo ona będzie blisko, tuż-tuż, po drugiej stronie przepaści, której nie można pokonać w dwu skokach...

Rozdział czwarty Odosobnienie złodzieja Dieduszkina

W areszcie odebrali mi pasek od spodni, krawat i poprosili, żebym wyciągnął sznurowadła z butów. Krótko mówiąc, uwolnili mnie od wszystkiego, co może uciskać, zaciskać, przeszkadzać we śnie i na czym mógłbym z głupoty się powiesić, gdyby strach przed czekającą mnie karą stał się nieznośny. Oczywiście odbieranie tych wszystkich drobiazgów – narzędzi wisielca – to zupełna bzdura, dlatego że gdyby mi strzeliło do głowy wieszając się, skręciłbym z podszewki marynarki taką pętlę, że utrzymałaby nawet Goeringa.

Dyżurny, starszy już porucznik, jeszcze raz przejrzał wykaz odebranych mi przedmiotów, przy czym protokół trzymał tuż przed oczami, co sprawiało wrażenie, że obwąchuje starannie wiersze, które sam napisał, potem rzucił kartkę na stół, pokiwawszy siwą okrągłą głową (jego włosy wyglądały jak kawałki szarego bobrowego futra naklejone na powierzchni kuli), i powiedział ochryłym głosem:

– Taki przyzwoity z wyglądu człowiek... – i znowu pokiwał swoim bobrowym łbem.

– Nie tylko z wyglądu. Wewnątrz też jestem okropnie przyzwoity.

Popatrzył na mnie uważnie, ale przedtem wyciągnął w tym celu z szuflady stołu okropnie stare okulary z pękniętą oprawką, przewiązaną jedwabną nicią, i trzymając je w ręce patrzył na mnie jak przez lorgnon. Z tymi swoimi okularami przewiązanymi seledynowym jedwabiem był tak niepodobny do więziennego dozorca, że przechyliłem się przez stół i zajrzałem do wysuniętej szuflady.

– Czego? – zapytał rozzłoszczony, jego żółta zmięta skóra pod wyszarzałym futrem spurpurowiała, i szybko

wsunął szufladę. Leżał w niej stary numer „Ogonioka” z na wpół rozwiązaną krzyżówką i zatłuszczone papierowe zawiniątko z kanapkami.

– Pomyślałem, że powinniście tam mieć druty i robótkę – powiedziałem przyjaźnie.

– A to dlaczego?

– Tak mi się wydało. Lepiej powiedzcie, co będzie z moim żarciem.

Sądząc z wyrazu twarzy, zupełnie mu się nie podobałem. No, ale co poradzisz, cierp, jak już jesteś na służbie. Cierp, cierp, może kapitanem zostaniesz. Z taką samą złością odpowiedział:

– Zatrzymani otrzymują posiłki o godzinie ósmej, trzynastej i dziewiętnastej. A teraz która? Co za jedzenie może być w środku nocy? Wytrzymacie do jutra.

– Co mnie obchodzi, która godzina? Cóż to, spacerowałem sobie po stolicy, oddychałem świeżym powietrzem, a teraz wpadłem do was przenocować? Zostałem zatrzymany około piątej po południu, bezprawnie – podkreślałem – zatrzymany i jeszcze za to będą odpowiadać, gdzie trzeba...

– Ja za to nie odpowiadam – powiedział dyżurny. – Niech się martwi ten, kto zatrzymał. Ale ot tak, po prostu, nie łapią ludzi.

– Za zatrzymanie nie odpowiadacie. Ale jutro napiszę do prokuratora, że stosowaliście w stosunku do mnie karę głodu...

– Jaką karę? – zdziwił się. – Mnie się zdarza nie jeść przez całą dobę.

– Możecie choćby cały tydzień. To nie moja sprawa...

Długo jeszcze wyglupiałem się, zalewałem łzami, groziłem, a wszystko po to, aby jak najpóźniej pójść do celi, gdzie czekało na mnie mdłe żółte światło, cisza i samotność, której zawsze się boję. Jeść wcale mi się nie chciało, tylko nieznośna była myśl o siedzeniu w pustej celi w szele-

szczącej ciszy. Dlatego lepiej byłoby tu ze dwie godziny spierać się z tym wysuszonym grzybem, dyżurnym, niż iść do celi, gdzie będę sam, a nie ma dla mnie nic gorszego niż znajdować się w pokoju w pojedynkę, w pojedynkę zasypiać i w pojedynkę się budzić. Ze trzydziestu psychiatrów i neuropatologów mnie badało – łysych i kosmatych, trzęsących się ze starości i młodych osiłków, podobnych raczej do piłkarzy, słodziutkich przyjemniaczków i hałaśliwych impertynentów. Wszyscy oni pukali mnie w kolano swoimi młoteczkami, wodzili palcami przed oczami, pytali, czy w rodzinie nie było alkoholików, syfilityków, psychopatów, wieloznacznie mamrotali: „Psychosteniczne skłonności według Banschczikowa”, „syndrom Korcha”, „klastrofobiczne objawy Zindlera”, przepisywali mi masę rozmaitych proszków, kropli, psychoterapię, zimne natryski i oczywiście cały ten kram pomaga mi jak umarłemu kadzidło. Wystarczy, że zostanę sam, i nie pomagają ani środki nasenne, ani waleriana, ani elenium, ani walium – nie pomaga nic. Zaczyna mnie dławić bezsenność, przygębienie zimnym ciężarem kładzie się na piersi, a jeśli zdarzy mi się na krótko zdrzemnąć, przychodzą koszmary, lepkie, natrętne, absurdalne. Jak w bezsensownym kalejdoskopie podnosi się z dna pamięci całe paskudztwo i brud, wszystko, co odrażające, czego nie wspomina się na jawie i o czym chciałoby się zapomnieć na zawsze. Ale wystarczy zamknąć oczy w ciszy pustego pokoju, aby ten koszmar pojawił się na nowo. Człowiek szarpie się we śnie, krzyczy, płacze, próbując pozbyć się natrętnych majaczeń, ale one trzymają silnie, nie puszczają, i trzeba wydzierać się ze snu jak nurek ze skafandra z oderwanym przewodem powietrznym. A po obudzeniu człowiek długo nie może uspokoić oddechu i czuje obrzydzenie i wstyd, jak gdyby wylazł ze śmietnika.

Dlatego właśnie spierałem się z dyżurnym, odgrażałem się i zawstydziałem go tak długo, aż mu się to znudziło.

– Jeśli aż tak nie możecie wytrzymać, to proszę bardzo.
– Znow wysunął szufladę i wyciągnął owinięte w papier kanapki. – W zbiorniku jest gotowana woda.

– No, nie – odpowiedziałem wyniośle. – Jesteśmy ludzie biedni, ale dumni. Jałmużna nam niepotrzebna. Będę syty, kiedy was wszystkich surowo ukarzą za naruszanie praworządności socjalistycznej. – W tym momencie szybko pochyliłem się ku niemu przez stół i powiedziałem cichutko, prawie szeptem, ale wyraźnie, tak, żeby usłyszał każde słowo: – Ile wam brakuje do pełnej wysługi? Chyba bardzo niewiele. I nagle wyrzuca – bez emerytury! Co? Taki obrót w karierze!

Dyżurny położył zawiniątko na stole, nakrył je obiema rękami, jak gdyby strasznie zawstydział się albo przestraszył, tak jakby mi oddawał nie swoją kolację, ale zaproponował łapówkę, a ja odmówiłem z gniewem, i teraz nie wiadomo co zrobić z tymi przeklętymi kanapkami – najlepiej byłoby wetrzeć je w stół. Siedział tak dość długo, osłaniając je swoimi koślawymi dłońmi, potem zajrzał do protokołu, pewnie żeby przypomnieć sobie moje nazwisko, i zaczął na mnie patrzeć, ale już bez tych swoich idiotycznych okularów, powiązanych jedwabiem, a po prostu mrużąc bezbarwne, wąskie oczka na suchej, spieczonej twarzy, i nieregularne bobrowe futerko na jego ciemieniu poruszało się z napięciem.

– Bardzo z was niedobry człowiek, obywatelu Dieduszkina – powiedział cicho.

Zachichotałem wesoło i zapytałem:

– A z was – dobry?

– Ja? Zwyczajny. Gdyby mi dali takie prawo, to w dowodzie w rubryce „znaki szczególne” napisałbym wam – zły człowiek.

Rozprostowałem papieroska, zapaliłem i powiedziałem:

– No i widzisz, staruszkule, jaki ogromny wzrost humanizmu nastąpił w twoim zawodzie. Dawniej takich ludzi

jak ja tacy jak ty znaczyli na policzkach i na czole rozżarzone żelazem. A ty tylko o dowodzie marzysz i w dodatku nawet tego nie możesz.

Jeszcze przez chwilę poruszał swoim wyszarzałym futerkiem, potem wzruszył ramionami.

– Tak, nie mogę – chwilę milczał i nagle dodał: – Może to i lepiej...

Patrzyłem w wąskie, pozbawione wyrazu szczelinki jego oczu. Była w nich męka niemocy, namiętna chęć potraktowania mnie jak należy, dania w zęby, docięcia, wyśmiania albo może wyjaśnienia czegoś. Cała jego wyschnięta twarz wyrażała tę trudną do powstrzymania i bezsilną potrzebę: drgały obwisłe policzki starego chomika, poczerwieniał pokreślony żyłkami małe kartofelek nosa, ze złością, a zarazem żałością drgały wargi i widziałem, jak bardzo chce mi powiedzieć, że piętnowanie człowieka rozżarzone żelazem to nie zawód, ale charakter, i gdybyśmy przenieśli się w czasie, to jeszcze nie wiadomo, który z nas przyciskałby drugiemu do ogolonego łba dymiący, wiśniowy od żaru stempel. Powiedzieć tego nie mógł, czuł to tylko, ale powiedzieć, choćby go zabili, nie mógł. Trudno było mu to wszystko sformułować, bo w odróżnieniu ode mnie nie przeżył takiego barwnego i ruchliwego życia, a po prostu przesiedział te wszystkie lata jak pień w tej dyżurce, pilnując takich typków jak ja. Nie ciążyło mu jak mnie dziesięć lat szkoły – koszmarny standard powszechnego wykształcenia. Dlatego natężył się, pomęczył przez chwilę i cicho powiedział:

– Ech, kłopot z wami! Nie chcecie żyć uczciwie, po ludzku, no to siedzcie, niech was diabli, w więzieniu, jeżeli nie możecie wytrzymać z ludźmi!

– Nie zdążyłem go spytać, z kim ten kłopot – „z wami” – ze mną osobiście czy z każdym naszym bratem złodziejem. A on odesłał mnie już do celi.

Zatrzasnęły się żelazne drzwi, zagrzmiały na korytarzu

kroki konwojenta i z kątów wypełzła na mnie cisza. Pocho-
dziłem po celi, rozłożyłem na pryczy płaszcz, położyłem
się, a cisza, przekłeta, szeleściła, wygrażała, skrywała się,
wyzierała mętnie z pajęczyny w kącie, migotała brudnym
światłem samotnej żarówki pod sufitem, strużkami wle-
wała się przez zakratowane okienko, kładła się po podło-
dze jak dym, uciskała oczy i uszy, straszyła. Przeklęte
nerwy...

Znaczy, nie chcę żyć po ludzku!? Ej wy, durnie!

Kiedy ja właśnie bardzo chcę żyć i to w miarę możliwo-
ści żyć dobrze. A ponieważ chcę żyć dobrze, gwizdzę na to,
co na ten temat myśli i Tichonow, i jego przyjaciel, rudy
gliniarz nazwiskiem Sawieliew, i dyżurny, stary klawisz,
i cała gromada durniów pod nazwą poszkodowani. Rzecz
w tym, że oni wszyscy nie chcą żyć dobrze, ale uczciwie. Na
pewno nie mieliby nic przeciwko temu, żeby żyć dobrze,
ale tylko pod warunkiem, że zgadzałoby się to z ich
żałosnymi wyobrażeniami o życiu uczciwym. W tym właś-
nie bieda ich odwieczna i problem nie do rozwiązania – nie
zdarza się, i oni tego nie są w stanie zrozumieć, że życie
uczciwe nie może być przyjemne. Narzekają, skarżą się
albo zacisnąwszy zęby włoką brzemień swojego prawego
żywota, ale nigdy nie starcza im rozumu, aby zrozumieć
taki drobiazg, że nie może być jednocześnie i dobrze,
i uczciwie. I choćby dowodzili na przykład, że to, co dla
jednego dobre, innemu może zupełnie nie pasować albo że
dla uczciwego życia warto być cierpliwym – ja nie uwierzę.
Myślę tak: uczciwe życie, z jego wszystkimi radościami,
jest akurat dla wszystkich jednakowe. Jeżeli jesteś mło-
dym, zdrowym chłopem, to niezależnie od tego, jaki masz
gust, i tak będziesz chciał tego samego, co wszyscy inni –
dobrego żarcia, czegoś mocnego do wypicia i gorącej baby.
I nie ma ludzi, którzy by tego nie chcieli. Są tacy, którzy nie
mogą. Nie mogą, bo brak im zdrowia albo pieniędzy, albo

nie mają czasu, ale najważniejsze – brak poczucia prawa
do tych wszystkich potrzebnych i przyjemnych rzeczy.

Właśnie to uświadomienie sobie prawa do przyjemnego
życia jest najważniejsze, bez tego wielu ludzi zdrowych
i z forszą ciągnie to swoje stęchłe życie. Bo jeśli nie poczułeś
w sobie tego prawa – nie chęci, ale prawa do dobrego życia,
to już lepiej żyj uczciwie. Klep swoją biedę i rozmyślaj, o ile
twoje życie jest lepsze od mojego, bo jesteś człowiekiem
szanowanym, płacisz składki związkowe i nie boisz się, że
na peronie Dworca Kijowskiego zatrzyma cię rudy wywia-
dowca Sawieliew i zainteresuje się zawartością twojej
walizki. Zagląkanie do twojej walizki nie interesuje Sa-
wieliewa, bo żyjesz uczciwie i w skajowym brzuchu twoje-
go bagażu leżą wypłowiałe koszule i pogniecione porcje, na
które sobie zaoszczędziłeś z dwu pensji – przecież za
uczciwe życie płacą rozpaczliwie mało. Interesuje go nato-
miast moja walizka, bo po pierwsze – ona nie jest moja, po
drugie – naładowana drogimi i deficytowymi ciuchami,
a po trzecie – i to jest ważne, w każdym razie dla mnie –
wszystkie te skarby stały się moją własnością w ciągu
pięciu minut w wyniku dobrze przemyślanego i wyliczone-
go do każdego ruchu ryzyka.

Ale jeżeli wiele razy pod rząd udaje się i ryzyko nie
napełnia cię już lękiem, a tylko przyjemnie podnieca, jak
akrobatę przed skokiem, to pewnego niezbyt pięknego
dnia ładujesz się mordą w mur. O, tak jak dzisiaj. Przecież
wszyscy ludzie żyjący uczciwie są strasznie niezadowole-
ni, kiedy ja żyję dobrze. Do pewnego stopnia słusznie
sądzą, że na moje wygodne życie składają się te okruchy
dobra, które im odbieram. Dlatego bardzo mnie nie lubią.
Każdy z nich – nawet taki, co mnie przedtem nie widział
ani o mnie nie słyszał, i nie wziął mu nawet tyle, co
brudu za paznokciem – jeśli dowie się, że jestem złodzie-
jem, już zaczyna mnie bardzo nie lubić. A uczucie to jest
trwałe i silne, bo zawsze zmieszane z ciekawością: „Skąd

się tacy biorą?” W żaden sposób nie chcecie czy nie możecie zrozumieć, że bierzemy się stąd, skąd i wy – z życia, ze zwyczajnego ludzkiego życia.

I nie lubicie mnie, obywatele ludzie, nie tylko za to, że biorę wasze i żyję z waszego, i wyrządzając wam zło, sobie przysparzam dobra. To moglibyście mi jeszcze wybaczyć – przecież nikogo z was nie zabiłem, nie ograбіłem do ostatniego grosza, ani jeden skąpiec nie powiesił się z powodu mojej kradzieży! Nienawidzicie mnie nie za to, że żyję z waszego, ale że żyję nie po waszemu. Całym swoim jestestwem, tysiącletnim instynktem, głosem swojej krwi, z biologicznym wprost obrzydzeniem odrzucacie mnie, tak jak owca szarpie się i chrypi, ledwie poczuje wilka.

Ludzie żyjący uczciwie nie wiedzą i wiedzieć, oczywiście, nie mogą, ale zawsze czują, rozumieją, odgadują, odczuwają całą swoją istotą, iż nasze życie jest tak odmienne, że nawet stojąc z nimi na tym samym stopniu schodów ruchomych w metrze, jestem na zupełnie innej planecie. Kładę się późno spać, późno wstaję i nigdy nie bolą mnie ręce od ciężkiej pracy, męczy mnie tylko nerwowe napięcie, no i to, że dobrze żyję – bo przecież to też męczące zajęcie – i piję nie w święta, a kiedy zechcę, i nie potrzebuję zaporożca, bo nasze najtańsze na świecie taksówki są rzeczywiście pewnym i wygodnym środkiem miejskiej komunikacji, no a emerytura, jak słusznie zauważył ten drań Tichonow, rzeczywiście mi się nie należy, toteż nigdy o niej nie myślę. A dzieci z ich wrzaskiem, ślinieniem się i pieluchami po prostu nie lubię. Pozostaje żona. Ale po cholere mi żona, jeśli na świecie bab jest o półtora procent więcej niż chłopów? Biorąc pod uwagę rozmiary naszej parszywej ludzkości, wypada na mnie pięćdziesiąt milionów bab. Jeśli odrzuci się staruchy, niepełnoletnie, lesbijki i paskudy, to i tak zostanie ze dwadzieścia milionów. Jeżeli z takiej liczby wybierze się jedną, zrobi się niechybnie błąd i potem pluje sobie w brodę. Tak

że żona nie jest mi potrzebna, wystarczą mi kochanki, tym bardziej że te pojęcia mocno się teraz pomieszały.

No i wychodzi na to, że ludzie nie mają za co mnie kochać. Ja też, prawdę mówiąc, nie wpadam na myśl o nich w szalony zachwyty. Oni przecież wiedzą, że żyję lepiej od nich, a mimo to straszą mną swoje dzieci i boją się zawsze, żeby ich bezcenne pociechy nie wstąpiły na moją śliską ścieżkę. A ja bym nigdy w życiu nie zamienił swojej śliskiej ścieżki na wasze betonowe drogi!

W tym miejscu swoich rozmyślań „o życiu” złapałem się na tym, że nie jestem ani w mecie, ani w melinie, ani nawet na przesłuchaniu. Jestem w areszcie, sam jeden w celi, bez audytorium, i nie mówię, lecz myślę. Jestem sam jeden, znaczy, nie ma się co zgrywać i nie ma się co samemu okłamywać. Wielki uczyony Karol Marks powiedział czy też napisał gdzieś, że byt określa świadomość. No i u mnie od wieloletniego obcowania z sitwą rozwinął się zwyczaj okłamywania wszystkich, w tym również i siebie. A okłamywanie siebie to rzecz bardzo pasjonująca, ale niebezpieczna. W żadne kłamstwo nie wierzy człowiek tak radośnie i z taką ochotą, jak w swoje własne. Jeżeli z tym się odrobinę przesadzi, powstaje wymyślony, złudny świat, bardzo przytulny i miły, tylko że to nie świat, lecz miraż, i podczas gdy on głaszcze i uspokaja rozpaloną głowę, nogi, a raczej ręce, doprowadzają prościutko do więzienia.

Okłamywać siebie głupio, a kłamstwo polega na tym, że ze wszystkich sił staram się nie myśleć o więzieniu. O tym że już jestem w więzieniu. Oczywiście areszt to jeszcze nie więzienie, ale, ogólnie biorąc, różnica jest czysto umowna. Jak mawiał kieszonkowiec Sieriożka Miczman – areszt to miejsce przymusowego zastanowienia się: „Jak już tu wpadłeś, to chcesz czy nie, zastanawiasz się – skąd się tu wzięłeś i dokąd odejdziesz”. No dobra, mimo wszystko zatrzymanie to jeszcze nie uwięzienie i łatwiej stąd wydość się na wolność niż z aresztu śledczego nr 2, w języku

potocznym nazywanego Butyrkami. Jeszcze powalczymy. Jeszcze nie wieczór. Gorzej, jeśli Tichonow odszuka uszkodowanego – przyjdzie mi zamienić to odosobnione miejsce na celę ogólną na Butyrkach, potem śledztwo, sąd i zaczną mnie edukować w obozie karnym o obostrzonym rygorze, a to znacznie gorsze niż uczciwe życie, nawet jeśli to uczciwe życie nie jest tak bardzo przyjemne.

Rozdział piąty

Ściana inspektora Tichonowa

Motocykl indiana załomotał szybko i głośno jak zdwojone działko przeciwlotnicze – w takich maszynach nie ma tłumików, które zmniejszałyby ich moc. Goga Iwanow usiadł na siodelku, dodał gazu i powiedział do mnie:

– Siadaj przede mną, na baku. Potem ja przesunę się do tyłu i poprowadzisz sam...

– Nie spadniemy?

– Nie. Nigdy nie spadniemy. Nie możemy spaść – zabilibyśmy się...

– Ale ja przecież nie umiem.

– Nieważne. Życie jest krótkie. Trzeba wszystkiego spróbować...

Staliśmy wewnątrz ogromnej, wysokości piętrowego domu, „beczki śmierci”. Na jej górnej krawędzi była galerijka dla widzów. Ale teraz, nie wiadomo dlaczego, nie było na niej publiczności i żałowałem tego, bo z nią byłoby łatwiej – jeśli się uda, przyjemniej odczuwałoby się triumf, a jeśli się rozwalimy, to lepiej, gdy ludzie blisko. Motocykl ryczał i wyrywał się Iwanowowi, a on mówił smutnym, ale zdecydowanym głosem:

– Siadaj, trzeba jechać, widzów nie będzie, bo kiedy człowiek decyduje się jechać po ścianie, to robi to sam...

– A ty?

– Ja się nie liczę. To moje życie, moja praca. Ludzie potrzebują, żeby ktoś w każdej chwili mógł przejechać po ścianie...

– Ale to nie ma sensu! To nic im nie daje!

– A co ty dajesz, chwytając mordercę? Przecież nie możesz naprawić tego, co zrobił.

– Ale to konieczne dla sprawiedliwości, spokoju i poczucia pewności siebie wszystkich innych.

– Słusznie. Ludziom potrzebny jest nie tylko chleb. Potrzebna jest im pewność siebie. Każdy chciałby choć raz w życiu przejechać się po ścianie, ale nie wszystkim się to udaje. Ja jeżdżę co dzień, by im przypominać, że to jest możliwe i że każdy powinien przejechać po ścianie choć raz...

Siedziałem przed nim na baku i poprzez dokuczliwy ryk potężnego silnika słyszałem jego równy, spokojny oddech.

– Jedziemy?

Gorący dym spalin, drży od ryku okrągła drewniana ściana „beczki”, która oddziela nas od całego świata, od triumfu i hańby, od śmiechu i współczucia, pozostawiając sam na sam z samym sobą, drży z niecierpliwości, aby sprawdzić – czy jesteś w stanie choć raz w życiu przejechać po ścianie.

– Jedziemy.

Zatrzasnęły się drzwi, przez które weszliśmy na dno „beczki” – ostatnia możliwość, żeby wyjść i żyć tak jak przedtem, i nie jeździć po ścianie, a jeszcze lepiej kupić sobie filcowe kapcie, stać się poważnym człowiekiem, godnie i pięknie urządzić swoje życie. Ale wtedy już nigdy nie będę mógł przyjść tutaj, na galerijkę, ani z ukochaną, ani z przyjaciółmi, ani z własnymi dziećmi, dlatego że za każdym razem, gdy Goga Iwanow będzie w ryku i dymie

startować z dołu, a potem szybkimi spiralami wjeżdżać po ścianie, razem z nim z dna „beczki” będzie podnosić się mój strach, który zwyciężył mnie w tym pojedynku. I choćbym potem nie wiem ile razy miał okazję przejechać się po ścianie, strach na zawsze pozostanie zwyciężcą...

Drgnął żebrowany bieżnik przedniego koła, szprychy zmieniły się w błyszczący krąg i ciężki motocykl potoczył się po okrągłej arenie. Jęknęły deski parkietu, bliżej krawędzi, tuż obok ściana, pierwszy krąg za nami, wszystko miga w oczach, motocykl pochyla się ku arenie, skręcając przy ścianie, zaraz rozleci się od wysiłku, wstrząs, wstrząs, niebo runęło mi na ramiona i wcisnęło, wbiło mnie w maszynę, przed nami wąziutka ścieżka, stromo pnąca się w górę. Motocykl nie wiadomo dlaczego nie spada, tylko przez cały czas z łoskotem unosi się, droga za nami załamuje się i z przerażeniem widzę, że wiszę głową w dół, i dopiero teraz uświadamiam sobie – mkniemy po ścianie! Po ścianie!

Ta ścieżka to właśnie ściana. Ale już nigdy więcej nie będzie wznosić się nade mną, jej pion jest bezsilny – pokonałem go, pokonałem strach i filcowe kapcie! To znaczy, że nie jestem taki słaby! Niech budują nowe „beczki”!...

Przebudziłem się z poczuciem jakiegoś zadziwiającego szczęścia, ogromnego zwycięstwa i długo nie mogłem uwierzyć, że nic takiego się nie zdarzyło, nie chciałem wierzyć, że to tylko sen. I chociaż wiedziałem, że Goga leczy w sanatorium złamaną ręką, że motocykl indiana stoi zapomniany w szarym półmroku garażu, że jest kwiecień i „beczka śmierci” nie działa, nie mogłem i nie chciałem uwierzyć, że dziś w nocy, teraz, przed chwilą nie jeździłem po ścianie. Koniecznie musiałem wiedzieć, czy mogę po niej przejechać. Dlatego że człowiek mając lat trzydzieści powinien wiedzieć o sobie wszystko, a ponieważ jest to

niemożliwe, trzeba przynajmniej wiedzieć, czy stać nas na jazdę po ścianie.

Telefon dzwonił długo i przenikliwie, a ja leżałem nie otwierając oczu i uczucie radości i siły trwało we mnie, jak gdyby to wszystko zdarzyło się na jawie. Wierzyłem, doskonale wiedziałem, że w rzeczywistości byłoby tak samo. Jeszcze na pograniczu snu i jawy wyciągnąłem rękę i podniosłem słuchawkę, w której bulgotał, zachłystując się słowami i emocjami, głos Saszki Sawieliewa. Najpierw wymyślał mi, zdaje się, za lenistwo i pasożytnictwo, a potem powiedział wyraźnie rozdzielając słowa:

– Poszkodowany nie pojawił się... – i w jego głosie usłyszałem zakłopotanie i zdziwienie.

Obudziłem się ostatecznie.

– Masz jakieś przypuszczenia? Streszczaj się...

Saszka mówił, że już obdzwonił wszystkie posterunki kolejowe – zgłoszenia o kradzieży nie było. I jeszcze coś tłumaczył długo i zawile. Cały czas mówił jakimś dudniącym-monotonnym głosem, jak gdyby czuł się winny. Wreszcie to mi się znudziło.

– W porządku, raport przyjęty. Zarządź, żeby doprowadzili Batona. Będę za pół godziny...

Parząc się herbatą, gorączkowo obmyślałem linię rozmowy z Batonem. Poza absolutnym przekonaniem, że walizka jest skradziona, nie dysponowałem niczym, co by go obciążało. A przekonanie tu nie wystarczy. Baton siedzi szesnaście godzin, a okradzionego brak. Sytuacja jest trudna. Zresztą jest jeszcze jedna szansa...

Kiedy wszedłem do gabinetu, Saszka prowadził ożywioną rozmowę z Batonem. Zuch z tego Batona. Ani myśli o poddaniu się. Cóż, on oprócz poddania się lub czystej wygranej ma jeszcze możliwość zwycięstwa na punkty. Powiesiłem płaszcz, przygładziłem włosy i usiadłem przy stole. Baton był weselszy i bardziej ożywiony niż wczoraj, ale pod tym ożywieniem wyczułem napięcie. Przecież

Baton przez długie lata poznawał prawo od drugiej strony mojego stołu i dobrze wie, że jeżeli zaraz nie wprowadzimy do gabinetu właściciela walizki, to znaczy, że poszkodowany nie zgłosił się, a więc udowodnienie jego, Batona, winy jest prawie niemożliwe i wtedy on jeszcze z nami zatańczy. No cóż, trzeba zaczynać.

– Powiedz, Dieduszkin, czy masz filcowe kapcie?

Trwało to tylko moment, praktycznie nieuchwytny jak odbicie słońca w lornecie nieprzyjaciela. Ale zauważyłem to, a może raczej wyczułem – Baton napiął się i natychmiast radośnie się rozluźnił, pewien, że wpadliśmy na fałszywy trop.

– Kapcie? – zapytał w zamyśleniu.

– Aha, kapcie – potwierdziłem spokojnie.

– Filcowe?

– No tak. Filcowe.

– Nie. Żałuję szczerze, ale nie mam.

– To doskonale – powiedziałem z zadowoleniem. – Byłem pewien, że nie masz takich kapci. Bo właśnie przez pół nocy myślałem o tobie, o sobie i o tych kapciach.

– Ta-ak? – niepewnie przeciągnął Baton. Nie wiedział, do czego prowadzę, i na wszelki wypadek postanowił powstrzymać się od komentarza. – No i co?

– Nic. Bo ja ich też nie mam. Nie widzisz w tym związku?

Wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem.

– Mówię o tym, że jest takie prawo dialektyki o jedności i walce przeciwieństw. A ty i ja jesteśmy biegunami.

– W sensie prawnym? – zapytał żywo.

– Tak. I w ludzkim także.

– Co?! A... No tak... – uśmiechnął się Baton. – Ale to jeszcze nie powód, żeby mnie zamykać.

– Nie mów głupstw! Twoją wolność... ograniczyliśmy.. z innego powodu. Ale między mną a tobą... jak by to

powieścić... istnieje szczególny układ zabawy w „policjanta i złodzieja”...

Baton roześmiał się.

– Wszystko jasne. Chcecie powiedzieć, że niby jesteśmy przykuci do jednego łańcucha?

– Niezupełnie. Ale nie będę się spierał o sformułowania. Chcę powiedzieć, że tak długo, jak długo ja tu będę pracował, ty nie będziesz miał tych kapci.

– Ale przecież wy ich też nie macie – przypomniał Baton.

– Nie mam – przytaknąłem. – Chociaż są mi bardzo potrzebne. Przez ciebie ich nie mam.

– Dlaczego akurat przeze mnie? – szczerze oburzył się Baton. – Co to, na mnie świat się kończy?! Też sobie znaleźli króla świata przestępczego!

– Nazwałeś mnie kiedyś smarkaczem...

– To znaczy, mścicie się? – zmrużył oczy. – Fe. Nieładnie, bardzo nieładnie...

Pokręciłem głową.

– Ech, Baton, Baton... Niczego się nie nauczyłeś przez te osiem lat.

– A czego miałbym się uczyć? Urażona ambicja jest jak stara rana – i przez dwadzieścia lat się odzywa.

– Jaka tam ambicja! To tylko wtedy obraziłem się na ciebie. Za „szczeniaka”. Teraz rozumiem, że naprawdę byłem zasmarkanym szczeniakiem. A ty i teraz nie możesz pogodzić się z tym, że taki szczeniak złapał ciebie, starego lisa.

– No i co?

– Ano to, że póki ty będziesz złodziejem, a ja oficerem dochodzeniowym, tak długo obaj nie będziemy mieli kapci. Tym bardziej że minęło osiem lat i ja już szczeniakiem nie jestem, a z ciebie zrobił się sędziwy, wręcz wyleniały lis...

– Jeszcze zobaczymy – błysnął złotą koronką w niedob-

rym uśmiechu. – Może być, że za to wszystko jeszcze będziecie przeproszać...

– Nie – zdecydowanie pokręciłem głową – przeproszać cię nie będę. Dowiodę, że ukradłeś walizkę.

– Bez uszkodzonego? – Baton uśmiechnął się zjadliwie.

– Dlaczego bez? Znajdę go, obiecuję ci to szczerze.

– I co się tak tutaj ze mną wysilacie?

– Dlatego że układ między nami ma znaczenie zasadnicze. Pamiętasz, kiedy byłem szczeniakiem, powiedziałem ci, że kraść jest nieładnie, a ty śmiałeś się ze mnie? Pamiętasz?

– Przypuśćmy...

– No więc ja i teraz uważam, że kraść jest nieładnie. Bardzo nieładnie. Wprost obrzydliwie. I wszyscy normalni ludzie tak uważają. Ale ty i mnie, i wszystkich normalnych ludzi masz gdzieś. Dlatego moim obowiązkiem jest udowodnić ci, że kraść nie wolno. Rozumiesz, nie wolno. I za każdym razem, kiedy ukradniesz, będę się pojawiać, łapać cię i sadzać do więzienia. Tak będzie, dopóki całe to życie śmiertelnie ci nie obrzydnie i strasznie zachce ci się mieć filcowe kapcie. A wtedy kupimy je obaj.

– A nie na odwrót? – podstępnie zmrużył oczy Baton. – To znaczy, wam śmiertelnie obrzydnie, a mnie nie? Co? Wy – na emeryturę... A ja spokojnie kupię kapcie...

Zaśmialiśmy się wszyscy. Atmosfera była niewymuszona, lekka jak przy stole jadalnym w domu wypoczynkowym. W każdym razie takie robiło to wrażenie. Otworzyłem sejf, wyjąłem kilka teczek, kolejowy rozkład jazdy i powiedziałem:

– Żarty żartami, ale czas znaleźć uszkodzonego. Pomogą nam w tym twoje przestępcze nawyki...

– Niby drobiazg, a jaki przyjemny – Baton ożywił się. – Mój dziadek zwykle, zanim mi złoił skórę, sprawdzał

razem ze mną, czy różga dobrze namokła... Co mają do tego moje nawyki?

– A to, że ty nigdy w pociągu nie bierzesz się za pierwszą z brzegu walizkę. Wybierasz sobie ofiarę, „opiekujesz się” nią, czekając na odpowiednią chwilę. Twój fart opiera się na dokładnym wyliczeniu. Na trasie jest kilka stacji, na których pociągi jadące w przeciwną stronę zatrzymują się albo jednocześnie, albo kilka minut po odjeździe twojego pociągu. Dlatego kradniesz tylko na tych stacjach. Tutaj jest potrzebne szczęście. Jeżeli na pierwszej takiej stacji nie uda ci się ukraść, czekasz do następnej, czasami do trzeciej. Zdarza się, że i cały przejazd jest „pusty”. Ale jak tylko nawinie się odpowiedni moment, bierzesz cudzą walizkę i natychmiast przesiadasz się do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku. I oddalasz się od uszkodzonego ze zdwojoną szybkością. Zanim on się zorientuje, zanim dojedzie do następnej stacji, zgłosi na milicji, zanim przekażą zgłoszenie wzdłuż trasy, ty już razem z tłumem pasażerów wysiadasz na peronie w Moskwie, wsiadasz do taksówki i odjeżdżasz, gdzie ci się podoba. Jeżeli – oczywiście – na przydworcowym placu nie zatrzyma cię inspektor Sawieliew, który zna twoją twarz z fotografii i interesuje się zawartością twojej walizki. Jak ci się podoba moje opowiadanie?

– Dostyc ciekawe. Ale co z uszkodzonym? Bez niego to tylko psychologiczne studium. Frapujące. Ale nic więcej... Jak wy to określacie – nie ma mocy dowodowej w sądzie.

– Właśnie, potrzebny jest uszkodzony. Ty, Baton, jesteś człowiekiem rozumnym, doświadczonym i trafnie domyśliłeś się, że nie mamy uszkodzonego. Dlatego teraz spróbujemy znaleźć go metodą obliczenia. A ty, być może, jeśli się pomylimy, podpowiesz...

– No nie, od tego czuję się zwolniony. Ja nie dostaję

poborów w urzędzie śledczym, żeby wam pomagać łapać samego siebie.

– Co wy tak ciągle a to „pieniądze”, a to „pobory” – zdziwił się Saszka. – To przecież ciekawe z akademickiego punktu widzenia, bezinteresowna twórczość.

– A jakże, a jakże! Mnie za twórczą satysfakcję dadzą pięć lat, a wam – medale. Niczego sobie nagrody na tym waszym konkursie!

– Za was, Dieduszkin, medalu nie dadzą – powiedział Saszka. – Tu dają medale raczej za odwagę niż za pomysłowość.

– A nam w sądzie za pomysłowość dają więcej – zasepił się Baton.

– Wy, Dieduszkin, pomysłowość macie szkodliwą, dlatego też dużo dają – uprzejmie wyjaśnił Saszka.

– No, no, zobaczymy, jak jest z waszą pomysłowością – powiedział Baton. – Może słusznie nie dają wam medali.

– Może – zgodziłem się. – A więc, rozpoczynamy seans materializacji duchów. O której go zatrzymałeś, Sasza?

– Było pół do siódmej. Wszedł z pociągu kiszyniowskiego – 18.25. Ekspres „Mołdawia”.

– Świetnie. – Wziąłem rozkład i zacząłem wypisywać na oddzielnej kartce stacje, na których zatrzymywał się ekspres. – Zadzwoń, proszę, do informacji i sprawdź, czy nie było opóźnień ani zatrzymań poza rozkładem.

Podczas gdy Sasza pracowicie kręcił tarczą telefonu, ja wypisałem prostopadle do wykresu ruchu ekspresu „Mołdawia” wszystkie pociągi, które opuściły Moskwę z Dworca Kijowskiego w ciągu wczorajszej doby.

Kiszyniowski ekspres zatrzymywał się dziewięć razy: Kotowsk – 0.13, Wapniarka – 1.49, Żmerinka – 3.03, Winnica – 3.47, Kazatin – 4.52, Kijów – 7.08, Konotop – 9.29, Briansk – 13.47, Suchiniczi – 15.20 i o 18.25 był w Moskwie. Powstała swoista siatka współrzędnych, na której krzywa ruchu była zależna od czasu i kierunku:

Dlatego też któryś z pociągów moskiewskich powinien był przeciąć krzywą ruchu pociągu z Kiszyniowa w jednym z dziewięciu punktów czasowych jego trasy.

Linie przeciął w Konotopie „Dunaj-Ekspres”, który przybył tu o godzinie 9.10 i po dziewięciu minutach odjechał dalej w kierunku Sofia–Stambuł. Gdzieś w pobliżu semaforów minął zbliżającą się do stacji „Mołdawię”, która – według danych Saszki – przez całą drogę szła zgodnie z rozkładem. Po siedmiu minutach Baton odjechał do Moskwy. Z walizką swojego towarzysza podróży z „Dunaj-Ekspresu”.

Zaznajomiwszy Batona z wynikami moich wyliczeń, zapytałem:

– No co, porozmawiamy teraz poważnie?

– Nie. Przecież wiecie, Tichonow, że nie lubię „szczerogo przyznania się”. Poza tym chcę sprawdzić waszą pogroźkę. Może naprawdę udowodnicie, że kraść nie należy?

– zamyślił się i po chwili dodał: – Nawiasem mówiąc, wzięliście pod uwagę tylko pociągi moskiewskie... A z „Mołdawią” na tej trasie mogły spotkać się także inne.

– Nie, inne nas nie interesują.

– Jak to? – podniósł brwi.

– Wasi domownicy uprzejmie poinformowali inspektora Sawieliewa, że przedwczoraj byliście jeszcze w domu. A zatem wyjechaliście z Moskwy...

– Jeden z rzadkich przypadków, w którym alibi bardzo przeszkadza – zaśmiał się Saszka.

– No dobrze, siadaj do maszyny, podyktuję ci kilka telegramów – powiedziałem do Saszki.

Saszka długo rozsiadał się w krześle, dopasowywał do maszyny, wreszcie nienaturalnym głosem jak konduktor na peronie zameldował:

– Goootów!

– Pisz, dyktuję: „Fototelegram. Kontrolny punkt graniczny Ungeny”. Proszę pilnie okazać załączoną fotografię do

identyfikacji drużynie pociągu „Dunaj-Ekspres” nr 13. W przypadku rozpoznania ustalić, do której stacji rozpoznany miał bilet, gdzie i w jakich okolicznościach wysiadł z pociągu...”

Baton, odwrócony do nas, patrzył w okno, na ulicę, załaną zimnym wiosennym światłem, podzieloną na kwadraty przez kratę okienną, i głowa jego nie była już podobna do ozdoby na dziobie fregaty. Wyglądał, jakby nasza rozmowa mocno go zmęczyła.

Saszka zapytał:

– To wszystko?

– Poczekaj. Przecież obiecałem, że udowodnię. – Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do dyżurnego. – Przyślijcie konwojenta po zatrzymanego.

Baton, nie oglądając się, patrzył w okno.

– Pisz, Sasza, następną. „Kiszyniów. Kolejowy wydział śledczy. Proszę o przeprowadzenie przez drużynę pociągu identyfikacji pasażera według załączonej fotografii”.

Pochwyciłem zdziwione spojrzenie Saszki.

– Przecież oni już wyjechali z Moskwy w drogę powrotną. I ostatni telegram, do Konotopu. „Posterunek milicji na stacji Konotop-Pasażerska. Proszę przesłuchać kasjera, który pracował wczoraj od godziny 9.00...”

Baton głośno westchnął, odchylił się na krześle i popatrzył na nas jak gdyby z daleka, chcąc się nam uważniej przyjrzeć.

– A co teraz?

Saszka wzruszył ramionami.

– Teraz was sfotografujemy i prześlemy telegraficznie zdjęcia do Ungen, Kiszyniowa i Konotopu. Tam wasze zdjęcia pokażą, komu trzeba. W Ungenach rozpozna was konduktor, z którym jechaliście z Moskwy, a w Konotopie na pewno przypomni sobie was kasjer, który sprzedał wam bilet. Bilet zapewne do wagonu pierwszej klasy?

Baton nie odpowiadając uśmiechnął się do swoich myśli, milczał przez chwilę i powiedział:

– Konotop – sławne miasto. Wejdzie do historii przez to, że w nim z powodu butów zginął Julio Jurenito, a z powodu walizki wpadł Alocha Dieduszkin, pseudo Baton. – Przetarł twarz rękami, jakby ścierając z niej uśmiech. – Wszystko to bardzo piękne, ale co z poszkodowanym?

– Oddaj to na telegraf, Sasza – podałem mu blankiety i zwróciłem się do Batona: – Wszystko w swoim czasie. Nie martw się, znajdziemy. Przecież obiecałem.

– No to pospieszcie się – powiedział Baton poważnie. – Macie bardzo mało czasu. Zostało pięćdziesiąt godzin...

Miał rację. Zgodnie z prawem podejrzanego można zatrzymać tylko na trzy doby. Po upływie tego czasu żaden prokurator bez solidnych dowodów nie da nakazu aresztowania.

– Nic nie szkodzi, myślę, że zdążymy – odpowiedziałem mu równie poważnie. – W ogóle nie jestem leniwy, a już dla ciebie, Bóg mi świadkiem, postaram się z całego serca. Rozumiesz, ostatnio bardzo zachciało mi się tych kapci.

Zapukano do drzwi, weszli konwojenci.

– To wszystko – powiedział Sasza. – Obywatelu Dieduszkin, będziecie musieli trochę się ponudzić w oczekiwaniu na wyniki. Gdyby wam przyszło do głowy coś nam zakomunikować – uprzejmie prosimy, bardzo nas to ucieszy. Moja ambicja nie ucierpi bez sprawdzenia naszej domyślności i zadowoli nas wasze dobrowolne wyznanie. Tak zwane szczere. Dla was to przecież lepiej – mniej dadzą.

– No, nie, co za głupstwa! Przecież i tak mogę potwierdzić całą tę waszą krzyżówkę, dlatego że moja trasa, którą tak zręcznie tutaj rozszyfrowaliście, w świetle prawa nie jest jeszcze dowodem winy. Potrzebny wam poszkodowany.

– Rzeczywiście – powiedziałem. – Bardzo potrzebny. Już ja się postaram. Co się zaś tyczy potwierdzenia trasy, uzyskamy je w odpowiedziach na nasze telegramy. Wtedy będzie wiadomo, że sam, z własnej woli, ani słowa prawdy nie powiedziałem – wszystko musieliśmy robić sami. Sądzę się tym zainteresuje...

Baton machinalnie założył ręce za plecy. Na chwilę osłabła jego uwaga i ujawnił się odruch, wyrobiony w czasie długich lat chodzenia pod strażą. Skierował się ku drzwiom. W połowie drogi zatrzymał się, popatrzył mi w oczy i powiedział:

– Pamiętajcie, jak w „Święcie świętego Jorgena” Mikael Korkis mówi: „Najważniejsze w zawodzie złodzieja – to w porę się zmyć”?

– Tak, pamiętam.

– A ja uważam, że najważniejsze w zawodzie wszystkich farciarzy – to nie otwierać zapieczętowanych butelek.

– Dlaczego?

– Bo nigdy nie wiadomo, z której butelki wypuści się dzinna. Złamałem tę zasadę. – Zwrócił się do konwojenta:

– No?

Drzwi zamknęły się, a my obaj jeszcze milczeliśmy chwilę, aż wreszcie Saszka zapytał:

– Jak ty go rozumiałeś, wypuścił dzinna teraz czy osiem lat temu?

– Nie wiem. Ja też nie rozumiałem...

– No dobra, to daj coś do roboty. Szef powinien trzymać swój personel w napięciu – powiedział Saszka. Jego głowa teraz szczególnie przypominała eksplozję – czerwone twarde włosy stały dęba. – Czy tam u ciebie w biurku nie ma przypadkiem jakiegoś papierosa? Wszystko wypaliłem...

Wiedząc, że nie palę, chłopcy umyślnie wkładają do dolnej szuflady mojego biurka napoczęte paczki i przycho-

dzą w ciężkich chwilach. Pogrzebałem w biurku i wyciągnąłem czerwone kwadratowe pudełko z podobizną psiego pyska. Saszka obrócił je w ręce i odłożył z powrotem.

– „Drug”. Znakomite papierosy... Takich nawet w środku nocy nie palę.

– Cholernie jesteś wybredny – powiedziałem zgryźliwie. – Lepiej weźmy się do roboty. A więc pozostają nam jeszcze dwa kanały informacji: order i aparat fotograficzny, znalezione w walizce. Orderem zajmę się ja, a ty przekaz aparat specjalistom i jeśli jest w nim film, zażądaj, żeby ekspertyza dała odpowiedź na dwa pytania: co to za film – niech ustalą producenta i, po drugie, jakie były kwalifikacje fotografującego. Odbitki z filmu, jeśli są naświetlone klatki, niech robią w dużym formacie.

– Rozkaz. A co masz zamiar zrobić z orderem?

– Chcę go pokazać w Muzeum Historycznym. Bardzo mnie interesuje.

– A to dlaczego?

– Najprawdopodobniej to stary order rosyjski. Widzisz, tutaj jest napis zrobiony starosłowiańskim alfabetem „Św. Aleksandra Newskiego”. Z pewnością to pismo zbiło Batona z tropu, uznał, że bułgarskie... Niezrozumiałe są dla mnie dwie rzeczy: po co taką cenną rzecz wozi się w walizce i kto jest właścicielem orderu.

– Kiedy wrócisz?

– Pewnie pod wieczór. I proszę cię, porzuć ten swój paskudny nawyk odpowiadania na każdy telefon do mnie, że będę za dwadzieścia trzy i pół minuty.

Kiedy wychodzę, Saszka daje takie odpowiedzi, że rozmówców przechodzą dreszcze. Wszystkim kobietom mówi krótko, ale sugestywnie: „W akcji”, choć wie, że pojechałem do magazynu po nowy płaszcz mundurowy albo do archiwum sądowego po informacje. Saszka ma na tę okoliczność własną teorię, zgodnie z którą urzędnikowi albo pracownikowi przemysłu trudno uwierzyć, że czasem na-

sza praca może polegać na całodziennym pętaniu się po mieście i do tego bardzo często bez żadnych efektów. Albo po prostu na bezpłodnych poszukiwaniach jakiegoś świadka bez znaczenia lub w ogóle na strzelaniu w strzelnicy czy treningu sambo. Jeśli jesteś wywiadowcą czy dochodzeniowym – to jazda, przez cały dzień przesłuchuj przestępców, a nocą siedz w zasadzce albo przeprowadzaj rewizje i aresztowania. Dlatego – powiada – nie należy niszczyć iluzji co do charakteru naszej pracy, wprowadzać wątpliwości do trochę zachwianej romantyki naszego zawodu.

Wyszedłem na ulicę, gdzie światło słoneczne było tak jasne, intensywne i chłodne, że chciało się w nim płynąć. Na asfalcie kładły się ostre błękitne cienie bez półtonów, a nagie drzewa, przykute do chodników żelaznymi kratami, robiły wrażenie bezsensownych konstrukcji ustawionych wzdłuż ulic, jak abstrakcyjne dekoracje w modernistycznym wnętrzu. I w tym dzikim szaleństwie światła, odrzucającego od każdej przeszkody ostry, zły cień, w którym rdzawa biel do cna unicestwiała wszystkie inne barwy, oprócz czarnoniebieskiej, była jakaś prostolinijna bezwzględność, krzykliwa niedojrzałość przyrody. W takie dni to nieznośne światło przenika człowieka na wskroś lepiej niż jakikolwiek rentgen, dlatego że promienie starego, mądrego Niemca nie mogą ukazać ran czy blizn duszy ani zlokalizować ognisk niezadowolenia z życia. A w ogóle to on uważa, że takiego organu jak dusza człowiek nie ma. Ma płuca, mózg i serce, ale duszy nie ma. To był wielki pocieszyciel ludzi, prawdziwy liryk, mądry fizyk Roentgen, którego promienie potwierdziły, że człowiek nie ma żadnej duszy, a więc nie ma go co boleć. Na ulicy czeka więc na ciebie kwietniowe światło, zimne, bezwzględne, nieświadome tego, że nie masz duszy, i dlatego oświetlające każdy jej zakamarek. Ono budzi pamięć jak drzemiące zwierzę i szczuje ją na ciebie, wtedy gdy nie chcesz ani nie

potrafisz z nią walczyć, kiedy już zrozumiałeś, że nie może być pokoju między marzeniem a codziennością, i zgadzasz się przeprowadzić w duszy choćby tylko linię przerwania ognia. Ale kwietniowe światło nie zna kompromisu, nie da się nakłonić do porozumienia, bo to światło to jesteś ty, a siebie samego nie okłamiesz. I nie da się go zgasić, bo to światło twojej młodości, ostrość nie poobijanych krawędzi, nie zeszlifowanej doświadczeniem wyrozumiałości.

Z pewnością dlatego w takie dni ogarnia mnie męczące podniecenie, pragnienie, aby coś zrobić, wszystko zmienić, chęć ucieczki, kupna filcowych kapci albo przejechania po ścianie „beczki śmierci”. A po nocach śni mi się barwne, wtopione w lata dzieciństwo, gdy czuło się szczęście własnej nieśmiertelności i przydatności ludziom, gdy nie było pór dnia, a istniały tylko pory roku i nigdy nie rodziło się pytanie, po co się żyje. Śnią mi się moi koledzy, nie, nie ci dzisiejsi, solidni, siwiejący już mężczyźni, zaabsorbowani sprawami służbowymi albo brakiem pokarmu u małżonki, ale ci chłopcy z czasów, kiedy czułem własną nieśmiertelność i celowość swego istnienia. Nie mogę w żaden sposób uwierzyć, że to są ci sami ludzie, wspinający się po spirali swego duchowego rozwoju. Dlatego że oni na nowo powrócili do początkowego stadium postrzegania świata, mimo że życie rozwiało ich iluzje nieśmiertelności i zmusiło do odpowiedzi na pytanie, po co żyją. Kiedy stali się dorosłymi, po prostu zapomnieli o nieśmiertelności i dlatego narodziła się ona ponownie, tylko już odsunięta na daleki plan, jak stara dekoracja w teatrze. Ale należało jeszcze odpowiedzieć na pytanie: „A ty po co pętasz się po świecie?” I odpowiedzieli na nie, zostając inżynierami, lekarzami, pilotami, to jest ludźmi w społeczno-historycznym aspekcie sto razy bardziej wartościowymi niż ja. Tak w każdym razie wielu sądzi.

Czytałem gdzieś, że co siedem lat w ustroju człowieka następuje pełna wymiana wszystkich komórek. Jak gdyby

tego, abyśmy byli niedyskretni i oglądali obrazy intymnego życia ludzi postronnych – z ciężkim westchnieniem powiedział Sawieliew.

– No to strzeżcie tej waszej cnoty – poradziłem mu – i nie oglądajcie.

– Nie mogę. Służba, poczucie obowiązku zmusza mnie do bardzo starannego obejrzenia tego wszystkiego – poważnie odpowiedział Sawieliew. – Tym bardziej że dziewczyna przypomina mi – z wyglądu oczywiście – jedną moją znajomą, która ze wszystkich teatrów najbardziej lubiła restaurację. No i porzuciła mnie. Nie przypomniałście sobie przypadkiem, kim są ci ludzie i gdzie ich fotografowaliście?

– Nie, nie pamiętam. Pewnie w uzdrowisku, w ubiegłym roku. Twarze jakby znajome, ale dokładnie nie pamiętam, kto to.

– No, no, przypuśćmy – powiedział Tichonow. – A dlaczegoż to siebie nie utrwaliliście w tym miłym towarzystwie?

– Bo nigdy na pierwszych trzynastu zdjęciach nie fotografuję siebie. Zła wróżba. Właśnie na następnym chciałem się sfotografować, ale chyba nie zdążyłem.

– Przezorność godna podziwu – odpowiedział Sawieliew. – A film kolorowy gdzie kupujecie? Przecież teraz ich brak?

– Był w sklepie na ulicy Gorkiego.

Sawieliew zapisał odpowiedź, polecił mi podpisać się, potem pary razy cmoknął i wyciągnął z szuflady biurka pismo.

– Hmm... Pewnie nasi eksperci się pomylili. O, piszą tutaj: „Wyjęty z aparatu film produkowany jest w RFN przez firmę AGFA. Barwny, odwracalny, czułość 17 DIN. Do ZSRR nie importowany” ...

Tichonow zaśmiał się i powiedział:

– Dieduszkin, najwyższy czas złapać się za głowę i wy-

krzyknąć coś w rodzaju „Ech, starość nie radość, skleroza przeklęta”, i przypomnieć sobie, że aparat kupiłeś już dawno razem z filmem od jakiegoś zrujnowanego obcokrajowca... Jak kłamać, to z rozmachem.

Byłem oczywiście w sytuacji nie do pozazdroszczenia i dlatego ufnie popatrzyłem mu w oczy, uderzyłem się dłonią w czoło i powiedziałem z naciskiem:

– Ech, starość nie radość! Skleroza przeklęta! Przypomniałem sobie! Przecież dawno kupiłem ten aparat razem z filmem od pewnego zrujnowanego obcokrajowca! Mówię prawdę, z rozmachem, całą, do końca! Szczerze, z prawdziwą skruchą!

W oczach Sawieliewa zabłysnął groźny ognik, ale – smarkacz nieszczęsny – opanował się i powiedział z zimną krwią:

– Dobrze, Dieduszkin, porozmyślamy razem nad tymi fotografiami.

– Nie ma o czym myśleć. Degeneruje się burżuazja, jak jej się podoba – powiedziałem niby żartobliwie, ale z pewnością moje rozdrażnienie było już widoczne.

– O, nie – odezwał się Tichonow. – Dżinny, jeśli już uda im się wyrwać na wolność, chcą zrozumieć, co się wokół nich dzieje.

– Taak? – zapytałem ostrożnie.

– Bez wątpienia – zapewnił Tichonow. – Moc ich pochodzi nie od Boga, ale od diabła, i polega na wiedzy, którą zdobywają dzięki ciężkiej pracy i ciekawości. A więc dysponujemy trzynastoma zdjęciami...

Złożył te fotografie razem i przetasował jak talię kart.

– Żeby zrozumieć zawartą w nich treść... Sasza, czego nam potrzeba, aby zrozumieć ich treść...

– Systemu – dziarsko zameldował Sawieliew. – Nie jest potrzebny tylko do kameralnego zdjęcia z na wpół rozebraną panienką, na którym forma przesłoniła treść.

– Potrzebny system, słusznie. Teraz trzeba zdecydować, co przyjąć za podstawę klasyfikacji. Dieduszkin, masz jakiś pomysł?

– Swoje pomysły wykorzystam w innych sprawach – kategorycznie odciałem się od współautorstwa.

Chcę mnie skruszyć, poddając działaniu siły strachu, i jeśli na ich oczach zrobię błąd, będą mnie mieli na widelcu. Przecież nieprzypadkowo prowadzili te wszystkie rozmowy w mojej obecności – liczą, że nie wytrzymam „ataku psychologicznego” i poddam się. Kiedy oni na oślep szukali w odmętach mojej tajemnicy, przez cały czas zamierało mi serce w trwożnym przeczuciu, a raczej przewidywaniu, że oto już-już namacają, chwycą i wtedy całe to wypieranie się przestanie mieć sens, i jak to jest w ulubionej piosence: „Iznów, i znów przed sobą masz wyrok i kraty, pryczę, straż...” Wszystkie swoje manewry przeprowadzali na moich oczach, aby wyprowadzić mnie z równowagi. Byle się tylko nie pomylić. Bardzo ważne było teraz utrzymanie się w pełnej „niewiedzy”.

– Skoro Dieduszkin nie chce myśleć razem z nami, ja mam wniosek – powiedział Sawieliew. – Zdjęcia należy klasyfikować według grup występujących na nich osób.

– Przyjmujemy. Nie ma sprzeciwu? Za – dwa głosy, wstrzymuje się Dieduszkin. Zasada doboru grup? Są wnioski?

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Wszystkie z dziewczyną – do jednej grupy, a cała reszta – do drugiej – wtrąciłem szybko ze słabą nadzieją, że uda mi się zbić ich z tropu.

Sawieliew omal nie podskoczył z radości.

– Obywatel Dieduszkin będzie uczestniczył w dyskusji dopiero po dwukrotnej prośbie o głos! Przewodniczący, proszę o wprowadzenie do protokołu. Przyjmujemy wniosek Dieduszkinu?

– Przegłosujemy – powiedział obojętnie Tichonow. – Ja przeciw.

– I ja też – jakby ze zmartwieniem powiedział Sawieliew. – Wy, Dieduszkin, pewnie nie zrozumieliście zadania. Dziewczyna, ślicznotka, na razie nas nie interesuje. W walizce były męskie rzeczy. Ci troje na zdjęciach to jak równanie: $X + Y = 5$. Piątka nas nie interesuje – pięć jak pięć. Musimy dowiedzieć się, kto to są X i Y.

Tichonow uśmiechnął się.

– I po to rozłożymy pierwszy rząd – dziewczyna ze starszym. Czy dobrze cię rozumiałem, Saszka?

– Najzupełniej. Sześć zdjęć to podstawa naszego pasjansa. Z talii odłożymy dwa zdjęcia, na których jest sama dziewczyna. Teraz ich nie potrzebujemy, pod tymi sześcioma trzy zdjęcia damy z młodym dżentelmenem. Tu położymy zdjęcia obu mężczyzn, a na samym dole – starszego. Razem?

Tichonow, aby się nie pomylić, przeliczył palcem.

– Dziewczyna – na jedenastu, starszy – na ośmiu i młodszy – na czterech zdjęciach. Całe trio razem – na żadnym. Wnioski? – Wreszcie dotarło do mnie ostatecznie, że trafili do celu, siedziałem więc i milczałem.

Sawieliew powiedział:

– No i widzicie, Dieduszkin, że Tichonow spełnił swoją obietnicę.

Na wszelki wypadek powiedziałem:

– Nie wmawiajcie mi tego, czego nie było. Nie znam nikogo z nich...

– Jak to nie znacie? – rozżłościł się Sawieliew. – Myśmy wam tu podali jak na talerzu, a wy „nie wmawiajcie... nie znam”. Powtórzę jeszcze raz. Na zdjęciach jest troje ludzi w różnych układach, ale na żadnym nie ma wszystkich trojga. Ponieważ to są zdjęcia pamiątkowe, na tle obiektów zasługujących na uwagę itd., oznacza to, że było ich

tylko troje, w przeciwnym razie sfotografowaliby się wszyscy troje razem...

– No to co, że troje!?

– To, że chcemy, żeby nie było czworo – powiedział Tichonow.

– Dlaczego? – dalej udawałem głupiego.

– Dlatego że tylko wtedy dokładnie określimy właściciela walizki – cierpliwie odpowiedział Sawieliew. – W każdym razie aparatu.

– No i który to?

– Ten. Młody – odpowiedział z przekonaniem Tichonow.

Ze wszystkich sił starałem się, żeby ani jeden mięsień nie drgnął mi na twarzy. I znów tępo i natarczywie zapytałem:

– Dlaczego tak uważacie?

Sawieliew uprzejmie pochylił głowę i monotonicznie zaczął wyjaśniać.

– Wśród dwudziestu trzech obiektów na zdjęciach młody występuje tylko cztery razy. Trzy razy fotografował go starszy i raz – dziewczyna. To już wystarczająco realna podstawa do przypuszczenia, że właścicielem aparatu jest właśnie on. Po drugie, ekspertyza wykazała, że te cztery zdjęcia wykonały osoby znacznie mniej doświadczone. Wskazuje na to skadrowanie, wybór tła i nieostrość jednego ze zdjęć. To potwierdziło nasze przypuszczenie, że właścicielem aparatu jest młody. No co, Dieduszkin, może przed fotograficznym obliczem poszkodowanego zaczniecie mówić prawdę?

– Przypuszczam, że obejdzie się bez moich zeznań – powiedziałem niezbyt uprzejmie.

– Ech, Dieduszkin, z wami należałoby rozmawiać nie w Moskiewskim Urzędzie Śledczym, ale w siedzibie Świętej Inkwizycji... – pokręcił głową Sawieliew.

Rozdział siódmy

Wczoraj i jutro

inspektora Tichonowa

Batona wyprowadzili, a my jeszcze długo przyglądaliśmy się zdjęciom, szukając w nich jakichś dodatkowych informacji. Ale nic nie znaleźliśmy. Wprawdzie na dalszym planie czterech zdjęć widoczny był turkusowy mercedes, a na jednej fotografii udało się odczytać nawet część numeru –92... Resztę tablicy rejestracyjnej zasłaniała postać dziewczyny. Prawdopodobnie zdjęcie było robione przed kinem, bo tuż nad jej głową widać było plakat, na którym dwaj młodzi ludzie coś sobie wyjaśniali – jeden przykładł drugiemu do nosa pistolet. W kadrze zmieściły się także trzy świecące litery nazwy kina... SKW...

– Co zrobimy? – zapytałem Saszkę.

– Poślijmy do Ungen fotografię właściciela walizki. Jeżeli obsługa pociągu rozpozna także jego, to razem ze strażą graniczną raz-dwa ustalą jego tożsamość. Miejsca są przecież numerowane.

– To program maksimum, obsługa wróci do Ungen za czterdzieści godzin. A sprawę Batona musimy załatwić w ciągu czterdziestu sześciu. I nie zapominaj, że mogliśmy się omylić. Wyobrażasz sobie wtedy nasze miny?

– Tak, to będzie mało ciekawy widok. Ale swoją drogą, dlaczego on nie zgłasza kradzieży?

– No właśnie. Cały czas o tym myślę. Jak ten order dostał się do jego rąk?

– Mm-tak – mruknął Saszka. – Posłuchaj, a czy nie przyszło ci do głowy, że może jesteśmy niesprawiedliwi wobec Batona?

– Jak to? – zdziwiłem się.

– A może on rzeczywiście nie ukradł tej walizki? Może

to było zupełnie coś innego – operacja pozorowana, paserstwo czy coś w tym rodzaju?

Pomyślałem i pokręciłem głową.

– Nie wydaje mi się. Takich numerów nie robi się z walizką pełną brudnych łachów. Ale wydaje mi się, że poza Batonem trzeba będzie bliżej zająć się tym facetem. Tym bardziej że oni teraz są dla nas nierozłączni, jak Kastor i Polluks. Mam taki pomysł...

– Za pomysły u Hearsta płacą... – uśmiechnął się Saszka. – U nas ceni się dowody rzeczowe.

– Spróbujmy ocenić obiektywnie te nasze dowody. Ja będę nadal szperał w sprawie orderu. A ty – skoro ci tak dobrze poszło – popracujesz nad zdjęciami.

– A co z nich jeszcze można wyciągnąć?

– Trzeba ustalić, gdzie oni się fotografowali. Tu pojawiają się dwa „jeżeli”. Pierwsze – jeżeli go rozpozna obsługa pociągu, i drugie – jeżeli ustalimy, gdzie robili te zdjęcia; to stworzy nam dalsze możliwości.

Saszka przystał na to bez oporów.

– Trzeba przeprowadzić ekspertyzę architektoniczną i rzeźbiarską. Może specjaliści po zbadaniu pomników ustalą ich lokalizację.

– I jeszcze jedną sprawę trzeba będzie jutro załatwić. Przedsiębiorstwo „Eksportfilm” powinno chyba dostawać dane o wszystkich filmach zagranicznych. Na pewno mają tam jakąś komisję kwalifikacyjną. – Wyciągnąłem do Saszki fotografię dziewczyny na tle plakatu filmowego.

Zakończył się jeszcze jeden dzień. Saszka wyszedł, a ja długo siedziałem sam. Zgasilem górne światło. Stojąca na stole lampa wykrawała z ciemności spłaszczony żółty krąg, z korytarza dobiegały odgłosy kroków i urywki rozmów. Potem wszystko ucichło i pokój zalała gęsta i lepka jak smoła cisza. Nie miałem tu nic do roboty, a z drugiej strony nie było się gdzie spieszyć. Siedziałem więc w tej ciepłej sennej ciszy, przesuając leniwie w ob-

rzebie nieforemnego kręgu światła ciężką, złotą papierośnicę. Trzeba na pewno wiele mieć lub wiele osiągnąć, aby pozwolić sobie na noszenie takiej kosztownej rzeczy. Podobnej papierośnicy nigdy nie widziałem – na całej dolnej powierzchni wygrawerowany był zapis nutowy. Na górnej – monogram „P.W.”. Gdybym był posiadaczem takiego drogiego przedmiotu, zamiast niezrozumiałych dla nikogo nut i tajemniczych inicjałów kazałbym – dla pewności – wygrawerować swój adres. Długo tak siedziałem, a po głowie snuły mi się leniwe myśli, ciężące tak, jak ten pusty wiosenny wieczór, kiedy nie ma do kogo pójść, a i wychodzić też się nie chce. Potem podniosłem słuchawkę telefonu i nakręciłem numer. Telefon mój został odebrany natychmiast, tak jak gdyby na niego czekano. Usłyszałem:

– Nie, moja droga, musi pani jeszcze popracować nad solfeżem. Przepraszam, odbiorę tylko telefon. Hallou, słucham!

– Dzień dobry, mamó. To ja.

– Staś, mój synku! Jak się masz, kochanie? Zupełnie o mnie zapomniałeś! – Zaczęło się zwykłe przedstawienie telefoniczne.

Mógłbym się założyć, że matka stoi oparta łokciem o fortepian, przyciskając ramieniem słuchawkę do ucha i zapalając nowego papierosa, podczas gdy poprzedni dymi w popielniczce na stoliku, i oczami, brwiami, ustami, całą swoją bogatą i wyrazistą mimiką daje do zrozumienia swojej kolejnej głupkowatej uczennicy, że to właśnie on, ten mityczny, legendarny, tajemniczy syn-odludek. W jej opowiadaniach diabelnie przypominam lorda Byrona i strasznie się cieszę, że nie muszę łamać sobie nogi dla uwiarygodnienia tej legendy.

Zadaje mi pytania „skromne, ale gustowne”.

– Stasiu, nie było żadnej strzelaniny?

– Mamó, o czym ty mówisz? Jaka strzelanina? Nie ma

ich od czasów nepu. Można by pomyśleć, że po Moskwie uganiają się bandy uzbrojonych gangsterów...

– Wszystko przede mną ukrywasz. A Ksieni Aleksiejewnie z rady zakładowej skradziono znaczki związkowe. Nic o tym nie słyszałeś? Może ich już złapali? Nie udawaj, że nic nie wiesz. Prawdziwe znaczki. Do potwierdzenia składek.

– Może to i dziwne, ale naprawdę nic nie słyszałem o tych znaczkach. Nie mogłem i nie powinienem nawet słyszeć. Pewnie po prostu zgubiła je zgubiła...

– Ach, Stasiu, mówisz tak byle co, żeby mnie uspokoić.

– Mamo, nie uspókałam cię, bo tu nie ma się o co martwić. Jest masa innych spraw w życiu, o które trzeba się martwić.

– Wy, dzieci, nie możecie niestety w żaden sposób zrozumieć, że to właśnie wy jesteście przyczyną większości naszych zmartwień.

– Ale przecież ja dostarczam ci bardzo mało powodów do zmartwienia. Porządny jestem aż do obrzydliwości – nie palę, piję bardzo rzadko, nie łajdaczę się, nie gram na wyścigach ani w karty. A właśnie przede wszystkim te wady wywołują zmartwienie rodziców..

– Tymi wadami niech się martwi twoja organizacja partyjna. Mnie martwi to, że ty nigdy na ludzi nie wyjdiesz. Gdyby tak się stało, pewnie pogodziłabym się już z upodobaniem do wyścigów.

– Jeśli dobrze się domyślam, twoja uczennica jeszcze nie wyszła i swoimi nieostrożnymi uwagami możesz zburzyć legendę – wtrąciłem zjadliwie.

– Ach, Stasiu, jaki z ciebie wciąż mały i głupi chłopczyk. I bardzo zły – powiedziała ze smutkiem – zupełnie nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zły.

– To pewnie z powodu tej mojej cnoty. Wszyscy cnotliwi ludzie są niedobrzy i nietolerancyjni. Nie wiadomo dlaczego zawsze mają kłopoty z pęcherzykiem żółciowym.

– Rozmawiasz ze mną tak, jakbym ci życzyła złego – powiedziała matka z zakłopotaniem – a przecież ja chcę dla ciebie tylko dobra...

– Wiem o tym, mamusiu. Ja też dla siebie chcę dobra. Ale, szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jakiego, i dlatego szukam...

– Ale przecież masz już trzydziestkę! Osiemnaściołatki szukają!

– Osiemnaściołatek, mamo, ma obowiązek iść na studia albo do wojska, tak jak siedmiołatek – do szkoły, a sześćdziesięciołatek – na emeryturę. Idzie mi o coś innego.

– Ale w ten sposób możesz nigdy nic nie znaleźć.

– Nie wykluczone. Dobrze, że nie mieszkamy we Włoszech – poszlibyśmy z torbami. Tam się płaci za telefon zależnie od czasu trwania rozmowy. Będzie lepiej, jak wpadnę do ciebie, o wszystkim sobie porozmawiamy...

Na przystanku trolejbusowym było dużo ludzi, poszedłem więc piechotą. Z bulwaru Twerskiego widać było jaśniejące góry lodowe Nowego Arbatu – wypróbowywano iluminację pierwszomajową. Święto było za pasem.

Pamiętam, z jaką męczącą powolnością ciągnął się dawniej czas od jednego do drugiego święta. Teraz jak gdyby przeszedł na inną taryfę – mknie tak szybko, że człowiek nie zdąży się nawet obejrzeć. A może to nie czas, a ja sam biegnę teraz szybciej? Odeszło, zostało za plecami i wczoraj, i przedwczoraj, i dzień sprzed roku, ale wszystko to nie zginęło, nie rozpuściło się w mrokach czasu, tylko zamarło, jak płyty tunelu, którym idę do stacji szczęście. Myślę, że czas jest całością, tak jak wszechświat. Tylko ludzie dla wygody wprowadzili odcinki czasu, podzielili go na części, jak taśmę filmową na klatki, a później zapomnieli o tym i zaczęli oddawać hołd nie czasowi, ale tym odcinkom, zaprzęgając siebie w kierat cyferblatu, w labirynt kalendarzy, gdzie wczoraj poprzedza dzisiaj, które z kolei zawsze biegnie przed jutrem. A przecież za ledwie

dwa dni temu twoje wczoraj miało zostać jutrem! I może dlatego, że często myślę o tych dziwnych sprawach, nie mogę zrozumieć ludzi, którzy łatwo i chętnie zapominają o swoim wczoraj, żyją tylko dniem dzisiejszym i spluwają na jutro, bo wierzą święcie, że czasu nie można podzielić na te drobne kawałeczki, wiem, że jutro to część mojego wczoraj. Przecież podczas swojego ruchu filmowa taśma czasu może się zwinąć, i wczoraj może wyprzedzić jutro. Nie wiadomo, jakiego to wymaga ruchu i, być może, nie jest wcale do tego potrzebna szybkość światła, może wystarczy choć raz w życiu przemknąć po ścianie „beczki śmierci”. A spojrzeć w jutro może dlatego jest tak strasznie, że najpierw trzeba przejechać po tej ścianie. Nigdy nie mogłem porozumieć się z matką, bo ona nie może nawet znieść myśli o spojrzeniu w jutro. Dla niej przyszłość to najbliższe dziesięć minut i kiedy rozmawia ze mną o mojej przyszłości, to także jest to rozmowa o dniu dzisiejszym. Nie ma sensu mówić z nią o tym, że czas można zatrzymać i popatrzeć w swoje wczoraj – czas jest dla niej czymś nieodwracalnym i nieuchwytnym. Nie potępiam jej za to – trudno żądać od młodej, nie przygotowanej do życia kobiety z małym brzdącem na rękę, której mąż zaginął bez wieści, wykonując zadanie bojowe na tyłach nieprzyjaciela, aby starczyło jej sił na skok na ścianę po to, by obejrzeć zwiniętą w ruchu taśmę czasu. Powiedziała mi kiedyś po prostu: „Stasiu, jestem jeszcze młodą kobietą i muszę jakoś ułożyć sobie życie”. Nie zrozumiałem tego i nie zaakceptowałem. Nie zrozumiałem wtedy, bo wiedziałem, że ułożyć można książki na półce, ułożyć plan lekcji czy wreszcie ułożyć się do snu. Ale jak ułożyć sobie życie – tego nie rozumiałem. Właściwie nawet i później nie przyswoiłem sobie drugiego, głębokiego sensu tego słowa.

Ojca zupełnie nie pamiętam – poszedł na front, kiedy miałem trzy lata. Podczas ewakuacji straciliśmy wszystko i nie ocalała nawet jego fotografia. Pozostało mi tylko

jedno na wpół zatarte wspomnienie. Na krótko przed wojną ojciec przyniósł do domu odbiornik radiowy 6-N-1, włączył go i kiedy z tajemniczej skrzynki rozległ się dziarski marsz, z nagłego przestraszu zacząłem wrzeszczeć na cały głos. Wtedy ojciec wziął mnie na barana i nosił pośpiewując:

Kto to śmiał przestraszyć Stasia?

To robota Karabasza.

Zaraz ręce mu zwiążemy,

Zaraz portki mu ściągniemy,

Zaraz baty mu wsypiemy,

By nauczyć Karabasza,

Że nie wolno straszyć Stasia...

Bardzo mi się to podobało, że ściągniemy portki z groźnego Karabasza i damy mu po tyłku, żeby przestał straszyć małe dzieci. Więcej nic nie pamiętam – wszystko rozplynęło się, odeszło, zginęło. Niekiedy budziłem się nocą i długo mamrotałem słowa tej śpiewanki, próbując nimi – jak zaklęciem – wywołać w pamięci obraz ojca, który jeszcze moment wcześniej rozmawiał ze mną we śnie. W snach pojawiał mi się duży, silny, wesoły, ale zawsze bez twarzy. Dręczyło mnie to jak ból fizyczny.

Matka wyszła za mąż za wykładowcę języka niemieckiego z tej samej katedry, w której pracował ojciec. Był to pulchny, dobry, bardzo flegmatyczny i niezwykle pracowity człowiek. Przenieśliśmy się do niego i przeżyliśmy razem jedenaście lat, do momentu kiedy rozpocząłem studia. Wtedy wróciłem do naszego starego mieszkania, w którym mieszkam do dzisiaj. Wkrótce mój ojczym umarł. Chociaż przeżyliśmy razem wiele lat, wspominam go tak rzadko, jak przypadkowego przechodnia z ulicy. Ponieważ zupełnie nie poznałem go przez te wszystkie lata, pozostał w mojej pamięci jako milczące, szare piętno. Chyba stało

się tak dlatego, że ja także zupełnie go nie interesowałem i traktowałem mnie zawsze z równie obojętną uprzejmością jak kota sąsiadów. Był zawsze grzeczny, spokojny i skromny jak podstarzały statysta teatralny. Tylko nikt nie przychodzi do teatru przyglądać się niuansom gry statystów. A on był urodzonym statystą i kiedy zszedł ze sceny, nikt pewnie tego nie zauważył.

Kiedy umarł, miałem osiemnaście lat, a mama trzydzieści dziewięć. Była wciąż bardzo piękną kobietą i byłem przekonany, że na pewno jakoś ułoży sobie życie. W tym czasie często kłóciliśmy się i mama, rozgniewana i smutna, powtarzała: „Tatunio! Wykapany ojciec!” A potem wyszła za odmładzającego się emerytowanego pułkownika.

Pułkownik Chrulew był wesołym, dobrym chłopem, mogłem więc być spokojny o matkę, gdyż przy nim czuła się pewnie, on zaś rzeczywiście odmłodził o dwadzieścia lat; razem ułożyli sobie życie i byli szczęśliwi, weseli i zadowoleni. A że oboje byli już niemłodzi i spotkali się mając za sobą wiele przykrych życiowych doświadczeń, odnosili się do trwałości swojego szczęścia z jakimś niedowierzaniem, niosąc je w wyciągniętych rękach jak przepelnioną czarę, całkowicie pochłonięci czuwaniem nad trwałością tego, co udało im się zbudować, nigdy nie zaglądając w jutro i na zawsze wykreśliwszy wczoraj, gdyż czas istniał dla nich tylko w postaci dnia dzisiejszego. Gdyby mogli, pewnie zatrzymaliby słońce na nieboskłonie, żeby tylko odwlec, powstrzymać zachód, po którym musi nadejść zupełnie nie znane jutro. W tym ich pogrążeniu się we własnych problemach nie było już dla mnie miejsca i znowu coraz częściej zacząłem wspominać ojca, nie mogąc samemu znaleźć odpowiedzi na gromadzące się pytania. I wtedy ojciec stał się obrońcą moich szalonych i dziwacznych postępów, uwierzyłem bowiem, że gdyby żył, potrafilibyśmy dogadać się w wielu sprawach, a on rozumiałby to, czego matka nie może i nie chce zrozumieć. Stał się dla

mnie kamieniem probierczym, symbolem negacji tego wszystkiego, co mówi i robi matka.

Ale ponieważ w moich wspomnieniach ojciec nie miał twarzy i nigdy nie mogliśmy ze sobą porozmawiać, z czasem zacząłem powątpiewać, czy w ogóle istniał, czy nosił mnie na rękach, pośpiewując „Kto to śmiał przestraszyć Stasia...”, i ze smutkiem myślałem, że nie będę miał z kim związywać różnych karabasów mojego życia.

Już po rozpoczęciu pracy w milicji poszedłem na uniwersytet i tam w archiwum dotarłem do jego akt personalnych. Kiedy odwróciłem okładkę poźółkłej, wytartej teczki, coś ugodziło mnie prosto w serce. Z fotografii na pierwszej stronie ankiety patrzyła na mnie moja własna twarz. Krótkie, sztywne włosy, gniewne spojrzenie, odstające uszy. Tichonow, Paweł Michajłowicz, rok urodzenia 1911. Oczywiście to przypadek – równie dobrze mogłem być podobny do matki albo niepodobny do żadnego z rodziców. Ale kiedy ma się dwadzieścia dwa lata, nie wierzy się w przypadki – świat jest zdeterminowany i zaprojektowany jak schemat telewizora. Właśnie wówczas pomyślałem po raz pierwszy, że czas jest tylko jeden i że człowiek może powracać do swojego wczoraj i zaglądać w jutro. Chciałem w tajemnicy przed sekretarką oderwać od ankiety fotografię, ale się rozmyśliłem. Złożyłem poźółkłe okładki i wyszedłem. Zdjęcie nie było mi potrzebne, bo nie miałem komu go pokazywać, a moja pamięć na zawsze przeniosła je w przyszłość.

Nie mogę powiedzieć, że kochałem ojca. To się musi nazywać jakoś inaczej, bo kocham, mimo wszystko, matkę. A z ojcem jest zupełnie inaczej. To jakieś egoistyczne poczucie naszej nierozdzielności. Kiedy zobaczyłem jego fotografię, coś zaskoczyło mi w mózgu, otworzyła się klapka i popłynęły jeden za drugim obrazy z przeszłości albo z marzeń. Mieliśmy wtedy trzy i trzydzieści lat, ojciec niósł mnie na ramionach podczas pochodu na placu Czer-

wonym, potem podawałem mu taśmę do cekaemu, potem znów on stał w masce w hokejowej bramce, a ja oddawałem niski, podcięty strzał. On zawstydział mnie, gdy gorzko płakałem po odejściu Leny, albo – być może – to ja pocieszałem jego, gdy matka wyszła za Chrulewa. Wszystko to kręciło się w jakimś szalonym kołowrocie i nie mogłem oddzielić ojca od siebie, ponieważ spotkaliśmy się po raz pierwszy już po jego śmierci, przeszedłem z jego jutra w swoje wczoraj.

Wtedy właśnie zrozumiałem, dlaczego tak źle układały się moje stosunki z matką. Po prostu byłem okropnie, chorobliwie zazdrosny o pulchnego, flegmatycznego wykładowcę i wesołego, tryskającego zdrowiem Chrulewa, którzy mogli układać sobie z nią życie dopiero po śmierci ojca. Ale on był mną, a tamci zajęli nasze miejsce, a to znaczyło, że matka kochała bardziej ich niż mnie-ojca. I podświadomie okrutnie nienawidziłem kartki na chleb, kolejki, ludzką samotność i w ogóle całą wojnę, bo to ona zmusza ludzi do układania sobie życia, przekreślania dnia wczorajszego i odwracania się tyłem do jutra.

A matkę kochałem i jednocześnie nienawidziłem, tak jak można kochać i nienawidzić człowieka najszcześliwszego ze wszystkich nieszczęśliwych. Minęły lata, zanim zrozumiałem, że moja zazdrość i miłość do matki są częścią pamięci ojca, a nienawiść to brzemień wierności tej pamięci, którym chciałem ją obciążyć. Ale ona nie mogła go udźwignąć, gdyż była zwykłą słabą kobietą, a ja nie miałem prawa wymagać od niej, żeby zrozumiała niepodzielność czasu, w którym pamięć jest miłością, a jutro tylko częścią dnia wczorajszego...

Wszedłem na pierwsze piętro dużego domu, starego i bardzo wygodnego, jakie budowano w początkach naszego stulecia. Matka otworzyła mi drzwi ze słowami:

– Wcale nie przypuszczałam, że będziesz tak szybko.
Nadstawiła mi policzek do pocałunku, a ja – nie wiado-

mo dlaczego – pomyślałem, że sama nigdy mnie nie całuje. Pewnie dlatego, żeby nie pomazać mnie szminką.

Na korytarzu stała sympatyczna z wyglądu dziewczyna w płaszczu – najprawdopodobniej właśnie się żegnała. Matka powiedziała: „Poznajcie się...”, i zaczęła się znienawidzona przeze mnie procedura przedstawiania się. Trzeba wtedy koniecznie wypowiadać masę pustych, nic nie znaczących słów. „Bardzo mi przyjemnie.” A niby dlaczego ma mi być bardzo przyjemnie?... Wymamrotałem parę jakichś grzeczności. Dziewczyna była najwyraźniej rozczarowana sprzecznością między moim na wskroś pospolitym wyglądem a legendą, tak pieczołowicie budowaną przez matkę. Na tym, dzięki Bogu, rozstaliśmy się. Matka odprowadziła ją do drzwi i wróciła uśmiechając się.

– Bardzo zdolna...

Nie udało mi się powstrzymać złościwości.

– Na pewno już nauczyła się „Skowronka”?

Spojrzała na mnie i roześmiała się. Ach, jak lubię patrzeć na matkę, kiedy się śmieje! Znikają zmarszczki i prawie niedostrzegalne zażółcenie skóry, a oczy, niebieskie, wielkie jak wiosenne jeziora, promienieją dobrocią i radością. Kiedy się śmieje, jej oczy rozpalają się jakimś tajemniczym światłem, przyciągającym do niej mężczyzn, jak latarnia morska. Nigdy nie słyszałem, żeby chichotała, jak się to często zdarza kobietom. Śmieje się zupełnie bezdźwięcznie i tylko oczy jej połyskują radosnym blaskiem. Mężczyźni zaczynają wówczas tracić głowy, starając się dokonać czegoś ponad swoje możliwości, a ponieważ jest to zazwyczaj dosyć trudne, zaczynają się po prostu przechwalać...

– Nie rozumiem, dlaczego z nimi pracujesz.

Wzruszyła ramionami.

– Technika coraz bardziej mechanizuje ludzi, brak im wychowania estetycznego, zrozumienia piękna sztuki...

– Przy takim podejściu powinnaś pracować za darmo.

– Ale ja też odczuwam potrzebę stworzenia pozorów swojej przydatności dla ludzi – odpowiedziała, a ja nie zrozumiałem, czy żartuje, czy też mówi poważnie. – Ty tak ugrzązłeś w tym problemie, że i ja zaczęłam się nad nim poważnie zastanawiać. – I znów się roześmiała.

Po chwili spoważniała.

– Stasiu, mój drogi, staliśmy się dla siebie zupełnie obcy. Tak bardzo się oddaliłeś ode mnie!

– Co robić mam – rozłożyłem ręce – tak mało mam wolnego czasu...

– Och, przecież nie o to chodzi! Ja zupełnie nie wiem, jak żyjesz. I to mnie bardzo martwi. Pewnie już się zestarzałam, bo ciągle myślę o tobie i bardzo się o ciebie boję...

– Czego się boisz? – zdziwiłem się.

– Ja nic o tobie nie wiem, Stasiu. Nie wiem, z kim się przyjaźnisz, z kim pracujesz, co robiłeś dzisiaj czy rok temu.

– Mamo, o tym już mówiliśmy. Świat, w którym się obracam, jest dla ciebie niezrozumiały i nieinteresujący. Moje życie też się nie zmienia – i osiem lat temu, i dzisiaj rozpracowywałem tego samego złodzieja o pseudonimie Baton.

– Ja nie o tym mówię! Wczoraj był u mnie Wadik Petriczenko...

– Wiem, wiem! – przerwałem jej. – Wadik – twój ukochany uczeń, mój rówieśnik, a już jest laureatem międzynarodowego konkursu. Ale ja nie mogłem zostać pianistą, bo nie mam słuchu. A to chyba nie moja wina?

– Tak się chełpisz tym brakiem słuchu, jakby za to dawali dyplomy. Niepotrzebnie mi przerwałeś – nie jestem jeszcze taką bezmyślną staruchą, za jaką mnie masz. Wadik opowiedział mi straszną historię. Pamiętasz Liu-Szi-Kuna?

Przytaknąłem.

– Pianista. Hunwejbini kamieniami zmiażdżyli mu ręce.

– A więc wiesz o tym?

– Czytam gazety.

– I możesz mówić o tym tak spokojnie?!

– Mamo, nie mówię o tym spokojnie, ale co na to można poradzić? To, co się tam dzieje, jest jak dzuma albo gradobicie.

– Ale to zrobili ludzie! Nie bakterie ani grad!

– Tak. Ale co ja na to mogę poradzić?

– Ach, Stasiu, żebyś ty widział jego ręce! Był taki malutki, chudziutki, a ręce miał jak wytoczone z bambusu – cienkie, silne, nerwowe. I po tych rękach tłukli kamieniami. Rozumiesz, jakie to straszne?

Matka umilkła zapalając papierosa. Dwa inne tliły się jeszcze w popielniczce. Zgasilem je starannie.

– A dlaczego o tym z tobą mówię? – zapytała, wzdychając głęboko. – Twoje życie upływa na ściganiu złodziei i chuliganów. Boję się o ciebie. Boję się, że całe twoje życie pójdzie na marne. No, odpowiedz mi po ludzku, tak, żebym zrozumiała, jeśli jestem naprawdę taka zacofana, dlaczego właśnie ty musisz łapać bandziorów? Każdy twórczy człowiek wybiera sobie pracę zgodną ze swoim powołaniem. Czyżby twoim powołaniem było ściganie przestępców? Czy w ogóle istnieje takie powołanie?

Siedziałem w milczeniu, zastanawiając się nad jej słowami. Co mógłbym jej odpowiedzieć?

– No i dlaczego nic nie mówisz?

Tak, rzeczywiście, czy istnieje takie powołanie? Siedziałem więc milcząc i oglądałem pokój matki – świat, do którego nie miałem wstępu z powodu wrodzonego braku słuchu, a przede wszystkim dlatego, że sam nie miałem ochoty dostać się do niego. Mnie interesowało zupełnie co innego, a matka była zajęta układaniem swojego życia i kształceniem przyszłego laureata Wadika Petriczenki,

który, moim zdaniem, już w wieku siedmiu lat dobrze znał swoje powołanie i był naprawdę świetnym chłopakiem – uprzejmym, skromnym, pracowitym. No i miał absolutny słuch. Tak więc musiałem powoli, ale nieuchronnie, otwierać drzwi do mojego świata – zadymionych dyżurek milicyjnych, nie dającego się zlikwidować smrodu potu i kapusty w więzieniach, czujnej senności zasadzek, obrzydliwego rzucania mięsem przez zatrzymanych chuliganów, zawsze budzącego przerażenie chłodu ostygłych zwłok.

A gdyby tak przewiesić portret Strawińskiego z tej ściany do mojego gabinetu służbowego? Nie, nie można. Nie można też przenosić fotografii Rachmaninowa ani nie byłoby tam na miejscu nieduże popiersie Beethovena, ani świeczniki z brązu, ani wystrzępione pozółkłe nuty. Nie można. Ja sam byłem przekonany, że nasze światy są oddzielone od siebie trwale i na zawsze. A okazuje się, że życie je łączy jak podziemna rzeka.

„...Twoje życie upływa na ściganiu złodziei i chuliganów...” Ale przecież tych chuliganów gdzieś uczą miażdżyć ręce. Jak wytłumaczyć matce, że moje powołanie to nie tylko ściganie chuliganów, ale także ochrona rąk Wadika? Przecież tu nie idzie o jednego laureata czy jednego chuligana. Boże, jak nazywa się moje powołanie?

– Mamo, nic nie mogę ci powiedzieć. Tego się nie da wyrazić słowami, trzeba to czuć, tak jak ja czuję...

– Wszystko, co jest racjonalne, da się wyrazić słowami.

– Dobrze, ale nie mówmy już o tym. I tak nic nie zmienimy...

Zadzwoił telefon. Szybkim, zręcznym ruchem matka przeciągnęła chusteczką po twarzy, nie rozmazując ani jednego detalu makijażu, wyciągnęła spod fortepianu słuchawkę i powiedziała: „Hallou”. Przez chwilę z zachwytem omawiała ze swoją przyjaciółką nowy, znakomity program Michnowskiego, na coś się oburzała, czymś mar-

twiła, cieszyła, zachwycała się jakimiś szwedzkimi zamuszowymi butami.

Wyciągnąłem z kieszeni papierośnicę i trzymałem ją w pogotowiu, aby od razu wcisnąć się między zakończenie rozmowy a szczegółową relację z tej „podniecającej” dyskusji.

– O, jakie piękne, skąd to masz?

– To dowód rzeczowy. Popatrz, proszę, co to są za nuty?

Mrużąc oczy oglądała nuty niezwyklej złotej partytury i długim cienkim palcem wystukiwała rytm na błyszczącym blacie stołu, a ja z wysiłkiem starałem się nie patrzeć na ten cienki, nerwowy palec, dlatego że właśnie takie same suche, cienkie palce, zupełnie niemęskie, napięte i kruche, ma Wadik Petriczenko i na pewno niczym – może tylko barwą – nie odróżniały się one od palców Liu-Szi-Kuna, którego nigdy nie widziałem.

– To toccata Panczo Wełkowa...

– Co, co? – przerwałem jej.

– Jest taki znakomity kompozytor bułgarski – zaczęła szczegółowo opowiadać mi matka...

Rozdział ósmy

Szkoła sprawiedliwości złodzieja Dieduszkina

Nie wiem właściwie dlaczego, ale jakoś nie czułem złości do Tichonowa. Może dlatego, że on jest głupi? Nie, może nie tyle głupi, co ograniczony. Pod każdym względem niby normalny, a w pracy ogarnia go wprost szaleństwo. Gdyby był próżnym, przebiegłym urzędniczyną, mógłbym go zro-

zumieć – chcesz zostać naczelnikiem, trudno, sprzątaj ludzki gnój. Ale nie wygląda na takiego, co by się rwał do następnych gwiazdek – nie, on musi udowodniać mi jakieś bzdury. A właściwie dlaczego? Nikt go nie prosi, żeby się tak szarpał, a i sławy na mnie żadnej nie zdobędzie. Raz tylko kiedyś zacząłem z nim i teraz będzie ze mną wojował, aż z niego para pójdzie.

Patrzyłem na niego długo i w pewnym momencie zauważyłem, że ma przetarty kołnierzyk u koszuli. Koszula biała, czyściutka, bardzo wiele razy prana i w zagięciu przy szyi wystrzępiona. W żaden sposób nie mogłem się na niego rozzłościć, kiedy wyłaził ze skóry, starając się zapędzić mnie do mamra.

Nie mogłem się skupić, żeby mu dać kontrę, jak należało, a może obrona przed nim była ponad moje siły, bo on już dawno nie jest szczeniakiem, ale zawziętym, szorstkowłosym psem gończym. Wszystko w jego postępowaniu i myśleniu było logiczne, śmiałe i słuszne, tylko nie mógł pojąć jednej rzeczy, która dotyczy zresztą nie mnie, lecz jego samego: że jest dobrym, świetnie wyszkolonym psem, strzegącym płotu, za którym nie stoi żaden dom. A za tym płotem, wzdłuż którego biegł za mną równym, nie znającym zmęczenia kłusem, dopadał mnie, wskakiwał na plecy, powalał na ziemię, włókł głęba po błocie i łajnie prosto do więzienia, on osobiście – nie jako kapitan milicji, nie jako inspektor MUS, ale po prostu samotny trzydziestoletni chłopak o szczupłej, gniewnej twarzy – za tym płotem on sam nic własnego nie pozostawił, za płotem, którego tak czujnie strzegł przed moimi przestępczymi zamachami.

Pomyślałem o tym, patrząc na przetarty na załamaniu kołnierz koszuli. Ta myśl nie pozwoliła mi w żaden sposób skoncentrować się, gdyż on jak gdyby powierzył mi swój wielki sekret i zobowiązał do zachowania tajemnicy, a sam dławiał mnie i szarpał, starając się wydusić mi z gardła takie słowa, które mógłby zapisać w protokole, potem dać

mi do podpisania i w ten sposób pozbawić mnie najcenniejszej rzeczy, jaką ma człowiek – możliwości życia bez straży. Wydawało mi się, iż obaj wiemy o tej przetartej koszuli, przecież nikogo to nie obchodziło – nikt z lupą nie oglądałby jego koszuli – że o tym przetarciu, ponizającej pieczęci ubóstwa, wiemy tylko my: on i ja.

Ten stary znoszony kołnierzyk zobaczył dzisiaj rano, wybierając się do pracy. Wydało mi się, że stoję w jego pokoju i widzę, jak Tichonow w podkoszulce rozkłada koszulę i rozważa, czy można ją jeszcze nałożyć, czy zarysowująca się dziura jest wystarczająco niewidoczna. Czy też może wyrzucić i wziąć inną, trochę lepszą? No, może jeszcze raz uda się włożyć tę starą. Ubiera się i przychodzi do pracy tu, na Pietrowkę 38, aby rozstrzygnąć problem całego mojego życia. A tutaj ja zauważyłem ten kołnierzyk i zupełnie zbił mnie on z tropu, bo z jakimś bólem uświadomiłem sobie, w jakim bezsensownym, wyróconym na opak świecie wszyscy żyjemy.

Boże, przecież ja bym mu kupił sto, dwieście albo tysiąc takich koszul, byle tylko wypuścił mnie stąd! Napomknąłby tylko, a ja bym wypłacił mu jego pobory na pięć lat naprzód! Z pewnością nie zwróciłbym uwagi na tę koszulę, gdyby była wymięta, brudna czy porwana. Ale ona była przetarta. Przetarta od wieloletniego częstego noszenia. I w rękach tego człowieka jest całe moje życie! Boże, co za nonsens!

Ale Tichonow nie potrzebuje tysiąca nylonowych, orlonowych, lnianych i bawełnianych, i nie wiadomo jakich jeszcze koszul. Niepotrzebna mu również otrzymana ode mnie w jednej chwili zapłata za pięć lat. Zupełnie mu wystarcza przetarta na kołnierzyku, popelinowa, czysto wyprana koszulina, bo tylko w niej może chodzić ze swoją odpowiedzialnością za wszystkich ludzi, którzy jak gdyby upoważnili go do pilnowania płotu, po którego jednej stronie zamieszkali oni ze swoim dobytkiem i żalosnym

kołtuńskim spokojem, a po drugiej ja ze swoim nigdy nie gasnącym pragnieniem życia łatwego i przyjemnego.

A przecież nie jest zwierzęciem stadnym, nie jest osłem, kopiującym posłusznie cudze, narzucone mu wzory. Tacy jak on we wszystkich sprawach mają własne zdanie i starają się jako pierwsi wziąć na siebie najgorsze obowiązki, a jako ostatni otrzymują nagrody i premie. Mimo to podoba mu się to, co robi. Dlaczego? Może to żądza władzy? Albo sławy? Albo siły? Albo zwrot długu za żalosne ubogie dzieciństwo? A może on uważa, że ustanawia sprawiedliwość? Nie to niemożliwe – nie jest przecież idiotą. Nie można być rozumnym dorosłym człowiekiem i wierzyć w jakąś ogólną i dobrą sprawiedliwość!

Moja wiara w sprawiedliwość skończyła się, kiedy miałem dziesięć lat. Słowo to cieszyło się dużym powodzeniem w naszej przeklętej rodzinie. Podrapując podłużne wrodzone piętno – „myszkę” – na policzku, dziadek mawiał: „Bóg o nas zapomniał, sprawiedliwość umarła, a my po-grążyliśmy się w plugastwie...” Przypuszczam, że w swoim czasie na rostowskich intratnych śmietniskach ze świecą nie znalazłoby się drugiego takiego rozbójnika, jak mój rodzony dziadunio. Matka patrzyła na mnie z nienawiścią i na jej skórze pojawiały się czerwone plamy: „Po sprawiedliwości, lepiej było mi zrobić skrobankę niż wychować takiego potwora...”

Ale najbardziej lubił słówko „sprawiedliwość” mój tato. Wieczorami wracał z pracy, ścigał satynowe granatowe zarekawki, strząsał z koszuli niewidzialne pyłki, siadał do stołu i długo tarł dłonią o dłoń. Zawsze nerwowo pocierał dłonie, jak gdyby ani woda, ani mydło nie były w stanie zmyć przylepionego do nich w ciągu dnia brudu. Tarł je nieustannie, niekiedy nawet podczas jedzenia odkładał na chwilę łyżkę i pocierał sine, wilgotne, zawsze zimne łapy, i ponownie zabierał się do zupy, obrzydliwej, cuchnącej kwasem i zgniłymi jarzynami. Nie wiadomo

dłaczego u nas w domu zawsze jadało się paskudnie. Nawet nie dlatego, że każdemu wydatkowi na żarcie towarzyszyła koszmarna awantura i „walka na gołe szable”. W tych bitwach górę brał skrzeczący falset dziadka: „Złodzieje, marnotrawcy przekłęci, jak długo można doić nieszczęsnego starca?” Ojciec z lękiem kręcił swoją mawkówką, cały zgięty w kabłąk z ponizienia i strachu, ale trzymał się nieugięcie: „Jestem uczciwym urzędnikiem, pieniędzy nie drukuję!” Matka zaś, cisnąwszy w dziadka garnkiem z resztkami wczorajszej zupy, biorąc duży zamach z przyjemnością okładała chude łopatki ojca wałkiem do ciasta i, w przelocie dając mi w pysk, mawiała serdecznie, niemal pieszczotliwie: „W piekle się wszyscy usmażycie! Żebyście się zadławili wszyscy trzej! Wszy przekłete, dezynsekcji na was trzeba! Żeby wynieśli was jak najprędzej nogami do przodu! Żeby te wasze pyski parszywe pokryły wrzody, toby wam się odechciało żreć i żadnych pieniędzy nie trzeba było wydawać!” Gotowała matka z obrzydzeniem, wprost z nienawiścią. Kiedy zaczynała gotować barszcz, zapominała o nim, barszcz kipiał, przypalał się, a na obiad stawiała na stole okopcony garnek, popychała go niedbale, ogłaszając ponuro: „Żrycie. Ragout z jarzyn.” Do dzisiaj nie jem kompotu, bo kiedyś dziadek zdobył gdzieś worek zepsutych suszonych owoców i potem co dzień na deser jedliśmy kompot z zapleśniałych suszonych śliwek i zgniłych gruszek, w którym pływało mnóstwo robaków. Dziadek wyrzucał je ze swojej porcji zręcznymi przytknięciami złotego, żelaznego paznokcia, robiąc do mnie oko: „No, jazda, jedz. Z wkładką mięsną pożywniejsze”. Raz mnie zemdliło, ale matka natychmiast pomogła, dając mi w ucho tak, że zleciałem z taboretu. Nudności przeszły i wszyscy od tego czasu uznaliśmy kompot za smaczny.

Ojciec po zjedzeniu chleba, który mu matka kładła na wiecznie brudny, zapaskudzony, lepki stół, wycierał o połę

długiej tołstojowskiej koszuli te swoje wiecznie zziębnięte rączki, siadał przy oknie i zaczynał ustanawiać sprawiedliwość.

Wydawał sądy z natchnieniem, zapewne tak, jak pisarze tworzą swoje książki. Brał mój stary, nie dopisany do końca zeszyt, otwierał go, starannie wyglądał, położywszy na parapecie, i dłubiąc tęnym końcem ołówka w uchu, zamyślał się. Widocznie szkicował fabułę. Potem robił w zeszycie jakieś uwagi – należy przypuszczać – pierwsze szkice. Siedział długo, wszystko obmyślał bez pośpiechu, niekiedy uśmiechał się do siebie, jak gdyby szczególnie podobała mu się jakaś pojedyncza myśl czy obrót wydarzeń. Później przymilnie zapytywał mnie, czy skończyłem już odrabiać lekcje. Tak miło zwracał się do mnie tylko wtedy, gdy ustanawiał sprawiedliwość. A ponieważ byłem uczniem dwójkowym, lekcje zawsze miałem odrobione. Sadzał mnie obok siebie przy parapecie, otwierał zeszyt na czystej stronie i zaczynał dyktować, a ja pisałem. Pisałem dla niego donosy. Donosy dotyczyły wszystkich. Sąsiadów, współpracowników, jakichś prawie mi nie znanych ludzi. Pytałem go, po co to. A on odpowiadał mi łagodnie i z zadumą: „Tak trzeba. Sprawiedliwość musi być we wszystkim.” Pisał, że administracja domu popełnia nadużycia, że sąsiedzi żyją ponad stan, że inwalida Żynkin to symulant, że dyrektor przedsiębiorstwa Wołobujew bierze łapówki, że partyjniak Konowałow prowadzi się niemoralnie z laborantką Kosenkową, że sprzedawczyni Łapina kradnie i codziennie nosi fildekosowe pończochy, których za zarobione pieniądze nie mogłaby kupić. U Siemionkinów co dzień popijawa, a naczelny inżynier Fomiczew, bezpartyjny, z dawnych burżuazyjnych specjalistów, idąc ze sztandarem w kolumnie podczas pochodu, uśmiechał się antynarodowo, myśląc przy tym: „Po co mi to – wlecemy się jak stado baranów, a ja w ogóle jak głupi z tą szmatą przylazłem”.

Zapytałem go: „A skąd ty wiesz, co myślał Fomiczew na pochodzie?” Dostałem w kark, nieboleśnie, ale tak, żebym wiedział, gdzie jestem, i nie zadawał głupich pytań; „Jeśli sygnalizuję, to znaczy, że jest mi wiadomo...” Potem pomyślał i powiedział: „Może lepiej skreśl to «pomyślał»”. Napisz tak: „Bez przerwy mruczał pod nosem”. Donosy podpisywał tajemniczo i imponująco: „Grupa uczciwych i życzliwych obywateli”.

Matka, przechodząc obok nas, mruzczała niezadowolona: „Co za skorpion przekłety się do mnie przyczepił. Zamiast walczyć o prawdę, poszedłbyś lepiej po ziemniaki”. A najważniejsze, że ja sam długo wierzyłem, że ojciec rzeczywiście walczy o sprawiedliwość, tylko bardzo dziwiłem się, czemu wiedząc o tych ludziach tyle złego, leci przez całe podwórze z wyciągniętą ręką, żeby przywitać się z dozorcą, pije z inwalidą Żynkinem wódkę, pyta partyjniaka Konowałowa o zdrowie szanownej małżonki, dla sprzedawczyni stara się o modelowe „czółenka”, a Sasze Siemionkinowi sprzedał stertę płyt z piosenkami Leszczenki i Wertyńskiego. Prędko biegł czas pod ciepłym rodzicielskim dachem i bardzo szybko zdarzył się przypadek, który pozwolił mi wszystko zrozumieć.

Za jakieś tam stachanowskie rekordy rząd nagrodił dyrektora Wołobujewa własnym samochodem – emką. Wołobujew trzymał ją na podwórzu pod swoimi oknami. Kiedyś w niedzielę zamierzał wyjechać, patrzy – a tu siadło tylne koło. No, oczywiście, samo to ono ni z tego, ni z owego nie siadło, tylko ja spuściłem powietrze – wydawało mi się bardzo śmieszne, jak po naciśnięciu iglicy wychodzi z takim sykiem. W zadumie chodził opasy dyrektor wokół samochodu, a nasz tatuńcio oczywiście koło niego. O, z pewnością Tichonow by się ubawił, gdyby dowiedział się, że on jeszcze lał w majtki, kiedy ja otrzymałem pierwszą lekcję wyższej sprawiedliwości – z ojcowskich rąk, rzecz jasna.

Tatko mój drogi mówi do Wołobujewa: „Szanowny

Iwanie Aleksandrowiczu, pozwólcie sobie pomóc, popompuję trochę”. Z tamtego pot już słony spływał, no to ucieszył się z pomocy. Patrzyłem, jak ojciec dyrektorowi koło pompuje, zawstydzilem się za niego, podchodzę i mówię: „Wypnij się na niego, nie pomagaj mu. Przecież wiesz, że to łapownik, lada dzień weźmie go NKWD”.

Tak, było na co popatrzeć. Ojciec powoli się prostował, wyciągając rączkę pompy, i wydawało się, że jednym ruchem tłoka wyciska z siebie całe powietrze; wtedy nie wiedziałem, że z człowieka można wypuścić powietrze tak samo jak z opony i nawet na iglicę nie trzeba naciskać. Jego sinicza, pomarszczona twarz z długim prostym nosem cała skurczyła się i zwiędła, a oczy zmrużyły się ze strachu. Za to Wołobujew zbladł. W pierwszej chwili nie dotarło do niego to, co wykrzyknąłem, a potem, jak już zrozumiał – zbladł. Trzeba było chociaż raz go zobaczyć, żeby zrozumieć, jakie to niebywałe zjawisko – blady Wołobujew. W ogóle był bardzo podobny do wizerunku urodzaju, jaki malują na plakatach – ogromny, pękaty snop pszeniczny z ceglastoczerwoną twarzą i wielkimi wąsami z kłosów.

Zbladł, chwycił mnie za kark swoim ogromnym łapskiem i obrócił tak lekko, jakby zdejmował z lady bochenek chleba. Poczułem, jak jego ciepła dłoń obejmuje mi pół pleców.

– Co powiedziałaś, smarkaczu? – zapytał. – No, powtórz!

Powiedział to bez groźby czy gniewu w głosie, ot tak, jak gdybym opowiadał wszystkim jakąś strasznie interesującą historię, a on na chwilę zamyślił się i – niech to diabli – nie dosłyszał. I ta bladość, i spokojna pewność siebie spowodowała, że skurczyłem się w sobie i zacząłem wątpić, czy to naprawdę jest zły człowiek, któremu, jak pisałem pod dyktando ojca, „dawno już czas odrąbać karzącym mieczem sprawiedliwości zachłanne łapy”. Nie bardzo wiedziałem, co to są łapówki, pamiętałem tylko, że nie wiado-

mo dlaczego daje się je i bierze, i że to jest bardzo niedobre, i trzeba się tego wstydzić. A może zrobiło mi się żal, żeby odrąbywać takie wielkie i ciepłe ręce. Powiedziałem ciszej i już bez tego wewnętrznego żaru:

– Wy, wujku Wołobujew, jesteście łapownik. I należy wam karzącym mieczem...

Nie zdążyłem dokończyć, krztusząc się własną krwią i zębami. Ojciec z całej siły przyłożył mi w gębę ręką ręką pompy, wszystko dokoła podskoczyło i zawirował przekłęty sprzedajny świat, brudny i zapluty, w błyszczącym niklowanym kołpaku koła dyrektorskiej emki...

Tak otrzymałem pierwszą lekcję, że o sprawiedliwość nie trzeba walczyć – sama cię znajdzie. Lekcję tę zapamiętałem dobrze, bo jeszcze przez wiele lat, zanim otrzymałem przezwisko Baton, wszyscy nazywali mnie Szczerbatym. Niekiedy myślę o tym, że nawet w przypadkach, kiedy w imię sprawiedliwości ludzie nie chcieli wyrządzić mi zła, to i tak ta sprawiedliwość wychodziła mi bokiem. Przecież gdyby wtedy Wołobujew, dowiedziawszy się przypadkiem ode mnie, kto prześladowa go anonimami, doprowadził mojego rodzzonego tatunia przed sąd, a tam daliby mu ze dwa lata za zniesławienie, to może całe moje życie potoczyłoby się inaczej? A może nic by się nie zmieniło i zostałbym, kim jestem? Ale wtedy Wołobujew zdecydował jakoś nieoczekiwanie, widać żal mu się zrobiło osierocić mnie, sam był bezdomnym dzieckiem, jeszcze czuł gorzki smak sierotego chleba i nie wyciągnął żadnych konsekwencji. Tylko ojca wyrzucił z przedsiębiorstwa.

Ach, gdyby tak w wieku dziesięciu lat można było zrozumieć jasno i wyraźnie to, co i pod czterdziestkę niezupełnie jest jasne! Powinienem był uciekać z domu i zgłosić się do domu dziecka albo do szkoły zawodowej czy przyfabrycznej i po latach zostać pilotem, frezerem albo kierowcą – wszystko jedno kim, ale od dziecka czułbym potrzebę uczciwego życia i nie miałbym w sobie tej

trucizny: pragnienia życia lekkiego i przyjemnego – i nie siedziałbym teraz w pustej celi.

Ale w wieku dziesięciu lat nie można wybrać własnej drogi i jedyną możliwością wydaje się życie wraz z rodziną. Nawet jeśli w codziennych bójkach o pieniądze pojawił się nowy akcent – w odpowiedzi na krzyki matki ojciec walił mnie łyżką po karku i syczał: „Od niego, od swojego bękarta, bierz pieniądze. On się nam za wszystko dobre odplacił!” Matka odpowiadała: „Sam jesteś dobry, jak wrzód na tyłku! Kto cię prosił, żebyś walczył o prawdę? Czy to u nich znajdziesz sprawiedliwość?” Dziadek łagodnie karmił zięcia: „Dureń jesteś i durniem umrzesz. Czy można poważną sprawę powierzać malcowi? A po gębie słusznie mu dałeś, niech zapamięta na zawsze, że wszystko, co w domu – i złe, i dobre – to nasza sprawa. Oni są dla nas obcy i nie im do nas”.

Być może, zapomniałbym i o tym wszystkim, tym bardziej że wkrótce Wołobujew dostał nowe mieszkanie i odjechał z naszego domu swoją emką, a ojciec został magazynierem w spółdzielni inwalidów. Ale wtedy spadło na mnie pierwsze w życiu prawdziwe nieszczęście.

Z domu zniknęła kolia i broszka.

Nie wiem, ile one wtedy kosztowały, ale w naszym domu były to przedmioty symboliczne. Pozostały one z tamtego – z TAMTEGO! – życia, a każdą literę w tym krótkim słowie wymawiało się w naszej rodzinie jak dużą. TAMTO życie, na które ja niestety nie zdążyłem, było życiem zadziwiającym i kiedy rozmawiali o nim, a rozmawiali codziennie, z jakąś wynaturzoną pasją, z ciężkimi westchnieniami, matka często ze łzami, a dziadek w zasepieniu splotał i kłął przez zęby.

Wszystko w TAMTYM życiu było wspaniałe – pełno wszelakiego taniego żarcia, żadnych tam kartek ani margaryny, matka szyła swoje ciuchy na Kuznieckim Moście u drogich „kostiumerów” – nie wiedzieć czemu zawsze

nazywała ich „kostiumerami” – dziadek miał hurtownię zboża i parę sklepów. Nawet ludzie byli wtedy zupełnie inni – delikatni, dobrze wychowani, przyzwoici. Co do ludzi to trudno mi było uwierzyć, patrząc na moich drogich rodziców. Matka, kiedy ojciec miał zamiar się z nią żenić, a była od niego starsza o pięć lat, z wyglądu przypominała raczej cyrkowego siłacza niż wiotką panienkę. Ale ojciec wierzył w sprawiedliwość i był przekonany, że dziadek też postąpi sprawiedliwie i z młodszego biuralisty zrobi go jednym z zarządzających, ponieważ zdołał dojrzeć delikatną duszę jego córki i został jego zięciem. Nie wiem, jakie tam plany miał dziadek, w każdym razie dyktatura proletariatu wniosła poprawki do prywatnego życia mojej drogiej rodzinki. Ekonomiczne wytchnienie skończyło się, władza nad przemysłem pozostała w rękach byłych wykorzystywanych, obecnie panów swego losu, a zarazem i kraju, i cały ten przepiękny nep rozpadł się w cholere jak spalona melina. Rekwizycje, wywłaszczenia, konfiskaty, podatki – nawet wszystko trudno spamiętać. chociaż ja i tak nie mam co pamiętać – jeszcze nie było mnie na świecie, ale w każdym razie moja rodzina skończyła z eksploatorskim sposobem życia. Dziadka zabrali do GPU i poprosili, aby podzielił się z narodem nagromadzonymi przez niego wartościowymi przedmiotami. Sędzia śledczy wyjaśnił, że w kraju rozpoczęło się ogromne, nie znane dotąd na świecie budownictwo, i że na to potrzeba dużo żółtego metalu, ale że mogą także przyjąć kosztowności i obce waluty. Dziadek posepnie odpowiedział, że jak nie ma pieniędzy, to się nie buduje, ale oddał to, o co go proszono. Zaraz potem puścili go i moja rodzinka zaczęła na miarę swoich możliwości wnosić wkład w dzieło budowy socjalizmu.

A sprawiedliwość jak na zawołanie. Żeby jakoś pocieszyć strapioną takimi stratami rodzinę, ja przyszedłem na świat. Sądząc z tego, że znalazłem się na tym przepięknym

świecie dopiero przy piątej próbie – czterej moi starsi braciszkanie urodzili się martwi – byłem dzieckiem długo oczekiwanym. Teraz wspominając, co ze mną wyprawiali moi bezcenni rodzice, często się zastanawiam, po co oni tak starali się robić dzieci? Chyba z ciekawości czy jak? Kiedy ogarnia mnie zupełnie podły nastrój, żałuję, że wśród braci Dieduszków nie byłem drugim albo czwartym.

W każdym razie, jak pamiętam, w naszym domu ciągle mówiło się o kolia i broszce. To było wszystko, co pozostało z TAMTEGO życia, i matka oddawała tym głupim koralikom i broszce wprost religijną cześć. „Takiej rzeczy teraz się nie znajdzie” – mówiła drżącym z zachwyty głosem, przykładając kolia do potężnej czerwonej szyi z kilkoma poprzecznymi fałdami. Ozdoba z granatu, jak mi się teraz wydaje, nie była ani szczególnie cenna, ani gustowna. Ale to nie ma znaczenia – jeżeli się podobała, widać była ładna.

Nagle kolia i broszka zginęły. Ujawniło się to wieczorem, kiedy ojciec był już po kolacji i męczyła go bezsenność, bo po historii z Wołobujewem na razie bał się pisać donosy, a telewizorów jeszcze wtedy nie wymyślili. Matka otworzyła blaszaną puszkę po herbacie indyjskiej, w której trzymała swój skarb i obligacje, i nie znajdując świecidełek, zaczęła grzebać ręką w puszcze. Potem podniosła na nas pociemniałą od napływu krwi twarz i u nasady jej nosa pojawiły się dwie ciężkie zmarszczki. Powiedziała niegłośnie i złowieszczo:

– Kolia...

I przeniosła swój ciężki wzrok z dziadka na ojca, z ojca na mnie, ze mnie na dziadka i znowu na mnie. Zrozumiałem, że przepadłem. Pewnie już wtedy miałem kiepskie nerwy i bardzo się przestraszyłem, sam nie wiem nawet, czego, może usłyszałem głos przeczucia, ale od tej przerażającej ciszy, od tego zaduchu nienawiści rozplakałem się. Sam nawet tego nie zauważyłem, dopiero kiedy ojciec ochrypłym głosem zapytał: „To znaczy, że kot wie, czyje

mięso zjadł?” – poczułem, że po policzkach ciekną mi gorące, bystre strumyki i silnie trzęsie mi się podbródek. Chciałem krzyknąć na cały głos, że jestem niewinny, że nie brałem żadnej kolii, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu i wszystko, co nastąpiło, było błyskawicznym, bezsensownym koszmarem, który do dziś mnie prześladowuje w chwilach samotności.

Matka biła mnie z rozmachem po policzkach i łeb latał mi, jakby był przywiązany sznurkiem; pijaniutki, smutny dziadek podskakiwał na swoim krześle, z rzadka pomrugując, a ojciec z pasem w rękę przebierał nogami, jak gdyby śpieszyło mu się do klozetu. Kiedy dostawałem cios z lewej, padał na mnie z prawej nasz kredens, mknąc z łomotem i hukiem jak pociąg po moście, i nie wiem już, czy to drzwiczki kredensu, czy też czuła matczyna ręka waliła mnie ogłuszająco w prawe ucho, a z lewa najeżdżał na mnie pokryty czarną ceratą tapczan, który poprzedzała olbrzymia dłoń i ta dłoń wlepiła mi uderzenia w lewą skroń, a wokół mnie pływały tęczowe kręgi, które od czasu do czasu zderzały się ze sobą, sypiąc na wszystkie strony oślepiającymi niebieskozielonymi iskrami.

Wszyscy bez przerwy krzyczeli: „Co zrobiłeś z kolia, przekłety, niegodziwy łajdaku, obrzydliwy wyrodku?! Złodziej! Złodziej! Złodziej!...” Ogarnęła ich histeryczna furia, typowa dla ludzi złych, gdy są świadkami niegodziwości, którą sami by chętnie popełnili, ale przegapili okazję, nie zdążyli i oto jakiś spryciarz ich uprzedził. Irytacja z powodu nie wykorzystanej okazji wydaje się im słusznym gniewem niezasłużenie obrażonych ludzi.

„Złodziej w naszym domu!” – lamentowali. „Pomyśleć tylko – w naszej rodzinie złodziej!” Tak akcentowali to „w naszej rodzinie”, że komuś postronnemu mogło się wydać, iż złodziej znalazł się ni mniej, ni więcej tylko w rodzinie księcia Trubeckiego.

Zgodnie z tradycjami wychowawczymi w dobrej rodzi-

nie powinna była nastąpić nie tylko kara, lecz także akt skruchy. Dlatego też ojciec wywłókł mnie do wspólnej kuchni, w której zebrali się sąsiedzi, jedni współczujący i poruszeni, inni obojętni, i ściągawszy ze mnie porcięta, zaczął okładać paskiem, żeby na zawsze odechciało mi się kraść. Boże, przecież już byłem dużym chłopcem – miałem dziesięć lat – a tu przy wszystkich zdjęto mi spodnie i bito po gołym kościstym tyłku. Już nawet żadnego bólu nie czułem, tylko marzyłem o tym, żeby ojciec się zmęczył albo żeby uschła mu ręka, byle tylko mnie puścił i pozwolił naciągnąć portki.

Nie wiem, jak długo by się to ciągnęło, gdyby na moje krzyki nie pojawił się nasz sąsiad, Saszka Siemionkin, silne chłopisko, formierz z fabryki „Stankolit” Rzucił ojca w kąt jak szmacianą kukłę, wziął mnie na ręce, nakrył połą marynarki i powiedział ze złością: „Patrzcie ich, judaszy, jak się rozsżaleli! Ja wam odbiorę prawa rodzicielskie. Czyście powariowali? To już nie te czasy...”

Pokieroszowany tyłek zagoił się, a w domu nic się nie zmieniło. Tylko dziadek zaczął często wracać pijany w dym i matka żarła się z nim wściekle. Kiedyś prowadziłem go do domu z piwiarni zupełnie zalanego, kiwał się na wszystkie strony i za każdym razem napierał na mnie całym ciężarem, a ja namawiałem go, żeby jeszcze troszkę wytrzymał i nie padł, bo nasze podwórze tuż-tuż. Dziadek trącał mnie w policzek mokrymi, zimnymi wąsami, dyszał na mnie portwajnem, piwem i rybą i pieszczotliwie przygadywał:

– Oj, dureń jesteś, Alosza i całe życie będziesz durniem. Ty za te granaty dostałeś lanie, a ja mam z nich zadowolenie, bo sobie popijam. Dlatego że ja jestem mądry, a ty głupi.

Powiedziałem:

– Zaraz cię zostawię i opowiem wszystko matce.

Dziadek się roześmiał.

– I tak ci nie uwierzy! Nawet gdyby uwierzyła, to i tak tego, co oberwałeś, nie zdejmiesz z siebie. Jeżeli już niewinnego za cudzą winę ukarali, to ze wstydu i winnemu darują.

– Drań jesteś, dziadku.

Wtedy właśnie poczułem, że jestem złodziejem, jeszcze nie dotknawszy niczego cudzego, dlatego że człowiek staje się złodziejem nie wtedy, gdy coś ukradnie, ale wtedy, gdy przy wszystkich nazwie się go złodziejem, za złodziejstwo ukarze i ludzie rozchodząc się przypieczętują: „Należała się złodziejowi kara”.

Rozdział dziewiąty

Perspektywy

inspektora Tichonowa

Tego ranka powrócił wreszcie do pracy Szarapow. Szedłem naszymi długimi, monotonnymi korytarzami i myślałem, że już od piątku zamierzam do niego zadzwonić i w żaden sposób mi się to nie udaje, bo zapominam. Nagle koło drzwi jego gabinetu poczułem zapach kawy. Bez pukania otworzyłem drzwi i zobaczyłem, jak nalewał wrzątek do kryształowego pucharka, a w gabinecie unosił się gorzki, delikatny aromat kawy.

Ten idiotyczny pucharek z obtłuczonym brzegiem znam tak długo, jak samego Szarapowa. Dawno temu, kiedy jeszcze nie było u nas kawy rozpuszczalnej, parzył naturalną w małym naczyniu na kuchence elektrycznej. Z powodu tej kuchenki nieustannie awanturowali się komendant i inspektor ochrony przeciwpożarowej, którzy w swoich pisemnych i ustnych raportach nie nazywali jej nigdy

inaczej, jak „przyborem zasilanym elektrycznie zagrażającym pożarem”. Spór rozstrzygnął naczelnik MUS. Wykrywalność przestępstw w oddziale Szarapowa najwyraźniej obchodziła go bardziej niż możliwość niewielkiego pożaru. A ponieważ i jedno, i drugie zależało od kuchenki, więc zdecydował, żeby zostawić Szarapowa w spokoju.

Teraz już od wielu lat Szarapow pił wyłącznie kawę rozpuszczalną, ponieważ naturalnej nie mógł – zdrowie nie pozwalało. W ten sposób kuchenka z naczyniem do parzenia kawy, któremu przypadła funkcja zwyczajnego czajnika, przekształciła się w malutką osobliwość, tradycyjną formę pozbawioną treści, jak piramida, z której dawno już wykradziono mumię faraona. Ale Szarapow z kamiennym spokojem piramidy chronił przed postronnymi swoją tajemnicę, żartując, że kawa rozpuszczalna to ustępstwo na rzecz postępu, i tylko ja domyślałem się, jak chorobliwie lęka się o swoją dawną reputację „żelaznego” Szarapowa, który przez noc wypijał tuzin szklanek kawy, „żeby się spokojnie pracowało”.

Począł, aż w pucharku pojawiła się żółtobrunatna piana, i powiedział:

– No, czołem...

– Dzień dobry, Włodzimierzu Iwanowiczu. Już od trzech dni mam zamiar zadzwonić do ciebie.

Szarapow popatrzył na mnie wąskimi błękitnymi oczami i uśmiechnął się.

– No, no. Trzy dni?... Dobrze. Przypuśćmy. Napijesz się kawy?

Kiwnąłem głową. Z szuflady biurka wyciągnął biały, emaliowany kubeczek i wsypał do niego kawę z puszki. Okna gabinetu wychodziły na Pietrowkę, na park „Ermitaż” i pokój był zalany jasnym porannym światłem słonecznym. W tej jasności dostrzegłem nagle, że Szarapow to już nie płowy blondyn, ale siwy człowiek. Jego włosy nie były wyblakłe do białości, lecz matowosrebrne. Twarz

miał obrzękłą, bladą i nie wiem dlaczego pomyślałem, że pewnie i w młodości nie podobał się kobietom. Ciekawe, jak on się przed ślubem zalecał do swojej Barbary? Chyba wcale się nie zalecał. Pewnie w nieliczne wolne wieczory chodził z nią do kina „Koloseum”, milcząco przynosił wieprzową konserwę z przydziału i, oddając ją, mówił swoim niewyraźnym, cichym głosem: „Weź, ja i tak za dużo dostaję...”, chociaż przydział nie wystarczał nawet na głodowe życie. Potem zapewne powiedział kiedyś, że dostał pokój i że powinni wziąć ślub. Poszli i wzięli – wtedy nie trzeba było czekać trzech miesięcy w kolejce do Pałacu Ślubów. Najprawdopodobniej tak to się wszystko odbyło. A może inaczej, kto wie...

Szarapow pochłonięty przygotowaniem kawy rzucił na mnie szybkie spojrzenie.

– Widzę, że mój widok jakoś nie bardzo cię ucieszył.

Wzruszyłem ramionami.

– Przecież wróciłeś po chorobie, a nie z wczasów.

Powiedział w zamyśleniu:

– W życiu człowieka jest taki prózek, przed którym zadają mu pytanie: „Czemu pan dzisiaj tak źle wygląda?” Potem, jak się go już przekroczy, wszyscy się cieszą: „Świetnie pan dziś wygląda!” Reguła, która określa, co jest niezbędne, a co – wystarczające.

– Ile masz lat, Włodzimierzu Iwanowiczu?

– Pięćdziesiąt dwa. To jeszcze niedużo – był prawie wesoły. – W takich przypadkach jeszcze piszą w nekrologu: „...w rozkwicie sił twórczych...”

Nie dopuszczając mnie do głosu, Szarapow ciągnął:

– Oczywiście żartuję. Rzecz nie w latach, tylko w tym, że ich tak mało zostało. Chodzi o to, że te, które jeszcze pozostały, są dla mnie zbyt szybkie, zbyt krótkie...

Łyknął brunatną parującą ciecz i odwróciwszy się ode mnie, zaczął patrzeć w okno. Za oknem szalała wiosna, którą życie, niby zwariowany reżyser, postanowiło uczy-

nić dekoracją jesieni Szarapowa. Patrząc przez okno powiedział:

– W czasie choroby przeczytałem pamiętnik Filipa Bleiberga. To ten facet, któremu przeszczepili serce...

– I co?

– Jedno tam mnie zadziwiło – jak gdybym widział to na własne oczy – Bleiberg pisze, że zgodził się na operację, bo wiedział, że jego serce jest już całkiem zniszczone. Razem z tym całym osierdziem. Ta-ak. No i ja też próbowałem sobie wyobrazić, jak wygląda moje serce...

Nie wiem dlaczego, ale mimo woli natychmiast zobaczyłem serce Szarapowa – duży, sinoczerwony, zwiotczały mięsień, przeżarty, jak liszajem, kawą i nikotyną, zniszczony niezliczonymi życiowymi troskami, radościami, smutkami, ogromnie ciężkim brzemieniem – zniszczony tak, jak bywa zniszczona torba na zakupy, kiedy się do niej wkłada bez zastanowienia większe i mniejsze ciężary życia codziennego. Wkłada, nosi i wyjmuje. Tyle tylko, że z serca nie można nic wyjąć. Wkłada się i nosi dopóty, dopóki jakieś naczynie, przez które dotąd nierównymi rzutami płynęła krew, nagle nie pęknie. Tak jak w siatce na zakupy pęka jeden z uchwytów i cały ładunek pada na asfalt.

Wszystko to przemknęło mi przed oczami, ale przecież nie na darmo moim przełożonym już od ośmiu lat był Szarapow. Byłem jego zdolnym uczniem. Dlatego też nawet nie drgnęła mi brew. Gra była poważna i należało postępować zgodnie z jej regułami.

– Ta-ak – powiedziałem kopiując manierę Szarapowa. – Sprawa poważna, Włodzimierzu Iwanowiczu. Jest tylko takie pytanie – zgodziłbyś się na przeszczepienie serca?

Jeszcze przez moment patrzył przez okno, a potem obrócił się do mnie i zaśmiał.

– Zmija jesteś, Stasiu. Nie, nie zgodziłbym się.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Rozumiem, ale trudno mi wyjaśnić. Nie umiem przecież mówić...

– Dostyc tej ponurej gadaniny. Na ile cię znam, to nie bez powodu rozpoczęłeś tę pogrzebową rozmowę. Czegoś chcesz ode mnie.

Szarapow wstał, przeszedł się po gabinecie, jakby zastanawiając się, czy mówić dalej, czy nie. Potem poszedł do sejfu, otworzył go, z dolnej kasety wyciągnął gruby, oprawiony w szary papier zeszyt, usiadł, równo położył go na stole, opierając na nim swoje ogromne pięści.

– Tak – powiedział. – Potrzebuję czegoś od ciebie. W tym zeszycie są materiały jednej starej sprawy. Kiedy będziesz starszy, zrozumiesz, że dla każdego człowieka najwyższą instancją sądową jest jego własne sumienie... Wtedy pomyliłem się, Stasiu. Jeżeli ja... odejdę, to zakończ za mnie tę sprawę. Bo pomyłki trzeba naprawiać. A ty czym się teraz zajmujesz?

Opowiedziałem mu o Batonie i o tym, że jutro upływa termin zatrzymania, że oczekujemy wieści z Ungen. Szarapow dobrze znał Batona i moja opowieść rozweseliła go.

– Ta-ak, Baton to nie róża, którą chciałoby się wpiąć sobie w klapę. Tak właśnie wyraził się podczas jego ostatniej sprawy jego obrońca Okoń.

– Roboty przysporzył nam po uszy.

– Czas przywyknąć – odpowiedział Szarapow. – Nasza praca jest podobna do pracy dozorca – ile śniegu spadnie, tyle go trzeba sprzątnąć.

Udając się na spotkanie z nie znaną mi osobą, zwykle staram się wcześniej odgadnąć jej wygląd zewnętrzny. Niekiedy się to udaje i wtedy bardzo się cieszę, że posiadam właściwości parapsychiczne. Ale ponieważ nie udało mi się opracować żadnego systemu, po każdej kolejnej omyłce dochodzę do wniosku, że odgrywa tu rolę zwykły przypadek. Najlepszym dowodem była Ludmiła Michajłowna Roznina, którą po rozmowie telefonicznej wyobra-

ziłem sobie jako szarą kancelaryjną myszkę, pokrytą pyłem czasu, przechowywanego przez archiwistów w grubych kartonowych tekach na nie kończących się stelażach i w sejfach.

Ludmiła Michajłowna obiecała zdobyć informacje na temat krzyża. Przyjechałem do archiwum około dwunastej i przekonałem się, że w zakresie parapsychologii mam poważne braki – szara myszka okazała się elegancką i skorą do śmiechu dziewczyną, a nazywanie jej Ludmiłą Michajłowną było po prostu ustępstwem na rzecz etykiety służbowej – była po prostu Luda, Ludeczką, a jeszcze lepiej – Miłą.

Spytała poważnie:

– Towarzyszu Tichonow, wy naprawdę jesteście prawdziwym detektywem?

– A jakże. O, proszę, to moja legitymacja i prośba do was w sprawie orderu.

– Ach nie, nie o to mi chodziło – powiedziała rozczarowana.

– Aaa... – przeciągnąłem. – Rozumiem. Nie, jeszcze nie jestem czarodziejem, dopiero się uczę. Na przykład mogę panią poinformować, że hokeista Borys Majorow strzyże się zawsze u tego samego fryzjera...

Luda-Ludeczka-Miła ze zdziwieniem wzruszyła ramionami.

– Taki z niego elegant?

– Nie, wcale nie. Po prostu ten fryzjer odnosi się obojętnie do tego męskiego sportu i jest jedynym człowiekiem, który nie rozmawia z Majorowem o hokeju.

– Ale Majorow jest najślawniejszy wśród hokeistów. A pan?

– Wśród hokeistów – może...

– Nie, wśród detektywów? – spokojnie dobiła piłkę do bramki.

– Chyba nie... odpowiedziałem. – Nawet na pewno nie...

– A chciałby pan?

– Być „naj”?

– No tak. Najślawniejszym detektywem.

– Oczywiście – pokornie kiwnąłem głową. – O, pani mi pomoże i, być może, zostanę. Wtedy moja pycha będzie podwójnie zaspokojona.

– Dlaczego podwójnie?

– Dlatego że stanę się pierwszym żywym sławnym detektywem. Rzecz w tym, że nie ma żywych sławnych detektywów. Ja na przykład nie słyszałem o takim.

– Taak? – z niedowierzaniem przeciągnęła Luda-Ludeczka-Miła.

– Tak – powiedziałem z żalem. – Czy słyszała pani o sławnych mordercach – dorożkarzu Komarowie i Jonesjanie, zwanym Gazrurką.

– Słyszałam.

– Słyszało o nich także wielu innych. Ale mało komu przychodzi do głowy, że zostali sławni dopiero po tym, jak ich wyśledzili i schwytali zupełnie nie znani detektywi. O Jonesjanie słyszała pani wiele, nawet czytała w gazetach, ale o tym, że schwycił go, oczywiście z pomocą innych, zupełnie nie znany pani podpułkownik Szarapow, nawet nie ma pani pojęcia. Prawda?

– Ale to przecież niesprawiedliwe – powiedziała dziewczyna ze smutkiem.

– Nie. Wszystko jest sprawiedliwe. Ludzie powinni znać aktorów i sportowców, i to jest słuszne. A gdyby detektywa przechodnie poznawali na ulicach jak gwiazdę filmową, to pożytek z niego byłby niewielki. Taką mamy pracę, że im mniej ludzi zna nas osobiście, tym lepiej.

– Dobrze, niech pan się nie reklamuje, bo robi mi się przykro, że pan zdołał znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, a ja nie mogę. Bo ja bym właśnie chciała, żeby mnie

wszyscy poznawali na ulicy, ale przecież sławnych architektów nie ma tym bardziej.

– Ha! – wtrąciłem radośnie. – Po co pani sława? Sława to marność! Prawdziwe szczęście poznał tylko ten łabędź, który wyrósł z brzydkiego kaczątka.

Ze smutkiem wzruszyła ramionami.

– Ale bywają brzydkie kaczątka bez perspektyw, kaczątka, z których nie wyrosnie przepiękny biały łabędź, ale zwyczajna pospolita kaczka.

Zaśmiałem się cicho, bo poczułem wewnętrzną radość. Ona po prostu jeszcze nie rozumiała, że jej smutek – to wiosna, nadmiar młodości i sił.

– Jest pan złośliwy. Gdyby pan nie przyszedł do mnie służbowo, nie dałabym panu informacji.

– A co... już? – spytałem z nadzieją.

Luda-Ludeczka-Miła poważnie kiwnęła głową i wyciągnęła z szuflady blankiet wypełniony na maszynie.

– Ależ tempo! – mruknąłem z podziwu, chciwie wpijając się w tekst. Przeczytałem go błyskawicznie i jeszcze raz powtórzyłem zakończenie: „...Jego Ekszelencję generała-majora kawalerii barona Mikołaja Augustowicza von Dietza, dowódcę 307 Dywizji Tarnopolskiej orderem Świętego Księcia Aleksandra Newskiego z gwiazdą i mieczami 13 października Roku Pańskiego 1916”.

– To znaczy, Ludmiło Michajłowno, że przyjacielem Batona był Jego Ekszelencja generał-major kawalerii baron Dietz?

Popatrzyła na mnie z ukosa i powiedziała:

– Nie wiem, o jakim Batonie pan mówi, ale ten baron już od wielu lat nie może być niczym przyjacielem. W roku 1946 generała Dietza, współtowarzysza atamana Siemionowa, powieszono z wyroku Kolegium Wojennego Sądu Najwyższego...

– Jakiego Siemionowa? – zapytałem zaskoczony.

Z dezaprobatą pokręciła głową.

– Oj, nieładnie! Wstyd nie pamiętać! Ataman Siemionow, białogwardyjski generał, pod koniec wojny domowej, wycofał się do Mandżurii, gdzie knuł różne antyradzieckie intrygi. Po rozgromieniu Japonii w 1945 roku wzięto go do niewoli. Potem był sądzony i razem z czterema innymi prowodyrami został powieszony. To wszystko, co wiem.

– A jest jeszcze coś na temat Dietza?

– Nic. Szukałam już. Powinien pan zainteresować się archiwami Sądu Najwyższego. Nie pomogłam panu zostać najślawniejszym, prawda?

Ech, Luda-Ludeczka-Miła! Pomyślałem nagle, że byłoby dobrze ożenić się z nią. Jest ładna, wesola i chce wyrosnąć na łabędzia. Być może, nie ciążyłoby jej tak bardzo brzemień altruistycznej tyranii. Tylko że z pewnością spóźniłem się na spotkanie z nią. O kilka lat. O godzinie piątej ona śpiesznie narzuci na siebie swoją jasną jesionkę, która na razie wisi w kącie na gwoździu, lekko zastuka obcasami po betonowych schodach, wybiegnie na ulicę Pirogowską, chciwie nabierze w płuca chłodnego wieczornego kwietniowego powietrza, wsiedzie do trolejbusu numer 15 i pomknie bulwarami do centrum, nie zwracając uwagi na ścisk i kłótnie pasażerów, i przez zapotniałą szybę, jak przez magiczną soczewkę, będzie przyglądać się ludziom na chodnikach, rozmyślając o dalekich, białych łabędziach i tępych, tłustych kaczkach. Wcale nie zauważy, że jej zamysłoną, smutnie uśmiechniętą twarz w oknie trolejbusu zobaczy jakiś chłopak i że dla niego szeroki, hałaśliwy trolejbus natychmiast przeistoczy się w błękitne marzenie, szybko oddalające się w kierunku placu Puszkina. Ale tego chłopca, którego mimo woli ukłuła w serce, Ludeczka w ogóle nie zauważy – marzenie mocno trzyma się cugli przewodów elektrycznych i mknie według sztywnego rozkładu jazdy. A na ostatnim przystanku na Ludeczkę-Miłą będzie czekać młody człowiek, dla którego trzeba wyrosnąć na łabędzia, ponieważ i on jeszcze jest

głęboko przekonany, że naprawdę szczęśliwi są tylko ci, którzy stali się najszlachetniejsi. Życie jeszcze nie zażądało od niego, aby przejechał po ścianie, i on nie wie, że nie będzie już chyba nigdy bardziej szczęśliwy niż teraz, kiedy przez całe miasto mknie do niego Luda, zostawiając unieszczęśliwionego na moment chłopaka, który zobaczył jej twarz w żółtej ramie marzenia kursującego od Domu Dziecka do Łuźnik.

Spóźniłem się i dlatego spotka się z nią młody człowiek, który jeszcze nie wie, że najszlachetniejsi nigdy nie są szczęśliwi. Spóźniłem się, i to dość znacznie, i tak naprawdę czeka na mnie teraz tylko jeden człowiek na świecie – złodziej Alocha Dieduszkina, zwany Batonem, który ma jeszcze zaledwie kilka godzin do odsiedzenia...

Rozdział dziesiąty

List pochwalny złodzieja Dieduszki

W południe strażnik przyniósł miskę berbeluchy i kaszę. Rano wydają nam pół bochenka chleba i trzy kostki cukru – powoli ogarnia mnie zwykły rytm więziennego życia. Jeśli siedzi się, a nie dostaje paczek, to najważniejszą rzeczą jest prawidłowy podział żarcia na cały dzień. Lekarze radzą dużo podeżreć rano, obiad zszamać lżejszy, a na kolację wypić szklankę kefiru; wtedy – powiadają – sylwetka będzie w normie, a samopoczucie luksusowe. Tutaj do takich rad można się nie stosować.

Na diecie więziennej znam się lepiej od nich i wiem z pewnością, że ostatnim zmartwieniem ludzi wyzerających z kotła zupę jest ich sylwetka. Berbelucha ci sama

sylwetkę wyrówna. To bardzo ważne – jeśli nie dostaje się paczek – zapewnić sobie kolację. Kiedy po rozprawie wyślą do obozu pracy – problemów z jedzeniem nie ma – karmią zupełnie wystarczająco. Natomiast w areszcie należy pomyśleć o tym, co się będzie żarło wieczorem. Jadłospis mieszkańców jest ściśle obliczony pod względem kaloryczności dla zdrowego, nie pracującego fizycznie człowieka.

Być może, ci, którzy opracowywali ów jadłospis, mieliby rację, gdyby obowiązywał on w szpitalu albo w jakimś lichym pensjonacie. Ludzie przebywający tam też nie są obciążeni pracą fizyczną. Ale mają troskliwą opiekę, spokój i nie wiedzą, co to takiego wydatek energii nerwowej. A od tego też strasznie chce się żreć. Energię tę zaczyna się tracić już rano od przydziału porcji. Pół kilo razowca oceniam na oko i trzonkiem łyżki dzielę na trzy porcje: dwie – po sto gramów i jedna – trzysta. Na śniadanie zjadam ledwo okraszoną kaszę i wypijam dwa kubki wrzątku z jedną kostką cukru i małym kawałeczkiem chleba. Do godziny drugiej gotów jestem zjeść porcję smażonych podrobów, guryjską kapustę, saciwi z kurczęciami, pasztet jajeczny, ser suługuni z rożną, potem solankę na mięsie albo barszcz po moskiewsku, na drugie – kiełbasę z rusztu albo szaszłyk karski, może być też kurczę „tabaka” albo sznycel ministerski. De volaille też by pasował. Teraz deser – omlet „niespodzianka” albo mrożona kawa, potem jeszcze filiżaneczka kawy po turecku z pianką i dobry papieros. Kelner, wyroczek! Dyżurny otwiera drzwi, a towarzyszący mu strażnik przynosi miskę z zupą z rybek.

Jest to osobliwa, do niczego niepodobna zupa rybna, a jej specyficzny, z niczym nieporównywalny bukiet smakowy jest prawdopodobnie związany z tym, że rzadkie gatunki drogich ryb zagranicznych gotowane są na wywarze z dorsza, w dodatku w całości, razem z głową, ogonem i płe-

twami. Dlatego też, gdy się coś wyłowi z miski, nigdy nie wiadomo, co to jest – oko czy ikra. Do tego odrobina kartofli i kaszy perłowej. I cześć, to wszystko. Na drugie – gotowane kartofle albo, jeśli ma się fart, kasza gryczana. Na deser – mały kawałek chleba z wrzątkiem. Na kolację – znowu kasza z jakimś brunatnym, nieapetycznym sosem. Ale ja mam jeszcze w zapasie porządny kawał chleba – co najmniej trzysta gramów – i dwa kawałki cukru. Urządzam więc sobie wykwintną herbatkę w Mytiszczach czy tam na Butyrkach i walę się na pryczę, nie mniej zadowolony, niż gdybym zjadł to, co sobie przed chwilą wyobraziłem. I zaczynam myśleć.

Najlepiej byłoby zasnąć, osłonić głowę płaszczem przed mętnym, ponurym, nie gasnącym światłem w celi i spać. Ale w celi jest cicho i pusto, i wiem, że za godzinę upłyną siedemdziesiąt dwie godziny mojego tymczasowego zatrzymania, a Tichonow i rudy gliniarz Sawieliew – obojętne, gdzie się znajdują i co robią – wyłażą ze skóry, żeby znaleźć podstawę do zastosowania prewencyjnego aresztu. Cudów nie ma – jeżeli odnaleźli tego frajera, to klops – po wszystkim – na korespondencję oczekujemy w słonecznym Komi.

Cała bieda w tym, że w stosunkach między sobą ludzie źle rozumieją wyznaczone im przez życie miejsca i już rozpisane dla nich role. Jakieś parę lat temu, na krótko przed wyjściem z mojej kolejnej odsiadki, w obozie zorganizowali dyskusję „zeków” na temat „Czy jesteś gotów do życia na wolności?” Przyjechali różni tam naczelnicy, uczeni prawnicy i psychologowie. Ponieważ mnie nikt o zgodę na uczestnictwo w dyskusji nie pytał, a istniało domniemanie, że na pytanie, czy jestem gotów do życia na wolności, nie znalazłem jeszcze odpowiedzi, razem z całą osiemnastą brygadą zostałem odstawiony do klubu. Mnóstwo głupstw nagadali i uczeni, i kajający się więźniowie, którzy dzielili się z nami szczegółowo planami nowego,

pięknego i uczciwego życia. Ja wstrzymałem się od wystąpienia, ponieważ moje plany nieco różniły się od planów tych zuchów, którzy uświadomili sobie swoją gotowość do życia na wolności dopiero po kilku latach pobytu na przymusowych robotach w obozie o zaostrożnym rygorze. Ale jeden z psychologów, jeszcze zupełnie młody chłopak, krótkowzroczny – w bardzo grubych okularach – mówił o interesujących sprawach. Referował strasznie uczonym językiem, bardzo się emocjonował, gubił się i żeby było ciekawiej, używał mnóstwa obcych słów, toteż nikt go nie słuchał. A gadał o mądrych i bardzo ważnych rzeczach. Sens jego wystąpienia był mniej więcej taki – mnóstwo konfliktów rodzi się między ludźmi dlatego, że nie chcą zrozumieć i prawidłowo ocenić swoich ról w społeczeństwie. Nic takiego nie może mieć miejsca na przykład w wojsku. Tam nikt nic nie musi wymyślać, a nawet nie powinien. Każdy wie raz na zawsze, co ma robić, kto jemu podlega i komu podlega on sam. Jeżeli kapral uważa się za Lwa Tołstoja, to i tak powinien z bezwzględny posłuszeństwem wykonywać rozkazy sierżanta, no i oczywiście wygarbować skórę szeregowcowi, jeżeli temu przyjdzie do głowy udowodniać, że jest mądrzejszy.

Tichonow chciałby wpoić we mnie swoją wojskową filozofię. Uważa, że mamy raz na zawsze wyznaczone role w tym parszywym przedstawieniu pod tytułem życie. On jest dobrym, niepospolitym człowiekiem, bezinteresownym obrońcą poszkodowanych, mądrym i przenikliwym wywiadowcą. Ja jestem podłym, bezwstydnym, chciwym zysku pasożytem, krótko mówiąc, zjawiskiem bezwzględnie szkodliwym. Dlatego on powinien mnie łapać, wsadzać do mamra, wychowywać, oduczać złodziejstwa, czyli – jak on to mówi – zmusić mnie, ażebym zrozumiał, że kraść NIE WOLNO. I nastałaby pełnia wojskowego piękna, gdybym ja też zechciał przyjąć swoją rolę.

Ale w tym cały sęk! Nic z tego. Nie wyjdzie nam,

obywatelu inspektorze, to piękne przedstawienie. Tichonow nie może albo nie chce pojąć, że walka ze mną jest mu potrzebna dla potwierdzenia swoich racji. Ze wszystkich sił udowadnia, jaki ze mnie parszywiec, aby na tym tle mógł sam lepiej wypaść, udowadnia mi, o ile jest ode mnie silniejszy i mądrzejszy. Nie przychodzi mu do głowy, że jego siła to ogromna siła mnóstwa człowieczków pod nazwą poszkodowani, inaczej nazywanych ludźmi, narodem. Wszyscy oni bardzo mnie nie lubią i do walki ze mną każdy z nich oddał mu malutką cząsteczkę swoich malutkich sił, ale razem to dużo, to strasznie dużo, i walczyć z nimi – to po prostu głupota. Dlatego wszystko sprowadza się do tego, kto mądrzejszy, zręczniejszy, szybszy. I kiedy on boryka się ze mną na płaszczyźnie psychologicznej, to też nie ma sensu – mój rozum i jego są nieporównywalne. Tak jak nie można jedną miarą mierzyć ton i kilometrów. Do starości on pozostanie bardzo mądrym, wręcz utalentowanym dzieckiem. A ja już będąc dzieckiem byłem starym głupim mędrce. Dlatego że uczyli mnie rozumu ojciec i dziadek. Tichonow nie miał okazji nauczyć się od nich, a gdyby miał – to, być może – siedzielibyśmy tutaj razem, oczekując, aż nas obu Sawieliew wezwie na przesłuchanie.

Pierwszym przykazaniem, jakiego nauczyli mnie moi kochani krewni, była maksyma ich własnego życia – każdy człowiek to gówno. Oczywiście nie formułowali swoich poglądów w ten sposób, ale w naszej rodzinie każdemu, o kim była mowa, przylepiało się obraźliwą etykietkę. „Ta lekarka to po prostu klepa, zupełnie jak nasza zwariowana ciotka Kława”, „Żona tego gołowąsego złodzieja, administratora domu, puszcza się z tym niedojdą inżynierem z mieszkania numer siedem...”

Wszyscy ludzie wokół byli głupi, niekulturalni, pokraczni, chciwi, mściwi, podli i wszystkie te ich paskudne cechy nie były oceniane w naszej rodzinie ot tak, po prostu: że niby oni są źli, a my, na odwrót, dobrzy. To, że

my wszyscy – nasza rodzina – jesteśmy dobrzy, w ogóle nie budziło wątpliwości i nie wymagało potwierdzenia. Po prostu te obrzydliwe cechy były właściwe innym i należało bardzo umiejętnie je wykorzystywać, aby samemu przeżyć. Z tych właśnie niepamiętnych czasów mojego dzieciństwa, od mojej drogiej rodziniki wywodzi się mój rozum, który dojrzewał karmiony zupełnie innymi pojęciami niż rozum Tichonowa. Wykształcony przez dziesiątki lat sposób myślenia nakazuje mi przyjmować taki stosunek do ludzi, jaki wpoili mi ojciec i dziadek:

Jeśli człowiek jest głupi – należy go oszukać.

Jeśli jest niekulturalny – należy go wyszydzić.

Jeśli jest łatwowierny – trzeba go okraść.

Jeśli jest mściwy – trzeba pierwszemu zrobić mu takie świństwo, żeby odechciało mu się zemsty.

Jeśli jest podły, należy być wobec niego podłym w dwójnasób, żeby się tą podłością zadławił.

W dzieciństwie otrzymałem tyle lekcji obrzydliwej przebiegłości, że starczyło na całe życie. Chytrze uśmiechając się i podrapując podłużne piętno na policzku, dziadek pytał mnie:

– No więc wynajmujesz sobie stróża. Jakiego wybierzesz?

– Najsilniejszego – odpowiadałem natychmiast – i najodważniejszego!

– Głupi jesteś, bracie – odpowiadał dziadek. – Najpierw poprosisz wszystkich, żeby zapalili. I uważnie przyglądaj się chuderławym, z zapadniętą klatką piersiową. To są najlepsi stróże. Taki przez całą noc kaszle od tytoniu i nawet oka nie zmruży. A siła i odwaga mu niepotrzebne – zamiast tego będzie miał strzelbę. To przecież takie proste. Albo wynajmujesz stangreta w ciepłym kożuchu – z pewnością zamarzniesz sam. Stangreta trzeba brać w cienkim kaftanie, dla rozgrzewki sam będzie biegł całą drogę, a ty szybko dojedziesz.

– Dziadku, żadnych stangretów już dawno nie ma – mówiłem z głęboką powagą.

– He-he! Głupku, ludzie zawsze na miejscach zostają, a ty uważaj, żebyś swojego nie przegapił. Albo w cienkim kaftanie – biegiem, albo pod wilczym futrem – bogiem.

Wtedy byłem jeszcze pionierem i w moją świadomość wściskały się wyobrażenia o wszechświatowym braterstwie ubogich.

Zapytałem:

– A nie można, żebyśmy obaj w saniach jechali?

– Nie – dziadek pokręcił głową.

– Dlaczego? Przecież miejsca wystarczy dla obu.

– Wystarczy – to prawda. Ale jak on tylko zagrzeje się przy tobie, odpocznie odrobinę, to na pierwszym wyboju ciebie samego wyrzuci z sań.

– Może nie będzie mnie z sań wyrzucał? Dlaczego by mu razem ze mną miało być źle?

– Pożyjesz – zrozumiesz. O, przez radio mówią, że człowiek wcale nie pochodzi od Adama, którego Pan Bóg z prochu stworzył, tylko od małpy. Coś podobnego!

– Ale to prawda – potwierdziłem. – Nauczycielka nam o tym wszystkim mówiła.

– No to jej nie wierz – ona kłamie.

– Więc komu wierzyć – popom?

Dziadek posiedział w milczeniu, pocierając długą czarną myszkę na policzku. Potem mrużąc swoje ślepnące oczka popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

– Popom nie wierz. Ani tej nauczycielce. Ani tym swoim głupim komsomolcom. Mnie wierz – ja wiem wszystko.

– A co ty wiesz?

– Wiem to, że jeśli człowiek nie pochodzi od Adama, to także nie od małpy. Jego praszczurem była obrzydliwa, śmierdząca, wszystkożerna świnia – zwierzę bez rozumu, bez sumienia i pamięci.

– Niemożliwe! – zdziwiłem się.

– Możliwe, możliwe – zapewnił mnie dziadek. – Wybierz sobie najuczciwszego człowieka i podejdź do niego w podniosłym momencie, w chwili duchowej ciszy, i posłuchaj tylko uważnie, a usłyszysz w głębi jego duszy chrząkanie chciwości i zła...

Tu, rzecz jasna, dziadek miał rację, chociaż w ostatnich latach zacząłem powątpiewać, czy nie oszukał mnie w czymś bardzo ważnym, tak jak oszukał mnie ojciec z listem pochwalnym.

W tym roku, w którym powinienem był pójść do szkoły, moja rodzinka o tym zapomniała. No cóż, mieli masę różnych spraw na głowie i zapomnieli zapisać mnie do szkoły, zapewniając mi tym samym w następnym roku miejsce przerośniętego dryblasa. Oczekiwałem dnia pierwszego września z taką samą niecierpliwością, jak później amnestii albo końca wyroku. Zaprowadził mnie do szkoły ojciec. Ustawili nas wszystkich na dziedzińcu szkoły przy Suchariewskiej i dyrektor po paru słowach powitania zaczął wręczać listy pochwalne. Dawano je po wakacjach, pierwszego września, za poprzednie osiągnięcia i w nadziei na dalsze. Najlepsi uczniowie wychodzili przed szereg, dyrektor wręczał im listy, gratulował, trębacz i doboz wycinali triumfalny motyw, my wrzeszczeliśmy coś chórem i w ogóle wszystko to było bardzo piękne. Zaczęli od prymusów najstarszych klas i stopniowo wyczytywali coraz młodszych.

Kiedy wręczony został pierwszy list pochwalny, ojciec pochylił się do mnie i powiedział: „Czekaj, Aloszka, widziałem spis – tobie też dadzą”. Zamarłem po prostu ze szczęścia – miałem osiem lat i łatwo jeszcze można mnie było oszukać. Wtedy nie mogłem wiedzieć, że nawet na list pochwalny trzeba długo i cierpliwie pracować, że aby go dostać, moi koledzy prymusi przez cały długi rok szkolny rzetelnie się uczyli i często było im ciężko, i że w ten kawałek kartonu ze złotym tłoczeniem włożyli wiele, bar-

dzo wiele nudnych godzin nauki, tych godzin, podczas których ja chodziłem na ślizgawkę albo jeździłem na stopniach tramwaju. Ale ja tego wszystkiego nie wiedziałem i czekałem na list. Splunąłem w rękę i przyglądałem włosy, otrzepałem jeszcze raz spodnie, próbując palcami utworzyć na nich nie istniejący kant – matka oczywiście nie zdążyła ich wyprasować, zauważyła tylko, że są szewiotowe, a wszyscy pozostali oberwańcy będą w welwetowych. Stos listów na stoliku zmniejszał się i kiedy rozdano je najlepszym z drugiej D, dyrektor złożył wszystkim życzenia w związku z rozpoczynającym się nowym rokiem szkolnym i poprowadzono nas do klas, a ja stałem samotnie i czułem się nieszczęśliwy – nigdy w życiu później nie czułem się tak nieszczęśliwy... Rzuciłem się do ojca, a on chichotał, strasznie zadowolony ze swojego żartu. I tak szkoła obrzydła mi na zawsze...

Długo leżałem na pryczy, rozmyślając i wspominając, aż niepostrzeżenie zdrzemnąłem się. Prawie natychmiast przyśnił mi się dziadek, jak siedzi przy parapecie w drucianych okularach na końcu nosa i wodząc palcem wzdłuż wierszy czyta półgłosem i śpiewnie „Żywot protopopa Awwakuma”. W moim śnie jego głos, chociaż dudniący, był zupełnie wyraźny i dochodziły do mnie słowa, które tylekroć słyszałem na jawie.

„... I gdy napadł na nią szatan, zaczęła krzyczeć i wrzeszczeć, i szczekać jak pies, i beczeć jak koza, i gdakać jak kura.

I pożałowałem jej.

Porzuciwszy cherubińskie pienia, wzięwszy z tronu krzyż, wyszedłem i zawołałem: «Zabraniam ci w imię Pana! Przestań, szatanie, dręczyć ją!»

I odszedł od niej szatan...”

Łomot odejścia szatana armatnim gromem grzmiał mi w uszach. Ze strachem otworzyłem oczy i zobaczyłem strażnika.

– Wstawaj, wzywają na przesłuchanie...

Oprzytomniałem, długo patrzyłem na konwojenta, aż ostatecznie zrozumiałem – nie, tak po prostu nie odejdzie ten szatan i mękom tym nie będzie końca.

Rozdział jedenasty Upokorzenie inspektora Tichonowa

U dyżurnego czekało na mnie kilka telegramów. Nawet nie przejmowałem się specjalnie, kiedy przystępowałem do czytania, tak byłem pewien, że nasze założenia są słuszne. A może także dlatego, że wszystko to było ważne przedwczoraj – dzisiaj był to tylko dowód naszego „refleksu schodowego”, tego kojarzenia, które podpowiada najlepsze odpowiedzi i rozwiązania, gdy się już za sobą zatrasnęło drzwi. Telegramy zostały wysłane prawie jednocześnie z Konotopu, Kiszyniowa i Ungen. Obsługa pociągów i kasjer rozpoznali Batona bez żadnych wątpliwości. Konduktorzy szóstego wagonu pierwszej klasy „Dunaj-ekspresu”, dwaj celnicy i żołnierz z posterunku straży granicznej w Ungenach rozpoznali młodego człowieka z fotografii i podali jego nazwisko – Fausto Castelli.

Fausto Castelli, Fausto Castelli. Niczego sobie imię wybrali ci rodzice. A dlaczego ty, Fausto, nie zgłosiłeś, że Baton gwizdnał ci walizkę? Co, Fausto? Dlaczego jesteś taki skromny? Nie podobają mi się tacy cisi... Taki jesteś bogacz, że nie chciałeś zawracać sobie głowy z powodu walizki? Chyba nie. Z własnej praktyki wiem, że im człowiek bogatszy, tym bardziej dba o swoje śmieci. Nie, z tego powodu byś nie milczał, zgłosiłbyś przynajmniej konduktorowi. A ty, Fausto, przyjacielu mój miły, nikomu

ani mru-mru. Do deklaracji też wpisałeś tylko jedną walizkę, a o tej, którą capnął w Konotopie Baton, ani słowa. I w jakiż to sposób krzyż powieszzonego generała-majora von Dietza, białogwardzisty i przestępca wojennego, znalazł się w twojej walizce? No powiedzże z łaski swojej, do czego był ci potrzebny order najjaśniejszego księcia Aleksandra?

Fausto Castelli miał bilet do Sofii. Konduktorzy zeznają, że dojechał tam szczęśliwie. Do Sofii, do Sofii... a niech to diabli! Nic nie rozumiem. Nie chciał ściągać na siebie uwagi? Dlaczego? Dlaczegoż ty, kochany Fausto, nie chciałeś zwracać na siebie uwagi organów śledczych? Słuchaj, Fausto, a może ty jesteś szpiegiem? Ale przecież szpieg nie będzie jawnie przewoził rzeczy, które przy pierwszej lepszej rewizji mogą zwrócić uwagę. No więc kim jesteś, Fausto? Złodziejem? Czy też po prostu chorobliwie nieśmiałym człowiekiem, który boi się ubliżyć nam aluzją, że w wielkim kraju socjalistycznym nie wyginęli jeszcze złodzieje? Nie wiem, nie wiem. Jakoś nie chce mi się wierzyć w twój chorobliwie wybujały takt. Dobrze, zajmijmy się tobą szczegółowo.

Jak mówi w takich przypadkach Sawieliew, ogłasza się dzień zwiększonego urobku. Wszedłem na parapet i otworzyłem górną część okna.

Po Pietrowce hulał błękitny kwietniowy wiatr, parowały kałuże na asfalcie, a w parku „Ermitaż” na trawnikach leżały jeszcze posiekane słońcem gruzy czarnego, brudnego śniegu. Robotnicy obuchami siekier rozbijali kołpaki z dykty ochraniające donice z kwitnącymi roślinami, i ten głuchy stuk zdominował hałas ulicy i wyraźnie dochodził aż tu. W kałużach na jezdni kapały się tłuste, nastroszone gołębie. Wiosna. Jutro Baton będzie mógł sycić się nią do woli na wolności. Nie byłem w stanie udowodnić mu, że kraść nie wolno. Jakiś zwariowany kalejdoskop faktów nie mających ze sobą żadnego uchwytne go związku: Baton

w izbie zatrzymań, Fausto w Sofii, generał von Dietz na tamtym świecie. Wszystkich ich łączy krzyż. Nie, z tym krzyżem nie wszystko jest w porządku. Nie mogę zrozumieć na razie jego znaczenia, ale z pewnością gra jakąś rolę i to prawdopodobnie wcale nie drugorzędną...

Należy się skupić, zrozumieć, co do czego prowadzi. Przede wszystkim – wyjaśnić wszystko o Castellim. Po drugie – zapoznać się ze sprawą Dietza w archiwach Sądu Najwyższego. Po trzecie – Baton. A co z Batonem? Upokarzające dla mnie jest właśnie to, że Batona trzeba będzie wypuścić. Nie ma podstaw prawnych do dalszego zatrzymywania go w areszcie.

Nie wiadomo dlaczego w tym dniu nikt mnie nigdzie nie ciągał, nawet telefon nie dzwonił, jak gdyby moi niezliczeni abonenci czuli, że dziś nie należy zwracać mi głowy. Siedziałem przy swoim małym niewygodnym biurku i pisałem prośby o informacje, plan dochodzenia, szkicowałem schemat operacyjny, rozmyślałem o tym, że nasze spotkanie z Batonem nie powinno być się tak zakończyć. Już całkiem się ściemniło, gdy zadzwonił Sawieliew.

– No więc w Bibliotece Lenina ja...

– Co? – zdziwiłem się. – Co cię tam zaniósło?

– Nie będę cię obarczał szczegółami, podam ci od razu wynik: wszystkie albo prawie wszystkie zdjęcia były zrobione w Bułgarii.

– Słuchaj, zachowaj tę swoją lakoniczność dla innych spraw, a teraz bądź przyjacielem i obarcz mnie jednak szczegółami...

– Tak jest, jaśnie panie, proszę bardzo. W „Eksportfilmie” wysunęli hipotezę, że na plakacie jest przedstawiony kadr z bułgarskiego filmu „Niebezpieczny lot”. Ale po pierwsze, stwierdzić tego z pewnością nie mogli, a po drugie, film ten mógł iść wszędzie – chociażby w Urugwaju.

– Rozumiem, rozumiem. Co dalej?

– Sam chciałeś szczegółów. Potem poszedłem do Stowarzyszenia Architektów. Prawdę mówiąc, naszego zapytania w tej sprawie nikt tam jeszcze nie rozpatrywał. No więc ponagliłem ich... Nie, nie, bardzo uprzejmie. Grzecznie im wyjaśniłem wszystko, ze łzami w głosie. No i raz-dwa wyszukali mi jakiegoś dziadka w jarmulce, który od razu i kategorycznie stwierdził, że na zdjęciach widoczne są fragmenty zabytków znajdujących się w Sofii i w Plewen. Uściskałem go z uciechy i popędziłem do biblioteki.

– A po co do biblioteki?

– Ja dziadkowi-ekspertowi wierzę, ale muszę sprawdzić. Dlatego że nie jestem architektem, członkiem Akademii Nauk, ale wywiadowcą. Jeśli on się pomyli – będzie pomyłka naukowa. Ale po głowie dostanę ja. No i wziąłem tam popołudniową gazetę sofijską, żeby obejrzeć sobie repertuar tamtejszych kin...

– A co ty rozumiesz po bułgarsku?

– Wszystko – spokojnie oświadczył Saszka. – Ten ich język jest prawie taki sam jak nasz, tylko silnie trąci starosłowiańskim. U nas „ja” – u nich „az”, my mówimy „był” – oni „biasze”. „Słowo o pułku Igora”.

– Tak, rzeczywiście mam wielkiego naukowca – zgodziłem się. – No więc co z filmem?

– Pamiętasz, że na jednym ze zdjęć widać było trzy litery nazwy kina – „SKW”? Okazuje się, że w Sofii jest kino o nazwie MO-SKW-A! I od 28 marca do 3 kwietnia szedł w nim film „Niebezpieczny lot”. Są sprzeczki?

– W porządku. Możesz wracać do bazy. Polecenie wykonane rzetelnie.

Usiadłem do maszyny i wystukałem decyzję o zwolnieniu Batona. Kiedy doszedłem do słów „...zwolnić z aresztu...”, nastrój zupełnie mi się zepsuł, bo oznaczało to moją całkowitą porażkę. Potem włożyłem pismo do teczki i udałem się do szefa. Wszedłem do jego gabinetu i bardzo stanowczo powiedziałem:

– Uważam, że Dieduszkina w żadnym razie nie można wypuścić!

Jak przechwalający się i nieoczekiwanie przyłapany na kłamstwie chłopiec miałem nadzieję, że może nastąpić jakiś cud, który uratuje mnie przed wstydem, mimo że doskonale wiedziałem: nic takiego nie może się wydarzyć i Batona trzeba wypuścić.

Szarapow podniósł głowę znad papierów – w jego spojrzeniu było pytanie, dlaczego stoję – i znowu ją pochylił, doczytując akapit. Potem coś podkreślił ołówkiem, zrobił na marginesie dużego ptaszka i odłożył dokument na bok. Zdjął okulary i położył je na stole. Milczał przez chwilę, potem spokojnie powiedział:

– Sądząc z twojego tonu, wszystkie prawne podstawy do przetrzymywania Batona w areszcie zostały wyczerpane. Tak-ak...

To było jego firmowe słowo – ta-ak. Wymawiał je bez pośpiechu, rozciągając tak, że mieściło się w nim pięć zwykłych „a”. W zależności od intonacji mogło ono oznaczać bardzo dużo – od skrajnego niezadowolenia do zachwyty. I niezauważalnie my wszyscy z wydziału – Saszka, ja, Dryga, Karagezow – zaczęliśmy mówić „ta-a-ak”. A teraz jego „ta-ak” nie wyrażało nic, po prostu jak gdyby konstatawał, że się potężnie nadziałem, i to wszystko. Przytaknąłem.

– Tak, prawie wyczerpane. Ale jest jeszcze areszt z artykułu 90. Do dziesięciu dni bez wnoszenia oskarżenia.

Szarapow uśmiechnął się.

– Tak, gdzieś o tym słyszałem. Tylko tam chodzi o przypadki wyjątkowe.... Przypuśćmy, że przetrzymamy Batona jeszcze przez tydzień. Jakie wyniki możesz zagwarantować? Jeśli będą na obecnym poziomie, będziemy musieli we trzech przeproszać Batona. I to wszystko.

– Ja, nawiasem mówiąc, nie produkuję odkurzaczy. Ani

maszynek do golenia. I żadnych gwarancji z góry dawać nie mogę... Ale... ale...

– Po takim „ale” powinna nastąpić poważna rewelacja...

– Tego nie obiecuję. Proponuję jednak posunąć się nie „wzdłuż” problemu, ale w głąb.

Szarapow uniósł białe brwi. Rozłożyłem na stole schemat operacyjny i szczegółowy plan dochodzenia.

– Dalsze rozpracowywanie i przesłuchiwanie Batona wydaje mi się bezcelowe. On się nie przyzna. Ale nie daje mi spokoju krzyż. To bardzo dziwny krzyż. Dlatego chcę zażądać z archiwum Sądu Najwyższego akt sprawy atamana Siemionowa. To raz. A najważniejsze – trzeba skontaktować się z organami ścigania w Bułgarii i poprosić o informacje o Fausto Castellim. Przyjechał do Sofii wczoraj. Jeżeli to człowiek uczciwy, trzeba poprosić bułgarskich kolegów, żeby zapytali go o walizkę.

Szarapow nie wiadomo czemu nałożył okulary i popatrzył na mnie spode łba przez przydymione szkła. W tym momencie zastukał do drzwi Sawieliew.

– Można wejść, towarzyszu pułkowniku?

– Wejść.

– Porozmawiajmy jeszcze raz z Batonem – zaproponowałem.

– Nie ma sensu – włączył się do rozmowy Saszka. – To przecież nie człowiek, tylko cmentarz poszlak.

Ale Szarapow podniósł już słuchawkę i wydał rozkaz:

– Dieduszkina do mnie! – odłożył słuchawkę na widełki i powiedział do nas: – Porozmawiamy i prawdopodobnie wypuścimy...

Saszka, który nie słyszał początku naszej rozmowy, poderwał się z kanapy jak petarda.

– To znaczy, jak to wypuścimy? W jakim sensie?

– W dosłownym – spokojnie powiedział Szarapow. – Tym bardziej że Baton to nie igła, ale figura znana w całym

kraju, i nigdzie nam nie ucieknie. – Rzucił okiem na mnie i znowu zwrócił się do Sawieliewa: – Myślę, że w teczce Tichonowa leży już decyzja o jego zwolnieniu. Co, Stasiu?

– Przypuśćmy, że leży – powiedziałem ze złością.

Saszka popatrzył na mnie takim wzrokiem, jak gdybym zdradził go w ciężkiej chwili.

– Ale jak można? Przecież to złodziej... Notoryczny złodziej...

– Tak, to złodziej. Ale tym razem nie udowodniliśmy tego – powiedział Szarapow ze smutkiem. Pomyślałem, że gdy nas chwali za dobrą robotę, mówi: „dobrze to zrobiliście”, a kiedy przegrywamy: „nie mogliśmy tego zrobić”.

Saszka popatrzył na mnie, jak gdyby szukając mojego wsparcia.

– Dlaczego nic nie mówisz? To po co ja go łapałem? Nie można go przecież wypuszczać. Przecież jutro znowu coś ukradnie...

Szarapow położył okulary na stole i powiedział w zadumie:

– Tak, synku, masz rację. Baton stanowi nieustanne publiczne zagrożenie. Ale przetrzymywanie człowieka w więzieniu bez dostatecznych dowodów, to jeszcze większe zagrożenie dla społeczeństwa. Ty, na szczęście, pewnych rzeczy nie pamiętasz...

– Ale przecież Baton to przestępca i sens, duch prawa są po naszej stronie – prawie wykrzyknął Saszka. Był blady tą przezroczystą, błękitną bielą, jaka zalewa ludzi rudych w momentach silnych emocji.

Szarapow powiedział zdecydowanie:

– Prawo dla ciebie to nie abstrakcyjny obraz i jego sens wyraża się w formie. Saszka, zapamiętaj, proszę, że kiedy działający w imię prawa ludzie zaczynają dyskutować o jego sensie, a przestrzeganiem formy nie zwracają sobie głowy, prawo bardzo szybko przekształca się w bezprawie.

Na krótko przed moją chorobą rozmawiałem na ten temat z Tichonowem. Co wtedy powiedziałaś, Stasiu?

Tak właśnie powiedziałem wtedy, a teraz przegrałem i muszę przyznać się do porażki.

– My nie wygrywamy na punkty...

– A dalej...

– Nam przyznaje się tylko bezwzględne wygrane.

– O, właśnie. I proszę, żebyście nie naginali prawideł gry do swoich możliwości. Poza tym odnoszę wrażenie, że źle mnie zrozumieliście. Sądząc po waszych jękach, można by przypuścić, iż obydwaj zdecydowaliście, że skoro Castelli jest w Sofii, a Batona wypuścimy, to sprawa umrze śmiercią naturalną. Muszę was rozczarować – głowy poukręcą, jeżeli jej nie doprowadzicie do końca. I traktujcie to jak rozkaz, jeżeli normalnych ludzkich słów nie rozumiecie...

– Mało perspektyw w tym przypadku – bąknął Saszka.

– Mało? – Szarapow spojrzał ze złością. – Możliwe, że mało. Ale to twoja wina. Dlatego że nie ma niewykrywalnych przestępstw. Są detektywi, którym się nie udaje ich wykryć.

Saszka wzruszeniem ramion wyraził oburzenie – no to jazda, dawajcie, walcie już wszystko.

– I tej swojej gestykulacji mi tu nie demonstruj – zachowaj dla dziewczyn! Mówili mi, że w szkole, którą się opiekujemy, przeprowadziłeś dyskusję na temat: „Pojedynek ze złodziejem”. Co za bzdura!

– Jak to? – zdziwiłem się.

– A tak! Żadnego pojedynku nie ma, bo w tym słowie zawarta jest walka jednego przeciw jednemu. Weźmy chociażby dla przykładu twoją pierwszą poważną sprawę, Sawieliew. Z bandytą Walecikiem. Jak myślisz, pokonałbyś go w walce jeden na jednego? Nigdy w życiu. I Tichonow też nic by nie zrobił. I ja tak samo. Przecież on nie był głupszy od żadnego z nas. Czy byłbyś w stanie zjechać po

rynnie z dziesiątego piętra, tego nie wiem. A Walecik zjechał...

– No i co? – wciąż jeszcze kłótliwie zapytał Saszka.

– Nic. Walecik w walce z tobą rzeczywiście był sam. On jak wilk – liczył tylko na siebie. A my tutaj przeciwko niemu myśleliśmy w pięciu. Ale nie to jest najważniejsze. Kiedy szedłeś na spotkanie z Walecikiem, w jednej kieszeni miałeś „makarowa”, a w drugiej czerwoną książeczkę. Tam było napisane, że jesteś oficerem Moskiewskiego Urzędu Śledczego. Ten mały kartonik dawał ci wprost niewiarygodną siłę! Pełnomocnictwo od wszystkich ludzi. Byłeś ich przedstawicielem i, być może, nie myślałeś o tym, ale byłeś pewien, że każdy człowiek, którego o coś poprosisz albo coś polecisz, chętnie ci pomoże.

– To znaczy, że ja nic nie zrobiłem? – z urazą zapytał Saszka. Podzielałem tę jego urazę, bo robota była zrobiona naprawdę świetnie.

– Jak to nic? – zdziwił się Szarapow. – Znakomicie pracowałeś. Ale sukcesu w tym „pojedynku” wcale nie zawdzięczasz swojej odwadze i tak dalej... Rzetelność. Rozumiesz? Rzetelność w pracy. Dobrze wtedy myślałeś. Ciężko, z trudem. Tak jakbyś orał albo rąbał las, z potem, z krwią, z bólem. Dlatego wygrałeś...

– Ale przecież sami sobie przeczycie, Włodzimierzu Iwanowiczu! – powiedział Saszka.

– Nie. Gdyby nie było ciebie, sprawą zająłby się Tichonow albo Dryga, albo ja. Ale nikt z nas w pojedynek nie dałby rady, chyba żeby pomógł przypadek. A jaką można mieć nadzieję na przypadek, wiesz sam. Prowadziłeś tę sprawę jak woźnica zaprzęg. Ale ciężkich sań sam woźnica z miejsca nie ruszy...

Zapukano do drzwi, wszedł konwojujący milicjant.

– Towarzyszu pułkowniku, doprowadziłem zatrzymanego.

Baton był bardzo blady, spokojny i powolny, a jego

ogromne czarne oczy zdawały się należeć do kogoś innego – w szerokich wycięciach alabastrowej maski miały się trwożnie i żywo. Rozumiał, że teraz albo zostanie wypuszczony, albo odesłany do więzienia. Poznał Szarapowa i powiedział:

– Moje uszanowanie, obywatelu naczelniku. Jak w starej sztuce – „przyjaciele znów się spotykają”.

– Dzień dobry, Dieduszkin. Nie mogę powiedzieć, żeby nasze spotkanie bardzo mnie ucieszyło...

– A ja naprawdę się cieszę. Nieporozumienie już na pewno się wyjaśniło, a spotkać się z mądrym człowiekiem – to zawsze przyjemność.

– Właśnie – powiedział Szarapow. – Tym bardziej że mądrzy ludzie już wyjaśnili, komu ukradłeś walizkę.

– Poważnie? – z frasunkiem zapytał Baton. – To znaczy, że nieporozumienie przeciąga się i miłej, serdecznej rozmowy nie będzie.

Jego oczy biegały i miały się w masce twarzy. Nagle – zupełnie nie na miejscu – zrobiło mi się żal Batona. Ten mądry, silny człowiek poświęcił swoje życie na unicestwienie samego siebie.

Szarapow powiedział niegłośno:

– Przestań się zgrywać, Dieduszkin. To nie są żarty. Walizkę ukradłeś 13 kwietnia około godziny dziewiątej rano w „Dunaj-ekspresie” obywatelowi włoskiemu Fausto Castellemu.

– Tak, rzeczywiście, pamiętam, jakiś facet, jadący w tym samym przedziale, wydał mi się Włochem... Co prawda, nie interesowałem się jego bagażem.

Sawieliew powiedział:

– Żebyś nas chociaż w oczach obcokrajowców nie hańbił. Wstyd.

Baton uśmiechnął się i powiedział z nutką moralizatorską:

– Obywatelu Szarapow, u pana pracują amoralni lu-

dzie. Nawet gdybyście udowodnili, że walizkę gwizdnąłem temu makaroniarzowi, to czy z punktu widzenia moralności byłoby to większe przestępstwo niż okradzenie naszego radzieckiego uczciwego człowieka pracy? Przecież to z pewnością burżuj i prawdopodobnie – tak jak ja – żyje z pieniędzy, na które sam nie zapracował. Można by go nawet zaliczyć w poczet agentów imperializmu. Prości włoscy ludzie pracy nie wążają się po zagranicy i nie biorą udziału w luksusowych wycieczkach, tylko zajmują się walką klasową.

Co za bydlak! Jeszcze sobie z nas drwi. A Baton ciągnął dalej:

– Sądząc z serdecznego tonu naszej rozmowy, ten Fausto nie zgłosił jeszcze swoich roszczeń i prawa do własności. Wszystko, co mi tu mówicie, to tylko przypuszczenia. Chciałbym poważniejszych dowodów mojej winy. Przecież ja też nie z własnej ochoty uczyłem się prawa.

– No a rzeczy w walizce? – spytał Szarapow. Mówił spokojnie, z jakimś leniwym zainteresowaniem, tak jak gdyby to, co się działo, specjalnie go nie obchodziło.

– Rzeczy? – Baton wzruszył ramionami. – Nie można ich uznać za dowody.

– A dlaczego nie? – zainteresował się Szarapow.

– Dlatego że mogę wybrać sobie jedną z dwu linii obrony. Pierwsza – oświadczam wam kategorycznie, że walizkę z całą zawartością kupiłem od jakiegoś nieznane-go mi osobnika. I to wszystko, kropka. Druga – otwieramy szeroką dyskusję na temat domniemania o niewinności. Przecież to nie ja muszę wam udowadniać, że jestem niewinny, a odwrotnie – wy powinniście dowieść mojej winy. Dlatego mowa może być tylko o ocenie dowodów, a to jest zawsze rzecz subiektywna. Na przykład stary strażak, który całe życie przepracował w filharmonii, zapytany, czym się różni wiolonczela od skrzypiec, odpowiedział, że wiolonczela dłużej się pali. Jasne?

– Tak – kiwnął głową Szarapow. – Cóż, przekonałeś mnie ostatecznie – jesteś człowiekiem poważnym. Dlatego też na pewno udowodnimy ci winę.

– Obecny incydent nie nadaje się – pokręcił głową Baton. – Gówniana sprawa.

– Dobrze, zobaczymy. – Równie lekko, bez żadnej groźby w głosie powiedział Szarapow. – Lepiej byś mi, Dieduszkin, opowiedział coś jeszcze o tym Włochu. Nie jesteś w nastroju?

Baton bez pośpiechu popatrzył na nas wszystkich, chwilę myślał i powiedział:

– Coś mi się wydaje, że ten Fausto interesuje was bardziej niż ja. Prawda, obywatelu naczelniku?

Szarapow przytaknął.

– Przypuścimy. No więc?

Baton myślał, a myśmy go nie ponaglali. Potem powiedział:

– Co – „więc”? Nic.

– Nie będziemy rozmawiać?

– Jasne, że nie. Myśleliście sobie, że radzieccy przestępcy powiedzą wrogowi „nie”!? Nic podobnego...

– Dlaczego?

– Proszę posłuchać, Szarapow. Jest pan mądrym człowiekiem. Czyżby pan nie rozumiał, że taki wróg, jak ten Fausto, jest mi znacznie bliższy niż taki rodak jak pan? Jego, założmy, nie znam i nie chcę znać. Was znam bardzo dobrze, a także wiem, że chcecie mnie wsadzić do więzienia. Nie ciąży na mnie moralne brzemię patriotyzmu i dlatego nikogo nie pomogę wam łapać. Ale w tym jest i wasza wina.

– Dlaczego? – spokojnie, jak poprzednio, zapytał Szarapow.

Baton popatrzył na niego zmrużonymi oczami, jakby zastanawiając się, czy mówić. Potem zdecydował.

– Tichonow uważa, że on i ja jesteśmy starymi znajomy-

mi. Nie wiem, czy mówił mu pan, że myśmy się poznali, kiedy on w kieszeni nosił nie pistolet, ale procę. Ja pana dobrze poznałem przez te lata. W domu jest pan zupełnie małym, przeciętnym człowiekiem. W domu to pewnie żona wydaje panu rozkazy. Takich ludzi wchodzi dokładnie dwunastu na tuzin. Nie mają ani wad, ani zalet. Te dziesięć-dwanaście godzin, jakie spędza pan w tym fotelu, czynią z pana figurę, osobistość, ważnego i silnego człowieka. Odpowiedzialność za ludzi, władza nad nimi, ciągłe ryzyko, hazard gry i pościgu powodują, że myśli pana stają się przenikliwe, a życie – interesujące. Dlatego pan nie tak ot, zwyczajnie lubi swoją pracę, ale żyje pan nią, nie ma pan nic prócz niej i tak jak bezsensowne jest okłamywanie samego siebie, tak i pan nigdy nie pójdzie na kompromis ze swoją zawodową uczciwością. Ona przecież stanowi o sensie pańskiego istnienia. To ostoja pańskiej wiary i łatwiej panu pogodzić się z naganą albo niesubordynacją służbową niż zaproponować mi: „Słuchaj, Dieduszkin, pomóż nam z tym makaroniarzem, a my przymkniemy oczy na sprawę z walizką”. Ja pana za to nie potępiam, ale, prawdę mówiąc, bardzo nie lubię. I myślę, że tej rozmowy w obecności pana chłopców nigdy mi pan nie wybaczy...

Szarapow długo milczał, obracając w rękę okulary, potem nałożył je na nos i jeszcze raz z uwagą obejrzał Batona.

– A ja wierzę, że moi chłopcy myślą tak samo jak ja. I mam nadzieję, że też mnie nie potępią. No więc udała się nam rozmowa. Ja w życiu boję się tylko nieznanego. A z tobą wszystko jest jasne, jesteś dla nas zupełnie zrozumiały...

– Grozi pan? – uśmiechnął się Baton.

– Nie. Kiedy cię słuchałem, trochę się przestraszyłem. Jesteś bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Nie jestem szczególnie wrażliwy, ale po prostu dziwię ci się. Nie ma

w tobie ludzkich uczuć. Gdybyś żył kilkadziesiąt lat temu w Niemczech, byłby z ciebie esesman z krwi i kości...

– A co by pan wtedy robił?

– Nie wiem. Z pewnością starałbym się nie dostać w twoje ręce.

– No widzi pan – po zmianie miejsc sumowanych składników...

– Nie, Dieduszkin, tutaj nie ma żadnego sumowania. My, rozumiesz, po prostu wykluczamy się wzajemnie. Ta-a-ak... No cóż, z grubsza rozmowa skończona.

Tak, rozmowa była skończona. Wyjąłem z teczki formularz i powiedziałem:

– Obywatelu Dieduszkin, dalsze zatrzymywanie pana w areszcie uważamy za bezcelowe...

– Bezprawne! – przerwał mi.

– ... bezcelowe – ciągnąłem – i w związku z tym jest pan wolny. Proszę podpisać się na decyzji. O, tutaj...

Dieduszkin wstał, nie spiesząc się podszedł do biurka, wyciągnął ze stojącej na nim szklanki pióro, starannie umoczył je w kałamarzu, uważnie obejrzał koniec stalówki, wziął do ręki formularz i przeczytał.

– Tu podpisać?

– Tu – odpowiedziałem niegłośnie i przepelniła mnie wściekłość, ciężka i czarna jak kipiąca smoła. Miałem straszną ochotę strzelić go w pysk.

Baton szybko pochylił się nad kartką papieru, jak gdyby chciał ją dziobnąć, postawił krótki niezgrabny zygzak. Ale w tej króciutkiej chwili zobaczyłem, jak mu drżą ręce. Nie suszyłem jego podpisu bibułą, bo zobaczyłby, jak trzęsą się moje. Po prostu wziąłem kartkę i niedbałym ruchem pomachałem nią w powietrzu – niby to zadowolony, że skończyła się jakaś nieprzyjemna formalność. Włożyłem formularz do teczki i powiedziałem:

– Za zatrzymanie proszę przyjąć moje oficjalne przeprosiny – powiedziałem to jakoś wesoło, z uśmiechem,

jak gdybym przegrał z nim w durnia, a teraz w nosie mam i przegraną, i Batona, i całe te bzdurne przeprosiny. Poczułem, że jeśli powiem jeszcze słowo, z oczu mogą mi popłynąć głupie, złe łzy.

– Ależ głupstwo! Bóg wybaczy – ale nie darował sobie i dodał: – Mówiłem przecież panu, Tichonow, że jeszcze trzeba będzie przeproszać. A pan się śmiał. Co prawda, muszę przyznać, że pan zupełnie nie jest już tym szczeniakiem, jakiego znałem.

Zrobił pauzę, popatrzył na mnie szyderczo i wypalił:

– ... Zupełnie nie tym. Innym, innym... Ale, ale, co z rzeczami?

Nie wiem dlaczego, ale to jego odezwanie się uwolniło mnie od napięcia, wyprowadziło ze wstrząsu. Machnąłem ręką na te wszystkie gierki i powiedziałem:

– Za wcześnie się cieszysz! Sprawa nie jest skończona. Ja przecież cię przeprosiłem tylko o f i c j a l n i e, jako osoba urzędowa. Ale ja sam, Tichonow, nie przeproszam cię, bo jesteś złodziejem i do tego niezbyt rozsądnym. Dlatego tu, w obecności moich towarzyszy, przyrzekam – udowodnię ci, że kraść nie można. Jeśli tego nie zrobię, to chyba odejdę z milicji. Ale udowodnię ci, że jest na to jeszcze za wcześnie.

– Pięknie powiedziane. Po prostu przysięga Hipokratesa. No więc co z rzeczami? Co z moją walizką?

– No właśnie, zaczniemy od walizki. Nie jest twoja – została skradziona i jako dowód rzeczowy zostanie włączona do sprawy do końca dochodzenia. Zawiadomienie o tym wręczę ci osobiście. Obywatelu Dieduszkin, jesteście wolni. Możecie odejść...

Baton doszedł do drzwi niepewnym, chwiejnym jak u pijanego krokiem. Może dlatego, że nie miał sznurowadeł w butach, nie wiem. Jednakże obejrzał się i powiedział z krzywym uśmiechem:

– Żegnajcie...

Szarapow i ja przemilczeliśmy, a Saszka zawołał:
– Do zobaczenia! Do rychłego!

Rozdział dwunasty Godzina wolności złodzieja Dieduszkina

Na wolności było mnóstwo powietrza, świeżego, cłodnego powietrza. Jeden krok za drzwi i pozostał za mną smród onuc, kwaśny odór zupy i kapusty, potu, karbolu i jeszcze jakiegoś świństwa. Woń więzienia – to oddech strachu. Za każdym razem, wychodząc na wolność, dziwię się, że ludzie nie zwracają uwagi na to słodkie powietrze, jakim pachnie swoboda.

Doszedłem do bulwaru Strastnego i zatrzymałem się, namyślając się, dokąd pójść. Krew biła mi w skroniach i aż zatykała oddech trudna do powstrzymania chęć wykrzyknienia: „Wolność! Kochana wolność!” Po przeżytych napięciu całym moim ciałem wstrząsał wewnętrzny dreszcz, jakbym straszliwie zmarzł, jakby trzymano mnie w lodówce przez wiele dni. Byłem zupełnie zdrętwiały do samego serca, a teraz tylko ręce i nogi odtajały, wewnątrz został lód. Trzęsły mi się nogi od odpływającego lęku, ale lęk był głęboko, we wnętrzu zamarzonego serca, i nie mógł go roztopić nawet ten ciepły kwietniowy wieczór, ani nie mogło go wywiać świeże powietrze, gorzko-słodkie, przesycone wonią pączków topoli.

Oczywiście w mojej sytuacji teraz byłoby najlepiej rzucić się w objęcia rodziny, usiąść do świątecznego stołu, chlapiąć buteleczkę koniaku i w spokoju i zadowoleniu położyć się spać. A tu pech – rodziny nie ma, domu również

i nie ma kto nakrywać świątecznego stołu. I gdzie położę się dzisiaj spać – też nie wiadomo.

Na rogu Pietrowki wszedłem do małej kawiarenki. Ludzi było dość dużo, pewnie tacy sami bezdomni włóczędzy jak ja, bo gdyby mieli rodzinę i dom, nie żarliby tu parówek z kawą o trupim kolorze. A może wcale nie są bezdomni? Może mają i domy, i rodziny, a tłoczą się tu nie dlatego, że wyszli z mamra, tylko wpadli coś przekąsić między pracą a teatrem albo między nauką a spotkaniem lub po prostu umówili się tutaj. Przecież oni wszyscy żyją uczciwie.

Zamówiłem lampkę koniaku i butelkę wody mineralnej. Zakąski nie brałem. Miałem własną – spory kawałek chleba i dwie kostki cukru. Klawisz, który mnie wypuszczał, bardzo się zdziwił, gdy zobaczył, że wkładam chleb do kieszeni. „Po co?” – zapytał. – „Przecież idziesz na wolność.” – „Nie twoja sprawa” – odpowiedziałem. – „To mój zapracowany chleb. Chcę – to zostawię, a chcę – wezmę z sobą.” – „Zapra-co-wany” – przedrzeźnił mnie milicjant. – „W celi zapracowałeś? Niewart jesteś tego chleba, który jesz.” Nie miałem ochoty z nim rozmawiać, wziąłem więc swój chleb i wyszedłem.

Teraz położyłem chleb na talerzu i zagryzałem koniak małymi kęsami. Nie wie głupi gliniarz, że koniak „Dwin” z więziennym chlebem zyskuje zupełnie nowy bukiet. W ogóle mało ludzi wie, że chleb więzienny neutralizuje każdą gorycz. Na zamówienie takiego chleba się nie dostanie, ale jak się już trafi okazja, to – żeby nie wiem jakie nieprzyjemności człowieka dręczyły – kiedy się go raz spróbuje, wszystkie niepowodzenia na wolności wydają się miłymi, drogimi sercu drobiazgami. Nie martwiłem się teraz o to, że nie mam domu i że nikt nie czeka u świątecznego stołu. Po prostu siedziałem w hałaśliwej kawiarence zupełnie sam, popijałem i rozmyślałem. A było o czym pomyśleć.

Z każdym łykiem coś we mnie tajało, rozgrzewało się,

koniak wesołymi żywymi mrówkami biegał po żyłach, przyjemnie grzało w żołądku i stopniowo uspokajał się ten obrzydliwy dreszcz w sercu. Ale przyjemne odurzenie alkoholowe nie ogarniało głowy, nie zagłuszało uczucia strachu i mózg pracował miarowo i sucho, jak automat kasowy.

Nie spiesząc się zułem swój chleb i z każdym połkniętym kęsem narastało we mnie twarde postanowienie – nie dać się więcej złapać. A jedzony przeze mnie chlebek więzienny był czymś w rodzaju przysięgi. Nie jestem przecież Tichonowem, nie potrzebuję składać przysięgi przed towarzyszami, zresztą nie mam ich. Tak więc na mój więzienny chleb przysięgłem sobie – nie będzie uczyć szczeniaka wilka, nie zmieni Tichonow złodzieja Alochy Dieduszki. W tej mojej decyzji nie było triumfu ani radości, był tylko mój upór, oparty na moich rachubach i gorycz sytuacji bez wyjścia.

Być może, są złodzieje, którzy się wycofują – „wiążą” – bo ich sumienie gryzie. Zdecydowali, że kraść jest niedobrze – różni tam Tichonowowie, Szarapowowie i Sawieliewowie im to wyjaśnili. Zrozumieli, jak zła jest kradzież, jak hańbi, i zajęli się zaszczytną, konstruktywną pracą. Ale ja takich znam bardzo mało. I do tego nie wierzę im – jeśli człowiek jest zdolny to pojąć, to nie kradłby i przedtem. Ale nie będę się wdawał w spory – każdy ma swój pogląd. Co się mnie tyczy, to uważam, że złodziej „wiąże” wtedy, gdy nie ma innego wyjścia, kiedy już nie ma sensu dalej kraść. Przyczyn takiej decyzji może być wiele. Albo ma pecha i za każdym razem wpada, albo zbrzydła mu bezdomność i chce się żenić, albo znalazł zajęcie intratniejsze od kradzieży i temu podobne – wszystkiego nie da się wyliczyć.

Zdecydowałem więc – „wiązać” jeszcze za wcześnie, ale też wszystko trzeba przemyśleć tak, żeby więcej nie dostać się im w łapy. Nie ma sensu, żebym „wiązał”. Powstaje

pytanie, czym będę się zajmował jako uczciwy obywatel radziecki? Przecież już prawie czterdzieści lat przeżyłem, a nie mam żadnego fachu. Nic, zupełnie nic nie umiem robić, nie licząc umiejętności zręcznego okradania. Ale ta specjalność nie jest doceniana. Nigdzie nie jest ceniona, przecież i w Ameryce mimo rozpasania reakcji na pewno też by mnie nie posłali na Florydę na odpoczynek. Ale tam, jeśli wyjdzie duży numer, można żyć sobie spokojnie i nikt się człowieka nie czepia. A tu ten Tichonow o cudze dobro tak się martwi. Pełnomocnik narodu! Co za bzdura!

Ciekawe, czy posłali za mną „cienia”, czy też nie? Mniejsza o to – „cieniowi” urwę się jakoś. Ale co potem robić? Przypuśćmy, że znajdą tego wybrylantynowanego makaroniarza. Wtedy będzie źle. Tichonow zdecyduje, że można mnie dalej uczyć rozumu, a na drugi dzień zorientuje się, że został mu tylko na pamiątkę mój podpis na zobowiązaniu o nieopuszczaniu miejsca pobytu. Wtedy całkiem się wścieknie. Trzeba pomyśleć, jak skierować go na zwykły dla niego tor myślowy. Jeśli się ukryję, to gdzie będzie najlogiczniej mnie szukać? Gdzieś na nieprzejrzanym przestrzeniach naszej Ojczyzny, daleko od Moskwy, jak najdalej od MUS, od wścibskich oczu współlokatorów. Co ja bym zrobił na jego miejscu? Zażądałbym informacji o wszystkich kradzieżach na dworcach i w pociągach. Prawidłowo? Jak najbardziej. Potem wybrałbym kradzież pod kątem podobieństwa i bliskości geograficznej i tak dalej. I to trwałoby długo.

To znaczy, że nie trzeba pomagać Tichonowowi. I nie trzeba też wyjeżdżać z Moskwy. To wielkie miasto, trudno będzie mnie znaleźć, zwłaszcza jeśli będę uważał. Ale na dworce kolejowe mam wstęp zamknięty. Tak samo jak na lotniska, dworce autobusowe i w ogóle do wszystkich miejsc, gdzie chodzą ludzie z walizkami. Dlatego też trzeba będzie zmienić „maść” – z walizkami koniec. Trzeba wymyślić dla siebie jakieś zajęcie. Musi to być coś zaska-

kującego, niech oni jak najdłużej idą starym śladem. Z Tichonowem wyszła głupia sprawa – teraz przecież się nie odczepi. Ze skóry wylezie, udowadniając mi, że kraść NIE WOLNO.

Co więc robić? Jeśli posłali za mną „cienia”, trzeba iść do domu, a skoro człowiek nie ma domu, uważa się, że jest nim miejsce zameldowania. A zameldowany jestem na powierzchni mieszkalnej niedobitków mojej kochanej rodzinki – we wspólnym mieszkaniu pod numerem 13 na Pieczatnikowa. Żyje tam do dziś mój dziadek, któremu dawno stuknęła osiemdziesiątka, i tatulo mój drogi, i towarzysza jego życia, rudowłosa kasjerka z końskimi sztucznymi zębami o wesołym nazwisku Magiło. Matka umarła dziesięć lat temu i w ogóle wszystkim – i jej samej również – wyszło to na dobre. Przez ostatnie lata zasadniczo nie rozmawiała ze mną, wygłaszając tylko od czasu do czasu, tak jak to bywa w starych sztukach – na stronie – kwestię: „Lepiej byłoby, gdyby w dzieciństwie wpadł pod pociąg”. Niekiedy pojawiały się inne warianty tego dobrego życzenia, na przykład: „Niektórzy rodzice to mają szczęście – dziecko Szytikowów utopiło się w Ałupce, jak miało siedem lat”. Nie zwracałem na to uwagi, bo uważałem ją za całkiem pomyloną. Kiedy sędził mnie pierwszy raz, matka bojąc się, że w wyroku będzie również zawarta konfiskata mienia, napisała list do gazety: Nie wiadomo dlaczego do „Komsomolskiej Prawdy”. Pisząc pompatycznym stylem, z błędami ortograficznymi wyrzekała się mnie. Cóż za głupota! Listu oczywiście nie wydrukowali, tylko przesłali do sądu, gdzie zupełnie nieoczekiwanie bardzo mi pomógł. Cały ten pomysł – z konfiskatą i listem – na pewno należał do dziadka. On też prawdopodobnie wyjaśnił im, że taki list zwalnia od wydatków na adwokata.

W sądzie dostałem adwokata z urzędu, to znaczy bezpłatnie. Zupełnie młody chłopak, świeżo po studiach,

doświadczenia miał tyle, co kot napłakał, ale dzięki temu listowi znalazł linię obrony. Rzecz w tym, że sam prokurator się zachwiał, jak zobaczył list. Z irytacją oświadczył matce, doprowadzonej do sądu, że za wyrzeczenie się niepełnoletniego dziecka należałoby pozbawić ją praw rodzicielskich. No, a adwokat, Okoń się nazywał, poszedł na całego. Oto niby klasyczny przykład konfliktu z prawem wyrostka wychowanego w niekorzystnych warunkach. Wspomniał o młynach dziadka, o nieproletariackiej ideologii, o drobnomieszczaństwie mojego tatula, braku nadzoru nad dzieckiem, wpływie ulicy, słabej opiece ze strony szkoły. No i chyba ze dwa albo i trzy lata mniej dostałem wtedy po płomiennej mowie Okonia. Potem broił mnie jeszcze cztery razy, dopóki sam nie wpadł. Ale nie o tym mowa.

Krótko mówiąc, wróciłem z obozu i zastałem jako gospodynię domu właśnie tę Magiło. Wyciągnęła do mnie pulchną rękę z krótkimi, jakby ogryzionymi paznokciami, całą pokrytą wielkimi pstrymi piegami, kokieteryjnie podniosła oczka i pokazała mi taki komplet sztucznych zębów, jak gdyby w wolnych chwilach zabawiała się gryzieniem kamieni.

– Magiło – powiedziała basem. – Jestem pewna, że zostaniemy przyjaciółmi.

Widocznie przypadła jej do gustu rola w sztuce „Czuła macocha i marnotrawny pasierb”. Usiadłem na krześle, zarzuciłem nogi na łóżko i powiedziałem do ojca:

– Rozwiąż no mi sznurowadła, bo mi nogi spuchły – a do niej uśmiechnąłem się przyjaźnie. – Niech pani posłucha, madame Mogiła. Te pani zęby to chyba sztuczne, co?

Oszołomiona, kiwnęła głową, ale mimo to poprawiła:

– Magiło, nie Mogiła...

– Wszystko jedno. A ja mam takie pytanie: dlaczego nie kazała pani zrobić sobie mniejszych zębów, kiedy zama-

wiała pani nową szczękę? Przecież to chyba strasznie ciężkie do noszenia, nie?

Ojciec pojawił się zza jej pleców, pocierając zziębnięte łapki.

– Ty, Al-osza, ty, z-naczy, ty sobie, tego, nie myśl... Ona ma swoje mieszkanie. Ale mieszkamy tutaj, bo się boimy, że jak dziadek umrze, to zabiorą pokój. Dla ciebie pokoju pilnuję... Może usatkujeś się, to będziesz miał gdzie mieszkać...

– Udław się swoim pokojem. Tylko nie kręć mi się przed oczami.

Dziadek siedział pod oknem, obojętny na wszystko, bezbarwny, jakiś szary, i tylko długa, owłosiona „myszka” na policzku sprawiała, że wyróżniał się na wyblakłym tle ściany.

Miałem więc wrócić do zębatej Magiło, do ojczulka swojego osłizgłego i pogrążonego w idiotyzmie dziadka.

Dojadłem swój chleb, wstałem i nie spiesząc się poszedłem bulwarem Pietrowskim do placu Trubnego, a stąd w górę, krzywą, pogarbioną i bardzo starą ulicą Pieczatnikowa. Do swojego domu. Kiedyś chodziłem tą uliczką do szkoły. A teraz wracam ze szkoły. Szedłem po oświetlonej stronie ulicy. Jeżeli za mną idzie „cień”, to powinien dobrze się przyjrzeć, jak wracam do domu.

Cała moja rodzina była w komplecie. Dziadek ze zubożniałą twarzą oglądał w telewizorze audycję o kryzysie energetycznym w krajach kapitalistycznych. Ojciec i Magiło grali w loteryjkę. Na stole leżała garść miedziaków. Ojciec przegrywał i twarz jego mieniła się gniewem i chciwością, a kiedy wchodziłem, Magiło potrząsnęła woreczkiem, wyciągnęła kolejną kostkę i powiedziała, szczękając swoim czerpakiem od koparki:

– Siedem – „pogrzebacz”, dziewięćdziesiąt – „dziadek”, „linia”, mam „mieszkanie”. Skończyłam!

Ojciec tak się wściekł, że nawet nie zwrócił uwagi na

moje wejście. A przecież teraz lubi, kiedy przychodzę, bo moje przyjście oznacza darmową popijawę, darmową zagrychę i możliwość wycyganienia dychy albo i dwu w gotówce. Ale taki był przez całe życie i taki pozostał – gorycz i złość z powodu utraty piąta przesłaniały mu zawsze radość ze znalezionej setki.

– Cześć – burknął. – Znowu z glinami masz historię? Przychodzili tutaj pytać o ciebie. Jakiś ryży, nachalny ment.

– No i co mu powiedziałaś?

– Na wszelki wypadek powiedziałem, że byłeś w domu. W twoim fachu najpewniej, jak siedzi się w domu.

– Dureń. Źle mu powiedziałaś.

– Na drugi raz sam z nim rozmawiaj – obraził się ojciec i od razu zaczął skomleć. – Inni rodzice na starość mają z dzieci pociechę, spokój i podporę. A tu tylko zdenerwowanie i z wdzięczności – trzask po gębie! Żeby choć kopiejkę dać zniedołężniałemu ojcu i dziadkowi ubogiemu na umyśle z zarobków swoich milionowych – kiszka z wodą! Macocha tyle łez przez ciebie wylała. Chusteczkę byś jej chociaż podarował...

Długo tak lamentował żebraczym, zawodzącym głosem, a dziadek ślepo wpatrywał się w telewizor. Magiło, zadowolona z wygranej, uśmiechała się dobroduszenie, rozdzielając swoją ogromną jadaczkę. W ogóle to była niezła baba, w każdym razie lepsza od tamtych dwu. Powiedziałem do niej:

– Słuchaj, Mogiła, ugryź go, może się zamknie...

Albo ojciec przestraszył się, że mnie posłucha i ukąsi go swoimi kłami, albo znudziło mu się to skomlenie, bo umilkł. Magiło zapytała:

– Zjesz coś?

– Nie. Co słyhać?

– Nic nie słyhać! – ożywił się znowu ojciec. – Dziadek

zupełnie zgłupiał. Wczoraj wygrzebał z jakiejś swojej kryjówki trzy pięćsetki...

– Co-o?

– Carskie pięćsetki – asygnaty z portretem Piotra, nam nic nie powiedział, poszedł do kasy oszczędności i zażądał, żeby mu rozmienili na dziesiątki. Tłumaczą mu, że te pieniądze wyszły z obiegu już pięćdziesiąt lat temu, a ten robi awanturę, żąda, żeby mu wobec tego dali „katarzynkami” – po sto.

Zaśmiałem się.

– Ech, wy, jaszczury kopalne! Żyjecie tutaj jak na zapomnianej planecie.

Dziadek odwrócił się od telewizora i, nie poznając mnie, powiedział drżącym, nadłamanym głosem:

– Tak, tak. Szmaciarze! Pięćset rubli to majątek. To dobry posąg dla porządnej dziewczyny. Bywało, że w każdym sklepiku ci ją natychmiast rozmieniali. A teraz chcesz rozmienić parszywą dziesiątkę – ale jej nie masz.

Roześmiałem się i pomyślałem, że dziadek wcale nie zwariował, tylko udaje głupiego, z tej głupoty zrobił sobie norę, schronienie, siedzi tam w cieple i spokoju i patrzy ze swoim paskudnym uśmiechem, jak my wszyscy się gimnastykujemy. Powiedziałem mu:

– Uważaj, dziadku, dostaniesz się do wariatów i tam cię szybko rozpracują.

Dziadek machnął ręką i odwrócił się do telewizora.

Zapytałem ojca:

– Pożyczysz pieniędzy?

Zamachał trwożnie rękami, jak gdyby miał zamiar unieść się w powietrze, więc mu nadepnałem na nogę.

– Co się tak spłoszyłeś? Przecież nie proszę o dynamit.

– Aloszka, synku, a skądże ja je wezmę? Sam wiesz, że za moją nędzną emeryturę i jej pensję ledwie ciągniemy. Koniec z końcem trudno związać!

Synek! Widzicie go – synek! To znaczy, że na pewno ma

pieniądzę. Nie chodzi o to, czy w ogóle – wiem na pewno, że ma pieniądze poutykane po całej Moskwie – rzecz w tym, czy ma teraz pieniądze w domu.

– Słuchaj, ja przecież nie chcę od ciebie pieniędzy na pamiątkę, tylko chcę pożyczyć. Rozumiesz, po-ży-czyć! A jeśli pożyczyć, to znaczy, że od całej sumy procent zapłacę.

– A jaki procent? – nie mógł się powstrzymać.

– Zwyczajny – jedną piątą.

– To znaczy, że weźmiesz dziesiątkę, a oddasz dwanaście? – Na jego twarzy malowało się cierpienie – bardzo chciał dostać pieniądze za frajer, a z drugiej strony bał się dawać mi gotówkę. Teraz gorączkowo kalkuluje, jaką sumę można zaryzykować. – Ile potrzebujesz?

– Dwa tysiące.

Zmrużył oczy, jak gdyby coś obliczał w pamięci albo zdrzemnął się, a kiedy po sekundzie je otworzył, cała jego twarz pokryła się dobrymi, wesołymi zmarszczkami.

– Coś ty, Aloszka, o takich pieniądzach w życiu nie słyszeliśmy. Myślałem, że ci ze czterdzieści rubelków potrzeba, pobiegałbym po sąsiadach, zebrałbym, wyręczył cię. A ty o takich pieniądzach mówisz – przecież my nie jesteśmy żadnymi laureatami ani akademikami, ani gwiazdoram. Dla nas najważniejsze to przeżyć od poborów do emerytury, od emerytury do poborów.

Cała jego twarz rozświetliła się dobrodusznymi, ojcowskimi zmarszczkami. Pokryły ją we wszystkich kierunkach i kiedy patrzyłem na niego, wydawało mi się, że kiedyś ktoś nagle zerwał całą skórę z tego ryja, długo ją miał i gniótł w pięści, a potem przyklepił na powrót, byle jak, zapomniawszy naciągnąć. Sam ojciec nie umie tego poprawić, a gdyby kogoś poprosić – a nuż zażądałby pieniędzy. No i chodzi tak przez oszczędność z pomiętą mordą. Tfu!

Posiedziałem chwilę, popatrzyłem na niego i im dłużej

patrzyłem, tym niespokojniej się wiercił; gdybym milczał jeszcze trochę, z pewnością zaczęłyby łypać oczami w tę stronę, gdzie miał schowane pieniądze. Ale jakoś odechciało mi się tych jego pieniędzy, taki mi się wydał obrzydliwy.

– Dobrze byłoby cię zabić – powiedziałem. I bez pośpiechu zacząłem się zbierać.

Wychodząc powiedziałem:

– Zapamiętajcie sobie dobrze, tak będzie lepiej dla was samych. Jeśli przyjdą i zaczną o mnie pytać, ktokolwiek by to był, odpowiadajcie wszystkim tylko jedno: Dieduszkin wyjechał na Syberię, do miasta Abakan. Zaciągnął się i wyjechał. Tam, powiadają, brak takich specjalistów...

W kawiarni „Nacjonał” było święto. Dla mnie w każdym razie zawsze jest święto, jeśli moneta brzęczy w kieszeni. Było jasno, beztrosko i wesoło i w żaden sposób nie mogłem uwierzyć, że zaledwie kilka godzin temu poniewierałem się na pryczy w areszcie, że śniły mi się koszmary o moim obłąkanym dziadku, wypędzającym szatana, że dzieliłem chleb na trzy części, zostawiając na kolację dwie kostki cukru. Teraz w ciągu dziesięciu minut mogą nawalić mi na stół tyle, że cały pluton nie da rady. Szkoda gadać, w naszym fachu wszystko zmienia się jak na wojnie.

W drzwiach natknąłem się na kelnerkę Nadie. Przyjaźnie pomachała mi ręką, wskazując oczami na swój stolik w głębi sali. Kelnerki w tym lokalu dobrze mnie znają i lubią. W ich oczach jestem postacią interesującą i zagadkową. Rzecz w tym, że kilka lat temu zdarzyło mi się podwędzić walizkę, w której znalazłem medal laureata nagrody państwowej. Specjalnie do tego medalu kupiłem od pasera Fimy ciemnogrnatowy terylenowy garnitur – medal na klapie prezentował się znakomicie. Od czasu do czasu ubierałem się w ten garnitur.

Muszę powiedzieć, że ten medal nieraz prowokował mnie do rozmyślań o głupocie ludzkiego rodu. Dobrze zapamiętałem tego profesora od kapuśniaku, któremu go ukradłem. Zupełnie marny człowieczek – jak gdyby jacyś czarownicy z bajki porwali go w dzieciństwie i zahamowali jego rozwój we wszystkich kierunkach, z wyjątkiem tej alchemii, w której został najpierwszym mędrce. Taka pokraka, a ile wszyscy poświęcają mu uwagi, jak go szanują! A przecież we wszystkich dziedzinach, oprócz tej jego alchemii, ja byłem człowiekiem znacznie go przewyższającym. Choć ukończyłem tylko dziesięć klas, przeczytałem więcej książek i czasopism od niego, i szkołę dostałem taką, o jakiej on na tych swoich aspiranturach nie słyszał. Ale on ma medal, a ja pięć wyroków – niejednakowe nagrody. Chodziłem więc z jego blaszką do lokalu i kiedy dodawałem do niej swoje napiwki, to dla kelnerek byłem ważniejszy niż Newton.

Usiadłem przy stoliku nakrytym białym, wykrochmalonym, chrzęszczącym obrusem. Podzwaniają kryształowe kieliszki, melchior sztućców błyszczy matowo i karta w trzech językach proponuje wszelakie cuda żarcia i picia. I na razie szeleści mi w kieszeni czterdzieści sześć rubli. Zespół jazzowy gra rzewne melodie. A nastrój mimo to mam paskudny. Jakby to był pożegnalny obiad, jak gdybym czuł, że nieprędko będę tu ucztować. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek uda się jeszcze tutaj przyjść.

Tak, miałem czterdzieści sześć rubli. Nie jest to żaden kapitał, ale na przyzwoitą kolację wystarczy. Nie ma ich co chować na czarną godzinę. Pieniądze na życie trzeba będzie zdobywać, a na czarną godzinę nie są mi potrzebne – kiedy ona przychodzi, biorą mnie na państwowy wikt. O moją czarną godzinę troszczy się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Kelnerka Nadia przyniosła zakąski: podwójną porcję kawioru, łososia, rostbef, plasterki masła, świeże pomido-

ry i ogórki. Ogrzany chleb nakryty był serwetką. Rozstawiła to wszystko na stole, do dużego kieliszka nalała wódki i powiedziała:

– Smacznego.

– Dziękuję. Słuchaj, Nadieżda, czy nie chciałabyś wyjść za mnie za męża?

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i zaśmiała się.

– Pan ma już z pewnością dwie żony i troje dzieci.

– Będiesz trzecia. Nie jesteś dziecko, chyba rozumiesz, że lepiej być trzecią żoną laureata niż pierwszą szofera.

Nadia wzruszyła ramionami.

– To zależy.

– Masz kogoś?

Przez moment się namyślała, czy wypada o tym ze mną rozmawiać, potem potrząsnęła głową i powiedziała z uśmiechem:

– Mam. Dobry chłopak.

– Lepszy ode mnie?

– Jak by to powiedzieć... – Zaśmiała się, potem znalazła najbardziej dla niej zrozumiałe objaśnienie. – On jest przecież młody.

– A co on robi, ten twój młody?

– Też jest kelnerem, w restauracji „Ukraina”. Razem chodziliśmy do szkoły handlowej...

– Co to za zawód dla chłopca – szurzać po stole serwetką i biegać z tacą?

Popatrzyła na mnie zaskoczona, a ja miałem ochotę nadepnąć jej na nogę za to, że ten zasmarkany fagas jest dla niej sto razy lepszy ode mnie, bo oni oboje są młodzi, a ja niby to już stary.

– A to zły zawód – karmić ludzi? – zapytała.

– Dobry zawód – odpowiedziałem. – A wasze dzieci też będą kelnerami? Będą o was pisać w gazetach – kelnerzy z dziada pradziada, cała dynastia kelnerów.

Nadia uważnie popatrzyła mi w oczy. Widziałem, jak zagryzła wargi i zrobiło mi się lżej na duszy.

– Zobaczymy, co z dzieci wyrośnie. Może kelnerzy, a może laureaci. Może będą nie gorsi od pana.

– Być nie gorszym ode mnie to trudne – zaśmiałem się. – Prawie niemożliwe. Trzeba całe życie poświęcić, żeby osiągnąć to, co ja osiągnąłem.

Czułem, że mocno mnie nienawidzi. Poznałem to po opuszczeniu powiek – nie chciała mi więcej patrzeć w oczy. A ja już gwizdałem na naszą przyjaźń i jej uczucia do mnie – przecież był to mój pożegnalny bal, i Bóg wie, kiedy zdarzy mi się usiąść przy tym stoliku. Powiedziałem do niej:

– A ty jednak pomyśl o małżeństwie ze mną. Wyjdziemy z urzędu stanu cywilnego, pojedziemy do restauracji „Ukraina”, usiądziemy przy stoliku twojego byłego narzeczonego, a on nas będzie przez cały wieczór obsługiwał jak baranek. Wtedy od razu zrozumiesz i ocenisz, czyją żoną lepiej być.

Nie podnosząc oczu kiwnęła głową i powiedziała:

– Przy moim drugim stole będzie teraz jeść kolację delegacja zagraniczna, tak że dokończy obsługiwać pana Raja, ta blondyneczka. Ona także przyjmie rachunek...

– A napiwek komu? Jej czy tobie?

Podniosła wreszcie oczy, wąskie i złe, i powiedziała przez zęby:

– Napiwek proszę zachować dla siebie!

Odwróciła się na obcasie i odeszła. Zacząłem jeść. Od tego, że porachowałem się z nią za swoją „starość”, poprawił mi się trochę nastrój, ale i tak wciąż czułem się tak, jakby zamiast kawioru przyniesiono mi w srebrnym naczynku kurze łajno.

Nie wiadomo czemu przypomniałem sobie Sieńkę Baku-mę. Przed ostatnim wyrokiem ktoś mi powiedział, że on już

z tym skończył. Ale to na pewno było kłamstwo. Nie będzie Bakuma „wiązał”, to nie taki facet. Przecież on jest z tej samej gliny, co ja. Nie miałem lepszego współnika i kumpla pewniejszego niż Bakuma. To prawdziwy złodziej, mądry, szybki i zręczny. Dawno kiedyś, z dziesięć-dwanaście lat temu, obrabialiśmy mieszkania. To zupełnie specyficzny rodzaj kradzieży. Wymaga jubilerskiej precyzji, żelaznego spokoju, fantazji i umiejętności obserwacji. Walizki – to dużo większa mitrega, ale znacznie mniej niebezpieczna, dlatego że jak długo żyją ludzie na ziemi, tak długo będą żyli i gamonie, i jak długo ludzie będą nosili walizki, tak długo nie przestaną ich stawiać na ziemi, a walizka stojąca na ziemi jest już w połowie moja. Mieszkaniami zajmują się dwie kategorie ludzi. Przypadkowe, przelotne gnojki, które włamują się do cudzego mieszkania jak pijany do cerkwi. I od razu, naturalnie, wpadają. I zawodowcy, prawdziwi złodzieje, którzy długo wybierają mieszkanie, dokładnie je obserwują, szczegółowo obmyślają plan operacji i kiedy już zabierają się do roboty, to pracują bezbłędnie i z dużym zyskiem.

Pięć razy wpadałem, ale przez tych kilka lat, kiedy robiłem mieszkania z Bakumą, nawet nie pozostawiliśmy po sobie śladu, podrzuciwszy milicji parę nie rozwiązanych dotychczas kradzieży. Myślę, że za te kradzieże po dziś dzień komenda MUS zmywa głowę swoim podwładnym.

Może nie brałbym się za te walizki i dalej byśmy z Bakumą obrabiali mieszkania, ale wszystko rozleciało się o głupstwo. Rozeszliśmy się z Bakumą z powodu głupstwa, z powodu baby. Uwiodłem jego dziewczynę. Oczywiście, fajna była, słodka jak konfitura, ale nigdy w życiu nie zamieniłbym Bakumy na nią. Kto mógł wiedzieć, że między nimi było tak poważnie, że przez nią porzuci kumpla. Idiotycznie jakoś wtedy wyszło, miałem ją przecież w nosie, tylko ot tak, dla rozrywki... A kiedy on się dowiedział,

cały zsiniał. Nigdy nie widziałem, żeby był taki – wargi mu się trzęsły, a w oczach miał łzy. Przestraszyłem się nawet. Mówię do niego:

– Przestań, Bakuma, nie wściekaj się! Co to, żałujesz? Jak chcesz, to ci moją Ninke oddam!

A on długo, dokładnie, z nawrotami mi nawrzucał, aż w końcu powiedział:

– Ty parszywe ścierwo! Idź do diabła.

– Nie rzucaj przyjaciół, Bakuma. Będiesz żałował – odpowiedziałem.

– Już nie jesteś dla mnie przyjacielem. W tłuczce ze złodziejami w Marinej Roszczi uratowałeś mi życie, a teraz ci dług oddaję – zjeżdżaj stąd, nie ruszę cię. Ale jeżeli kiedyś jeszcze spotkam, zaciukam.

– Jak ci się uda. Ty też możesz nadzieć się na moje pióro.

I rozstaliśmy się wtedy. Więcej o nim nie słyszałem. Szkoda, rzecz jasna. Teraz by mi się bardzo przydał.

Pilem bez pośpiechu wódkę, myślałem o Bakumie, byłem najedzony, rozgrzany, muzyka grała, światło to przygasalo, to rozjaśniało się jeszcze bardziej świątecznie, dookoła mojego stolika tańczyli wysocy, elegancy, niech ich diabli, chłopcy-bananowcy ze swoimi bananowymi, wysokimi dziewczynami. Z urazą pomyślałem, jacy oni teraz wszyscy dobrze ubrani, syci, wypielegnowani, jak zadziwiająco czyści, błyszczący tą czystością, jaka pojawia się od codziennego mycia we własnej, śnieżnobiałej, błyszczącej niklem i glazurą łazience. Nie są w stanie zrozumieć, że choćby się było tysiąc razy schludniejszym, to i tak nie będzie się takim czystym, jeżeli w dzieciństwie było się mytym raz na tydzień w balii, a raz na miesiąc chodziło się do łaźni.

Nie miałem własnej łazienki i chyba nigdy jej nie będę miał, i nie mogłem tego darować tym bezczelnym, wysokim bananowcom. Wszystko w nich wywoływało moją nienawiść – i czystość, i ciuchy, na które nie zapracowali, i nawet

nie ukradli, tylko po prostu spadły im z nieba – tatusiowie i mamusie podarowali. Denerwowali mnie nawet swoim wzrostem. Boże, przecież ja z pewnością dlatego jestem taki krótkonogi, że w dzieciństwie ani razu nie najadłem się do syta białego chleba! Jadłem chleb z woreczka. My wszyscy, cała nasza rodzina, jedliśmy chleb z woreczków. Z brudnych, płóciennych woreczków. To dziadek tak wymyślił. Powiedział, że jemy więcej chleba niż on, że wszyscy go objadamy. Ojciec mu odpowiedział, że stary pasożyt i jego córka, pasożytki, i młody pasożyt, wszyscy siedzą mu na karku. A matka na to, żeby nas wszystkich puchlina wodna zadusiła. I uszyła ze starego, podartego prześcierała cztery woreczki – dziadkowi, ojcu, sobie i mnie. Chleb był dzielony i chowany do woreczków, i każdy zawiązywał swój woreczek na sobie tylko znany węzeł, żeby inni nie podbierali. No cóż, wydawałoby się, że to wszystko. Podział Europy dokonany? Ale skąd – co dzień od nowa zaczynały się kłótnie – komu należy się miąższ, a komu skórka, czyja kolej na zebranie okruchów. Niech to diabli!

Tak, wszystko jedno, co będzie, ale ja powinienem pojechać do Okonia, pobałakać z nim o moim życiu. Chociaż nie jest już adwokatem, ale każdemu obrońcy może dać sto punktów forów. I w sprawach zasadniczych nie mam z kim innym porozmawiać. Mądry człowiek, nie ma co mówić. Ale też, orzeł, wpadł przez baby. Przecież jako obrońca miał duży autorytet, zarabiał tyle, że daj Boże każdemu! Ale baby lubił nieludzko, bez nich nie było dla niego życia. Wszystkie pieniądze na nie przepuszczał, harował jak wół, zawsze w kilku procesach naraz siedział, a pieniędzy ciągle mu nie starczało. Albo temperament miał większy od zarobków, albo trafiał na takie nienasycone baby. Sam siebie nazywał „perpetuum kobyle”. Krótko mówiąc, wplątał się w brudną sprawę. Krewnym oskarżonego, którego bronił, powiedział, że ma dojście do sędziego, ale trzeba będzie porządnie posmarować, i wtedy

wyleci ich sokół umiłowany na wolność. Szczegółów nie znam, wiem tylko, że wszystko wyszło na jaw, dlatego że każde łajno, choćby nie wiem jak się je topiło, zasypywało kamieniami, i tak gdzieś w końcu wypłynie na wierzch. Oczywiście wszczęto w tej sprawie postępowanie, zaczęli wszystko wygrzebywać, ale albo pieniędzy nie zdążył wziąć, albo nie byli w stanie udowodnić, tak że Okoń wykręcił się jakoś od mamra, ale wyrzucili go z adwokatury. Nie moja sprawa go sądzić, zostaliśmy przyjaciółmi, a on systematycznie, za niewielkie pieniądze, udziela mi różnych praktycznych porad.

Dopiłem kawę, zjadłem lody z plasterkami ananasa i poprosiłem blondyneczkę Raję, żeby mi jeszcze dała butelkę koniaku na wynos. Zostawiłem jej prawie trójkę napiwku, ale ona odliczyła mi ze swojej portmonetki dwa ruble i siedemdziesiąt sześć kopiejek reszty i odeszła bez słowa. No cóż, fakt niezbity: proletariacka solidarność to nie są czcze słowa! Kelnerzy wszystkich krajów zbliżajcie się, żeńcie, rozmnażajcie!

Rozdział trzynasty

Noc inspektora Tichonowa

Wszedłem do swojego pokoju i zobaczyłem, że wieczorny zmrok ścięło się po kątach jak mgła. Zachód nad miastem dopalił się i niewidoczne już słońce ogrzewało od dołu liliowobłękitne lekkie obłoki, i odbite od nich światło barwiło wszystko w na wpół ciemnym pokoju rozmytą akwarelą. Nie było widać bałaganu, kurzu, przetartego obicia na fotelu, zaniedbania panującego w pokoju i tylko niezwykle przydymiony półmrok pływał po nim zamazując granice, ścierając wszystko, co nieprzyjemne i brzyd-

kie. W tej krótkiej chwili pokój był podobny do bajkowego akwariumu, pełnego gasnącej, srebrzystej poświaty i przezrzystej ciszy. Cisza ta była zamknięta, nie łączyła się ze światem, jak dzwon powietrzny pod wodą, i gdy za oknem, w szkole imienia sióstr Gniesin, ktoś delikatnie wygrywał na fortepianie gamy, te drżące dźwięki uderzały o ścianki mojej ciszy, nie będąc w stanie przeniknąć do niej, zachwiać czy uszkodzić. Dlatego też od razu odlatywały w górę, ku liliowym lekkim obłokom, i odpływały wraz z nimi daleko, za horyzont, na zawsze...

Nie robierając się usiadłem na krześle, rzuciłem na stół paczkę kołdunów z mięsem, opakowanie z „mikojanowskimi” kotletami i przypomniałem sobie, że nie kupiłem chleba. Rozzłościłem się na siebie, gdyż, jak długo pamiętam, nigdy nie miałem w domu świeżego chleba. Zawsze zapominałem go kupić i w kredensie leżały zwykle tylko stare, zapleśniałe skórki. Jeść też mi się odechciało, byłem w parszywym nastroju i ten dogorywający wieczór zupełnie mnie dobił. Nie miałem siły, żeby się ruszyć, i długo siedziałem przy stole, z tępym uporem wpatrując się w etykietkę syberyjskich kołdunów, nie rozumiejąc liter, jak gdyby składniki, sposób przyrządzania, nazwa artykułu i cena napisane były pismem klinowym. Potem wstałem i znów zapomniałem, co miałem zrobić, położyłem się po prostu na tapczanie i długo leżałem, dopóki wieczór nie dopalił się na ulicy i pokój zalała ciemność. Myśli moje chwiały się, zataczały, padały, jak pijany na nierównej drodze, nie pozwalając mi w żaden sposób zasnąć. Wydawało mi się, że ostatecznie przegrałem swoją partię z Batonem, że przegrałem ją jeszcze przed rozpoczęciem gry, tylko po prostu wcześniej o tym nie wiedziałem. Przypomniały mi się dawno przeczytane, prawie zupełnie zapomniane wiersze Rilkego o panterze wychowanej w klatce, panterze, która nie znała wolności i uważała, że wydzielony dla niej kawałek klatki jest wolnością, a cały świat za

kratami to niewola. Czyżby wolność Batona była za kratkami? Ale przecież on nie chciał iść do więzienia i walczył do upadłego.

Zadzwoił telefon. Aparat stał na stoliku obok tapczanu i widziałem go dobrze w ciemności – mały, garbaty, zły – dzwonił uparcie i przenikliwie, aż mi się znudziło i podniosłem słuchawkę.

– Staś? Staś, co? Witaj!

Dzwoniła Lena. Dawno nie słyszałem jej głosu w telefonie i nie mogłem pojąć, dlaczego teraz mnie odszukała. Dowiedziała się od mojej matki, że jeśli nie mam służby, to powinienem być tutaj. Lena powiedziała, że matka ma do mnie żal, że poświęcam jej za mało uwagi.

– To, oczywiście, nie moja sprawa, ale, moim zdaniem, postępujesz niesłusznie...

– Ja, oczywiście, postępuję niesłusznie, ale, moim zdaniem, to nie twoja sprawa – odpowiedziałem.

Miałem wszystkiego dosyć. Nie można uczyć życia dorosłych ludzi, jeśli nie ma się ochoty dzielić z nimi brzemienia altruistycznej tyranii. Luda-Ludeczka-Miła nie robiłaby tego. Ale ja przecież kochałem Lenę i ona o tym wiedziała. Sama mnie nie kochała, dlatego też mogła pouczać. Na ulicy wygasł błękitny kwietniowy wieczór, Baton pewnie wesoło ucztował z przyjaciółmi, opowiadając, jaki ze mnie szczeniak i smarkacz, krzyż powieszzonego generała leżał niemy na półce w sejfie, a ja rozmyślałem o wolności ograniczonej klatką. Tak chciałem, żeby Lena nagle, ni z tego, ni z owego, powiedziała mi coś, co sprawiłoby, że mknę po ścianie, a tęsknota do filcowych kapci ustąpiłaby, jak żal dziecka po zjedzonym lizaku. Pewnie wszystkie wypuszczone z butelek dżinny są samotne i potrzebują miłości i oparcia bardziej niż ktokolwiek inny. Te dżinny – to stworzenia małoduszne, gdyż ich dusza – to para. A być może, słowa też by nie pomogły, bo słowa w ogóle mają niską wartość. Cenę mają tylko nasze uczynki.

– No, nie gniewaj się, Stasiu. Tym bardziej że mam do ciebie prośbę.

Przysłuchiwałem się jej uważnie, ale nic nie rozumiałem, pewnie dlatego, że przez cały czas myślałem jeszcze o czymś innym. Jakiś plastik z jej wydawnictwa podpisał sobie, pokłócił się z kimś na ulicy, doszło do bójki i zatrzymała go milicja.

– No i co?

– Teraz z milicji wyślą do miejsca pracy pismo i będzie miał nieprzyjemności. Czy nie mógłbyś pogadać tam z kimś, żeby nie wysyłali pisma? Przecież nic strasznego się nie stało, ot, zwyczajna sprawa. A chłopak z niego dobry...

Zwyczajna sprawa. A chłopak z niego dobry. Ze mnie też dobry chłopak. I kocham ją. Nic strasznego się nie stało, można zadzwonić do mnie w kilka lat po wszystkim, co było, i poprosić o jakąś drobną uprzejmość. Przecież ja mogę pogadać tam w milicji, żeby nie wysyłali pisma. Oni mnie tam, w milicji, na pewno szanują, bo nie upijam się i nie wszczynam bójek na ulicy. I nastrój mam akurat świetny do spełniania takich próśb, a jeśli nawet nie mam nastroju, to i tak nie jest to specjalnie ważne, dlatego że zainteresowanie moją pracą zawsze jest znacznie większe niż zainteresowanie moją osobą, skromnego bohatera w szarym czy niebieskim mundurze.

Jej niski, matowy głos życzliwie i z nutką prośby wydobywał się ze słuchawki, a ja leżałem, zamknąwszy oczy w ciemności, żeby nie widzieć rozplywającej się, garbatej sylwetki telefonu, z którego dochodziły jej słowa. Długo leżałem i myślałem, że ta rozmowa to ostatni epizod dzisiejszego ciężkiego i upokarzającego dnia, a głos jej trzepotał jak czarna ćma. Nie rozumiałem nic, oprócz tego, że koniecznie trzeba pomóc temu fajnemu chłopakowi i że zrobić mogę to tylko ja, bo ona wie, że ja nigdy jej nie odmawiałem, a ból stawał się nieznośny, jak gdyby powoli ktoś mnie przepiłowywał tępą piłą. Odsunąłem słuchawkę

od ucha, ale jej głos był wyraźnie słyszalny w ciszy pokoju, słyhać go było przez cały czas, kiedy powoli oddalałem słuchawkę w kierunku garbu zjeżonego aparatu, i urwał się nagle, gdy słuchawka opadła na widełki. Telefon cicho zadzwieczał i jej głos przestał istnieć.

Po krótkiej chwili zadzwonił znowu, jeszcze raz i jeszcze, dzwonił ze złością, grzmiał, żądał, abym podniósł słuchawkę i wysłuchał, że przyzwoici ludzie tak się nie zachowują. A ja nagle zorientowałem się, że leżę na tapczanie w płaszczu, którego nie zdjąłem, i że bardzo boli mnie bok od ucisku pistoletu. Wstałem, rzuciłem płaszcz na krzesło, odpiąłem kaburę i włożyłem pistolet pod poduszkę. Telefon dzwonił, a ja rozbierałem się mruczając, że ja też jestem dobry chłopak i chciałbym, żeby ktoś prosił, aby nie wysyłano pisma o tym, jak się upijam i biję na ulicy. Telefon wciąż dzwonił, a ja się rozbierałem nie zapalając światła, znalazłem w szafce dwie tabletki nasenne, popiłem je zatechłą, niesmaczną wodą z karafki i położyłem się. Telefon wreszcie umilkł. Bardzo chciałem zasnąć, ale sen nie przychodził, a cisza była tak gęsta, że gorączkowe tykanie zegarka wycinało w niej dziurki jak perforację w taśmie.

...Chodzę wokół klatki, oddzielonej ode mnie dodatkowo głębokim rowem. W kącie klatki obok miski i karafki z niesmaczną, nieświeżą wodą leży coś, zwinięte w kłębek. Bardzo chcę obejrzeć to zwierzę, ale prawie go nie widac, z wyjątkiem silnego, cętkowanego grzbietu, a ja nie wiem, jak je zawołać. Zwierzę jest duże – nie można na nie ani zagwizdać, ani szepnąć „kici-kici”. Ale ono nie wstaje, a ja nie mogę odejść, bo koniecznie muszę je obejrzeć. Za przegrodą z desek w tylnej części klatki rozlegają się kroki. Cieszę się bardzo – z pewnością idzie pracownik ogrodu zoologicznego, aby nakarmić zwierzę, i będę mógł się przyjrzeć mieszkańcowi klatki. Otwierają się malutkie drzwiczki i do klatki wchodzi Lena. Ale – nie wiadomo

czemu – wcale się o nią nie boję. Zwierzę też nie zwraca na nią uwagi. Ona podchodzi do ogrodzenia klatki i mówi do mnie: „Postanowiłam zrobić ci niespodziankę. Nie chce mi się więcej redagować książek. To nieciekawe – przecież nigdy nie widziałam żywych piratów. Będę tresować zwierzęta. Przecież umiem to robić. Pamiętasz, jak postanowiłam malować?”

Tak, oczywiście, pamiętam. Przyszedł kiedyś i powiedział, że kupił sztalugi, blejtram i farby. Że podoba ci się malowanie farbą olejną i że zostaniesz malarką. A ja zdziwiłem się i stwierdziłem, że przecież z pewnością to jest trudne, że trzeba to umieć, że trzeba się tego uczyć. Ty zaśmiałaś się i powiedziałaś, że moje powołanie życiowe to być uczniem. Obraziłem się wtedy, a teraz z pewnością nie wydałoby mi się to takie obraźliwe. Obraz namalowałaś zadziwiający, do niczego niepodobny, a zarazem składający się, jak mozaika, z fragmentów już kiedyś widzianych przeze mnie rysunków. Obraz ten do dziś wisi u mnie w pokoju, taki jasny, wesoły i niepoważny, że można go oglądać nawet po ciemku. Farby wyschły, sztalugi Lena komuś podarowała i nikt oprócz mnie nie pamięta, że postanowiła zostać malarką. Ale przecież tresować zwierzęta też trzeba umieć...

Lena zaśmiała się i powiedziała: „Nie, tu – na wolności – one tresują się same. Trzeba tylko znaleźć do nich odpowiednie podejście...”

Dlaczego na wolności? Przecież ona jest z tym zwierzęciem w klatce. Lena zaśmiała się znowu: „Nie, to ty jesteś ogrodzony klatką. Ona jest niezmiernie wielka dla ciebie, samotnego, malutkiego dzinna. To tylko pasji twoich dużo, a sił – niewiele... Ale jesteś dobry chłopak, zwyczajny, niezauważalny bohater w szarym mundurze. Szkoda tylko, że zainteresowanie twoją osobą jest takie małe...”

Krzyknąłem wtedy: „Ale przecież ty sama mówiłaś, że Waszyngton był kiedyś majorem milicji!” Wzruszyła tylko

ramionami i roześmiała się. Mój krzyk obudził zwierzę, które wstało, przeciągnęło się, i zobaczyłem, że jest to ogromna pantera. Zaniepokoiłem się bardzo o Lenę, ale pantera podeszła do niej i zaczęła ocierać się o jej nogi, mruczając basem. „No widzisz – powiedziała Lena – idzie tylko o ocenę dowodów. Zatuszowałibyście sprawę walizki, a on pomógłby wam znaleźć Włocha...” W tym momencie ze zgrozą zobaczyłem, że pantera ma twarz Batona. Baton polizał Lenę w policzek i mruknął: „Nie, to nie ten sam szczeniak. Zupełnie inny...” – i zaśmiał się szyderczo. Lena trzepnęła go ręką po grubym karku, aż zamrugał ze strachu, i powiedziała: „Ty tego nie rozumiesz. Gdyby on był bokserem, to zostałby dożywotnim mistrzem”. Baton-pantera uśmiechnął się paskudnie: „Ja jego za to nie potępiam, ale, szczerze mówiąc, bardzo nie lubię”.

Ale przecież on nie mnie, tylko Szarapowa nie lubi. Obejrzałem się i zobaczyłem, że ścieżką w moim kierunku, nie spiesząc się, idzie zgarbiony Szarapow i patrzy na nas z ciekawością przez swoje okulary. Bardzo się z tego ucieszyłem, ponieważ wiedziałem dobrze, że właśnie tę twarz widziałem w poźółkłej teczce, poniewierającej się w uniwersyteckim archiwum, że to on nosił mnie na rękach, głośno podśpiewując. A co z ojcem? Coś mi się wszystko poplątało...

Pobiegłem mu naprzeciw, a on wziął mnie za rękę i poprowadził na powrót do klatki. Poczułem radość i spokój dotykając ciepłej, szerokiej, chropowatej dłoni, jak gdyby prowadził mnie – zupełnie małego – po raz pierwszy do szkoły. A on mówił do mnie: „My nie wygrywamy na punkty. Nie mamy nic oprócz pracy. Mam nadzieję, że nie potępiasz mnie za to”. Baton zobaczył Szarapowa i krzyknął piskliwie: „A co z rzeczami?” Szarapow popatrzył na niego i wcale się nie zdziwił. „Po co ci rzeczy? Przecież jesteś panterą i masz wolność niewoli...” W oczach Batona zastygły wielkie krople łez. „My się nawzajem wyklucza-

my” – powiedział i uciekł w kąt klatki, gdzie stała miska i karafka z nieświeżą wodą. A Leny już nie było w klatce...

Ocknąłem się, jak gdybym wynurzył się z zatechłej, czarnej toni, i długo, głęboko oddychałem, nie mogąc uspokoić ciężkiego, nierównomiernego bicia serca.

Pokój zalewało przymglone światło księżyca i jego odblaski wydobywały z ciemności fragment obrazu Leny – słoneczniki, zielonożółte, wielkie, przepiękne jak tropikalne palmy. Po środku nasennym głucho szumiało mi w głowie i miałem sucho w ustach. Zachciało mi się jeść. Zrozumiałem, że już nie uda mi się zasnąć, poleżałem jeszcze trochę, podniosłem wysoko rękę, tak żeby zegarek znalazł się w smudze księżycowego światła. Pół do trzeciej. Wstałem, ubrałem się, potrzymałem przez chwilę w ręku pistolet, potem z powrotem włożyłem go pod poduszkę, na palcach przeszedłem po korytarzu i cicho przymknąłem za sobą drzwi wejściowe.

Na ulicy było bardzo ładnie, jasno i chłodno. Podniosłem kołnierz płaszcza, ręce wsunąłem głęboko w kieszenie i cichymi, krzywymi uliczkami Arbatu poszedłem w kierunku prospektu Kalinina. Księżyc prześlizgiwał się po dachach wieżowców, niebo było ciemnogrnatowe, pokryte pasmami niewielkich chmur. Niedźwiedzica zwisała głową w dół, sygnalizatory świetlne bezdźwięcznie zapalały się pasową czerwienią, a gdy ta stawała się nieznośnie jasna, światło jak gdyby pękało, a na jego miejsce pojawiała się zieleń, łagodna, przyzywająca, uspokajająca. Rzęciowe latarnie o liliowym blasku odbijały się w ogromnych szybach witryn i wydawało się, że w pustych sklepach i kawiarniach nocuje mnóstwo małych księżyców. Z wystaw salonu jubilerskiego „Malachitowa Szkatułka” patrzyły na mnie eleganckie, nieładne kobiety, obwieszane biżuterią i wszystko w nich było nieprawdziwe – i biżuteria, i zastygłe fotograficzne uśmiechy, i sama zachęta, aby kupować biżuterię. Prawdziwa była tylko ich samotność

w pustynnej, nie kończącej się ulicy, silna jak przeznaczenie niemożność pokonania stumetrowej odległości do witryn kina, gdzie czekali podobnie zamarli papierowi bohaterowie filmów, dziarscy, nie znający lęku, mogący zrobić wszystko, z wyjątkiem jednego – przejścia stu metrów wzdłuż ulicy, aby złagodzić swoją nocną samotność choćby towarzystwem właściolek nieprawdziwych klejnotów. Na całej ulicy byliśmy tylko my: damy we wspaniałej biżuterii, dzielni bohaterowie filmowi i ja. Doprawdy, nie wiem dlaczego, rozweseliło mnie to. Podszedłem do witryny i powiedziałem do eleganckiej damy-manekina:

– Jeśli chce pani przekazać coś bohaterom filmowym, proszę mi powiedzieć. Niczego nie zapomnę i powtórzę im słowo w słowo. Proszę się nie krępować – oprócz nas nikogo tu nie ma.

Manekin patrzył obok mnie jak urzeczony, uśmiechając się nieprawdziwym uśmiechem. Postąłem jeszcze chwilę i powiedziałem: – Cóż, jak pani uważa. Po prostu przekazę pozdrowienia...

Nie wiem, czy mi się przywidziało, czy też rzeczywiście odpowiedziała, ale zobaczyłem, że kobieta skinęła głową, tak że nawet poruszyła się na niej biżuteria.

Po równych, kwadratowych płytach chodnika szybko poszedłem w kierunku kina, wbiegłem na schodki, zbliżyłem się do plakatu i zawołałem do Aloszy Batałowa:

– Ma pan pozdrowienia od kobiety! Ona reklamuje nieprawdziwą biżuterię, ale jest bardzo dobra! I bardzo samotna! Jest zupełnie sama na całej ogromnej ulicy. Można przekazać jej pozdrowienia od pana? Na pewno będzie jej przyjemnie...

Uprzejmy uśmiech grubych warg zdołał twarz aktora i zapomniałem, że to tylko plakat, tyle dobroci było w jego twarzy. Obróciłem się i pobiegłem z powrotem do „Malachitowej Szkatułki”. Ale w ciągu tych kilku minut nocny stróż wyłączył oświetlenie wystawy sklepu i twarz kobiety

stała się prawie niewidoczna, tylko światło latarni ulicznej, zmieszane z przydymioną poświatą księżycą, wydobywało z ciemności część jej szyi ozdobionej nieprawdziwymi klejnotami. Zapukałem palcami w szybę i powiedziałem cicho:

– On także prosił, żeby przekazać pani pozdrowienia – odwróciwszy się, poszedłem czystym białym chodnikiem do Sadowego Kolca, w dół przez Nowiński zjazd do rzeki Moskwy, potem Dorogomiłowką do Dworca Kijowskiego, gdzie było dużo ludzi, jeździły taksówki i panował zwykły ruch. W bufecie przysiadłem się do stolika zajętego przez jakiegoś nie ogolonego, tęgiego faceta. Był podchmielony i bardzo dobroduszny.

– Żreć ci się chce, synku – stwierdził z pewnością w głosie.

– Jak pan to odgadł? – zdziwiłem się.

– Po oczach – zaśmiał się. – Idź, przynieś piwka, a ja cię czymś tu poczęstuję.

Piwo pieniało się w kuflach, piana osiadła na ściankach, a nieznajomy wyciągnął z worka spod stołu gruby kawał różowej słoniny, owiniętej gazetą, kilka dorodnych cebul i napoczęty bochenek ciepłego żytniego chleba.

– Dostaniesz takie kanapki w bufecie? – pytał mnie i sam sobie odpowiadał. – Nigdy w życiu!

Potem chytrze zmrużył oczy.

– A jak postawię, wypijesz?

Odpowiedziałem:

– Przy takiej zakąsce grzech odmawiać. Ale chyba nie można, co? Jak milicjant zobaczy, na pewno się przyczepi.

– Co tam milicjant. Przyczepia się do tych, co robią szum albo chuliganią. A my siedzimy cicho, spokojnie...

– Na pewno się nie przyczepi – powiedziałem z powagą.

Wyciągnął z worka pękata butelkę wódki i rozlał do szklanek.

– Za co wypijemy? – zapytałem.

– A co za różnica? Żeby tylko nastrój był...

– O, nie – zaprotestowałem. – To coś w rodzaju znaku szacunku. Albo rytuał oddania malutkich honorów. Wypijemy za pana...

Mężczyzna ze śmiechu aż pokręcił głową.

– Ech, cudacznie mówisz. No dobra, jesteś, widać, człowiek uczony, wiesz lepiej. Niech będzie za mnie...

Ciepło od wódki zalało mnie jak powódź, jedliśmy aromatyczny chleb z różową słoniną, chrzęściła cebula, której całe główki zanurzaliśmy w soli. Piwo było smaczne, świeże, wokół było dużo ludzi, nie było nocy i samotności. Mój nowy znajomy śmiesznie okazując tłumaczył mi, jak „teraz ciężko z łupkiem, a o żelaznej blasze nawet nie warto mówić, bo teraz wszyscy chcą mieszkać w nowych domach...”, i był mi ten człowiek niezwykle drogi, zapisałem mu na kartce swój telefon i adres i prosiłem, żeby podczas następnego przyjazdu do Moskwy koniecznie zamieszkał u mnie. Zgadaliśmy się we wszystkim – chwaliśmy raki, wymyślaliśmy na Moskiewską Radę Miejską, twardo zdecydowaliśmy, że nie będziemy się żenić, byliśmy bardzo zadowoleni z tego, że on ma synów, a nie córki, i całe życie stało się lekkie i przyjemne. Na pożegnanie ucałowaliśmy się. Wracając do domu już przy rodzącym się świcie, trochę się chwiałem od wypitej wódki, a także od uczucia wolności i pustki, które wreszcie nadeszło, od mocnego przeświadczenia, że Batona – zgodnie ze słowami mojego nowego przyjaciela – jeszcze „ukontentuję”, a baby nie są warte, żeby przez nie gryźć się w życiu. Kiedy doszedłem do siebie na ulicę Worowskiego, słońce już wstawało.

W pokoju było jasno i niezwykle słoneczniki-palmy z obrazu Leny przygasły. Zrzuciłem z siebie płaszcz, szybko się rozebrałem, położyłem do łóżka i zamknąłem oczy. I wtedy znów ujrzałem nieładną, surową twarz kobiety z nieprawdziwymi klejnotami, nieznaną osobę na pustyn-

nej ulicy, która uwolniła mnie dziś od samotności. Skinęła mi głową i zasnęła.

Rozdział czternasty

Złota rybka złodzieja Dieduszkinina

Na ulicy było znacznie chłodniej. Nocny błękit rozcinały pasma jaskrawego ognia. Naprzeciw hotelu „Moskwa” i na Historycznym przejeździe robotnicy drogowi malowali na asfalcie długie pasy – wyznaczali miejsca przejść pochodzących z pierwszomajowego. W swoich pomarańczowych kaftanach przypominali rozrzucone na ulicy wielkie pomarańcze. Przed wejściem do restauracji „Nacjonał” zahamował ogromny błyszczący autokar, z przednią szybą wielką jak w samolocie. Z autokaru wysypała się grupa cudzoziemców. Wszyscy byli podobni do siebie, i faceci i ich napuszone, cienkonogie żony. Oczywiście cudzoziemcy to dla mnie świetna klientela, ale nie dzisiaj. Podjechała taksówka, wyfrunęła z niej jakaś parka i skierowała się do restauracji. W samochodzie zapaliło się zielone oczko. Otworzyłem drzwi.

- Jedziemy?
- Lecimy. Dokąd?
- Czertanowo. Gdzie diabeł mówi dobranoc...

Ruch na ulicach już zmalował, taksówkarz prowadził wóz równo i szybko. Z tylnego siedzenia w długiej ramce lusterka widziałem jego skupioną chmurną twarz. Kiedy się zaciągał, żar na końcu jego papierosa rozjaśniał się oświetlając wąskie, spierzchnięte wargi i szarą, szczeci-niastą skórę twarzy.

Wysiadłem przy ulicy Krasnyj Majak. Pochodziłem między nowymi blokami. Wszystkie domy były tutaj nowe i nieliczni przechodnie nie umieli mi wskazać numeru dziewiątego. Co prawda, nie miałem całkowitej pewności, że szukam dziewiątego, ale wydawało mi się, że Okoń mieszka pod tym właśnie numerem. Sprawdzić i tak nie mogłem – nigdy w życiu nie miałem notesu. Pamięć mam dobrą i wszystko, co trzeba, zapamiętuję. A jeśli coś zapominam, to znaczy, że los chciał, abym nie pamiętał. Mnóstwo ludzi spaliło się przez to: wpadali na jakimś głupstwie, ale milicja dobrze wie, jak wykorzystywać notesy. Przecież notes to coś w rodzaju niewodu, który ludzie ciągną ze sobą przez życie. Jest w nim i muł, i wodorosty, i kijanki, i jazgarze, i płotki, a zręczną ręką można wyciągnąć stąd i szczupaka. Dom Okonia zapamiętałem dobrze. Gdy zadzwoniłem do mieszkania na piątym piętrze, z głębi rozległ się natychmiast jego ostry, przenikliwy głos:

– Idę, idę, kochanie! Już otwieram, moja jaskółeczko!

Otworzył drzwi i na jego twarzy, jak gdyby odcisnięty pieczęcią, pojawił się wyraz przykrego zaskoczenia.

– Aha, rybka Okoń zasmucona, że zamiast jaskółeczki na kolację dostała starego, zębatego kundla – powiedziałem surowo i Okoń uśmiechnął się z przymusem.

– Wchodź. Cieszę się, że cię widzę.

W przedpokoju zdjąłem płaszcz, wyciągnąłem koniak z kieszeni i podałem Okoniowi. Zsunął okulary na czoło i mrużąc oczy przyjrzał się etykietce.

– Armeński, „Wyborowy” – chrząknął z zadowoleniem.

– Dobrze żyjesz, Baton, elegancko...

– Z urzędu nie wypada mi inaczej.

– Nie mów – niewesoło uśmiechnął się Okoń. – Nasze urzędy są teraz niezwykle wysokie.

Poszliśmy do kuchni.

Wszędzie panował nieporządek i brud. W ogóle miesz-

kanie było niewielkie, nieprzytulne, zagracone jak magazyn ogromną ilością różnorodnych mebli.

Okoń krzątał się koło jakiejś prostej zakąski, wyciągał z szafki szklanki, zmiatał ze stołu okruchy. Robił to wszystko szybko i sprawnie. Siedziałem w kącie na taborecie, paliłem papierosa i patrzyłem na niego. Oczywiście nie dla mnie wbił się w modny dopasowany garniturek, liliową koszulę i kolorowy krawat. Ale jaskółeczka spóźniała się i mogłem zamiast niej ocenić całą elegancję modnego Okonia. Muszę powiedzieć, że gdybym był na miejscu dziewczyny, na pewno spodobałby mi się taki piękny mężczyzna. Spod kusej marynarki sterczał potężny, muskularny tyłek, zaokrąglony jak wielbłądzi garb. Grube podrygujące uda, pełna piers – mężczyzna z krwi i kości. Okoń mógł mieć tylko jeden defekt – brak pieniędzy. Ale i tak był mądrym człowiekiem.

– Okazuje się, że nie ma kieliszków – powiedział.

– A co, nie wiedziałeś o tym?

– Nie. Wydawało mi się, że były.

– Kłamiesz, Okoń. Nigdy w życiu nie miałeś kieliszków.

– A to dlaczego? – zapytał z urazą.

– Dlatego że baba łatwiej upija się ze szklanki. A pijanej babie mięknie charakter. No i wtedy daj się namówić...

– Trudno powiedzieć – odezwał się wymijająco.

Nalał do nie umytych szklanek po herbacie, popatrzył na butelkę pod światło. Zostało około jednej trzeciej zawartości.

– Trochę później – powiedział – ma wpaść do mnie jedna panienska. Zostawmy dla niej, co? Z moich zarobków „Wyborowego” teraz nie kupię.

– Dobra, zostawmy.

– Świetnie. Na nas i tak wypadnie po sto sześćdziesiąt gramów na głowę.

Trąciliśmy się szklankami.

Za co? – spytałem.

– Ech, Baton, za co możemy pić? Daj nam, Boże, wolność, a resztę to już jakoś sami skombinujemy.

Wypiliśmy, a ja pomyślałem, że czas i życie zlikwidowały między nami ostatnie bariery, że siedzimy razem w jednym kotle i że on nie jest już żadnym prawnikiem, tylko takim samym jak ja, oderwanym na zawsze od wszystkich przestępca, chociaż nikt go nie ściga, nie wysyła za nim „cieni” ani nie żąda zobowiązania do nieopuszczania miejsca pobytu. To wszystko zależy od samooceny sytuacji, od pozycji, jaką się wybiera. No, gdyby na przykład w wyniku jakiegoś nieporozumienia samego Szarapowa wsadzili do celi, to nawet tam starałby się wychowywać mnie, a Tichonow, siedząc na sąsiedniej pryczy, też by mi dowodził, że kraść nie można. A Okoń, któremu nawet nie wytoczono procesu, usiadł obok mnie na pryczy, bo sam tam wyznaczył sobie miejsce i jako człowiek rozumny wie, że teraz jesteśmy razem i w więzieniu, i tutaj, u niego w kuchni.

Podał mi pęczek szczypioru.

– Jedz, jedz, w tym jest dużo witamin.

– To coś nowego – cebula do koniaku.

– Zamów kawior – uśmiechnął się Okoń. – No więc co u ciebie?

– Podpadłem troszeczkę... Nie wiem, co robić.

– W takich przypadkach, tak samo zresztą, jak i we wszystkich pozostałych, Tuzenbach mawiał – trzeba pracować, pracować, pracować!

– Nie znam twojego Tuzenbacha, ale pracować nie będę.

– On nie jest mój, tylko Czechowa. A pracować będziesz.

– A to dlaczego? Znasz mnie – „wiązać” nie mam zamiaru.

– Będziesz musiał i zaczniesz pracować. – Okoń podniósł okulary na czoło, twarz jego przybrała wyraz zagnębienia i głupoty, a on jak gdyby to czując, opuścił okulary

na miejsce. – Nie masz wyjścia, Baton. Musisz „wiązać”. Nic tu nie poradzisz, to obiektywny rezultat społeczno-historycznego procesu.

Łyknąłem koniaku i zapytałem niegłówno:

– Co ty mnie grzebiesz? Przecież jeszcze się ruszam.

– Oczywiście, ruszasz się, ale bardzo słabo. Popatrz na swoich koleśków, a zrozumiesz, że mam rację.

– W czym masz rację? Co to, wszyscy już skończyli?

– Nie mówię o tym. Mam na myśli coś innego – ginie twoja specjalność i do tego dość szybko. Czy znasz chociażby jednego pajęczarza? Albo dobrego doliniarza?

– No i co? To prawda, rozpędzili tę hołotę. Ale to znaczy, że mi samemu wygodniej pracować, nikt nie będzie się pętał pod nogami.

Okoń roześmiał się swoim przenikliwym, trochę piszczącym śmiechem.

– To znaczy, uważasz, że oni ci przygotowali front robót?

– Nie wiem, ale w każdym razie na to wychodzi.

Okoń poprawił okulary, pokręcił kudłatą głową.

– Nie, nie wychodzi. Jeśli się nie usuniesz, zlikwidują cię. Całkowicie. – Powiedział to z jakąś twardą goryczą, przekonaniem, bez żadnych wątpliwości, jak gdyby nie był moim byłym obrońcą, obecnie kumplem i doradcą, ale prokuratorem generalnym, obywatelem Rudenką. Zrobiło mi się jakos nieswojo. Może wypilem troszkę za dużo koniaku. Zapytałem:

– Ale dlaczego akurat mnie?

– Ciebie, Bakumę, wszystkich pozostałych...

– A co się stało? Jest jakieś nowe zarządzenie?

– Jest. Postanowienie, żeby nasze społeczeństwo dążyło do komunizmu. A tam nie ma dla ciebie miejsca.

– Przypuśćmy. Ale mam dwa pytania. Po pierwsze, oni od samego początku dążą do komunizmu i zupełnie mi to nie przeszkadzało. Dlaczego teraz mają mnie likwidować?

I drugie, czy jest dla ciebie miejsce w komunizmie?

– Odpowiadam według kolejności pytań – znowu zaśmiał się przenikliwie. – Droga do komunizmu to bardzo długie i trudne przedsięwzięcie i obok określonych zasad moralnych wymaga niezbędnych przesłanek ekonomicznych. Z punktu widzenia ich moralności i ideologii już wcześniej byłeś zjawiskiem mocno reakcyjnym i w miarę swoich możliwości walczyli z tobą. Ale, po pierwsze, było was bardzo dużo, a po drugie, wasz problem odsuwały na dalszy plan tysiące innych, bardziej palących zagadnień. Teraz was jest znacznie mniej, natomiast państwo dysponuje nieporównanie większymi rezerwami materialnymi i potencjałem ludzkim, żeby wykończyć was ostatecznie. Zagadnienie to już jest realizowane...

– Zrozumiałem. A co z drugim pytaniem?

– Co do mojego miejsca w komunizmie? O komunizmie nic nie wiem, ale myślę, że na cały końcowy okres budowy socjalizmu znajdzie się dla mnie jakieś spokojne miejsce.

– A to dlaczego? Wyjaśnij mi, w czym jesteś ode mnie lepszy.

Okoń zachichotał cienko, piskliwie, klepiąc się po swojej wspaniałej piersi, aż mu od tego śmiechu zapotniały szkła okularów. Przetarł je palcem.

– Ho, ho, okazuje się, że ambicja w tobie zagrała. No więc przyjmij do wiadomości, że wcale nie jestem od ciebie lepszy. Jestem od ciebie gorszy, o wiele – słyszysz – o wiele gorszy!

– No więc dlaczego dla ciebie miejsce się znajdzie, a dla mnie nie?

– Dlatego, że oni – ONI – nie wiedzą o tym. Ja się różnię od ciebie tym, że twoje zachowanie w społeczeństwie ma nieznośnie zuchwały charakter. Ty przypominasz śmietnik na głównej ulicy... Ja nie jestem takim śmietnikiem, tylko schludnym pojemnikiem na odpadki, i nie stoję na prospekcie Kalinina, tylko na podwórzu domu przy za-

pomnianej przez wszystkich uliczce. Rozumiesz, żyjemy w humanitarnym społeczeństwie, a prawa strzegą tego humanitaryzmu. Ja korzystam z tych praw, a ty je systematycznie i z premedytacją łamiesz.

– Z czego ty tak korzystasz?

– W prawie karnym Imperium-Rosyjskiego była instytucja podejrzewania. Na przykład w takiej historii, jaka mi się przytrafiła, gdyby nie zdołali dowieść mojej winy, a nie chcieliby uniewinnić, to wydaliby wyrok: „Podejrzewać dożywotnio!” I cześć. Istniało takie sympatyczne sformułowanie. To nie czterdziesty siódmy artykuł Kodeksu Pracy.

– No więc nie ma teraz takiego sformułowania. I co z tego masz? Z adwokatury cię przecież wyrzucili!

– Z adwokatury! Ale nie z życia! Co to, sam siebie nie wyżywię? Wyżywię, i smacznie, i do syta. Ale bez naruszania prawa, jest tysiąc sposobów na jego obejście.

– A twoje dziewczynki? Też je wyżywisz?

– Z dziewczynkami znacznie się pogorszyło, ale to nieuniknione konsekwencje każdego niepowodzenia. Zrobiłem głupstwo, a za nic nie płaci się tak drogo, jak za głupstwo. La Rochefoucauld już bardzo dawno powiedział, że najpewniejszy sposób, aby zostać oszukanym, to uważać się za sprytniejszego od innych. Zrobiłem błąd i trzeba za to płacić.

– No a ja?

– Ty jesteś mastodont. Dinozaur. Albo pterodaktyl. Zupełnie już wymierający gatunek ludzi, którzy zabierają cudzą własność i nie fatygują się ani trochę, żeby to tak jaskrawo nie rzucało się w oczy otoczeniu.

– No dobrze – umarłem. Jako zjawisko. Co byś zrobił na moim miejscu? Znajdź mi miejsce, dobre i spokojne.

– Zajmij się działalnością handlową. Radzieckim biznesem. Idź do spółdzielni, do sklepu, jadłodajni, usiądź w kiosku i naprawiaj wieczne pióra...

– I co?

Okoń uśmiechnął się, zjadł kanapkę z bakłażanowym kawiolem, przełknął i oblizał palce z bardzo krótkimi, jak gdyby przeciętymi na pół paznokciami i zaognionymi, poogryzanymi zadziorami.

– Nie rozumiesz czy udajesz głupiego? – zapytał.

– Nie rozumiem. A może chcę usłyszeć od ciebie. Opinia postronnej osoby może być bardziej przekonująca.

– No to posłuchaj. Jeżeli decydujesz się na taki krok, natychmiast bardzo dużo zyskujesz. Status społeczny. Rozumiesz?

– Nie bardzo.

– Ot, na przykład teraz nie kradniesz, nie sprzedajesz kradzionego towaru, tylko siedzisz jako gość u przyjaciela i rozmawiasz z nim o życiu. Ale mimo niewinności tego zajęcia twoje istnienie i tak jest bezprawne. Nigdzie nie pracujesz, nie masz stałego miejsca zamieszkania, żyjesz z zysków, na które nie zapracowałeś itd., itp. W tym społeczeństwie jesteś pasożytem, rozumiesz, nie próżniakiem, ale pasożytem. Innymi słowy – zjawiskiem wyjątkowo szkodliwym, zwłaszcza w aspekcie moralnym, jako że moralnym dogmatem naszego życia jest: „Kto nie pracuje, ten nie je”. A ty jesz i to – należy przypuszczać – nieźle, a teraz popijasz „Wyborowy”. Dlatego nie tylko milicjanci, ale i wszyscy szeregowi obywatele radzieccy, zaznajomiwszy się z twoją osobą, bardzo by chcieli wziąć cię pod paznokieć. I to na zawsze czyni z ciebie wroga społeczeństwa w ogóle i każdego z obywateli w szczególności.

Przerwałem mu.

– Okoń, ty chyba pomyliłeś się, wybierając specjalizację na studiach...

– Co?

– Powinieneś zostać nie adwokatem, ale prokuratorem.

– Prokuratorzy zawsze mniej zarabiali, a wymogi moralne w stosunku do nich są wyższe – uśmiechnął się Okoń.

– A więc, kontynuujemy. Co się stanie, gdy posłuchasz mojej rady, podejmiesz pracę i zaczniesz sprzedawać mięso, smażyć placki, robić spinki do włosów albo naprawiać długopisy? Otóż zostajesz pracującym. Uzyskujesz szanowany status społeczny uczciwego pracującego obywatela radzieckiego, ponieważ nieuczciwych pracujących obywateli radzieckich nie ma, a tylko spotyka się, jako wyjątki, pojedynczych wyrodków, nie szanujących czci człowieka pracy.

Zaśmiałem się.

– Gdybyś mi do tego statusu poszukał jeszcze człowieka, który by pracował za mnie, twoja teoria byłaby bezcenna...

– A nie wystarczą klucze do mieszkania, w którym są pieniądze i kosztowności?

Dopiłem koniak i powiedziałem:

– Ty mi tylko daj adres tego mieszkania, a ja już bez kluczy sobie poradzę. Ale mów dalej, bez dygresji.

– Dalej nie ma o czym mówić. Zajmujesz się społecznie pożyteczną pracą i z każdej zrobionej spinki, z każdego sprzedanego funta mięsa i usmażonego placka będziesz pracowicie zbierać swój zysk – dużo intratniej i spokojniej niż w tej chwili.

Pomyślałem, że pod pewnym względem ma oczywiście rację, ale zgodzić się z nim nie mogłem. W żaden sposób nie mogłem, choćby mnie rznęli na kawałki.

– Nie – odpowiedziałem. – Nie zgadzam się. Nic z tego. Nie będę zajmował się kantami.

– To twoja sprawa. Twoje życie, więc ty decyduj.

– Zrozum, Okoń, przecież jesteś mądry chłop, dużo potrafisz zrozumieć. Zrozumże mnie! Zaklinam się na wolność, na całe życie, że gdybym mógł, „związałbym” ostatecznie. Skończyłbym z tym całym przeklętym życiem! Wszystko mi obrzydło – o, mam tego po uszy! Ale nie mam innego wyjścia... Bo przecież zupełnie skończyć z tym nie

mogę. Mam prawie czterdziestkę. Pomyśl, Okoń, co ja będę robił? Przeczytałem z pięć tysięcy książek, a nic nie wiem, nic takiego nie umiem, żeby dostać pracę, przy której nie powieszę się z nudów po dwu dniach.

– No to napisz do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ja, to znaczy, Alocha Dieduszkin, kadrowy złodziej, recydywista, z dwudziestodwuletnim stażem, zdecydowałem się „wiązać”. Tylko nie mam ochoty zaczynać od zera, dlatego zrobię to, jeśli zaliczycie mój staż więzienny do wysługi lat z promocją do stopnia pułkownika, gdyż lubię wygodne życie, a urzęda mnie tylko interesująca praca.

– Niepotrzebnie się śmiejesz, Okoń. Gdyby mnie do milicji przyjęli na przyzwoite stanowisko, tobym im wszystkich złodziei raz-dwa wyłapał.

– A nie powstrzymałoby cię żadne poczucie solidarności z tą grupą?

– Mam ich gdzieś! Wydusiłbym ich jak szczury! Pluję na nich!

– Szwejk w takich przypadkach mawiał: „Niech pan tu nie pluje!” – Okoń z zadumą popatrzył na mnie i w oczach za grubymi soczewkami okularów tężała chłodna odraza. Ale ja przecież i Okonia mam w nosie i wcale tego nie kryję.

– Ta-ak, Baton – wymamrotał w zadumie. – Z ciebie jest oryginalny egzemplarz. Słuchaj, a gdyby cię na przykład wzięli do MUS, to z pewnością i mnie byś posadził!?

– Nie, ty byłbyś mi potrzebny, korzystałbym z twoich rad.

Znów zaśmiał się swoim długim, przenikliwym śmiechem, zdjął okulary i długo przecierał je chusteczką do nosa. Potem nałożył je na nos i powiedział uprzejmie i bardzo sugestywnie:

– Oto właśnie dlatego między innymi, Alosza, przyjacielu mój szanowny i znakomity, nie przyjęliby cię. Tylko za to jedno – za to, że nie posadziłbyś mnie. Oni dlatego zwyciężają nas, że każdy z nich za słuszną sprawę gotów

sam sobie wydlubać oko. Powinieneś być już zrozumieć, że – chociaż może brzmi to śmiesznie – są to ludzie wielkiej idei i za swoją groszową płacę idą pod kule nie dla zysku.

– Mnie też zysk niepotrzebny! Nie chcę być defraudantem w sektorze uspołecznionym, bo gdyby nawet miało być biedniej, nawet niebezpieczniej, to chcę być zainteresowany swoją pracą. Zrozum, że i ja w tej całej nudzie dnia powszedniego potrzebuję jakiegoś napięcia, ryzyka. Ja też potrzebuję polotu!

– Kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz! Nic takiego nie potrzebujesz, wszystko to tylko tania histeria. Nasłuchałem się tego przez dwadzieścia lat. Nie chce ci się zajmować machinacjami w sektorze uspołecznionym, bo tam trzeba pracować ze zdwojoną gorliwością w porównaniu ze zwykłym pracownikiem: przychodzić wcześniej, wychodzić później, cały czas kalkulować, cały czas kapować – gdzie zaoszczędzić, komu dać w łapę, gdzie zepchnąć lewy towar, co opylić szybciej, a co przytrzymać. A tobie w ogóle nie chce się pracować, tobie szybko odechciałoby się pracować, nawet gdybyś został pułkownikiem, bo tam na te naramienniki też trzeba naharować się jak cholera. O ile dobrze zrozumiałem, najlepiej odpowiadałoby ci stanowisko pułkownika na emeryturze – forsa przyzwoita, a gdyby na coś nie starczało, tobyś w wolnym czasie podwędził. Co? Nie mam racji?

Machnąłem ręką.

– Nie wiem. Może i masz.

– Mam, Baton, mam. Wierz mi. Ale przecież nie przyszedłeś do mnie tutaj, żeby teoretyzować.

– Nie po to. Zdarzył mi się taki klops...

Opowiedziałem mu szczegółowo całą historię z Włochem, walizką i Tichonowem.

Okoń wziął papierosa z mojej paczki, zapalił go nieumiejętnie i puszczał dym, śmiesznie nadymając swoje tłuste policzki. Badawczo wpatrywał się w niebieskie

kłęby, pływające po małej kuchence, jak trujące opary nad śmietnikiem.

– Niepotrzebnie się w to wplątałeś – powiedział w końcu. – Trochę się, bracie, zapomniałeś. Złodziej nie powinien podpuszczać milicji. Ten Tichonow, jak widać, też niezły numer. Jeszcze ci da popalić.

– Dzięki za dobre słowo, przynajmniej mnie pocieszyłeś – uśmiechnąłem się.

– A niby dlaczego mam cię pocieszać? Takim jak ty od dawna radzę: bądźcie przebiegli jak żmije i łagodni jak baranki... To znaczy, należy przypuszczać, że cię poszukują?

– Dlaczego mają poszukiwać? Mam nie wyjeżdżać, nikt mnie nie zamierza szukać.

Okoń rzucił na mnie szybkie spojrzenie i w jego ustach drapieżnie błysnęła koronka.

– A ty co? Masz zamiar zgłosić się do nich, jak cię wezwą?

– A co mam zrobić? – spytałem z głupia frant, bo jemu też już nie ufałem. Nie wiem dlaczego, ale przestałem mu wierzyć. Dawniej zawsze wierzyłem, a teraz jakoś nie. Nie wydawał mi się już taki mądry. Nie umiem wyjaśnić, co się stało, ale Okoń jak gdyby rozsypał się na moich oczach. Pewnie rzecz w tym, że dzisiaj po raz pierwszy szczerze porozmawialiśmy od czasu, jak go wyrzucili z adwokatury. I chociaż przez cały czas mi mówił, jakie to ze mnie nikczemne ścierwo i że moja pieśń już skończona, to nie wiem dlaczego, nie mogłem zwalczyć w sobie uczucia litości i pogardy dla niego, bo prawdę powiedział tylko raz – że jest ode mnie tysiąc razy gorszy, podlejszy, brudniejszy. Nigdy przedtem nie obnażał się tak, dlatego że między nami była potężna bariera mojego szacunku dla jego zawodu – przecież dla nas adwokat to po prostu bóg-obrońca. On sam mimo woli szanował swój zawód, bo był to zawód zupełnie niezwykły. Za wszystkimi ludźmi się

wstawiał, od niesprawiedliwości bronił, o łaskę dla nich prosił. Niezależnie od tego, jak źli byli ci ludzie, byli jednak ludźmi, a nawet najgorszy człowiek zasługuje na litość, pomoc i obronę. Tak więc był dla tych ludzi kimś więcej niż ojcem i matką – był ich prawnym obrońcą. A stał się postacią żalosaną i nikczemną, głodnym szczurem – ukrył się w swojej zawalonej meblami norze i znosi tutaj ochłapy. Zeżre chciwie swój bakłażanowy kawior, obliże palce i dalej – baby obmacywać. Tak że przestałem mu wierzyć. Poczułem przed nim jakiś lęk. Dlatego powiedziałem:

– A co mam zrobić? Przecież nie ucieknę przed nimi. Wezwą – to się zjawię. Cała nadzieja w tym, że nie odnajdą tego Włocha.

Okoń widocznie też pożałował, że wdał się ze mną w tę rozmowę. Pewnie także się mnie obawiał. Postanowił rozstać się ze mną bez gniewu, po dobremu. Pomyślał chwilę i powiedział:

– W tej sprawie jedyną nadzieją jest nie to, że Włocha nie znajdą, ale to, czy uda się wyeliminować z gry Tichonowa.

– Dlaczego? – udało mi się, że nie rozumiem.

– Dlatego że kradzież walizki to w ostatecznym rachunku głupstwo. Walizkę z łachami odebrali ci i jeśli Włoch się pojawi, oddadzą mu walizkę, przeproszą za ciebie i arrive-derci, Roma. Wezwą – nie ma cię tutaj. Do końca roku będziesz poszukiwany, a potem sprawa powoli ucichnie. Ale to tylko w przypadku, jeśli nie będzie Tichonowa, który przysiągł, że oduczy cię kraść. Jeżeli sprawa będzie u niego, to on ci tak nie odpuści.

– A jak ja mam go wyłączyć z mojej sprawy? Przecież nie jestem komendantem MUS!

Okoń rozłożył ręce i pokiwał głową.

– Istnieje takie pojęcie – współpraca między ludźmi.

Daje się zrealizować wtedy, gdy ludzie jednakowo oceniają stosunki między sobą.

– Jaki to ma związek ze mną i Tichonowem? – przerwałem jego gadulstwo. Co za człowiek! Może nie jeść, byle tylko mógł się wygadać.

– Zupełnie ścisły. Między wami też ustaliła się trwała współpraca i obaj uważacie te same rzeczy za zrozumiałe same przez się.

– Na przykład?

– No na przykład on ugania się za tobą jak wściekły, a ty uciekasz. Tobie, oczywiście, to się nie podoba, ale nie uważasz tego za niesłuszne, bo on jest milicjantem, a ty złodziejem.

– A co mam robić?

– Wziąć książkę zażaleń.

– Nie rozumiem.

– Ej, same kłopoty z wami! Co tu niezrozumiałego? Trzeba pójść do kierownika sklepu, poprosić o książkę zażaleń i napisać w niej, że sprzedawca Tichonow to bardzo zły pracownik, grubianin, ubliża klientom, nie dowoża kiełbasy. Dlatego należy go usunąć z za lady, bo w przeciwnym przypadku poszukasz na to rady u wyższych instancji handlowych. Sprzedawcę Tichonowa ukarzą, bo klient ma zawsze rację. I żebyś nie robił szumu i nie skarżył się u góry, odważą ci bez kolejki kilogram wędzonej kiełbasy i przyniosą do pokoju kierownika.

– Tak, Okoń, sprytnie to wymyśliłeś...

Posiedzieliśmy jeszcze przez chwilę w milczeniu, a każdy z nas w napięciu myślał o swoich sprawach.

– Okoń, chciałbym ci się odwdzięczyć za radę...

Zobaczyłem w jego okularach krótki błysk.

– Od czasu gdy ci parszywi Fenicjanie wymyślili pleńniadze, wszystkie inne rodzaje wdzięczności bardzo się zdewaluowały...

Wyciągnąłem z kieszeni dychę i rzuciłem na stół. Wstałem i skierowałem się ku drzwiom.

– No cóż, Okoń, bywaj...

Rozdział piętnasty

Zdaniem inspektora Tichonowa...

Na tylnej stronie okładki ostatniego tomu sprawy była naklejona koperta, do której wkładano dokumenty sądowych. Włożyłem do niej na wpuł zbutwiałe papierki i zamknąłem dossier. To wszystko. Znowu umilkły głosy ludzi zmarłych prawie ćwierć wieku temu i zmartwychwstałych dla mnie na krótko, po to, aby opowiedzieć o tym, co działo się z nimi przez ostatnie półwiecze. Na stole leżały milczące teczki, brunatne grube tomy z przyprawiającą o lęk pieczęcią: „Przechowywać wiecznie!”

Wiecznie. Czy jest coś wiecznego na ziemi? Boże, jak to było dawno, kiedy sekretarz sądu przykładał do teczki sprawy pieczętkę z krótkim hasłem „N.W.K.” – „najwyższy wymiar kary”. Ja byłem w drugiej klasie, matka wyszła za mąż za nauczyciela niemieckiego, Baton dokonał pierwszej kradzieży, Szarapow rozpoczął pracę w milicji, zaczęto mówić o zlikwidowaniu kartek, Sawieliewa nie przyjęła do przedszkola „ze względu na zbyt młody wiek”, Churchill przed wystąpieniem w Fulton przeglądał swoją słynną mowę o zimnej wojnie, w kinach ponownie pojawiła się „Wyspa skarbów”, a kilogram masła kosztował osiemset rubli.

Wiele zła działo ci ludzie, zanim ich zbrodnia doczekała się zapisu protokolarnego i w błyskawicznie uchodzącej świadomości przemknęła myśl: po co to wszystko było?

Powoli, powoli – w jednej chwili – przemknęło ćwierć

wieku. Nie tak wielu pozostało przy życiu spośród tych ludzi, którzy sądzili zbrodniarzy, położył papier, wytarł się na zgięciach, poszarpał na brzegach, wyblakł atrament i tekst maszynopisu. A wieczne przechowywanie? Co to znaczy wieczne? Może ustalony w ciągu dziesiątków lat protokół wymiaru sprawiedliwości wcale nie miał takiego sensu? Może odnosił się do naszej pamięci, która jednemu człowiekowi dana jest na jeden krótki wiek, a wszystkim razem – na całą historię ludzkości? Może właśnie wieczna powinna być nasza pamięć, a nie starzejący się, spłowiejący papier?

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę. Dzwonił Saszka.

– Czy przypadkiem nie widać tam u was w pobliżu Tichonowa z MUS?

– Widać – odpowiedziałem i popatrzyłem przez okno. Przez ulicę do szkoły muzycznej imienia sióstr Gniesin miarowo kroczyły pilne, ładnie ubrane dzieci, niosąc skrzypce w futerałach. Były to dobrze wychowane dzieci – przechodząc przez ulicę nie wrywały się rodzicom, a pośrodku jezdni patrzyły w prawo. Skrzypce są dobrą szkołą dyscypliny.

– A, to ty-y – przeciągnął Saszka. – Ależ się zagrzebałeś w tych swoich katakumbach. Ledwie cię znalazłem. Pracujesz?

– Pomalutku.

– Zuch – pochwalił mnie Saszka.

– Słuchaj, Saszka, czy nigdy nie chciałeś się żenić?

Saszka pomyślał przez chwilę, a potem zameldował:

– Chciałem. Dziewczyna była bardzo ładna. Ale do mnie mówiła tylko tak: „Podeptałeś to, co wielkie i czyste, splugawiłeś święte...” Musiałem się z nią rozstać...

Zaśmiałem się.

– To wszystko?

– Dlaczego wszystko? – poważnie odpowiedział Sasz-

ka. – Chciałem potem jeszcze raz. Ale ta druga dała mi kosza, wyjaśniając, że nie może wyjść za człowieka, który nie zna imienia własnego ojca: „Saszka i Saszka – co to jest?...”

Znowu popatrzyłem przez okno na dzieci spieszące do szkoły i zapytałem:

– Słuchaj, Saszka, czy będziesz swoje przyszłe dzieci uczył muzyki?

– Nigdy – odpowiedział zdecydowanie. – Patefony są teraz tanie.

– Nie nadążasz, patefony jako rzadkość znowu są drogie. To radiole są tanie.

– Wszystko mi jedno. Nie mam słuchu. Zupełnie jak ty.

– Świetnie. A teraz zapisz – zwrócisz się do kartoteki informacyjnej: Sytnikow Arystarch Eugrafowicz, sądzony w 1946 roku w sprawie atamana Siemionowa.

– Zapisałem. Słuchaj, Stasiu, jak nazywali go koledzy z podwórza, kiedy był mały? Aryk? Czy Rystik? A może Starchunia?

– Bałwan z was, Aleksandrze. Arystarch Sytnikow nie bawił się z dziećmi na podwórzu – był wychowywany w korpusie paziów.

– Dwa światy, dwa dzieciństwa – ucieszył się Saszka. – Ja też się wychowywałem w szkole zawodowej numer 163. Chłopaki z zawiści nazywali mnie niezbyt ciekawym przydomkiem Zardzewiały. A propos, dlaczego cię zainteresował ten wykopaliskowy paż?

– To nie paż, tylko sztabkapitan. Jedyne pozostały przy życiu człowiek z tego całego towarzystwa. No co? Więcej pytań nie ma? To pójdę do domu.

– Tu nie przyjedziesz?

– Jak mi kupisz łóżko polowe, to będę nocował na Pietrowce. Na razie, do jutra...

– Poczekaj, poczekaj! Dzwoniła do ciebie dziewczyna.

– Jaka? – serce załomotało lękliwie – Lena!

– Poczekaj, muszę popatrzeć, zapisałem. O, jest – Roznina.

– Roznina?

– Ludmiła Michajłowna Roznina. Nawet swój telefon zostawiła na wszelki wypadek.

Luda-Ludeczka-Miła. Na co jestem jej potrzebny? A może znalazła jeszcze coś?

– Dobrze. Mam jej telefon.

– No to cześć. Powiedziałem, że zadzwonisz później.

Spojrzałem na zegarek. Wskazówki zamarły na godzinie czwartej – mechanizm dawno się zatrzymał. Za oknem ściemniało się. Diabli wiedzą, która godzina! Z pewnością dawno wyszła z pracy, pomknęła po bulwarach trolejbusem 31, spotkała się ze swoim młodym człowiekiem, a teraz siedzą gdzieś w kinie albo w kawiarni, a może nawet poszli do niego do domu... Ten bałwan Saszka nie mógł mnie znaleźć wcześniej. Co prawda, sam obiecałem, że do niego zadzwonię, ale zapomniałem. Spóźniam się, zawsze się spóźniam. Jaka szkoda. Niech to diabli! Przecież może mieć jakieś interesujące informacje!

Nagle złapałem się na tym, że staram się okłamać samego siebie, że te informacje, które może mi przekazać, są mi zupełnie obojętne, że wszystko to razem wcale mnie nie interesuje, a jedyne, czego chcę, to usłyszeć jej głos, wesoły, a zarazem odrobinę smętny. Myśląc o tym wszystkim w zakłopotaniu, automatycznie wykręcałem numer telefonu, przekonany, że jej tam nie ma i być nie może. W słuchawce rozległ się przeciągły sygnał i ocknąłem się. Zdawałem sobie sprawę z bezsensowności tego dzwonięcia do pustego, opieczętowanego pokoju-archiwum, skąd ona wyszła na spotkanie z chłopakiem, który ma zamiar zostać „naj-naj”. Wszystko to wypełniło te kilka sekund dzielących jeden sygnał od drugiego, bo kiedy już prawie odkładałem słuchawkę na widełki, usłyszałem w niej jakiś dźwięk.

Zaskoczony, zamiast podnieść słuchawkę do ucha i sprawdzić, zerwałem się i zgiałem nad stołem, przykładając ucho do leżącej prawie na telefonie słuchawki.

– Halo, halo! – wrzasnąłem przenikliwie do mikrofonu i usłyszałem jej głos.

– Tak, tak, słucham...

Opadłem na krzesło i powiedziałem niepewnie:

– Miła, to ja panią niepokoję, Tichonow. Przychodziłem do pani w sprawie krzyża generała Dietza. Potem go powiesili. Pamięta pani?

– Dzwoniłam dzisiaj do pana...

– Ludmiło Michajłowno, mój kolega bardzo późno zawiadomił mnie o tym. A dlaczego pani tak się zasiedziała w pracy?

– Bo powiedział, że pan zadzwoni później. No więc czekałam...

Nagle wyobraziłem sobie, co by było, gdyby mnie Saszka nie odszukał. Oczywiście bym nie zadzwonił, a ona siedziałaby w pustym pokoju. Wszyscy poszli już do domów, a ona czeka, bo dobrze wie, że obietnica na pewno zostanie dotrzymana. I zagasłby już wieczór, na przystanku trzydziestki jedyńki tęskniłby chłopak „naj-naj”, przyszłaby noc, zalewając pusty, biały pokój przydymionym światłem księżycowym, a ona siedziałaby, czekając na mój telefon.

Chciałem jej podziękować, ale zawstydziłem się i nie wiedziałem, co powiedzieć. Długo milczałem, a ona mnie nie ponaglała, i to nasze milczenie było lekkie jak przyjazne objęcie.

– Miła, czy na panią nikt dzisiaj nie czekał na placu Trubnym? Na przystanku trolejbusu?

– Na Trubnym? – zdziwiła się. – Nie. Ja w ogóle bywam tam rzadko. Do siebie, na Izmajłowo, jeżdżę metrem...

– Kochana, to wspaniale. To wprost znakomicie, że pani tam rzadko bywa!

– Dlaczego? – roześmiała się.

– Dlaczego? – zamyśliłem się. – To trudno tak na poczekaniu wyjaśnić. Pomyślałem po prostu, że może jednak nie zawsze i nie wszędzie się spóźniam. Miła, spotkajmy się dzisiaj.

A ona od razu, bez namysłu i wahania powiedziała:

– Dobrze. Gdzie?

– Czy nie sprawi pani trudności przyjazd trolejbusem 31 na plac Trubny? Będę tam czekał, ile pani zechce...

– Ale przecież pan się ucieszył, że ja tam rzadko bywam.

– Nie, nie, Miła. To zupełnie inna sprawa. Bardzo lubię materializować miraże.

– Ta-ak? – zapytała poważnie i to „ta-ak” zabrzmiało jak u Szarapowa. – Proszę bardzo, jak pan chce. Panu tam będzie bliżej?

– Nie, nie, dalej. Ale przyjemniej. Już wychodzę.

– Dobrze.

Złożyłem stos tomów sprawy, przewiązałem je sznurkiem, ostatni raz rzuciłem okiem na pieczęć „Przechowywać wiecznie” i wezwałem dyżurnego.

Luda-Ludeczka-Miła zeszła ze stopnia trolejbusu i zapytała:

– No i jak z materializacją miraży?

– Cudownie – wymamrotałem. – Bardzo mi się podoba.

Zaśmiała się i wzięła mnie pod rękę. Poczujęm się tak, jak gdybym miał o dziesięć lat mniej...

– Dokąd pójdziemy? – zapytała.

– Dokąd? – zamyśliłem się, gorączkowo szukając w myśli, dokąd moglibyśmy pójść we dwoje. – Nie chce się pani jeść?

– Chce – odpowiedziała. – I panu chyba też.

Przypomniało mi się, jak człowiek, z którym biesiadowałem dzisiejszej nocy, rozpoznał głód w mojej twarzy,

i zdziwiłem się, że od tego czasu nie upłynęła jeszcze doba.

W restauracji „Aragwi” było nad podziw mało ludzi. Było chłodno, pachniało szaszłykiem i jarzynami. W marmurowej owalnej sali na galerii orkiestra rzępoliła jakiś trudny do rozpoznania utwór. Miła, siadając przy stoliku, powiedziała:

– Jeden z moich przyjaciół mówił, że bardzo lubi tę orkiestrę, bo w żaden sposób nie jest w stanie określić momentu, w którym kończą stroić instrumenty i zaczynają grać...

Zaśmiałem się z przymusem, myśląc zazdrośnie, że tak z pewnością mówił chłopak „naj-naj”.

– Mnie się tutaj podoba – powiedziałem.

Miła popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– I mnie też. Tutaj mają świetną kuchnię. To nie byle punkt zbiorowego żywienia, tylko oaza kulinarna...

Rozejrzała się i długo, z uśmiechem oglądała fresk Toidzego.

– Nawet te obrazki mi się podobają...

– Obrazki są poważne. Nawet wstyd się uśmiechnąć na ich widok.

– Tylko proszę nie mówić, że podoba się panu Chagall – pogroziła mi palcem.

– Nie widziałem jego prac – powiedziałem niepewnie.

Spojrzała mi uważnie w oczy i uśmiechnęła się.

– Dzięki Bogu. Bo teraz wszyscy inteligentni młodzi ludzie obowiązkowo rozmawiają z dziewczętami o Camusie, Chagallu i Antonionim. Mały przegląd historii sztuki.

– Pani nie podoba się to, co oni robią?

– Dlaczego nie? Podoba mi się. Nie lubię tylko, kiedy się o tym szeroko rozprawia. A w ogóle najbardziej lubię bajki.

Popatrzyłem na nią z uwagą. Powiedziała poważnie:

– W bajkach dobro jest zawsze silniejsze od mądrości.

– A czyż to są siły rywalizujące ze sobą?

Miła w zamyśleniu przesunęła dłoń po twarzy.

– Nie wiem. Mądrość ludzka bardzo się rozwinęła. A dobroć?

– Myślę, że rozwój kultury łagodzi i obyczaje.

– Możliwe – zgodziła się i zapytała nieoczekiwanie: – Jak pan myśli, ilu ludzi zamęczono w lochach inkwizycji? Proszę wziąć pod uwagę, że ciągnęła się przez cztery wieki...

– Milion – strzeliłem na chybił, trafił. – Może dwa?

Miła pokręciła głową.

– Trzydzieści dwa tysiące. Przez czterysta lat z górą. W Oświęcimiu w ciągu czterech lat faszyci zlikwidowali ponad cztery miliony. A jeszcze później bomba atomowa w Hiroszimie w ułamku sekundy spopieliała sto tysięcy ludzi.

– Luda, Ludeczka, Miła! To zupełnie nie o to chodzi!. Przecież ludzie nie mogą i nie powinni zapomnieć swojej mądrości nagromadzonej w cierpieniach.

– Nie to miałam na myśli. Z rozwojem mądrości wszystko wygląda wspaniale. Tylko z dobrocią jakoś kuleje. A mądrość bez dobroci musi przerodzić się w zbrodnię.

– Ale przecież zbrodnia jest sprzeczna z każdym rodzajem sztuki – powiedziałem cicho, wracając do niezrozumiałego dla mnie początku.

– Oczywiście – zgodziła się. – Tylko że nowa sztuka ostrzej odczuwa brak równowagi między dobrem a mądrością. Dlatego ciąży ku niszczeniu. A zniszczenie nie może stworzyć nowej bajki...

W tym momencie orkiestra najwyraźniej przestała stroić instrumenty, bo jej członkowie zrobili przerwę. Kelner przyniósł wino i przekąski, z czego bardzo się ucieszyłem, bo niezupełnie rozumiałem, o czym mówi Miła. Coś w jej rozważaniach mi nie pasowało, ale jakoś nie znajdowałem

żadnego kontrargumentu i pewnie dlatego wydałem się sobie kompletnym głupcem.

Nalałem do kielichów wina i zwróciłem się do niej:

– Miłeczko, wypijmy za archiwistów. Takich „naj-naj”!

– Nie ma takich – uśmiechnęła się.

– Tak, nie ma. Dlatego że oni wszyscy są „naj-naj”.

Minie wiele lat, nastąpi równowaga między dobrocią i mądrością i wtedy z pewnością znajdą się ludzie, wielu ludzi, którzy będą chcieli wiedzieć, jak to wszystko się działo. Wówczas okaże się, że to archiwiści przechowali zakonserwowany czas, zachowali pamięć o wszystkich wydarzeniach i wszystkich ludziach, którzy żyli w trudnych czasach rywalizacji dobra i mądrości, dlatego że i na waszych teczkach z pewnością są pieczątki „Przechowywać wiecznie”, a wieczność – to pewnie bardzo długo...

Luda-Ludeczka-Miła popatrzyła na mnie życzliwie i pogłaskała mnie po ręce, a moje serce ścisnęło się, bo zupełnie niedawno dokładnie tak samo głaskała moją rękę Lena. Zrobiło mi się nawet żal, że zawstydziłem się zamówić barszcz – przecież w bajkach jest on znacznie bardziej na miejscu niż kawa i koniak, nawet jeśli zamawia się go w kaukaskiej restauracji, w której nie sposób odgadnąć, kiedy orkiestra przestaje stroić instrumenty, a zaczyna grać.

– Wypijmy za nich – zgodziła się Miła. – I wypijmy jeszcze za Kalinina, Burdzeniuka i Skorobogatowa. Dzięki nim nie porzuciłam swojej pracy.

– A kim oni są? Pani nauczycielami?

Pokręciła głową.

– Zginęli na długo przed moim urodzeniem. Dowiedziałam się o nich, kiedy zaczęłam pracować w archiwum. Szczerze mówiąc, nienawidziłam swojej pracy. Wydawała mi się jakaś krecia, nudna, nikomu niepotrzebna. Ale kiedyś wysłuchałam audycji radiowej o wyczynie Mikołaja Gastella: „... i wtedy dowódca bombowca skierował swoją

maszynę w środek kolumny nieprzyjaciela...” Czytałam i słyszałam o tym wiele razy, ale tego dnia coś zwróciło moją uwagę, chociaż nie bardzo wiedziałam, co. I nagle zrozumiałam – bombowiec! Przecież załoga bombowca jest kilkusobowa. A ja zawsze słyszałam tylko o Gastellu. Próbowałam wszystkich możliwych rozwiązań i domysłów: być może, inni wyskoczyli ze spadochronami albo zginęli przed podjęciem decyzji przez Gastella? Albo może oni też zdecydowali się zginąć razem z dowódcą? Jeśli tak, to czemu nigdy o nich nie słyszałam? Nie dawały mi spokoju te myśli, męczyły jak senny koszmar. Zaczęłam szukać informacji i wkrótce znalazłam odpowiedź. Decyzja pikowania na kolumnę czołgów została podjęta przez całą załogę – Gastella, Kalinina, Burdzeniuka i Skorobogatowa. I cała załoga zginęła. Wtedy zrozumiałam, że ktoś powinien stać na straży pamięci tych, którym nie była dana sława nawet po śmierci. Przecież ludzie powinni pamiętać także i o nich...

Trąciliśmy się. Pomyślałem, że sława – to płód mądrości i drogi jej są kapryśne, zaś żal i pamięć – to dzieci dobroci i dlatego są wieczne.

Rozdział szesnasty

Szaman złodzieja Dieduszkina

Taksówka nawinęła się prawie natychmiast. Trafił mi się kierowca gaduła. Przez całą drogę wygłaszał smętny monolog o ciężkim życiu taksówkarza. Przerwałem mu:

– Przyhamuj no przy Teatrze Kukielkowym...

Do północy brakowało dwóch minut. Wysiadłem z taksówki, oparłem się o błotnik, zapaliłem. Wszystkie drzwiczki zadziwiającego zegara Teatru Kukielkowego były jeszcze zamknięte. Kukielki przygotowywały się do przed-

stawienia, które teraz miały odegrać specjalnie dla mnie. Dlatego że oprócz mnie nie było nikogo na Sadowej w pobliżu teatru i dochodziła północ. Przejeżdżały z hukiem i warkotem samochody, przepłynął bez pośpiechu prawie pusty trolejbus. Nikomu nie były w głowie kukielki na minutę przed północą – trzeba spieszyć się do domu, trzeba jak najszybciej położyć się do łóżka, trzeba zdążyć jeszcze przespać siedem–osiem godzin i jutro iść do warsztatów, na budowy, do instytutów. Trzeba spieszyć się żyć, trzeba spieszyć się żyć uczciwie, bo nie spiesząc się nic się nie uzyska w uczciwym życiu. Uczciwy człowiek nie ma czasu oglądać po nocach teatru kukielkowego, nie dla niego są te kukielki i zegar o bardzo skomplikowanej konstrukcji, i z pewnością – z jego punktu widzenia – niedorzecznością jest, że zamiast cyfry dwanaście zbudowano domek, z którego wyskakuje wesoły i beztroski złoty kogucik. Potem otwierają się drzwiczki pozostałych czarodziejskich domków i wychodzą z nich śmieszne kukielki ludzi i zwierząt, i bardzo szeroko – na oścież – otwiera się przede mną dwanaście domów w Moskwie, jedyne dwanaście domów, których drzwi są dla mnie otwarte. Te drzwi są otwarte przez całą minutę, zapraszają mnie, ponieważ tylko ja jeden wiem, że wszyscy jesteśmy kukielkami. I ja, i Tichonow, i Okoń, i Szarapow, wszyscy jesteśmy śmiesznymi, pokręconymi kukłami, które ożywają na rozkaz czasu i zaczynają podrygiwać, stroić miny, kraść, łapać, przesłuchiwać, ukrywać się. Nikt oprócz mnie nie chce pojąć, że dana nam jest tylko jedna minuta – wydzwonią dzwoneczki, ścichnie muzyka i wskazówka wpędzi nas z powrotem do naszych domków na cyferblacie życia, zatrzasną się drzwiczki i będziemy siedzieć w ciemności i ciszy, a władzę nad nami obejmie czas i tylko wskazówka, jak batuta dyrygenta, będzie wypuszczać nas po kolei na wolność, aż upłynie znowu dużo czasu, wszyscy

spotkamy się o północy albo w południe, ponieważ dopiero wtedy, gdy jesteśmy razem, każdy z nas staje się sobą.

Umilkł dzwon, z metalicznym trzaskiem zamknęły się drzwiczki i na ulicy znowu zrobiło się pusto. Wsiadłem do samochodu.

– A gdzie pan potrzebuje w Marinej Roszczi? – zapytał taksówkarz.

– Trzeci przejazd w kierunku Dworca Ryskiego.

Samochód z hukiem i szumem pomknął Krasnoproletarską.

Kiedyś było tutaj wesoło – w co drugim domu speluna, chawira albo melina. Jeżeli złodzieja spotkała przykrość, gnał do Marinej Roszczi. Znajdował tutaj i schronienie, i żarcie, tutaj mógł zdobyć potrzebny mu grosz. Rudery były tu koszmarnie. Niestety skończyli z tym wszystkim na zawsze. Większość złodziei wyłapali, paserów i panie lekkiego prowadzenia reedukowali i zmusili do pracy, a ruderę zlikwidowali. Nabudowali wysokich domów, poprowadzili bulwary – po prostu Paryż. Tylko przy samych torach kolejowych zostało parę rozsypujących się kurników, oczekujących na swój koniec. W trzecim domku od torowiska mieszka Szaman. Jeżeli oczywiście ten domek jeszcze stoi, bo może Szaman już panoszy się we własnym, trzypo-kojowym mieszkaniu. Śmieszne! Szaman przez całe swoje życie robił świństwa władzy radzieckiej, a tu lada dzień dadzą mu mieszkanie. A może już dali – dawno u niego nie byłem.

Domek Szamana stał na swoim miejscu. Zapłaciłem taksówkarzowi, czekałem, aż zawrócił i odjechał, po czym postukałem w drugie okno od węgła. Okno było ciemne, długo nikt się nie odzywał. Zapukałem mocniej. Za szkłem, mętnie świecącym w zimnej, migotliwej po-

świacie księżyca, jak z odmętu wypłynęła nabrzmiała twarz topielca.

– Kto tam? – ochryplym głosem spytał topielec.

– Swój.

– Tutaj wszyscy swoi są w domu – powiedział topielec, przyciskając tłustą, nie ogoloną mordę do szyby. – Co za „swój”?

– Baton.

– Widzicie go, zaszczyt zrobił... – Topielec znowu po-
grążył się w ciemności.

Zazgrzytała zasuwa, skrzypnęły drzwi, z hukiem potoczyło się wiadro, ochryply głos rzucił macią.

– Wchodź, jak już przyszedłeś. Nie rób przeciągu. I tak już mnie grypa męczy.

Wszedłem do sieni i ciepły zaduch uderzył mnie strumieniem jak ze sprężarki. Śmierdziało jak w więzieniu. Poza tym czuć było pse i kocim moczem. Uderzyłem o kadź, znowu pod nogami zagrzmiało wiadro, głucho stuknęło o ścianę koryto. Szaman szcęknał wyłącznikiem, zrobiło się jaśniej, ale tylko odrobinę, bo piętnastowatowa żarówka była osłonięta przepalonym, zapaskudzonym przez muchy papierem. Brud, nieporządek, smród.

Przysiadłem na kulawym krześle. Szaman stał przede mną w niebieskich trykotowych kalesonach, narzuciwszy na ramiona podarty kozuch.

– Sam żyjesz, po staremu? – zapytałem.

– Sam.

W kącie, gdzie w ciemnościach nie można było rozróżnić przedmiotów, ktoś poruszył się i ochryple ziewnął.

– A to kto?

– Mój pies, Zachar.

– Słuchaj, Szaman, przecież ty jesteś bogaty. Po co ci pieniądze, jeżeli żyjesz w takiej nędzy?

– A ty kto jesteś, żebyś moje bogactwo obliczał? Nie

prosiłem cię, żebyś został wykonawcą mojego testamentu.

– Na samą wzmiankę o pieniądzach Szaman się rozwścieczył.

– Nie, tylko liczę, ile wszystkiego do ciebie przyniosłem i ile z tego powinno zostać...

– Co było, to się zmyło, a co mam, to moje – burknął Szaman. – A ty po co tu przyszedłeś?

– Ot tak, chciałem z tobą trochę pogadać, ale rozmowa nam się jakoś nie klei.

– Rozmowa nie tapeta, nie ma jej co kleić. Mów, po coś przyszedł, i idź sobie. Ja nie jestem dla ciebie towarzystwo – gęś świni nie przyjaciel.

– Patrzcie go, jak się rozgadał. Tylko że ja nie jestem gęś, ale orzeł. a ty jesteś ostatnia świnią, jeśli tak przyjmujesz starego towarzysza.

– Tak, byliśmy towarzyszami. Ja byłem dobry paser, a ty złodziej fartowny. Na tym polegała nasza znajomość. Teraz prowadzę życie spokojne, dozwolone przez prawo, nie potrzebuję zarobków od ciebie.

– Szaman, czyżbyś i ty związał? Co to za azjatycka grypa na was wszystkich się rzuciła? Słuchaj, a może ty zapisałeś się do związku zawodowego?

– A co? No pewnie że się zapisałem! Zwolnienie lekarskie mi się należy i urlop – wszystko jak u innych! – ze złością wyběbnił Szaman.

– A nie proszą o zapłacenie składek od starych zarobków?

– Kto o nich wie? – powiedział szczerze. – A kantów dalej robić nie ma sensu. Tego, co się zebrało, też nie wykorzystasz – nawet się nie obejrzysz, jak poślą cię na budowę jakiejś elektrowni.

– Właśnie widzę, jak korzystasz! Po prostu marnujesz życie. A jak z babami?

– Baby mi nie w głowie. Pora o duszy pomyśleć.

- Ale sadzisz... Z pracy jesteś zadowolony?
- Praca dobra. Nie nudzę się.
- Zarobek przyzwoity?
- Wystarcza.
- Gdzie pracujesz?
- W lecznicy weterynaryjnej. Wiesz przecież, że lubię zwierzęta.
- Jako sanitariusz czy jak?
- Coś w tym rodzaju. W kolumnie transportu sanitarnego. Z podwórzy i ulic wyłapujemy bezpańskie koty i psy.
- A co potem?
- Jeśli zdrowe, oddajemy do instytutów na doświadczenia, a chore usypiamy. Robi się zastrzyk i po wszystkim.
- Popatrzyłem na niego jakoś inaczej. Mordziaste, opuchłe bydlę w niebieskich kałesonach. Morderca – inaczej trudno było go określić.
- Co ty tak na mnie patrzysz? – zapytał Szaman wyzywająco, ze złością.
- Wcale nie patrzę na ciebie, bo mnie wstręt ogarnia.
- Aha, wstręt! – rozdarł się Szaman. – Ja swoją robotę z przyjemnością wykonuję, chociaż psów mi troszkę żal...
- A kotów?
- Kiedy łapię koty, to jak gdyby rozliczam się z wami...
- Co znaczy – z nami?
- Z sitwą, z wami, bandziorami, klawisznikami, doli-niarzami, parszywymi gadami, co uważają, że są „w prawie”...
- Czymżeśmy ci tak dokuczili? Przecież ty, jak pijawka, żyłeś naszym kosztem?
- A strachu ile przez was miałem? Milicji zawsze się bałem, ale was jeszcze bardziej. Właśnie, właśnie, zawsze moje pieniądze liczyliście, czailiście się, żeby „smykiem” po gardle przejechać i pogrzebać u mnie w piwnicy. Dziękuję, na szczęście Zacharuszka blisko... Teraz koniec – nic

u mnie nie znajdziecie, umrę i nie dostaniecie ani kopiejki. Porządnie się zabezpieczyłem, jak trzeba, już ty się nie bój...

– Głupi jesteś, Szaman, i do tego stuknięty. Co koty mają do tego?

– Co mają do tego? Weź psa – we wszystkim podobny do człowieka i kota śmiertelnie nienawidzi, bo kot to wykapany bandyta, wykapany złodziej „w prawie”. Obyczaje kota to dokładna kopia obyczajów przestępcy. Nauczyłem się łapać koty, tak jak was wszystkich, przeklętych, łapie MUS.

Przez chwilę wydało mi się, że Szamanowi zupełnie szajba odbiła. Zapytałem jednak:

– A w czymże to kot jest do nas podobny?

– We wszystkim. Narowy takie same i bezczelność, i nachalność, brak pamięci i wdzięczności, tylko zarozumiałość i idiotyczna pazerność.

To mnie zainteresowało.

– Opowiedz dokładniej, bo ja się mordowaniem nie zajmuję jak ty, więc skąd mam wiedzieć o kocich nawykach...

– Ty tylko popatrz na siebie i jak w lustrze zobaczysz portret kota.

– Co zobaczę? Oczy mam czarne, a nie zielone, włosy siwe, wąsów nie noszę.

– Dusza! Duszę masz jak kot – czarną.

Teraz już nie miałem wątpliwości, że Szaman zwariował. A on ciągnął:

– Popatrz. Kot zawsze żyje samotnie jak wy, złodzieje, a samica mu potrzebna tylko na jeden raz – jak wam. Kot nie ma przyjaciół. Psy gryzą się między sobą, bo są silne; tak jak ludzie boksują dla sportu. Koty tylko z pazerności, bo każdy kot ma teren, na którym czuje się panem. Zupełnie jak u was. Wy przecież też znajdujecie sobie miejsce,

trzymacie je żelazną łapą i nikt obcy nie ma prawa tam wejść. Dobrze mówię?

Przytaknąłem.

Szaman rozszalał się teraz na całego, bębnił, sepleniał, połykał słowa, przeżuwał i wypluwał dźwięki całymi garściami.

– A jak się pojawi urka bardziej nachalny i silniejszy, to zaczyna się przepychanka o prawo do miejsca. Przychodzi taki kot na śmietnik, gdzie drugi już gospodaruje, i zaczyna dziko wrzeszczeć, jakby się je wrzątkiem polewało. Wrzeszczą z tchórzostwa, chcą przestraszyć wrzaskiem, ale walki się boją. Jak widzą, że nie uda im się rozejść, wtedy ten bezczelniejszy dawaj tego drugiego pazurami po nosie i po oczach, tak jak wy swoimi „kosami”. Jeden chce drugiego zająć od tyłu, chwycić zębami za kark, byle tylko nie pyskiem w pysk! Tylko od tyłu, w plecy, tak tchórzom i podlecom zawsze wygodniej.

– Dlaczego tchórzom? – zapytałem. – A ty nigdy nie widziałeś, jak kociak straszy dużego psa?

– Oczywiście, widziałem! – Szaman w radosnym uśmiechu wyszczerzył zęby. – Dlatego że mały kot to jak młody chuligan z nożem w kieszeni i pies albo człowiek łagodny zawsze się go boją, i zawsze mu zejda z drogi. Bo w nim oprócz wściekłości i zuchwalstwa, które czuje dzięki nożowi, nie ma nic i zazwyczaj człowiek boi się go, bo nie chce umrzeć przez głupią złość...

– No-no... To znaczy, że za nas mścisz się na kotach?

– A tak! On poluje na szczury, a ja na niego – z siecią. Mnie on swoim wrzaskiem parszywym nie nastraszy! Trzask – i siedzi w siatce, gadzina! Ja tylko rzucę okiem i wiem lepiej niż weterynarz, czy ma liszaja, czy też jeszcze dla nauki w instytucie pożyje! Jak ma liszaja, to nie uniknie mojej siatki, nie uniknie mojej klatki, wszystko dla niego przygotowane...

Zawładnęła nim szaleńcza ekstaza i jego widok był

odstraszający. Nie miałem tu nic do roboty – oczywiście, pieniędzy mi nie pożyczysz, nawet jak się uspokoisz. Ostrożnie zbliżałem się do drzwi, obawiając się nie wiadomo dlaczego, że Szaman nagle wyrwie spośród swoich szmat siatkę i narzuci ją na mnie, poprowadzi do swoich kotów z liszajami. Pieniądzy od niego też już nie chciałem – na co one samotnemu, choremu na parcha-i liszaj kotu, skrywającemu się na śmietniku wielkiego, zupełnie obcego mu miasta...

Rozdział siedemnasty

Przedświąteczna krzątania inspektora Tichonowa

Poranna „pięciominutówka” zbliżyła się do końca. Szybko podsumowałem nasz skromny wczorajszy połów.

– Jakie plany na dzisiaj? – zapytał Szarapow.

– Biuro adresów poinformowało, że Sytnikow mieszka w Zarieczeńsku – to małe miasteczko w obwodzie tulskim – powiedziałem. – Sawieliew wysłał telegram do miejskiej komendy milicji – niech podadzą, co to za człowiek, czym się zajmuje. A teraz pojedziemy do hotelu „Ukraina”. Może ktoś z obsługi zapamiętał Fausta Castellego?

W hotelu „Ukraina” panowała przedświąteczna krzątania. W hallu – niczym w Wieży Babel – słychać było mieszanię języków, ale ludzie najwyraźniej rozumieli się nawzajem, a jeśli nawet nie rozumieli, to z pewnością tym się nie przejmowali. Mali, niepozorni, na pozór głodni Hindusi z beczennymi pierścieniami na palcach, solidnie wyglądający szwedzcy urzędnicy, cienkonożne Murzynki

z liliowobiałymi tłumaczkami, obrotni francuscy handlowcy, godni holenderscy dokerzy z delegacji związkowej, długowłosi studenci amerykańscy rozmawiający z obwieszonymi orderami Wietnamczykami w mundurach wojskowych...

Pokojowa Kławdia Wasiliewna Anochina stwierdziła, że Castelli nie spodobał się jej.

– No jak można! U nas pracuje społeczna komisja do spraw czystości, współzawodniczymy o tytuł najlepszego piętra, a on przez cały dzień nie wychodzi z pokoju. Kiedy mamy robić generalne porządki? Nawet jakby się zostało po godzinach, ale on i wieczorem nigdzie się nie ruszał. Jedzenie z restauracji zamawiał do pokoju, nie chciało mu się nawet zjechać na obiad. A poza tym nic złego powiedzieć nie mogę, uprzejmy gość był, nie powiem. Albo żeby tego... do pokoju sprowadzał, uchowaj Bóg! Butelek tylko po nim dużo wyniosłam, ładne takie butelki, ogromne, ale nie pamiętam, jak się nazywały. Chociaż, zaraz, zaraz, chyba „Sincano”!

– „Cinzano” – powiedział Saszka.

– Może i tak – obojętnie zgodziła się pokojowa.

– Kławdio Wasiliewno, a co zrobiła pani z butelkami – zapytał Saszka z nadzieją w głosie.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Jak to co? Wyrzuciłam! Na co mi one? Przecież były puste, a takich u nas na wymianę nie przyjmują. Żeby pełne...

– Nie potrzebuję pełnych – powiedział Saszka. – Przy stole jestem inwalidą. Mam wrzód żołądka.

– Właśnie, kochany, coś tak widzę, że jesteś jakiś blady – wyraziła współczucie Kławdia Wasiliewna.

– Lepiej o tym nie mówić – Saszka wszedł w rolę. – Tę bladość mam od urodzenia. A potem z bólu włosy mi poczerwieniały.

Kławdia Wasiliewna popatrzyła na niego z niedowie-

rzaniem. Czyżby coś takiego było możliwe? Saszka, nie dając jej czasu na zebranie myśli, szybko spytał:

– A jak to było, Kławdio Wasiliewno? Butelki z pokoju wynosiła pani w miarę ich opróżniania czy też wszystkie razem po jego wyjeździe?

– Po odjeździe, oczywiście, jakżeby inaczej? A nuż by mu się przydały?

– Na przykład na wymianę? – mrugnął do mnie Saszka.

– W barze walutowym – tam butelki tylko na wymianę! Oddaje się dziesięć butelek – proszę bardzo, flaszka „Martella”!

Pokojowa roześmiała się.

– Ale z was kawalarze! Całkiem jak nie z milicji...

– U nas teraz wszyscy tacy. Tak więc, wyniosła pani wszystkie butelki i co z nimi?

– Do zsypu. O rety! Przypomnieliście mi! Obiecałam Zinie z jedenastego piętra zostawić dwie butelki na sode żrącą!

– No, no, no! I gdzie te buteleczki?

– Jak nie wyrzucili, to powinny stać w dyżurce. Za szafą. Bardzo dobre, zamykane na gwint, dlatego Zina prosiła o nie. A sama zachorowała i do tej pory na zwolnieniu...

Butelki spokojnie stały za szafą lekko zakurzone. Dwie litrowe butelki po aperitifie „Cinzano-Bianco” i po szkockiej whisky „McKinley”. Z nakrętkami, pozostawione przez Fausta Castellego, zapomniane przez Kławdię Wasiliewną, nie wykorzystane przez Zinę z jedenastego piętra, odnalezione przez Saszkę, który święcie wierzył, że inaczej po prostu być nie może. O bardzo wielu zdarzeniach w moim życiu i w życiu innych ludzi mogły zadecydować te dwie puste butelki za szafą w dyżurce dla pokojowych.

– Zaraz je wytrę – powiedziała Kławdia Wasiliewna. – Mokrą ścierką.

Zaśmialiśmy się, a Saszka odpowiedział:

– Gdyby tak się stało, nie pozostałoby mi nic innego, jak pójść i kupić sobie pełną. To podobno uspokaja, nawet jak się ma wrzód. Lepiej proszę mi podać gumowe rękawiczki, w których sprząta pani urządzenia sanitarne.

Nic nie rozumiejąca Kławdia podała rękawiczkę. Saszka zręcznie naciągnął ją na rękę i ostrożnie wyłowił z szafy obie butelki, trzymając je za denka i górne części zakrętek.

– Kławdio Wasiliewno, czy oprócz pani nikt tych butelek nie dotykał? – zapytałem.

Kobieta ze zdziwieniem wzruszyła ramionami.

– A diabli wiedzą. Pamiętam, że wszystkie butelki wyniosłam na klatkę schodową do zsypu, a te przyniosłam prosto tutaj. Stoją jakby na tym samym miejscu...

– Poprosimy, żeby pani po pracy wpadła do nas na Pietrowkę 38. Dosłownie na dziesięć minut, musimy wziąć odciski pani palców, żeby móc je rozpoznać na butelkach.

– Nie miała baba kłopotu... – z niezadowoleniem odpowiedziała pokojowa. – W domu pracy przed świętami po uszy, a tu jeszcze to!

– Kławdio Wasiliewno, złociutka – zwrócił się do niej Saszka. – Czy pani myśli, że to dla mnie przyjemność przed świętami chodzić po hotelach i zbierać butelki? Zwłaszcza kiedy wrzód szaleje.

Miał taki wyraz twarzy, że i ja zrozumiałem, jakie to straszne, kiedy przed świętami człowiekowi szaleje wrzód. Zapomniałem nawet w tej chwili, że Saszka nie ma pojęcia, gdzie znajduje się żołądek.

– Cóż, jak trzeba... – westchnęła kobieta. – Nie ma wyjścia...

– O to właśnie chodzi, że trzeba – powiedział Saszka poważnie. – Kławdio Wasiliewno, nie zauważyła pani, czy często upijał się ten pani gość?

– Jak by to powiedzieć... Trudno było poznać. Ile razy do pokoju wchodziłam, leżał na łóżku w ubraniu i palił.

Papierosa za papierosem, codziennie wynosiłam prawie pełny kosz niedopałków i pustych pudełek. A na stoliku przy łóżku kilka butelek i szklanka. Leży i pociąga, leży i pociąga, patrzeć, a do wieczora jeszcze dwie puste butelki. Wyglądał jednak zupełnie normalnie. Raz tylko strasznie się zalał. Rano gdzieś zniknął, pojawił się wieczorem, a po dwu godzinach z sąsiedniego numeru – 36 – dzwonią i proszą, żeby go uciszyć, bo, powiadają, nie ma spokoju – śpiewa na cały głos...

– Przychodził ktoś do niego? – zapytałem.

– Nie, nie widziałam ani razu. On sam też tylko raz wyszedł, a poza tym cały czas siedział w pokoju. Nawet obiady jadał na górze. Wieczorem tylko schodził do restauracji na kolację i zaraz wracał do siebie. A żeby tak do muzeum albo do teatru – to nie...

– Rozmawiała z nim pani? Mówił trochę po rosyjsku?

– Tak sobie, piąte przez dziesiąte. Ale zrozumieć można.

– Pani to dobrze – uśmiechnął się Saszka. – A my na razie nic nie rozumiemy.

– Czy stało się coś? Narozrabiał?

– Stało się – odpowiedziałem. – Walizkę mu ukradli.

– Aha, a ja już myślałam, że nie wiadomo co się zdarzyło. – W głosie jej zabrzmiało rozczarowanie.

– Na razie Bóg chronił – uspokoił ją Saszka.

– Do prowadzenia każdego sensownego dochodzenia konieczna jest jakaś jednolita linia, kanwa, temat – powiedziałem Szarapowowi. – A tu nie ma nic. Strzępki, fragmenty. Wszystko się poplątało – czasy, zdarzenia, ludzie, przestrzeń, przedmioty. Dlatego nie mogę opracować żadnego systemu, wyodrębnić ważnych faktów, wreszcie powziąć żadnej decyzji...

Długo siedzieliśmy w milczeniu, wreszcie odezwałem się:

- No, mamy teraz odciski tego Castellego. Ale co dalej?
- Jutro w ministerstwie komisarz będzie składał raport
- odezwał się Szarapow. – Zaproponowałem, żeby przekazać sprawę do Bułgarii...

Teraz maszynistki przepisują nasze informacje na kredowym papierze ze znakami wodnymi, naczelnicy podpisują, przyłożą pieczątki, materiały zostaną włożone do koperty razem z czarną, nie przepuszczającą światła podkładką, na pakiecie zastygnie pięć kipiących płam czerwonego laku z przewleczoną przez nie jedwabną nicią, zostanie przyłożona pieczęć „ŚCIŚLE TAJNE” i kurier po mknie do dalekiego, słonecznego kraju, gdzie znikł bez śladu Fausto Castelli.

– Posłuchaj, Włodzimierzu Iwanowiczu, dlaczego on w informacji dowiadywał się o Jasną Polanę? Przecież go to wcale nie interesowało...

– Nie wiem. Co prawda Jasna Polana leży w odległości dwudziestu dwu kilometrów od Zarieczeńska, a tam żyje ten twój jedyny towarzysz Siemionowa – Sytnikow. To zresztą też tylko przypuszczenie...

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – powiedział Szarapow i w szczelinie pojawiła się onieśmielona twarz Sawieliewa.

– Przyszedł telegram z Zarieczeńska. – Saszka umilkł, a ja zobaczyłem, że wcale mu nie do żartów. My też milczeliśmy, i wtedy on powiedział z zakłopotaniem w głosie:

– Jak powiadają w Odessie, będziecie się śmiać... ale on też umarł...

– Kiedy? – zapytaliśmy równocześnie z Szarapowem, wymieniając spojrzenia.

– Siedem tygodni temu – szesnastego marca – odpowiedział Saszka i popatrzawszy na nasze twarze, pokręcił głową. – Nie, nie, Castelli przyjechał do Moskwy trzeciego kwietnia...

Rozdział osiemnasty Zaciszna przystań złodzieja Dieduszkina

W bufecie dworca lotniczego było ciepło, cicho i dosyć pusto. Dwaj faceci na delegacji sprzeczali się monotennie i z uporem. Dolatywały mnie fragmenty ich rozmowy: „Mówię ci, on kłamie, nie ma funduszy... Sam kłamiesz – to żelazny człowiek... Choćby był złoty, nie ma forsy... Dla ciebie – nie ma, a dla mnie – ma...”

Zmęczonym krokiem podeszła kelnerka i nie patrząc na mnie, spytała:

– Co pan zamawia?

Opuściłem na stół gazetę i popatrzyłem na jej miękką, okrągłą twarz.

– Proszę mi przynieść dwie porcje szczęścia...

Popatrzyła na mnie, a w jej oczach nie znalazłem ani radości, ani gniewu, ani nawet zdziwienia. Odpowiedziała, jak gdybyśmy rozmawiali już z godzinę.

– Dla jednego dwie porcje to chyba za dużo...

– Dla siebie proszę tylko o jedną. Druga – dla ciebie.

– Już raz mnie poczęstowałeś... Do dziś mi wystarczy.

– Zosiu, nie chowaj do mnie urazy. Przecież i wtedy wszystko rozumiałaś. Nie byłaś dzieckiem.

– Nie byłam – kiwnęła potakująco. – Wszystko rozumiałam. A urazy nie chowam.

– To dlaczego tak ze mną rozmawiasz?

– Co znaczy „tak”?

– Nie wiem, jakoś mi się nie podoba.

Uśmiechnęła się smutno jakoś, z zakłopotaniem.

– Dziwni wy jesteście – chłopcy. No różnie między nami; bywało... Może dla ciebie to tak, jak splunąć i zapomnieć. W każdym razie zmyśl się, nawet nie powiedziałaś do

widzenia... A teraz pojawiaasz się – macie go, rzucajcie mu się na szyję! Czy tak?

– Może i tak, kto wie... Nie chcesz, to się nie rzucaj. Ale porozmawiać jak ludzie chyba możemy.

– Możemy – powiedziała obojętnie.

Nagle ogarnęło mnie straszliwe zmęczenie, szare, gęste, jak gdybym został wrzucony do beczki z twardniejącym cementem. Trudno mi było poruszyć ręką czy nogą, mięśnie napelniały się ciężarem, oczy kleiły się i piekły, szyja nie była w stanie utrzymać głowy, przepelnionej ciężkimi myślami. Odchyliłem się na oparcie krzesła, z wysiłkiem otworzyłem oczy, myśląc, że dzisiejszy dzień ciągnie się bardzo długo. Nad głową Zosi jasno świeciły cyfry zegara elektrycznego – 3.16. Kwadrans po trzeciej. Jeżeli Zosia nie wpuści mnie do swojego mieszkania, pójdę do pogotowia i będę symulował atak serca – niech mnie odwiozą do szpitala, przynajmniej będzie się można wyspać. W ogóle dobrze byłoby poleżeć z tydzień w szpitalu, żeby się mną opiekowali, wyciągali spode mnie kaczkę. Tam choroba serca – prawdziwa czy wymyślona – zobowiąże wszystkich do cackania się ze mną, jakbym był laureatem albo jakimś bohaterem. Zastanawiałbym się jeszcze dłużej nad tym, ale Zosia nachyliła się ku mnie i szybko przeciągnęła ręką po moim czole. Poczułem, że jej dłoń, jak dawniej, jest miękka, delikatna i lekka.

– Źle się czujesz?

– Tak.

– Co ci jest, Ałosza?

– Jestem chory.

– Poważnie? – w jej głosie usłyszałem niepokój.

– Jeszcze jak.

– Co cię boli? – i znów pochyliła się nade mną.

– Nic. Przy tej chorobie nic człowieka nie boli, wszystko funkcjonuje wspaniale, a wyniki analizy są znakomite.

– No więc co ci jest?

– Przestałem czuć przyciąganie ziemskie...

– Wciąż żartujesz.

– Wcale nie. Jakoś ziemia przestała mnie trzymać.

– Z tobą jest zawsze inaczej niż z normalnymi ludźmi. Wszystkich trzyma, a ciebie jednego nie trzyma!

– Nie mnie jednego. Dzisiaj jeden typ zapewniał mnie, że całej mojej profesji ziemia już nie chce trzymać.

Zosia skrzywiła się, jakby przez pomyłkę połknęła łyżkę musztardy.

– Pro-fe-sji! Niech ją diabli wezmą, tę twoją profesję!

– Zosiu, przecież ja z nią razem przepadnę...

Szybko spuściła wzrok, ale zdążyłem zauważyć, że przez jej twarz przemknął wyraz goryczy i gniewu. Milczała przez chwilę, a potem powoli powiedziała:

– No cóż, jeśli ty bez tej swojej znakomitej profesji nie możesz żyć, to lepiej będzie, jak i ty przepadniesz. Nikt nie będzie żałował...

– A ty nie będziesz żałować?

Zosia bezradnie wzruszyła ramionami i powiedziała pokornie i z rezygnacją w głosie:

– Ja będę. Ale co z tego?

– Jak to co z tego? Dopóki jest chociaż jeden człowiek, który mnie pożałuje, ginąć jeszcze za wcześnie.

Przysiadła na brzegu krzesła, splotła ręce gestem zmęczonej staruszki, pokręciła głową.

– Ech, Loszka, nie widzisz siebie z boku...

– Niepodobny jestem do aktora Mironowa?

Zosia nie zrozumiała żartu, jakby nie usłyszała, i przez cały czas kręciła głową ze zmęczeniem i rezygnacją. Powiedziała z trudem, jak gdyby wyduszała z gardła nie słowo, ale kawałek wołoku.

– Do zwierzęcia jesteś podobny. Do zagonionego leśnego zwierzęcia...

Wciąż kręciła głową i z jej oka, nie wiadomo dlaczego tylko z jednego, popłynęła jasna kropelka. Nie w porę

przypomniałem sobie, że kolczyki z jednym podłużnym brylancikiem nazywają się „łezki”.

– Zosiu, nikt ani nic na razie mi nie zagraża. Dlaczego mówisz, że jestem zagoniony?

– Alosza, cały kłopot w tym, że jesteś mądrzejszy i silniejszy ode mnie. Czy uwierzysz głupiej prostej babie, jeśli każdego mądralę możesz sobie dookoła palca owinąć?

– A w co mam uwierzyć?

– W to, że nikt nawet nie musi ci zagrażać. Ty sam siebie tak załatwisz, jak żaden twój wróg by nie potrafił...

Znów falą zalało mnie zmęczenie, skuło, zatopiło w sobie i zgmiotło jak rybę głębinową, ciążyło nieznośnie ciemną, grubą warstwą wody i wydało mi się, że mam tylko jedno oko, jak płastuga. Niby pęcherzyki uchodzącego powietrza skakały elektryczne cyfry świecącego zegara. Słowa Zosi były niejasne, mało zrozumiałe, jakby nie mówiła do mnie, ale leniwie uderzała dłonią w stojącą wodę.

– Zawsze jesteś sam... Alosza... Przyjaciele ci niepotrzebni... Ani dzieci... Ani rodzina... Tylko tak mówisz, że nie wiesz, co to strach... Twoje serce jest przeżarte strachem jak drzewo przez kornika... Z lęku i samotności stało się zmurszałe i złe. Miłość ci niepotrzebna, tylko gorąca baba... Współczucie też ci niepotrzebne, tylko miejsce, w którym można by się ukryć... Ziemia ciebie nie trzyma, bo przez całe swoje życie nie zapuściłeś w niej najmniejszego nawet korzonka... Nie masz się o co oprzeć i nie ma cię kto podtrzymać ..

– A ty? Ty mnie nie podtrzymasz? – zapytałem ciężkimi, nieposłusznymi wargami.

– Co ja? Do mnie przychodzisz tylko wtedy, kiedy masz nóż na gardle. Pozbierasz się, odpocznieś, rozejrzysz dookoła i do widzenia na ileś tam miesięcy!

Miała różowe wargi, trochę wypukłe, jakby wydeła je, aby mi pokazać, że jest obrażona.

Ale wiedziałem, że Zosia się na mnie nie obraża, że nigdy się nie obrazi, aż do chwili kiedy spotka chłopca, który wykreśli mnie z jej pamięci, tak jakbym nie istniał, jakby nie było nic między nami i jakby dla mojej niedługiej i chłodnej miłości nie rzuciła na zawsze, nie oglądając się na nic, takiego fantastycznego chłopaka jak Sieńka Bakuma, który kochał ją tak bardzo, że bez namysłu plunął na swego starego i wiernego kumpla.

– Zginiesz, Alosza – powiedziała ze smutkiem. – Całkiem zginiesz.

– Tfu! Głupia. Jeszcze zapeszysz – i nawet zabrakło mi sił, żeby się rozzłościć. Diabli z nią, niech sobie mamrocze, niech lamentuje. Ja im wszystkim jeszcze pokażę.

– Ech, Losza, Losza, przydałaby się tobie, mądrymu, odrobina mojej głupoty...

Byłem gotów zgodzić się na wszystko, byle tylko jak najszybciej położyć się, wyciągnąć na łóżku, poczuć delikatny chłód świeżego prześcieradła, które jak latający dywan uniesie mnie w nieważkość, beztroskę, niepamięć, lekką i przyjemną jak dotyk rąk Zosi. Wtedy wystarczy sięgnąć ręką, aby jej dotknąć, i minie koszmar moich przerażających samotnych snów. Dlatego powinienem zgodzić się na przyjęcie części tej głupoty...

– W porządku, Zosiu, zaczniemy dobrze żyć. Tylko teraz nie mówmy o tym. Brak mi sił.

Pogłaskała mnie po twarzy, jak gdybym był zupełnie mały, a ona swoją delikatną dłonią myła mnie przed pójściem do szkoły. Zasiałem się wczoraj długo nad lekcjami, a teraz strasznie trudno się przebudzić, ale grzmi już przez radio marsz, rozpoczynający poranną gimnastykę, i męski głos, rześki, energiczny, którego od dzieciństwa nienawidzę, rozkazuje mi: „Stajemy na palcach... Ręce opieramy na biodrach... Głęboki wdech... I raz...” Wiem, że nie można spać, słyszę głos Zosi „poczekaj chwileczkę, kochany”, i ogarnia mnie szalona senna radość – wydaje

mi się, że Zosia to moja matka, moja mama, moja mamusia, delikatna, ładna, która nigdy nie miała żadnej kolii ani broszki i nie waliła mnie z całej siły kamiennymi rękami po twarzy, nie wyrzekała się mnie w sądzie – zresztą żadnego sądu nie było, skąd mógł być, skoro jestem jeszcze mały – i teraz przed wyjściem do szkoły myje mnie swoimi dobrymi, miękkimi rękami moja mama o imieniu Zosia. Trochę mi tylko przykro, że patrzy na nią swoimi wstrętnymi, obleśnymi oczami adwokat Okoń. Widzę, że chce mi odebrać moją matkę, której tak długo nie widziałem, dlatego grożę mu pięścią i mówię przez zęby: „Niech cię sukiny synu-diabliwezmą, flakicizbrzuchawypruję”, a on podchodzi do stolika i na Zosię swoim czarnym okiem łypie, klatkę piersiową pręży, łydami grubymi podryguje, zadek wypukły, lubieżny spod krótkiej marynarki wypina. Sięgam wtedy do kieszeni po nóż, po swoje „piórko”, i zalewa mnie strach, parzy jak wrzątek – przecież nie mogę mieć „piórka”, przecież jestem mały, mama mnie myje przed wyjściem do szkoły, a Okoń, gad, chichocze przenikliwie, z radości aż popiskuje i z za pleców wyciąga sieć, kręci nią nad moją głową, krzyczy, dławiąc się chichotem: „Do kotów go, uspić go razem z chorymi parszywymi kotami! Patrzcie, on sam już usypia! Usypia! Usypia!”

Poderwałem się z krzykiem, lepki od potu, serce podeszło mi do gardła. Zobaczyłem, że Zosia stoi obok, już w płaszczu, głaszcze mnie po ramieniu i szeptem:

– Zasypiasz na siedząco...

Potrząsnąłem głową i zapytałem zdławionym głosem:

– Co, już cię zwolnili?

– Koleżanka mnie zastąpi. Chodźmy, ledwie się trzymasz na nogach.

Wyszliśmy. Dopiero rodził się świt. Wszystko wokół było nieruchome, spokojne i taka cisza i spokój panowały nad tym przeklętym, uspionym światem, że trudno było uwierzyć, aby od chwili kiedy mnie wypuścili, minęło

zaledwie dwanaście godzin. Jeżeli i dalej czas będzie biegł z taką szybkością, nie wytrzymam, przyjdzie krecha, nerwy mi wysiądą.

A wszystko z winy tego małego, złego dzinna, którego przez głupotę wypuściłem z butelki osiem lat temu. Leży teraz pewnie, zaraza, sapie przez sen, zadowolony z siebie. Ale ty na mnie sieci nie narzucisz, jeszcze ci, szczeniaku, pokażę. Na początek trzeba cię z powrotem zapędzić do butelki...

Wsiedliśmy do taksówki. Samochód pomknął pustymi ulicami na Sokolniki. Obejmowałem Zosię za ramię, okrągłe, miękkie, a jej włosy łaskotały moją twarz, pachniały pomarańczami i – bardzo słabo – dymem tytoniowym. Ogarniało mnie senne odrętwienie, ale zdążyłem jeszcze pomyśleć – jak by było dobrze, gdyby na świecie zawsze było tak mało ludzi, jak teraz na ulicach...

Część druga

Rozdział dziewiętnasty Podmiejskie wycieczki inspektora Tichonowa

Poranek był pochmurny, szary, a że śnieg już stajał i drzewa w lesie stały nagie, brudnoszare, otoczone mętnymi, ołowianymi kałużami, trudno było uwierzyć, że już kończy się kwiecień, do maja zostały tylko trzy dni i nadzieje prawdziwa wiosna. Wydawało się, że przyroda zamarła, tak jak to bywa w listopadzie przed pierwszym śniegiem.

Do Zarieczeńska było jeszcze dwadzieścia minut jazdy. Ukośne smugi deszczu ściekały po brudnych szybach i w wagonie było zimno. Wiejskie kobiety, obarczone dużymi torbami, pochłaniały z apetytem ogromne fioletowe porcje lodów, przegryzając białym chlebem, i bez pośpiechu, z godnością dyskutowały, że telewizor „Temp” trzeba kupować jak największy, bo chociaż jest trochę droższy, to jak się go ma w domu, można nawet do kina nie chodzić – ekran większy niż w kinie objazdowym. Wiozły na święta siatki pełne błyszczących słońcem pomarańczy i w żelazno-gumowej woni wagonu ich delikatny i ostry zapach unosił się egzotycznymi obłokami. Kobiety były ubrane w czarne, krótkie palta, wełniane chusty zsunęły na ramiona, ich pomarszczone, jakby poorane twarze poczerwieniały i tylko w ciężkich, kleszczowatych rękach, zniszczonych ciężką pracą, był spokój i poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Wkrótce wysiądą i jeszcze dość długo będą podróżować do swoich wsi autobusami i przypadkowymi samochodami, wejdą do domów i od razu

włączają się w zwykły, od wielu lat ustalony rytm pracy – będą doić krowy, przekopywać ogród, zaparzać kartofle dla świń, gotować obiad – jednym słowem, wykonywać mnóstwo różnych prac, o jakich ja nie mam pojęcia – a wieczorem usiądą do kolacji i będą oglądały program w wielkim jak kinowy ekran telewizorze, szczerze przeżywając przygody bohaterów, które odbierają wyłącznie jako bajki, bo na szczęście nawet nie przyjdzie im do głowy, że istnieją międzynarodowi gangsterzy, żywi szpie-dzy albo że zupełnie niedawno umarł ich sąsiad – zdekla-rowany białogwardziści, przyjaciel i wspólnik atamana Siemionowa, który całe swoje życie poświęcił temu, aby one nie mogły patrzeć na wielki jak w kinie ekran telewizo-ra. Ale o tym wiedzieć nie potrzebują – zajęte są karmie-niem innych ludzi. No a my, skoro nikogo nie karmimy, powinniśmy zapewnić im możliwość oglądania programu na wielkim ekranie i przywożenia do domu całych siatek pomarańczy, a także i to, aby ciężkie, spracowane ręce mogły spokojnie spoczywać na ich kolanach w drodze do domu...

– Widzi pan, bezdziedziczne mienie przechodzi na własność państwa. Ale w takich przypadkach mamy masę kłopotów. To „mienie” to głównie rupiecie i nikomu niepo-trzebna starzyzna. Dlatego wybieramy rzeczy najwartoś-ciowsze, a resztę pozwalamy wziąć sąsiadom. A oni z regu-ły nie łakomią się na te graty...

– I wszystkie meble zostały spalone?

– A cóż to za meble?! – odpowiedziała mi niemłoda, krótkowzroczna kobieta, inspektor rady miejskiej. Sama brałam udział w spisaniu. Zniszczona sofa, kulawy stół, trzy połamane krzesła, jakaś niezgrabna szafka. Nikt z krewnych nie zgłosił się, żeby objąć to dziedzictwo, więc

wszystko wyrzuciliśmy, konfiskując tylko przedmioty cenne.

– Ale przecież w tej szafce znaleźliście czterysta dola-rów. Nikomu nie przyszło do głowy dokładniej przeszukać resztę?

– Teraz nie ma o czym mówić – stara sprawa. Poza tym byli też wasi koledzy z milicji. Oni szukali dokładnie. A ja nie jestem specjalistką od tych spraw...

W tym rzecz. Byli nasi koledzy i popracowali nienad-zwyczajnie. A ona nie jest specjalistką; przeciętna niemłoda kobieta, która ma dość własnych zmartwień, żeby myśleć o dziedzictwie jakiegoś samotnego starca. Ona też ma święta na głowie – na parapecie leżały wieprzowe nóżki na galarecie i paczki z jakimiś produktami, spod papieru sterczały długie zielone ogony młodej cebuli. Mnie też zachciało się machnąć na to wszystko ręką, wrócić do Moskwy i starać się o wieprzowe nóżki. Ja też lubię nóżki w galarecie...

Przekartkowałam cienką szarą teczkę – „...w sprawie śmierci ob. Sytnikowa...”

Tak... Protokół oględzin: „okno zamknięte... na stole resztki jedzenia na talerzu... butelka z sosem pomidoro-wym... mała szafka... Ciało... na sofie... nie stwierdzono objawów gwałtownej śmierci... przekazano do kostnicy w celu wykonania badania anatomopatologicznego...” Jasne, dalej. Tak, zaświadczenia, rachunki, dokumenty osobiste... Aha, wynik sekcji: „...znaczne zmiany patologi-czne w układzie krążenia... uogólniona miażdżyca... Wyżej wymienione zmiany wywoływały słabo nasilone objawy... spowodowały śmierć ob. Sytnikowa... gwałtowną... wy-kłucza się...” No cóż, tak myślałem. Wieczne odpoczywa-nie, jak to się mówi... A oto opis mienia.

W opisie było trzydzieści sześć punktów: spodnie z dia-gonalu bez uszkodzeń, kurtka futrzana bez uszkodzeń, kapelusz słomkowy (mocno zniszczony), krzesła – trzy,

sofa – jedna, widelce – trzy, książeczka oszczędnościowa z wkładem 134 rubli 84 kopiejek, 400 dolarów w jednodolarowych banknotach, broszka damska z brylantami...

Książeczka, dolary i broszka – to były wszystkie cenne rzeczy pozostawione przez Sytnikowa. W teczce znajdowało się zaświadczenie, że dolary i broszka zostały przejęte przez skarb państwa i przekazane do miejscowego oddziału Banku Narodowego, który przechowuje cenne przedmioty.

– A co z wkładem na książeczce? – zapytałem panią inspektor.

– Wydaje mi się, że w książeczce był wpis z prośbą o przekazanie tych pieniędzy miejscowej cerkwi na koszty pogrzebu według prawosławnego obrządku!..

Mimo pochmurnego dnia na ulicach był ruch. Dozorcy rozwieszali na domach flagi, wszędzie wokół czerwieniły hasła i transparenty. Jacyś chłopcy, zamocowawszy na słupie megafon, wypróbowały go, puszczając na cały regulator modnego twista czy szejka albo coś w tym rodzaju. Tę melodię słyszałam wiele razy podczas porannej audycji, ale mi się nie znudziła, a teraz pomyślałem, że z pewnością podobała się także i chłopakom, gdyż puszczali ją raz po raz, i ta stopniowo cichnąca melodia odprowadziła mnie aż do domu, w którym żył i umarł samotnie Arystarch Sytnikow. W jego pokoju mieszkał technolog zakładów mięsnych Kurejew – człowiek niewielkiego wzrostu, z głową wielką jak dynia, obdarzony potężnym basem. Zahipnotyzowały mnie artystyczne modulacje jego głosu o ogromnej skali i w żaden sposób nie mogłem wcisnąć w potok jego opowieści nawet najkrótszego pytania. Opowiadał mi o perspektywach przemysłowej obróbki mięsa, o tym, jak w samą porę dostał teraz pokój, o naukowej organizacji produkcji kiełbas według nowej

technologii, o rozwodzie z żoną, która okazała się niezdolna do wzniosłego pojmowania szczęścia, o otrzymaniu drugiej nagrody na republikańskim konkursie racjonalizatorów, o nowym małżeństwie z prostą, ale bardzo godną kobietą, o propozycji pracy w Moskwie i o tym, że właśnie będzie obchodził trzy święta naraz – ślub, oblewanie mieszkania i Pierwszy Maja, a ja oczywiście będę miłym gościem na tej uroczystości.

Opowieści Kurejewa wydawały mi się wiosenną powodzią, stale wyrzucającą mnie na brzeg przy każdej ponownej próbie zanurzenia się. Tylko o Sytnikowie nic nie wiedział...

– ...Przecież, jak przyszedłem z nakazem, tutaj już nic nie było. Miesiąc minął od pogrzebu... – grzmiał nade mną głos Kurejewa. – Nikt tu panu nie powie nic sensownego. Sąsiedzi mało kontaktują się ze sobą, bo wszyscy mają oddzielne wejścia i swoje komunalne urządzenia indywidualnego użytku...

Do pokoju weszła młoda, chudziutka kobieta, z tych, których twarzy nie można przypomnieć sobie w pięć minut po rozstaniu.

– Maszunia, moje kochanie jedyne! – zabrzmiała salwa w wykonaniu Kurejewa. – Mamy niezwykłego gościa z Moskwy! Co prawda przyjechał służbowo, ale to nie ma znaczenia! Poznaj się z panem, szczęście moje!

Gadał tak bez przerwy, każde zdanie kończąc wykrzyknikiem. Maszunia, jego szczęście, widać nie uważała za konieczne afiszowania ich duchowego związku i mocno się zaczerwieniła. Podała mi małą rączkę i pospiesznie zaczęła zdejmować płaszcz mamrocząc coś o jeszcze nie gotowym obiedzie.

Powiedziałem, żeby się nie fatygowała, bo i tak nie mam czasu i muszę wyjechać.

– W żadnym razie! – huknął mi nad głową Kurejew. Siedziałem, a on bez przerwy chodził po pokoju i może

dlatego zacząłem odnosić wrażenie, że jego głos dochodzi z podniebnych wysokości. Zaczynałem już się go bać. – W żadnym razie! Maszunia to znakomity kucharz! W dodatku tak rzadko zdarza się sposobność porozmawiania z inteligentnym człowiekiem! Ze stolicy!

– Przecież do stolicy zaledwie dwie godziny jazdy – zauważyłem nieśmiało.

– Proszę tak nie mówić! Dla niektórych ludzi te dwie godziny to całe życie!

Wzruszyłem ramionami, czując, że dyskusja na jakikolwiek temat może nas zaprowadzić zbyt daleko.

– Chciałbym pokazać waszym sąsiadom fotografie dwu mężczyzn. Może widzieli tych ludzi kiedyś u Sytnikowa – powiedziałem do Kurejewa, wyciągając z kieszeni zdjęcia Batona i Fausta Castellego.

– Można! – zagrział dziarsko Kurejew. – Ale to nic nie da! Jak już pana informowałem, wejścia do pokoi są izolowane i dlatego kontakty słabe!

Zrozumiałem, że towarzyskość Kurejewa przekraczała wytrzymałość sąsiadów.

– Rozmawiałam z tym człowiekiem – nagle za moimi plecami odezwała się Maszunia. Po raz pierwszy wyraźnie usłyszałem jej cichy głos. Nawet Kurejew umilkł zaskoczony, ale zanim zdążyłem się opamiętać, już przebił barierę dźwięku.

– Analogiczny przypadek zdarzył się biblijnemu Balamowi... – i zaśmiał się ogłuszająco. Najwidoczniej spodobał mu się własny żart, bo śmiał się bardzo długo.

Maszunia, jego kochanie jedyne, stropiła się albo porównaniem z mówiącą oślicą, albo śmiechem, który przypominał schodzącą lawinę.

– Teraz poproszę, żeby pan nie otwierał ust przez trzy i pół minuty – powiedziałem mu tajemniczo i groźnie, a on na takie chamstwo aż zamarł w bezruchu, ze swoją wielką

głową i krótkim tułowiem bardzo podobny do wybrakowanej klepsydry.

– Masza, proszę mi opowiedzieć wszystko, co pani wie.

Masza zaczerwieniła się jeszcze bardziej i w tym momencie napięcia psychicznego przestała być kobietą pozbawioną indywidualności, niezauważalną i bezbarwną. Kto wie, może Kurejew znalazł swoje szczęście właśnie w takiej chwili?

– Dwa tygodnie temu – w tym dniu pracowałam na drugiej zmianie – koło dziesiątej rano ktoś zadzwonił do drzwi – powiedziała Masza, dotykając fotografii Fausta. – Otworzyłam i zobaczyłam właśnie tego człowieka. Po rosyjsku mówił źle; pomyślałam, że to albo cudzoziemiec, albo mieszkaniec którejś z republik nadbałtyckich. Zapytał, czy Arystarch Sytnikow jest w domu... Odpowiedziałam, że Sytnikow zmarł przed miesiącem, a nam przydzielili jego pokój. Wtedy on się pożegnał i odszedł...

– Nic więcej nie powiedział?

– Nic. Tylko wyglądał na zdenerwowanego...

– A z czego miał się cieszyć! – nie wytrzymał Kurejew. – Przecież zmarł człowiek!

Popatrzyłem na niego ostro i zapytałem Maszę:

– Nie wie pani, czy przypadkiem u sąsiadów nie zostało coś z mienia Sytnikowa?

Pokręciła głową.

– Na co teraz może się przydać takie barachło? Wszystko wyrzucili... – potem dodała: – O, tylko ten malutki stolik został na korytarzu. Może się komuś przyda...

To nie był stolik, tylko zniszczone, rozpadające się resztki pięknego niegdyś trema, z połamanymi giętymi nóżkami i zrujnowanymi szufladkami. Brakowało uchwytów i szufladki trzeba było wypychać ręką od tyłu. Ich wnętrze pokrywał kurz, zdechłe muchy, okruszyny. Obejrzałem szufladki uważnie, potem ramę, aż wreszcie się

gnąłem ręką do tylnej ścianki z dykty i namacałem jakiś papier, który wypadł przypadkiem z jakiejś szufladki albo został ukryty celowo. Wyjąłem długą taśmę mocnego papieru. Obejrzałem ją uważnie. W paru miejscach widać było ślady zagięć, a mniej więcej pośrodku – napis fioleto- wym atramentem: „500 po jedn. Wydano 100. Do wyd. – 400”. I nieczytelny podpis. Papier mocny, pokryty ornamentem giloszowym jak na nie wykończonym banknocie. Ostrożnie złożyłem taśmę na zagięciach – powstało coś w rodzaju bankowej banderoli.

Kiedy zbliżałem się do stacji i Kurejew nie straszył mnie już kanonadą swoich wykrzykników, poczułem do niego sympatię. Za nic nie chciał mnie wypuścić i wyrwałem się dopiero po pokazaniu mu w rozkładzie jazdy pociągów do Moskwy. To go nie wiadomo czemu przekonało.

Wszedłem na kładkę dla pieszych, wiszącą nad stacją kolejową. Dokoła mnie nie było widać żywego ducha i tylko blaszany głos megafonu na górze rozrządowej komenderował ochryple: „Ruszaj, podtoczcie jeszcze dwa pulmany, przygotować cysterny. Nie tu, nie tu, przetoczyć na czwarty tor...” Sennie sapał parowóz manewrowy i bezdźwięcznie mrugały do siebie światła sygnałowe przy torach – fioletowe, czerwone, niebieskie. Wokół było cicho i tylko wiatr szarpał drucianą siatkę bariery, rozwiewał mi włosy, wciskał się w rękawy i za kołnierz, a ja stałem na pomoście, dopóki w dali nie ukazała się biała łuna reflektora, stopniowo zwążająca się w wąski snop światła. Z ciemności wypadł z cichą wściekłością, jak cyklop, pociąg elektryczny. Zbiegłem na dół, wszedłem do wagonu, zasyczały pneumatyczne drzwi, pociąg lekko się zakolełysał i już zapadając w sen, przypomniałem sobie, kiedy po raz ostatni widziałem tak bezszelestnie wynurzający się z mroku pociąg...

...Od tej zimy upłynęło wiele lat. Lena, która zawsze miała niezwykle pomysły, zaproponowała, żebyśmy we

dwoje powitali Nowy Rok na dacy. Trzydziestego pierwszego grudnia była słoneczna, mroźna pogoda. Z zaśnieżonych, błękitniejących pól wiatr porywał obłoki srebrnego pyłu. Peron stacyjki Chotkowo świecił pustkami. Pociąg gwizdnął, miękko zaturkotał i wyrzucając śnieg spod kół, pomknął do Zagorska. Lena i ja przerzuciliśmy narty przez ramię i zeszliśmy po oblodzonych stopniach. Minęliśmy zamknięty sklep i przez jakieś opłotki wyszliśmy na drogę. Rozmawiać było trudno, bo twarze parzył mroźny wiatr niosący rzadkie krupy śniegu. Szliśmy wyjeżdżoną drogą, trzymając się za ręce. Potem zaczęło się pole. Pomogłem Lenie przypiąć narty. Klęczałem przed nią, a metal wiązań parzył mi palce. Wreszcie wiązanie zaskoczyło, podniosłem głowę, a ona pogłaskała mnie po twarzy.

– Dziękuję, kochanie. – I pobiegła po iskrzącym się, zimnym polu. Kiedy przypiąłem swoje narty, ona była już dość daleko. Biegła bardzo lekko. Jej błękitny skafander z długim żółtym szalem wyglądał na śniegu jak duży, jasny kwiat i pomyślałem, że jeśli jeszcze będę zwlekał, ona dojdzie do krawędzi horyzontu i rozplynie się w liliowej, dymiącej mgiele. A jednak wciąż czekałem. Chciałem długo patrzeć na Lenę, daleką, błękitną, biegnącą po błyszczących falach śniegu. Potem jednocześnie wbiłem oba kijki w śnieg, odepchnąłem się mocno i krzyknąłem na całe pole, na cały śnieg, na cały świat:

– Lena! Hop! Hop! Lena!

Dopędziłem ją chyba na odcinku nie mniejszym niż dwa kilometry. Za nic nie chciała się poddać, ale jednak ją dopędziłem.

Skreśliśmy w lewo, w stronę lasu i długo ścigaliśmy się wśród grubych, pokrytych szronem pni. Potem zjeżdżaliśmy z jakichś śmiesznie małych pagórków i znikaliśmy sobie z oczu, zagłębiając się w twardym, skrzypiącym śniegu. Przeszliśmy przez niewielkie osiedle letniskowe, aż dotarliśmy do domku Leny. Otworzyła furtkę i podjecha-

liśmy na nartach aż do tarasu. Śnieg jeszcze nie wyrównał klombów i grządek na działce i wszędzie wystawały paliki z przywiązanymi do nich tabliczkami: „Róża akwitańska”, „Gladiolusy holenderskie”...

Zdjęliśmy narty na tarasie, otrząsnęliśmy śnieg, a Lena dała mi klucz.

– No, dalej, otwórz ten zardzewiały dziwołag.

Otworzyłem drzwi. W pokoju okna pokrywał szron i dlatego było tam znacznie ciemniej niż na tarasie. I zimniej. W kącie stał wielki piec kaflowy.

– Idź, Stasiu, do szopy po drewno, a ja spróbuję rozpalić w piecu.

Mieliśmy ze sobą dwie puszki konserw, bochenek chleba i butelkę szampana. Gdzieś w szafie Lena znalazła całą butelkę wiśniówki. Mieszaliśmy ją z szampanem. Był to dziwny napój, kręciło się po nim w głowie, wszystko dokoła cicho dźwięczało, a ja płynąłem na miękkich falach szczęścia.

Siedzieliśmy na niedźwiedziej skórze przy otwartych drzwiach pieca i patrzyliśmy, jak ogień pożądliwie oblizuje się czerwonymi językami. Nasz niezwykły koktajl piliśmy z dużych glinianych kubków, a ja wymachując pogrzbaczem opowiadałem Lenie różne niestworzone rzeczy, o tym, co było, i o tym, co będzie, a raczej o tym, czego nie było i co nie zdarzyło się nigdy.

Wtedy odezwała się Lena:

– No więc, ukończysz prawo, będziesz ścigać złodziei i morderców. Jaki to ma sens? Jaki ma sens ściganie jednego mordercy, jeśli na świecie co dzień legalnie zabija się setki ludzi? Jeśli nie ma dnia bez wojny?...

Nie pamiętam, jakich używałem argumentów, ale mówiłem coś z przekonaniem i pasją, z pewnością bez sensu i bez związku, bo przede mną świeciła jej twarz – okrągła, z lekko zaznaczonymi kośćmi policzkowymi, z ostro załamany brwiami, a jej czarne, proste włosy pachniały

dymem i pierwiosnkami... Pogłaskała mnie po twarzy – wtedy często to robiła – i powiedziała:

– Głupi jesteś, Stasiu, prawda? Bardzo cię Kocham. Przez całe życie będziesz naiwnym, srogim bojownikiem o dobro. Całe życie będziesz dzieckiem...

Wstałem i podszedłem do okna. Po szybie noc szeleściła miękkimi czarnymi łapami. W piecu ogłuszająco strzeliło polano. Lena podskoczyła i zaśmiała się.

– Tutaj zimą jest taka cisza, że aż się trochę boję, chociaż wiem, że nikogo nie ma. Wydaje mi się, że ktoś rozmawia szeptem.

Przeciągnęła się, zerwała na nogi, po czym podeszła do mnie.

– Popatrz – wzięła z parapetu album. – Córeczka sąsiadów latem robiła zielnik i zostawiła go tu. Chcesz obejrzyć?

Do sztywnych kartek albumu starannie poprzyklejano liście, trawy, zasuszone kwiaty. Nie wiem dlaczego zrobiło mi się smutno od tego spotkania z latem. Może było ono zbyt dokładnie wysuszone i przyklejone. Położyłem rękę na ramieniu Leny.

– Minie parę miesięcy i znów będzie dużo słońca, lasu, jabłek. Będzie biały piasek na plaży, łódki, słodki dym nad polami. Chciałbym być z tobą w lecie...

Uścisnęła lekko moją rękę.

– A teraz ci źle?

– Nigdy nie było mi tak dobrze. Ale w lecie będzie jeszcze lepiej.

Pochyliłem się ku niej. Jej oczy w obramowaniu ogromnych, ciężkich rzęs były tuż-tuż. I wargi. Włosy jej znowu pachniały pierwiosnkami. Położyła mi ręce na piersiach i cicho powiedziała:

– Stasiu, mój mały, ukochany chłopcze. Nie powinniśmy byli się spotkać. Nigdy przecież nie będziemy szczęśliwi...

– Dlaczego? Ja jestem szczęśliwy teraz.

– Nie, to ja teraz jestem szczęśliwa. Ty już pędzisz w jutro, tobie potrzebne jutrzejsze szczęście, zawsze marzysz o życiu w czasie przyszłym. A ja cała jestem w dniu dzisiejszym. Przecież tak mało mi potrzeba...

– Na pewno będziemy szczęśliwi – powiedziałem twar- do. – Bez ciebie nie mogę ani dziś, ani jutro...

Jakże jej mogłem powiedzieć, że bez niej nie ma żadnego jutra? Przecież wtedy wiedziałem to z pewnością, podobnie jak z pewnością wiedziałem, że będziemy szczęśliwi.

Pociągnęła dłonią po mojej twarzy.

– Wierzysz w siebie?

– Wierzę w siebie, w ciebie, w nas...

Pokręciła głową.

– No to jak będzie, jeśli ja nie mogę wierzyć w siebie, jeśli nie lubię jutra, a mam tylko dzisiaj?

Pocałowała mnie, a jej wargi, pełne, delikatne i ciepłe, były mi kolebką, kołysaniem oceanu, karuzelą dziecięcych snów, w których nie ma ludzi ani zdarzeń, a tylko radość swobodnego opadania i poczucie słodkiej pustki szczęścia.

Nie wiem, czy to był sen, czy dziwnie podobna do snu jawa, bo wszystko się kręciło, pływało dokoła w czerwonych rozbłyskach ognia w piecu, a ja mocno obejmowałem Lenę, bojąc się otworzyć oczy, żeby szczęście nie znikło, nie roztajało, nie rozsypało się w proch. A ona głaskała mnie po twarzy i pytała:

– Stasiu, hej, Stasiu! Która godzina? Czy to już Nowy Rok?

– Nie wiem. Przecież nie pozwoliłaś wziąć zegarka – szeptałem nie otwierając oczu.

– To dobrze, Stasiu. Nie chcę, żeby czas się poruszał, nie lubię jutra. Kocham ciebie dzisiaj. Ciebie dzisiaj, ciebie dzisiaj – powtarzała w półśnie, a ja tonąłem w niej jak w jasnej głębi, i cały świat, nieskończony, bezdenny, był zawarty w niej, a szczęście stawało się nieznośne, jak ból, bo już wiedziałem – nastąpiło jutro i nigdy, nigdy, choć-

bym żył nie wiem jak długo, z nikim nie będę mógł wejść jeszcze raz w tę niezmierną rzekę miłości.

Powiodła ręką po mojej twarzy i powiedziała:

– Stasiu! Słuchaj, Stasiu. Wyjedźmy stąd...

– Kiedy? – zapytałem w półśnie.

– Teraz.

Podniosłem głowę i zobaczyłem, że płacze.

– Nie chcę, żeby tu przyszło jutro – powiedziała. – Chcę, żeby to wszystko na zawsze zostało we mnie w dniu dzisiejszym...

– Dlaczego? – zapytałem z lękiem.

– Chcę, żeby po wielu latach, kiedy cię znowu spotkam, ta noc była przy mnie. Żeby nie była nocą wczorajszą, żeby pozostała dzisiejszą...

W Moskwie na dworcu panował gwar i tłok, na placu uwijali się tragarze i kierowcy. Nad głowami przelatowały obłoki niezwyklej czerwieni, dzięki której było jasno, a ludzkie twarze wyglądały jak kamienie w ognisku.

Rozdział dwudziesty

Złodziej Dieduszkin

walczy o prawdę

Obudziło mnie nieprzyjemne uczucie, że ktoś mi się przygląda.

– Co się gapisz? Wiesz przecież, że nie znoszę, jak ktoś patrzy na mnie, kiedy śpię?

Zosia roześmiała się.

– A kiedy mogę ci się przyjrzeć? Jak tylko się obudzisz, od razu ulatniasz się jak kamfora.

Przyciągnąłem ją do siebie, pocałowałem i znów pomyślałem, jakie ma młode, jędrne i miękkie ciało. Odsunęła się i powiedziała:

– Nie trzeba, Alosza, nie trzeba... Zupełnie jasno. Nie lubię, tak niedobrze...

– A co w tym złego? Przecież nikogo nie ma.

– Nie wiem, ale tak niedobrze. Do tego jest noc...

– Aha! Właśnie, właśnie. Dużośmy się nocami nacieszyli!

Kiedy poznałem Zosię, nie miałem – jak zwykle – stałego miejsca zamieszkania, a ona mieszkała w jednym pokoju z matką, potwornie złą, wąsatą Polką, która nie dawała jej żyć. Gdy kładliśmy się spać, wystarczyło, żebym szepnął słówko Zosi, a matka ze swojego kąta pytała basem:

– Zosiu, co on ci powiedział?

Zosia odpowiadała byle co, a ta ze łzami:

– Zosiu, ty masz sekrety przed mamusią?

Tak się więc kochaliśmy, dopóki nie wynająłem oddzielnego pokoju. Wkrótce jednak trafiła się dobra robota w Czelabińsku, a potem zdecydowałem, że wstrzymam się na wszelki wypadek z powrotem do Moskwy, i pojechałem puszczać forszę w Minwodach. Kiedy forsa się skończyła, stwierdziłem, że nie mam ochoty wracać do Zosi. Strasznie to jakoś się rozkręciło i już zamajaczyło widmo urzędu stanu cywilnego, a dla złodzieja żeniaczka to czerwone światło. Zresztą pół roku później zamknęli mnie i już z obozu wysłałem Zosi kartkę pocztową bez większych nadziei na odpowiedź. Ale Zosia pisała do mnie przez cały czas, przysyłała paczki, a nawet raz przyjechała na widzenie, chociaż nie siedziałem wtedy ani w Minwodach, ani w Soczi...

Dlatego przypomniałem jej o naszych nocnych uciechach, ale Zosia, choć miękka, zawsze była bardzo uparta. Pokręciła głową i mówi:

– Nie, Alosza, dobrym ludziom do tego dana jest noc...

Odpowiedziałem złośliwie:

– Właśnie. Najlepsze rzeczy ludzie robią w nocy. Nam z sobą w nocy jest przyjemnie. A kiedy jestem sam, bez ciebie, to też nocą najlepiej swoje sprawy załatwiam... – Bezsilnie i z lękiem rozłożyła ręce. – Słuchaj, Zosiu – powiedziałem szorstko i wesoło – uważaj, żebyś całkiem nie stała się dzienną kobietą.

– Jak to?

– No tak, najpierw mieszkałaś ze swoją uroczą mamusią, a teraz pracujesz zawsze w nocy i na miłość ci tej nocy nie starcza. Z tą swoją wstydlivością możesz zostać bez chłopca.

– Strasznie się o mnie troszczysz. Na dobre mi to nie wyjdzie – uśmiechnęła się.

Poczułem, że się rozgniewa albo obrazi na mnie, a nie chciałem tego. Wołałem, żeby mnie lubiła jak kiedyś. Pocałowałem ją.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Charakter mi się popsuł – kłótniwy się zrobiłem.

Zosia uśmiechnęła się radośnie.

– Wstawaj szybko, śniadanie gotowe!

Jedliśmy parówki, grzanki i jajecznicę, piliśmy mocną, słodką kawę i może dlatego, że nie czułem twardego stukotu kół pod nogami, dokuczliwego kurzu wagonu, przenikliwego smrodu karbidu w dworcowych szaletach, zupełnie nie czułem mimowolnego napięcia przed spodziewaną pogonią. Właśnie wtedy, podczas śniadania w małej, czystej kuchni u Zosi, pomyślałem przez moment: a może rzeczywiście powinienem „wiązać”? Ale po tym, jak trwożliwie i pośpiesznie odpędziłem tę myśl, zrozumiałem, że na to trzeba znacznie więcej odwagi niż aby kraść dalej.

Zosia wybierała się do sklepu, ja leżałem na tapczanie i obmyślałem tekst pisma, które teraz należało sporządzić. Pismo to było dla mnie bardzo ważne, myślałem o nim

w skupieniu i z pewnością w tym momencie przypomniałem mojego tatula, kiedy walczył o prawdę. Zosia zajrzała do pokoju.

- Wychodzę. Niedługo wrócę...
- Poczekaj. Dawno widziałaś Sieńkę Bakumę?
- Nie, niedawno. A co?
- Chciałbym się z nim zobaczyć. Mam sprawę.

Zosia pokręciła głową.

- Nie wiem, czy będzie chciał z tobą gadać.
- A dlaczego ma nie chcieć? – wzruszyłem ramionami. –

Z tobą przecież chciał.

Milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

– Losza, głuptasie, jesteś mężczyzną, a nie rozumiesz tego. Nie powinieneś się z nim spotykać.

– No więc wytłumacz mi, skoro nie rozumiem – uśmiechnąłem się. – Przecież on kochał ciebie, a nie mnie, a jednak z tobą rozmawia. Dlaczego ma ze mną nie chcieć?

Zosia w skupieniu patrzyła w podłogę i widziałem, że coś mi chce powiedzieć, ale brakuje jej odwagi.

– Dlatego właśnie rozmawia ze mną, bo mnie kochał. Kiedy człowiek kocha, bardzo wiele może zrozumieć i przebaczyć...

– A nuż i mnie przebaczy. Chociaż ja nie czuję się winny. Co to, na targu cię kupił? Najpierw on kochał, a potem ja przyszedłem i pokochałem jeszcze mocniej.

Zosia podniosła na mnie oczy i długo mi się przyglądała. W końcu powiedziała cicho:

– Nie mów tak, Alosza. Jesteście zupełnie różni...

– Zosiu, kochanie, niepotrzebna ta pusta gadanina. Nie trzeba robić z Bakumy zakochanego księcia. Bakuma to taki sam złodziej jak ja, dobry, spokojny kumpel. Rozumiesz, to prawdziwy złodziej i poszedł ze mną, bo rozumiał, że ze mną pracuje się spokojniej i z większym zyskiem.

Zosia znowu wzięła torbę do ręki i wyprostowała się.

– Może. Nie wiem, może masz rację. Tylko że on już nie jest złodziejem...

Tu mnie zaskoczyła.

– Jak to? A kim? Może świętym?

– Nie, nie świętym. Jest kierowcą. Pracuje jako taksówkarz.

– Co? Bakuma – szoferem?

– Tak, szoferem. Pokazywał mi dowód.

– Ja ci mogę nawet trzy dowody pokazać. Każdy na inne nazwisko.

– Nie! – pokręciła głową. – On ma jeden dowód na jedno nazwisko. Prawdziwy.

– A skąd wiesz, że prawdziwy?

– Widziałam jego ręce. Ma teraz ręce kierowcy, nie takie jak dawniej.

– Hm-tak – mruknąłem. – To już przechodzi wszelkie granice...

Zosia poszła do sklepu, a ja zacząłem walczyć o sprawiedliwość.

Bakumę odnalazłem niewiarygodnie łatwo. Okazuje się, że jeśli człowiek nie musi się ukrywać przed prawem, wystarczy podejść do kiosku biura adresowego, zapłacić dwadzieścia kopiejek i jeśli się zna nazwisko, imię, imię ojca i wiek, to adres podadzą jak na zawołanie. Siada się do taksówki, płaci wszystkiego rubla siedemdziesiąt sześć kopiejek i na siódmym piętrze białego, pachnącego świeżą farbą domu w Wieszniakach–Władyczynie naciska się czarny, śliski przycisk dzwonka. I drzwi otwiera dawny współnik, dawny wierny kumpel, były złodziej domowy wysokiej klasy, żelazny człowiek sitwy, Sieńka Bakuma.

Otworzył drzwi, popatrzył na mnie swoimi ciężkimi, ołowianymi oczami, nie mrugnął, nie zdziwił się ani ucieszył. I – wydaje się – nie rozzłościł się. No i chwala Bogu.

– Czego chcesz? – zapytał grzecznie i spokojnie, jakbyśmy nie dalej niż wczoraj wieczorem usiedli do kart: jemu karta nie szła, więc forsa zmieniła właściciela, a ja, ot, nie odespawszy się jeszcze, znowu mu się zwałam na głowę.

– Ech, bo się wnerwię!... – powiedziałem. – Co to, tak się teraz ludzi wita?

– Wciąż się rzucasz... – uśmiechnął się Bakuma i zaczął przymykać drzwi, ale ja już wstawiłem nogę.

– Nie rzucam się. A ty też się nie spiesz.

– Weź no tę nogę. Przycisnę i będziesz kuleć.

– Przyciśnij, kochany. Przecież zawsze tak w sitwie było, że najłatwiej wpaść w melinie kumpla. Żeby gliny miały mniejszy kłopot.

Uderzył we mnie swoimi ciężkimi oczami jak pięścią w pierś, ale przestał przyciskać drzwi.

– Czego chcesz? – zapytał jeszcze raz.

– Pieniądzy – odpowiedziałem po prostu.

Pomyślał przez chwilę, uśmiechnął się kącikiem złych, wąskich warg.

– Ile?

– E, drobnostka, nawet nie ma o czym mówić.

– Setka ci wystarczy?

Zaśmiałem się.

– Coś ty, Bakuma! Sto rubli to pieniądze?

Postał milcząc, zagryzł dolną wargę i zapytał:

– A wiesz, że ja za te „niepieniądze” przez dwa tygodnie garbię się za kierownicą?

– Wiem. Ale jest taka rzecz: dla chętnego nic trudnego.

– Dobrze. Powiedziałem, nie podskakuj. Mów, ile ci trzeba, i zjeżdżaj.

– Połowa utargu waszej bazy. Jednodniowego, ma się rozumieć.

Bakuma oparł się plecami o ścianę, popatrzył na mnie spode łba i odchrząknął.

– A co zrobisz z drugą połową?

– Tobie dam. Przecież nie jestem sknera. Bierz, używaj. Na zdrowie. Wypadnie z dziesięć tysięcy, bez drobnych. Przyjmiesz bez drobnych?

– Jak widzę, z ciebie wciąż taki sam kawalarz. Ciągłe żartujesz...

– A co?

– Nic, dożartujesz się. Wezmą cię z nowego paragrafu...

– Oj, oj, oj! Słuchaj, a może do ciebie teraz trzeba się zwracać „obywatelu naczelniku Bakuma”? Może ty sam już jesteś u gliniarzy naczelnikiem? Wyciągniesz teraz z portek krzywy rewolwer i „Ręce do góry! Jesteście zatrzymani, obywatelu Dieduszkini!” Wstać! Sąd idzie. Batonowi – trzy lata, a szpiclowi Bakumie – trzydzieści srebrników według starego kursu, a według nowego – trzy ruble!

Byłem tak pochłonięty tym cyrkiem, że nie zauważyłem, jak Bakuma szybko, bez zamachu, sierpem z dołu, dosunął mi w szczękę. Tylko w oczach pojawiły mi się gwiazdy i na krótki moment jakby zawisłem w powietrzu, a potem z całej siły walnąłem głową i plecami w ścianę naprzeciwko i po cichutku, nie tracąc godności, osunąłem się na podłogę. To idiotyczne uczucie – jakby ktoś uniósł ścianę i uderzył nią człowieka w łeb – w nogach straciłem władzę i kręgosłup jak z gumy, gnie się, wprost nie chce utrzymać ciała, i szum w potylicy, jakbym pracował na kruszarce kamieni. Najlepiej byłoby od razu wstać i oddać Bakumie, ale, jak widać, przyłożył mi od serca – baśka pracuje, ale nogi nie chcą słuchać. W ogóle w bójce Bakuma to dla mnie nie przeciwnik, po pierwsze, nie jest silnie zbudowany, a po drugie, ja umiem się bić. I ręce mam silniejsze. Tylko że wstać nie mogę.

Leżałem tak sobie w kącie klatki schodowej, a Bakuma, tak jak przedtem, spokojnie podpierał plecami drzwi i mil-

cząc łypał na mnie swoimi szarymi, jakby zakurzonymi oczami. Ciekawe, jak mógł spodobać się Zosi z takimi oczami? A może na nią patrzył zupełnie innymi?

– Trzeba będzie cię wykończyć, Bakuma. Już nie masz prawa żyć – powiedziałem, ale język mi się zaplątał i słowa wyszły jakieś sepleniące i nieprawdziwe. Powiodłem ręką po podbródku – całe usta zalane krwią. Widać porządnie mnie rąbnął. Charknąłem i na podłogę wyleciał zakrwawiony ząb.

Bakuma mrugnął swoimi kamiennymi powiekami i powiedział ponuro i spokojnie:

– No cóż, zobaczymy. Spróbuj.

– Spróbuję. Nocą pasażerów też wozisz, prawda? No to z tylnego siedzenia, piórkiem cię...

– Powiedziałem, nie rzucaj się. Smarki wytrzyj.

– Wytrę, co mam robić?

Opierając się o ścianę, podniosłem się powoli. Czułem wciąż zawroty głowy. Cholera, ale mi przyłożył! Na marynarce i na płaszczu czerniały plamki krwi, cały byłem wytarzany w kurzu. Podłoga robiła wrażenie czystej, a wystarczyło jej dotknąć, i upaprałem się jak świnia.

– No jak, glino, dasz się umyć, czy tak od razu mnie oddasz koleśiom z kryminalnej?

Bakuma przez moment się zastanawiał, potem zrobił miejsce w drzwiach.

– Idź, umyj się.

Wszedłem do ciasnego mieszkania z malutką łazienką, puściłem strumień zimnej wody. Dotknąłem językiem przednich zębów – w porządku, jeden wyleciał, reszta się trzyma. Cały się trząsałem z bólu, upokorzenia i bezsilnej złości. Ciągle podstawiałem głowę pod zimną wodę, a zawroty nie ustępowały, aż w pewnym momencie coś podskoczyło mi do samego gardła i zacząłem wymiotować bez opanowania. Kurczyły mi się mięśnie policzków, bez przerwy ciekła ślina i nie miałem już czym wymiotować –

dawno poleciały do klozetu Bakumy wszystkie parówki Zosi, grzanki, jajecznicą, pociekła wreszcie żółtozielona żółć, a ja wciąż nie mogłem tego opanować. Potem wymioty ustały, umyłem się jeszcze raz, a za plecami Bakuma powiedział:

– Weź ręcznik...

Niepotrzebny mi był jego ręcznik, wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę, wytarłem się i schowałem ją z powrotem do kieszeni płaszcza, a płaszcz przerzuciłem przez rękę. W kieszeni namacałem cudem nie stłuczoną płaską butelkę wódki. Wziąłem ją wygodnie w rękę. Bakuma cofnął się o krok, wypuszczając mnie z łazienki.

– Nie rzucaj się – powtórzył. – Graby z kieszeni nie wyjmuj...

W jego ręce zobaczyłem małe żelazko, malutkie elektryczne żelazko, ale i tak cięższe od mojej butelki. Tym razem Bakuma mnie ograł. Dobrze, za mój ząb oddasz mi nie ząb i nie oko...

Poszedłem w kierunku drzwi, ale Bakuma mnie zatrzymał.

– Poczekaj, Baton...

Zwróciłem się do niego, a on położył swoje żelazko na stołku i powiedział:

– Chcesz, to mnie posłuchasz, nie chcesz – to nie, ale czas „wiązać”. Nie jesteś dziecko, kończ, póki nie będzie za późno...

Chciałem mu zadać pytanie w rodzaju, ile w milicji płacą za każdą nawróconą złodziejską duszę, ale nie miałem sił i mówienie sprawiało mi ból, dlatego powiedziałem tylko:

– No dobrze, szpiclu, powiedz mi lepiej, gdzie są moje narzędzia.

Bakuma ciężko westchnął, pokręcił głową i z nieoczekiwaną złością powiedział:

– Nie wiem, gdzie twoje narzędzia! Nie brałem ich!

A teraz zjeżdżaj. Tylko zapamiętaj sobie – jeśli weźmiesz narzędzia i przyjdą tu do mnie z milicji, to – jak kocham wolność – wsypię cię na całego! Nie mam ochoty, sukinyśnu, mordować się przez ciebie w obozie!

– Dobra, drogi przyjacielu, zapamiętam. A za przyjęcie, za życzliwość – dziękuję. Znasz mnie – dług oddam, z piórkiem na dodatek... zobaczysz, policzymy się...

Rozdział dwudziesty pierwszy ...A usprawiedliwia się inspektor Tichonow

Sawieliew siedział, skłoniwszy na bok rudą głowę, a krótkie grube paluszki splótł na muskularnym brzuchu, mocno przypominając lubieżnego katolickiego spowiednika. Począł, aż doczytał raport do końca, i potem spytał:

– Pięknie napisane?

– Ujdzie – machnąłem ręką i dodałem: – Dobrze, że za nasze raporty nie dostajemy honorariów, bo zaskarżyłbyś mnie o prawo do współautorstwa.

– Nie bój się – uspokoił mnie grzecznie – odpowiedzialność za nieprawidłowo przygotowany dokument ponoszą wszystkie osoby, które go podpisały...

Do pokoju wszedł Szarapow. W rękę trzymał okulary, a twarz miał zachmurzoną, bladą, jakby zmiętą. Wyglądał kiepsko.

– Jak tam sprawy, orły? – zapytał.

– Czy u nas są sprawy, Włodzimierzu Iwanowiczu? – ożywił się Saszka, zapominając o swojej pozie spowiedni-

ka. – Sprawy są w Radzie Ministrów, a u nas, ot, drobiazgi...

– No to źle – powiedział Szarapow. – W ten sposób, Sawieliew, do śmierci nie trafisz do Rady Ministrów. Za młodu trzeba brać się za wielkie sprawy.

– Tak oczywiście... – Saszka rozłożył ręce. – Każdy jest kowalem własnego losu.

Zaśmiałem się, Szarapow chciał coś odpowiedzieć Saszce, ale rozmyślił się i powiedział do mnie:

– To z pewnością aluzja do mnie. Uważaj, Sawieliew, mali naczelnicy nigdy nie wybaczą, jeśli przypomina im się, że już nie zostaną większymi.

Saszka zerwał się i żarliwie przycisnął ręce do piersi.

– Włodzimierzu Iwanowiczu! A co ja takiego mówię? Pan jest dla mnie jedynym i najważniejszym naczelnikiem. Jak furman dla wałacha. Większych niż pan widziałem tylko na defiladzie...

Szarapow pokręcił głową.

– Oj, Sawieliew, Sawieliew! Życie jest niesprawiedliwe. Ty masz niebezpieczne i głupie złudzenia, a uwalniać od nich będą Tichonowa.

Ze zdziwieniem uniosłem głowę.

– A to dlaczego?

Szarapow położył mi rękę na ramieniu.

– Idziemy się tłumaczyć do komendanta MUS. Baton przysłał na ciebie skargę...

Na twarzy Szarapowa widać było zniecierpliwienie, a Saszka zamarł jak na zatrzymanym kadrze w kinie. Siedziałem w milczeniu i nagle zauważyłem, że moje ręce nieświadomie, chaotycznie segregują papierki na stole i rozkładają je do teczek. Zrozumiałem, że jest to objaw strachu. W pokoju było cicho, moje ręce gorączkowo przekładały papierki, a ja czułem niewiarygodną gorycz i gniew, że taka kreatura, jak Baton, zdołała mnie przstraszyć.

– Dobra skarga? – zapytałem.

– Dobra. Napisana rzeczowo. To w ogóle sensowny chłopak, ten Baton. Adresowana do Moskiewskiego Komitetu Partii, kopie do prokuratora miasta i komendanta urzędu. A ty coś tak oklapł? Boisz się?

– Co to znaczy „boję się”...? – odpowiedziałem niewyraźnym pytaniem.

Siedziałem i nie mogłem zrozumieć, czego się przestraszyłem. Nie było za co mnie karać – działałem zgodnie z przepisami i gdyby tak się złożyło, zrobiłbym jeszcze raz to samo. Komendanta też się nie bałem. A więc dlaczego...? Czy można bać się będąc niewinnym? Ale czego?

Saszka ocknął się i wrzasnął:

– To po prostu chuligaństwo!

– Nie drzyj się, Saszka – zmarszczył się Szarapow. – Będziesz musiał, Stasiu, przemyśleć odpowiedzi. Baton utrzymuje, że stosowałaś bezprawne metody przesłuchania – groziłeś, straszyłeś, namawiałeś do przyznania się, że wtedy niby wypuściłbyś go do rozprawy...

– Tato, a ty sądzisz, że to wszystko prawda? – zapytałem.

– Nie. Ale istnieje porządek...

– Porządek! – wmieszał się Sawieliew. – Włodzimierzu Iwanowiczu, ja naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego Tichonow musi usprawiedliwiać się przed tym bydlakiem...

Szarapow zwrócił się do niego całym ciałem.

– Tichonow nie musi się usprawiedliwiać przed tym bydlakiem, tylko przedstawić faktyczny stan rzeczy nadzorowi prokuratorskiemu i dowództwu. Chyba mają prawo spytać, nie sądzisz?

– Mają. Ale przecież wszystko jedno, jak się to nazwie – usprawiedliwienie czy przedstawienie – sens jest ten sam. Tichonow będzie musiał udowodniać, że nie stosował niedozwolonych metod przesłuchania. Pytam: dlaczego

Tichonow ma udowodniać, że nie jest wielbłądem, jeśli tak stwierdzi Baton. Złodziej, łobuz, recydywista!

Szarapow usiadł na krześle, nałożył okulary na nos, poprawił ręką swoje płowe, siwe włosy.

– Dwadzieścia lat temu był u nas jeden pracownik. Tretiakow się nazywał. Był zdolnym oficerem dochodzeniowym i wyniki miał fantastyczne. Nie zdarzali mu się przestępcy „nie do rozgryzienia” – aż huczało wokół niego. I to dość długo. Aż kiedyś razem z Ilią Landresem zdjęliśmy w melinie Fomkę Szczura. Był to dość obrzydliwy bandyta, ostrożny, niebezpieczny, jak prawdziwy szczur. Wzięliśmy go w obroty, a Ilija przesłuchiwał, trzeba powiedzieć, doskonale. Krótko mówiąc, Fomka przyznał się do morderstwa na Bankowskiej. Wyciągnęliśmy materiały – morderstwo popełniono trzy lata wcześniej – i zdrętwiliśmy. Przesłuchanie wykryte, morderca schwytany, osądzony i odbywa dwudziestoletni wyrok. Bierzemy całą sprawę, czytamy. Początkowo oskarżony kategorycznie i dość długo zaprzeczał, a potem się przyznał. Sprawę prowadził sam Tretiakow. Wznawiamy sprawę na podstawie nowo wykrytych faktów i harujemy dzień i noc. Wreszcie udowodniamy, że morderstwo popełnił Fomka Szczur, a skazany nie ma z tym nic wspólnego.

– No to dlaczego się przyznał? – przerwał Saszka.

– Tretiakow go nakłonił. Poszlaki, niby, nie do zbiccia, jesteś człowiekiem z zapaskudzoną opinią. Jedyna szansa, żeby nie dostać „czapy”, to szczerze przyznanie się. Przy najmniej będziesz żył. Słaby był, więc się zgodził. Po tym przeprowadzono rewizję wszystkich spraw prowadzonych przez Tretiakowa i okazało się, że nieraz takie numery odstawiał...

– A jaki to ma związek ze Stasiem?

– Taki, że człowiek nie ma na czole wypisane, czy jest uczciwym pracownikiem, czy łobuzem. Dlatego Baton – skorośmy nie udowodnili, że jest złodziejem – ma wszyst-

kie obywatelskie prawa do obrony. A nawet gdybyśmy udowodnili – też ma. To jest – rozumiesz – gwarancja, żeby z ludźmi nie robiono sztuczek Tretiakowa.

Powiedziałem do Szarapowa:

– Jeśli się zastanowić, to okazuje się, że Baton teraz ma nawet więcej tych praw niż ja...

– Oczywiście – żywo zgodził się Szarapow. – Dlaczego by nie? Nie udowodniliśmy mu kradzieży. Można powiedzieć, że tylko my wiemy, że jest złodziejem. Dopóki nie wniesiemy oskarżenia zgodnie z prawem, Baton jest zwykłym obywatelem radzieckim. A każdy obywatel ma tyle samo tych praw co ty. Przecież to ty służysz społeczeństwu, a nie ono tobie.

– Oj, nie rozmawiaj ze mną takim urzędowym językiem!

Szarapow rozłożył ręce.

– Urzędowym czy domowym – sens się nie zmienia i ty wiesz, że mam rację. A w ogóle to wszystko w porządku...

– Co w porządku?

– Nasza praca to twarda gra. Tu nie wybacza się ani jednego błędu. Nie wykorzystaliśmy naszej szansy, żeby uderzyć, więc teraz uderzył Baton. I tak będzie zawsze...

– Siadajcie – powiedział komisarz, nakręcając numer telefonu, i po chwili zaczął szybko mówić:

– Melduje się Lebediew. Niestety nowych danych nie mamy... Ale przecież to nie zależy od nas, Aleksandrze Wasiliewiczu. I tak rzuciliśmy do tego nasze najlepsze siły. Co? Tak, nasi ludzie tam czekają w zasadzce już cały tydzień. Tylko meteorolodzy nie popełniają błędów... Oni wam, a wy mnie zmywacie głowę. A przecież ona nie jest z żelaza... Schwytamy go i społeczeństwo się uspokoi... Tak jest, tak jest. O godzinie siedemnastej znowu będę meldować.

Odłożył słuchawkę i znużonym gestem pogładził się po głowie, jakby mu ją dosłownie mocno zmyli. Zorientowałem się, o czym mówi – tydzień temu nasi chłopcy trafili wreszcie na ślad człowieka, który zabił dwie kobiety w Instytucie Energetycznym, tylko na razie nie mogli go jeszcze ująć. Komisarz popatrzył na nas z roztargnieniem i zapytał:

– Co tam u was? Słucham...

Szarapow, bardziej otrząskany z dowództwem niż ja, powiedział spokojnie:

– Wzywaliście, towarzyszu komisarzu. W sprawie skargi.

Komisarz uważnie spojrzał na mnie, pewnie przypominając sobie, o jakiej skardze mowa, i postukiwał palcem w stół. A ja strasznie nie lubię, jak dowództwo zaczyna postukiwać palcem w stół. Potem powoli powiedział:

– Skarga na ciebie przyszła, Tichonow... Dziwię się...

– Myślę, że gdyby złodziej recydywista Dieduszkin przysłał do mnie list pochwalny, zdziwilibyście się jeszcze bardziej – wypaliłem z urazą i wydało mi się dziwne, że Szarapow milczy. Przecież on wszystko wie...

Komisarz przestał stukać palcem i zmrużył oczy.

– Różnie bywa. Listy pochwalne też przychodzą...

– Od Dieduszkinia nie doczekam się – mruknąłem, a Szarapow wciąż milczał.

– No jak, naprawdę mu groziłeś? – komisarz znowu zaczął stukać palcem.

Poczułem, jak mnie ogarnia rozdrażnienie.

– Można i tak powiedzieć. Obiecałem, że go posadzę.

– No? – zdziwił się komisarz. – Co tak się denerwujesz?

Popatrzyłem na niego – komisarz jakby poweselał, wziął ołówek i zaczął szybko robić jakieś uwagi na stercie leżących przed nim papierów. Zrobiło mi się przykro, że taka ważna dla mnie rozmowa jest nic nie znaczącym epizodem w pełnym wydarzeń dniu roboczym mojego

szefa. Co ja mam wyjaśniać? Szarapow też nic nie mówi. Wstałem i kiedy zacząłem mówić, usłyszałem, jak drży mi głos.

– Towarzyszu komisarzu, pozwólcie, że się odmelduję. Wszystkie szczegóły dotyczące sprawy przedstawię w raporcie na piśmie...

Komisarz, nie odpowiadając, dopisał coś na kartce, po czym zwrócił się do Szarapowa:

– Włodzimierzu Iwanowiczu, w twoim oddziale coś kiepsko z dyscypliną. Jeżeli ten dzieciak tak rozmawia ze mną, to na co sobie pozwala wobec Dieduszkina?

– Tichonow ma przegięcie w drugą stronę – z obwinionymi się cacka, a potem jest arogancki w stosunku do przełożonych...

– No co, Tichonow, obraziłeś się na mnie? – zwrócił się do mnie komisarz.

Wzruszyłem ramionami – że niby nie mam powodów.

– Usiądź, usiądź, nie stój... Włodzimierz Iwanowicz powiedział mi już wszystko albo prawie wszystko. Muszę powiedzieć, że z przyjemnością natarłbym ci uszu. Tylko zmyć ci głowę trzeba nie za to, że obiecałeś posadzić Batona, ale za to, że obietnicy nie dotrzymałeś. Jeśli nie możesz – nie pchaj się, bo potem tylko wstyd. Łobuz mi tutaj moich pracowników oblewa pomyjami, a ja muszę pisać prokuratorowi powieści o waszych porachunkach z Dieduszkinem. A ty pomachałeś językiem – i w krzaki...

– Dlaczego w krzaki? – krzyknąłem.

– Milczeć! – warknął komisarz. – Nie przerywać! Pokazałbym ci, gdzie raki zimują, gdyby nie pewna okoliczność...

Komisarz zapalił papierosa i jakoś od razu się uspokoił.

– Kiedy ostatni raz prowadziłeś sprawę Batona?

– Osiem lat temu. Dostał pięć lat.

Komisarz mruknął i znowu zaczął przekładać swoje papiery.

– A jak myślisz, dlaczego na ciebie skargę przysłał?

– Nie wiem, chyba żeby się zemścić. Pracowałem nad nim zawzięcie...

– Dobry z ciebie, Stasiu, pracownik operacyjny, ale do twojego szefa – Szarapowa – jeszcze ci daleko...

Uśmiechnąłem się.

– Któżby twierdził inaczej, a ja...

Komisarz nie słuchając mnie zapytał:

– Kto pracował z Batonem?

– Ja i Sawieliew, kierował Szarapow. Zatrzymał Batona Sawieliew.

– Nie pomyślałeś przypadkiem, dlaczego on skarży się właśnie na ciebie?

– Trudno powiedzieć. Mamy stare porachunki...

– Ach, ty! Szarapow też ma z nim porachunki nienowe. A ja od razu zrozumiałem – Baton się ciebie boi. Właśnie ciebie, dlatego w skardze położył nacisk na to, żeby cię wyłączyć ze sprawy. Tym bardziej że dałeś mu taką możliwość, bo nie udowodniłeś kradzieży. Ale uważaj, Stasiu, bo jak w końcu okaże się, że bał się niepotrzebnie... Raport przygotowany?

– Tak jest.

– Zostaw mi, przeczytam później. Przyda mi się, jak będę pisał do prokuratora. Wszystko jasne?

– Tak jest.

– Jesteś wolny, a ty, Włodzimierzu Iwanowiczu, zostań jeszcze chwilę.

Zaterkotał sygnał interkomu i w głośniku odezwał się głos:

– Towarzyszu komisarzu, w Bieskudnikowie znowu trzy kradzieże kieszonkowe...

Wyszedłem i po cichu zamknąłem za sobą drzwi.

Skończyłem przepisywać wyciąg ze sprawy atamana Siemionowa, wykręciłem maszynopis z maszyny, rozłożyłem poszczególne egzemplarze i powiedziałem do Saszki:

– Słuchaj, co ja będę robił, jak mnie wyrzucą z MUS? Przecież nie umiem nic robić. No, może pisać na maszynie. Ale nie ma takiego zawodu dla mężczyzny. Nawet nie ma nazwy.

– Jest. Nazywa się remingtonista – pocieszył mnie Saszka.

– No to chwała Bogu. Zostanę remingtonistą.

W tym momencie wrócił od komisarza Szarapow. Uśmiechał się dobrodusznie i było widać, że wyraźnie poprawił mu się humor.

– No jak, gotowi na śmierć czy do nieśmiertelnej sławy?

– Włodzimierzu Iwanowiczu, czas pomyśleć o zbawieniu duszy – wtrącił Saszka. – Coraz bardziej przekonuję się, że los jest ślepy i karze zupełnie niewinnych. Analogiczny przypadek zdarzył mi się w dzieciństwie. Nasza klatka schodowa przypominała studnię; wszystkie chłopaki wchodziły na trzecie piętro i puszczały w dół papierowe gołębie. Kiedyś tak pochłonęło mnie to zajęcie, że mocno przechyliłem się przez poręcz i, oczywiście, poleciałem w dół. Zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem powinien być zostać ze mnie placek. Ale na straży moich interesów stał los, który ukarał zupełnie niewinnych ludzi. Rzecz w tym, że na dole była stróżówka zbudowana z dykty. Mieszkała tam dozorczyńni i w momencie, kiedy ja leciałem jak ten sokół, gościła u siebie swojego stałego fatyganta – dzielnicowego. Popijali sobie herbatkę z samowara. Oczywiście przebiłem sufit z dykty jak toporem i spadłem na stół. Dozorczyńni z przestrawu dostała stenokardii, milicjanta silnie poparzył samowar, a ja byłem tylko lekko pokałeczony rozbitym szkłem.

– Mocne nerwy miał milicjant – powiedział Szarapow. –

Tichonow na jego miejscu zastrzeliłby cię. No, Stasiu, jak się teraz czujesz?

– Obrzydliwie. Tyle razy przesłuchiwałem ludzi i nie miałem pojęcia, że tłumaczenie się jest tak bardzo nieprzyjemne.

Szarapow roześmiał się.

– Kot, jak jest zadowolony, kręci ogonem, co bynajmniej nie oznacza, że jak mu się będzie kręcić ogonem, to też będzie zadowolony. Dobra, co teraz macie zamiar robić?

– Przede wszystkim dowiemy się, skąd Sytnikow miał dolary. Jeśli uzyskał je drogą legalną, to może uda się nam wpaść na trop tego tajemniczego Fausta.

Rozdział dwudziesty drugi Układ nerwowy złodzieja Dieduszkina

„Wyszłam do pracy. Kolacja w lodówce.” I to wszystko. nawet się nie podpisała. To znaczy, że jest zła. Ech, Zosiu, Zosiu! Chyba nie powinnaś była porzucać Bakumy dla mnie. Należało w swoim czasie rozpocząć naukę w szkole handlowej, znaleźć tam sobie – jak kelnerka Nadia – przyjaciela; spotykałibyście się tyle, ile trzeba, potem zawarli małżeństwo, wieczorami liczylibyście otrzymane napiwki, naprodukowali małych kelnerków i byli niemożliwie szczęśliwi. No bo ode mnie radości masz tyle, co kot napłakał, a nieprzyjemności i goryczy – po same uszy.

Nie wziąłem kolacji z lodówki, tylko słoik marynowanych jabłek, z kieszeni płaszczu wyjąłem swoją płaską

butelkę, zaniósłem do łazienki i postawiłem na stolku. Nalałem pełną wannę wody i szybko się rozebrałem. Moja koszula, zachlapaną krwią i rzygowinami, wywoływała we mnie odrazę. Rzuciłem ją na podłogę i pomyślałem, że drugiej nie mam. I nie mam też pieniędzy, żeby kupić nową. Zanurzyłem się w ciepłej wodzie.

I chociaż strasznie bolała mnie głowa, powziąłem twarzą i ostateczną decyzję – dzisiaj wychodzę na robotę.

Zdrzemnąłem się chwilę, cisza nie uspokoiła mnie, a ledwie słyszalny szum w kaloryferze drażnił i tak już napięte nerwy. Wszystko się we mnie trzęsło i cały czas powtarzałem – poczekajcie, jeszcze wam pokażę! Choć zupełnie nie wiedziałem, komu groziłem, bo już w drodze do domu doszedłem do przekonania, że tego, co oberwałem dziś od Bakumy, nie oddam mu. Przecież nie pójdę go zabić – cóż to, życie mi obrzydło? W obecnych czasach brać się do mokrej roboty z powodu głupiego nieporozumienia z kolegą po fachu to po prostu bzdura. Dobra, na razie pochodzę z rozbitą mordą, a potem się zobaczy. Bóg da, to się policzymy. Nie wie głupi Bakuma, że na wolności będzie dokładnie tyle, ile ja. Jeżeli mnie tylko złapią, natychmiast go wsypię. Powiem, że przez cały czas był moim współnikiem. Zobaczymy, drogi przodowniku, czy ci uwierzą twoi towarzysze.

Sięgnąłem po butelkę, otworzyłem ją i stwierdziłem, że nie mam szklanki. Nie chciało mi się pić z butelki, a jeszcze bardziej – wychodzić z wody. Zdjąłem z półeczki plastikowy kubek do mycia zębów, nalałem po brzegi i chciwie wypłem dwa łyki.

Wódka popłynęła do gardła lekko, jak woda sodowa. Nie chciałem niepotrzebnie tracić czasu, więc dopłem do końca, patrząc w przezroczyste dno kubka, pokryte smugami pasty do zębów. Nalałem i wypłem jeszcze raz, i dopiero wtedy przygasło straszne pragnienie, i znikła

obrzydliwa gorycz w ustach. Ugryzłem marynowane jabłko i znów zanurzyłem się w wodzie.

Przy wannie wisiała kolorowa zasłona z plastyku. Na jej błękitnym tle były pyzate rybki z wielkimi ogonami, śmieszne koniki morskie, wodorosty i dziwaczne muszle. Przez zasłonę nieostrą plamą, jak zatopiony księżyc, świeciła lampa. W odpływie bulgotała woda, piętro wyżej lub niżej ktoś spuszczał wodę w klozecie. Słychać było dudniące złością rury kanalizacyjne, a ja czułem, jak z taką samą bezsensowną, ślepą wściekłością dudni we mnie krew.

Uspokoił się trochę ból głowy i zaczęła mnie ogarniać senność. Błękitne rybki z różnobarwnymi ogonami pływały nad głową, wodorosty słały się na białych, pokrytych glazurą ścianach, a muszle, namalowane na przezroczystym tle, warczały jak spływająca woda. Najlepiej byłoby nigdzie stąd nie wychodzić. Przeżyć pozostałe lata w wannie. W obozie pod Surgutem poznałem pewnego policjanta, który w czterdziestym czwartym, po wejściu naszych, wlaźł do piwnicy u swojej matki i przesiedział ileś tam lat. Potem wylazł i sam się poddał. Nie, leżenie w wannie na nic się nie zda. I Zosia z pewnością, mimo całej swojej miłości, sprzeciwiłaby się, gdybym chciał na stałe zamieszkać w jej łazience.

Niech ich wszystkich szlag trafi, z ich rybkami, przyjaźniami, miłościami! Nie będę tu siedział Bóg wie ile lat, tylko wyjdę już dziś i od razu im wszystkim pokażę, że Alosza Dieduszkin jest jeszcze coś wart! Szkoda, że nie mam swoich narzędzi. Dobra, narzędzia skombinuję w tych dniach, a na razie bez narzędzi, gołymi rękami, pokażę im, co potrafię.

Nie wiem, czy się zdrzemnąłem i we śnie przypomniał mi się pewien sklepik, czy też może bez reszty byłem pochłonięty moją decyzją. Przed spotkaniem z Bakumą sam jeszcze nie wiedziałem, czy posłucham próśb Zosi, czy

skorzystam z rad Okonia, czy złękę się gróźb Tichonowa. A teraz po prostu zapomniałem o nich, jak gdyby wszyscy naraz wyparowali. Pozostało tylko złodziejskie ryzyko, ogarnął mnie wieloletni nawyk skrupulatnego planowania i nie miałem już wątpliwości, czy zabierać się do tego małego sklepu na Domnikowce.

Wypatrzyłem go dwa lata temu, ale wtedy nie to mi było w głowie; pomyślałem tylko, że włamać się do niego – łatwiej niż splunąć. Było to w nocy, jesienią, podczas ulewnego deszczu. Zabrnąłem na podwórze przy długiej, ciemnej Domnikowce, bo wszystkie publiczne toalety już pozamykano, a ja miałem bardzo pilną potrzebę po wypiciu dwu tuzinów piw w barze z Sańką Karasikiem. Kiedy oddawałem mocz w deszczu, na ciemnym pustym podwórzu, obejrzałem sobie dobrze tyły tego sklepu. Sańka czekał na mnie na ulicy i pamiętam, że kiedy wyszedłem z bramy, tak mu właśnie powiedziałem – łatwiej niż splunąć...

Głowa jeszcze mnie bolała, ale mózgowica pracowała precyzyjnie. Wytarłem się ręcznikiem, aż mi skóra poczerwieniała, i włożyłem swoją brudną, zarzyganą koszulę. Nie szkodzi, niedługo się przebierzemy. Wyszedłem z łazienki i zacząłem grzebać w komórce. Na podłodze w kartonowym pudełku znalazłem zardzewiały klucz francuski, kombinerki, śrubokręt, obciążki. Zupełnie niezrozumiałe, skąd to wszystko znalazło się u Zosi. Ale przecież mieszka bez chłopca, więc musi sama dbać o mieszkanie.

A oto torba jak trzeba, dobra, wygodna, na pasku, z zamkiem błyskawicznym – firmowa reklama Aeroflotu. No, zardzewiałe rupiecie, jazda do torby! To, oczywiście, nie jest moja walizeczka z narzędziami, z którymi można włamać się nawet do banku, ale na ten parszywy sklep wystarczy i ten szmelc. Pod miską klozetową widziałem wczoraj gumowe rękawiczki – Zosia myje w nich ubikację. Aha, są, świetnie. To chyba wszystko. Teraz trzeba zoba-

czyć, jak z forszą. Głupia sprawa – razem z całym bilonem mniej niż dwa ruble. Może nie wystarczyć. No, zobaczymy, Bóg da, to wystarczy.

Teraz przysiadziemy przed drogą. Żeby się tylko poszczęściło! Byle tylko jakieś głupstwo nie popsulo wszystkiego. Taką robotę należy robić we dwóch, a ja będę sam, bez kumpla na świecy, bez rozpoznania terenu. Tak zwykle się wpada, ale teraz myśleć o tym, to głupota – trzeba wierzyć w swój złodziejski fart. Nie mógł przecież na zawsze los na mnie tyłka wypiąć.

Tyka zegarek, biegną wskazówki po cyferblacie. Narzuciłem na ramię pasek torby – elegant w zarzyganej koszulini. Kwadrans po drugiej! Nadszedł czas złodziei. Wszedłem do łazienki, nalałem jeszcze raz do plastikowego kubka, wypilem nie zagryzając i nawet nie poczułem smaku wódki. Popatrzyłem na kolorowe rybki, na uśpione wodorosty i na przytulne muszelki. Przekręciłem wyłącznik, i wszystko utonęło w ciemności. Na progu zatrzymałem się i trzy razy splunąłem przez lewe ramię. Potem zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Metro nieczynne. Na sokolnickim kręgu pusto. Zimno. Wieje silny wiatr, niosąc w sobie ostatni lodowaty oddech zimy. Pachnie mokrymi drzewami i ledwo wyczuwalną spalenizną – w parku w ciągu dnia palą zeszłoroczne liście i uschłe gałęzie.

Od strony Prieobrażenki ze zgrzytem toczy się tramwaj. W wagonach wygaszone do połowy światło. Zatrzymał się na przystanku, załomotały drzwi. Z wagonu rozległ się skrzypiący, zdławiony przez mikrofon głos motorniczego: „Zjazd do zajezdni”.

Serce mam przeżarte strachem. Tak mówiła Zosia. Ach, kochana ty moja dziewczyno, gdybyś wiedziała, jakim ciężarem zawsze kładzie się na mnie obrzydliwy aż do nudności lęk. Gdybyś wiedziała, jaka to męczarnia, jaka nieznośna tortura – ten wdzierający się do każdej komórki

strach. Jeśli usłyszysz, że są odważni złodzieje, nie wierz. Bywają złodzieje tępi, bezczelni, ale odważnych nie ma. Ty przez całe swoje życie nie zaznasz tyle strachu, ile ja doświadczam przy jednej tylko robocie. Skrzypią i zgrzytają hamulce na przystankach, a motorniczy ponurym, ochryplym głosem powtarza do mikrofonu: „Zjazd do zajezdni... Zjazd do zajezdni...”

Spóźnieni uczestnicy popijaw i zmęczeni robotnicy wsiadają do tramwaju, przejeżdżają dwa-trzy przystanki i wysiadają. Nie patrzę na nich, bo nie mogę znieść ich widoku. Wyglądam przez ciemne okno na opustoszałe, śpiące ulice, i fakt, że prawie nie widać przechodniów, dodaje mi ducha.

Na Domnikowce wszystko było bez zmian. Wąska, pełna dziur i wybojów ulica – po której trzęsąc się przejeżdżały nieliczne samochody – małe, stare domki, drewniane ogrodzenia, bezludzie i cisza. Po prawej mizerny trawnik, obok budka telefoniczna, oświetlona żółtą lampką. A oto i sklepik, brama z przejściem na podwórze. Przez tę bramę można przejść do sąsiedniego piętrowego domku. Na podwórzu ciemno, śmierdzi zgnilizną i odpadkami. Aha, tu służbowe wejście do sklepu. Dobra, zostawimy je w spokoju. Okno zabezpieczone grubą kratą. Chyba do magazynu sklepowego albo do toalety, bo część kraty jest wycięta, i w tym miejscu zamontowano potężny wentylator. Kraty nie ma co ruszać. Gruba kratka to symbol bezpieczeństwa, a na symbole nie będziemy się porywać.

Do zakratowanego okna podtoczyłem pojemnik na śmieci i postawiłem na nim pustą drewnianą skrzynkę. Potem odsunąłem suwak torby i wyjąłem z niej gumowe rękawiczki. Guma była gruba, palce w niej zginały się z trudnością i nie były zbyt posłuszne. Nie szkodzi, przywykną. Torbę powiesiłem na szyi jak konduktor, żebym jedną ręką trzymając się kraty, drugą mógł wyciągnąć z torby, co potrzeba. Wdrapałem się na pojemnik, potem

wlazłem na skrzynkę, rękami chwyciłem kratę i chwilę takostałem, żeby oswoić się z wysokością. No, teraz w porządku. Obejrzałem wentylator. Był umocowany na czterech śrubach, a do jego gniazda dochodziły trzy grube, izolowane przewody.

Dobra, z Bogiem, zaczynamy. Wyciągnąłem „francuza” i trzymając się jedną ręką kraty, żeby nie spaść z chwiejnej konstrukcji, zacząłem dokręcać klucz. Gwint był zardzewiały i szczęki klucza schodziły się powoli, jakby z ociąganiem. Wreszcie mocno schwyciły łeb śruby. Klucz wziąłem do prawej ręki – lewą trzymałem się kraty – i powoli zacząłem nim obracać w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Skrzynka pod nogami zachwiała się, pojemnik skrzypnął, a ja oparłem się całym ciężarem na kracie, ale „francuza” nie wypuściłem z ręki. Złapałem równowagę i dalej ciągnąłem klucz. Śruba zaskrzypiała i powoli ruszyła. Zrobiłem pełny obrót, drugi, potem jeszcze dwa. Dobra, dalej da się odkręcić palcami. Następna śruba poszła lekko. Wykręciłem ją prawie do końca, ale nie wyjmowałem z gniazda – wentylator był ciężki i mógł skrzywić pozostałe śruby. Wtedy kiszka z wodą, nigdy w życiu bym go nie wyjął.

Z trzecią też poszło gładko. Kiedy porządnie zmordowany odkręciłem ostatnią, na podwórzu rozległy się czyjeś ciche, płynne kroki. W dołku poczułem chłodne ssanie, do gardła podeszła gorycz, a serca w ogóle nie czułem – zatrzymało się, pękło jak rzucony na asfalt kałamarz z atramentem, i zalało mnie przerażenie. Ciemność i strach. Przycisnąłem się do zardzewiałej kraty, rozmazałem się na niej jak klej, jeszcze chwila, a przeniknąłbym przez nią jak para. Szeleszczące, krótkie, niepewne kroki zatrzymały się. Potem jeszcze kroczek i szelest papieru.

Jeżeli to dozorca, ucieknę. Kiedy podejdziesz bliżej, skoczę na niego z krzykiem, przestraszy się, a ja do bramy. Trzeba biec przez skwer. Za nim jest wejście na przejście-

we podwórze, a stamtąd można wyskoczyć na Astrachańską.

Cisza. Wciąż trzymając się kraty odwracam się ostrożnie, tak żeby skrzynka nie skrzypnęła pod nogami. Ręce w gumowych rękawiczkach są zupełnie mokre. Westchnienie. Może by tak „francuzem” po głowie?

Szelest. Krok. Szmer.

Przy podwórkowym murze, obok ustawionych szeregiem pojemników na śmieci, przemknął cień. Zdjąłem klucz ze śruby, palce zupełnie mi zdrętwiały. Cień przesunął się i zamarł.

Kot.

To kot. Nie dozorca ani milicjant. Po prostu podwórzowy kot. Długo jeszcze stałem bez ruchu, uspokajając łomot szaleńczo bijącego serca.

– A psik! – szepnąłem do kota. Ale czy to przeklęty kocur nie był przyzwyczajony, żeby się do niego tak zwracać, czy to czuł, że nie ma się czego bać, w każdym razie nie miał zamiaru uciekać. Teraz, gdy moje oczy przywykły do ciemności, wyraźnie widziałem jego ostrą, najeżoną sylwetkę na pokrywie pojemnika.

Ostrożnie odwróciłem się na skrzynce, założyłem klucz na główkę śruby i szybko ją odkręciłem. Klucz wrzuciłem do torby i jedną ręką trzymając się kraty, odpiąłem i wyciągnąłem pasek do spodni. Musiałem wypiąć brzuch, żeby portki mi się nie zsuwały. Jeden koniec paska przywiązałem do łopatki wentylatora, a drugi przerzuciłem przez poprzeczną kratę – huk padającego wentylatora był mi zupełnie niepotrzebny. Wyciągnąłem obciążki i przeciąłem przewody. To wszystko – wyjąłem śruby i zacząłem powolutku wyciągać wentylator. Jeszcze raz dotknąłem paska – powinien wytrzymać. Pociągnąłem z całej siły wentylator i zeskoczyłem ze skrzynki. Powoli, jakby zastanawiając się, czy wypada, wentylator fiknął kozła w dół, a jego żelazne łopatki dźwięcznie uderzyły o grube pręty okrato-

wania. To uderzenie, wyraźne, głuche, przenikliwie głośnie w gęstej nocnej ciszy, szarpnęło moimi nerwami, jakby te dwa pudry żelaza spadły mi na łeb.

Skurczyłem się przy ścianie, patrząc na drżący jeszcze od napięcia pasek, na którym wisiał teraz wentylator. Dźwięk ucichł, pasek przestał drżeć, na podwórzu było cicho jak przedtem, nawet nie było słychać samochodów na Domnikowce. Stałem nogą na uchwycie pojemnika, wspiąłem się na pokrywę; schwyciłem rękami za ramę pustego już teraz otworu po wentylatorze, podciągnąłem się do połowy, oparłem brzuchem, odwróciłem, podciągnąłem nogi, wsunąłem w otwór jedną, potem drugą, zawisłem na kracie i powolutku zacząłem się opuszczać. Jedna noga znalazła oparcie; teraz postawimy drugą i przesuniemy głowę. W porządku. Stoję w ubikacji na muszli klozetowej. Tędy, jak Bóg da, będziemy wychodzić.

Zeskoczyłem na podłogę. Oczywiście szkoda, że nie można zapalić światła. Zacisnąłem powieki, żeby przywyknąć do ciemności, bo tutaj było jeszcze ciemniej niż na dworze. Kiedy zamknąłem oczy, zobaczyłem znowu biało-błękitną łazienkę Zosi, pulchne rybki, wodorosty i muszle, całym ciałem odczułem pieśczętę ciepłej wody, przypomniałem sobie kamienne oczy Bakumy i ze zdziwieniem stwierdziłem, że żadnej złości do niego nie czuję. Gdyby przy wychodzeniu z tego parszywego sklepu miała wziąć mnie milicja, to oczywiście nie wsypię Bakumy, bo po pierwsze, sprawę natychmiast zakwalifikują jako zbiorową i dadzą dwa razy więcej, a po drugie, Bakuma może się wściec i wyciągnie wszystkie stare sprawy, a z tego nic dobrego nie wyjdzie. Przede wszystkim zaś, żeby nie wiem jakim przodownikiem pracy był Bakuma, to on i tak jest z tej samej gliny, co ja. Gdybym miał być na kogoś zły, to na Tichonowa, dlatego że właśnie on nie daje mi żyć, i jeśli się zastanowić, to wcale nie Bakuma rozwalił mi pysk, ale Tichonow. Tak, tak, Tichonow. Przecież właściwie nigdy

nie żywiłem nienawiści do milicji, jak niektórzy przestępcy. Nienawidziłem Tichonowów w milicji, bo kilka lat temu, już za Szarapowa, życie stało się trudne, a za Tichonowa woda podchodzi do gardła...

Ale teraz nie pora na myślenie o tym, trzeba szybko kończyć robotę i wynosić się. Kiedy oczy przywykły do ciemności, pchnąłem drzwi i wyszedłem na korytarz. Nie było tu okien, tylko dwoje drzwi – naprzeciw siebie. Zapaliłem zapałkę i na jednych przeczytałem tabliczkę z napisem „Kierownik”. Te drzwi były zamknięte na stary angielski zamek. Wyjąłem śrubokręt, wsunąłem koniec pod rygiel zamka, podważyłem i jednocześnie napałem na drzwi barkiem. Zatrzeszczało i drzwi otworzyły się.

Okno w pokoju kierownika wychodziło na Domnikowkę i wpadało tu słabe światło latarni ulicznej. Zwykły, ubogi pokój, biureczko z jedną szafką, krzywonoga kanapka, na ścianie tablica z socjalistycznymi zobowiązaniami, w kącie mały sejf. Dużych pieniędzy oczywiście w nim nie ma, ale dobrze wiedziałem, że do takich sejfów zamyka się resztki utargu już po zdaniu kasy. Sejf był lichy i moimi firmowymi narzędziami łatwiej było go otworzyć niż puszkę konserw. Ale narzędzi nie ma, tylko te zardzewiałe śrubokręty i obciążki.

Co prawda kierownik powinien mieć dwa klucze do sejfu i chyba po zamknięciu sklepu nie zabiera obydwu do domu. Spróbowałem otworzyć szuflady biurka – zamknięte. Znowu wcisnąłem śrubokręt i odsunąłem jęczyczki zamków. W szufladach było pełno jakichś papierów, siatka na zakupy, dwa porządne długopisy w plastikowym pudełeczku, jedna skórzana rękawiczka, jeszcze jakieś śmieci, ale kluczy nie znalazłem. Długopisy wyjąłem. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że na wieszaku przy drzwiach wisi ciemny, bawełniany fartuch, jakie noszą w pracy magazynierzy.

Wyszedłem z biurka i bez najmniejszego przekonania

podszedłem, żeby przeszukać kieszenie fartucha. Uderzyłem ręką i po przyjemnym ciężarze, po lekkim brzęknięciu przekonałem się, że w gazetach piszą prawdę – jak długo będą na ziemi ludzie, tak długo będą ofiermy i gapy. Dobra. Wyciągnąłem klucz z kieszeni fartucha i wkładając go do zamka, wciąż myślałem, że nic nie znajdę w tym parszywym sejfie.

Cicho odskoczyły drzwi. Zapaliłem zapałkę i oświetliłem wnętrze. Papiery, papierki, kartonowe teczki, pieczętka z poduszczką. Namyslałem się chwilę, czy nie wziąć na wszelki wypadek pieczętki, ale zdecydowałem, że nie ma sensu jej taszczyć. Zapałki nie parzyły palców, chronionych przez gumę rękawiczek, pozwalałem im dopalać się do końca, ale i tak wypaliłem aż cztery, zanim w samym kącie sejfu, pod jakimiś wykazami, znalazłem pieniądze. Nie było ich wiele – paczuszka sfatygowanych banknotów, cieńsza niż połowa grubości palca. Ze złośliwą radością pomyślałem, jak to jutro kierownik sklepu będzie tłumaczył się milicji – wymyślając różne bujdy – skąd to niby złodziej mógł mieć dokładną kopię klucza do sejfu. A teraz śpi. Tichonow też. Ta godzina należy do mnie.

Znowu usiadłem przy biurku – wielki kierownik, nocny gospodarz wielkiej placówki handlowej stolicy, Alocha Dieduszkina. W nieelastycznych rękawiczkach trudno było liczyć pieniądze, poza tym było ciemno. Żeby rozróżnić piątkę od trójki podnosiłem banknoty do oczu i wydawało mi się, że czuć je potem. Oczywiście tylko tak mi się wydawało. Ale zanim dostały się do tego głównianego sejfu, towarzysze obywatele zdrowo napocili się za te ubrudzone papierki. A ja przyszedłem i zabrałem je w jednej chwili. Całe czterysta trzydzieści siedem rubli. Dla mnie było to mało nie tylko dlatego, że to było po prostu mało. Musiałem jeszcze zrekompensować sobie te godziny, dni czy tygodnie mojego życia, które bezpowrotnie odebrał mi swoim pojawieniem się wędrowny, śmietnikowy kot. Nikt, nawet ja

sam, nie jestem w stanie obliczyć, jak bardzo nadszarpnął mi nerwy swoim szeleszczącym krokiem, jak wymęczył mój mięsień sercowy, jak porządny kawał oderwał od tego, co się nazywa „długość życia Batona”. Słowo daję, gdyby nie ten parszywy kocur, włożyłbym forszę do kieszeni, wylazł przez otwór wentylatora w klozecie i cześć.

Ale potrzebna mi była zapłata za moje stargane nerwy. Zdecydowałem się więc na taką rzecz, na jaką nigdy bym sobie nie pozwolił, gdyby mnie tak nie ścigał Tichonow, gdyby mnie nie wykreślił z życia Okoń, gdyby mi tak nie dołożył Bakuma, gdyby mnie tak bardzo nie nastraszył kot, i najważniejsze, gdybym tak bardzo nie potrzebował udowodnić wszystkim, że jeszcze za wcześnie postawili na mnie krzyżk.

Zapaliłem jeszcze jedną zapałkę i przysunąłem do siebie telefon. Na aparacie pod tarczą było wycięte okienko, a w nim pod kawałkiem celuloиду karteczka z numerem. Nigdy nie mogłem zrozumieć, po co to się robi. Przecież człowiek powinien pamiętać numer swojego telefonu. Nie wiadomo dlaczego na wszystkich aparatach są wypisane numery. Jeśli kierownik sklepu jest taki roztargniony, że musi odczytywać z karteczki numer swojego telefonu, będę go musiał dodatkowo ukarać za niedbalstwo.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer 225-00-00. Grube sztywne palce niezdarnie obracały tarczę. Starąłem się jednak robić to dokładnie. Rozległ się przeciągły sygnał, potem jeszcze jeden i drugi. Wreszcie w słuchawce szcęknęło i rozległ się przenikliwy głos kobiety: „Dyspozytornia taksówek, słucham”.

– Dobry wieczór – powiedziałem aksamitnym, „telefonicznym” głosem.

– Dobry wieczór – odpowiedziała obojętnie.

– Kochanie, czy nie mogłaby mi pani przysłać teraz taksówki? – powiedziałem z największą słodyczą, na jaką było mnie stać.

– Taksówka przyjedzie w ciągu godziny – głos był równie obojętny. W ogóle to ona miała gdzieś wszystkie moje intonacje i marzyła o spaniu.

Zacząłem zebrzącym głosem wyjaśniać, że niby mi pociąg odejdzie, a następny będzie dopiero pojutrze, a ja i tak już...

– A skąd ja panu samochód wezmę? Z kieszeni? Nie mam teraz taksówek! Przyjedzie jakaś – zadzwonię. Pana numer...

W słuchawce rozległy się krótkie, urywane sygnały, wyszedłem z biurka i z tego zaplutego pokoju poszedłem do sali sklepowej. Drzwi zostawiłem otwarte, żeby usłyszeć telefon.

Pusty sklep w nocy to strasznie niezwykły i jakiś niesympatyczny widok. Przez cały czas straszyl mnie głuchy stuk własnych kroków.

Wszystko tutaj było jak we śnie – pełno wszelkich łachów. I wszystkie moje, wszystkie, które zdołam wynieść za jednym razem. Kiedy byłem dzieckiem, czasem miałem takie sny – bierz, wszystko twoje, ale tylko tyle, ile udźwigniesz za jednym razem. A ile człowiek może wynieść za jednym razem nocą, nie wywołując zainteresowania milicji ani przypadkowych przechodniów? W dziale galanterii skórzanej wybrałem dwie duże niemieckie walizki, a przy okazji zdjąłem z wystawy pasek do spodni.

Jedną walizkę zaniósłem do działu futer. Futra były kiepskie nawet na pierwszy rzut oka, ale w witrynie leżały męskie czapki karakułowe. Wszystkie przerzuciłem do walizki, niestety wypełniły ją tylko do połowy. Wrzuciłem też damskie futro z czarno-burym kołnierzem. Na wierzch nakładłem szalików, rękawiczek, przydepnąłem nogą wieko walizki i zamknąłem ją.

Z drugą walizką poszedłem do działu damskich trykotaży i nie mam nawet pojęcia, ile napchałem do niej bluzek i kostiumów. Wydawało się, że w tym dermatoidowym

brzuchu nic już się nie zmieści, ale ogarnęło mnie jakieś rozjuszenie – tyle towaru miało się zmarnować! Przecież mogłem wziąć tylko tyle, ile udźwignę za jednym razem, a miałem tylko dwie ręce, no i więcej niż dwie walizki nie zmieszczą się w taksówce. Wciskałem więc do walizki trykotowe bluzeczki i sukienki, jakbym miesił glinę czy dusił Tichonowa, i coraz to coś udawało mi się wepchnąć.

Dzwonek szarpnął po moich nerwach jak pilnik. Cały się skurczyłem, a pot na grzbiecie w mgnieniu oka przekształcił się w lód, ale dzwonek rozległ się jeszcze raz i przypomniałem sobie, że pewnie dzwoni dyspozytorka. Pędem rzuciłem się do drzwi, nogą zawadziłem o walizkę i z łomotem rozciągnąłem się na podłodze, uderzając o nią rozbitymi wargami. W oczach błysnęły iskry, w kolanie poczułem ostry ból, ale i tak od razu zerwałem się, kulejąc dobiegłem do telefonu i podniosłem słuchawkę.

- Zamawiał pan taksówkę?
- Tak-tak! – z bólu aż mnie zatkało.
- Proszę podać adres...
- Domnikowka 66, niech się zatrzyma przy skwerze, będę pilnował z okna.
- Taksówka przyjedzie od strony Odkrytej, będzie za dziesięć minut...

Posiedziałem chwilę nie otwierając oczu, aż ból zaczął przycichać. Boże, żeby tylko stąd wyjść! Muszę wynieść dwie walizki i moją torbę „Aeroflotu”. I przeleźć przez otwór wentylatora. Usta mnie paliły, a w środku coś chlupało. Splunąłem na podłogę i nawet w ciemności było widać, jak na parkiecie rozpełzła się wielka czarna plama. Przypomniałem sobie, że moja koszula jest cała brudna i poplamiona, i że śmierdzi zaschłą krwią i wymiocinami. Jak mogłem o tym zapomnieć? Przecież właśnie o wszystkim zdecydowała ta koszula.

Znowu poszedłem do sali sklepowej, oparłem zdrowe kolano o walizkę z dzianiną, zamknąłem i wyniosłem ją na

korytarz, potem do ustępu. Wdrapałem się na miskę klozetową, podniosłem z podłogi walizkę i wsunąłem w otwór, zaparłem się i pchnąłem.

Strasznie długa wydała mi się chwila, w której walizka pokonywała te dwa metry, nawet natężyłem słuch w oczekiwaniu na odgłos uderzenia, ale walizka głucho i miękko dotknęła ziemi.

Tak samo wyrzuciłem drugą. Wróciłem do sali, znalazłem półkę z koszulami i długo grzebałem, wybierając najlepszą. Znalazłem fińską, nylonową, w prążki. W pięknym przezroczystym opakowaniu. Rozejrzałem się po raz ostatni, poszedłem do pokoju kierownika, w którym już czułem się jak u siebie. Stąd zresztą widać było przez okienko skwer, przy którym miał zatrzymać się taksówkarz.

Ściągnąłem z siebie płaszcz, marynarkę i koszulę, włożyłem fińską, a własną chciałem wsadzić do sejf, ale w porę się powstrzymałem i wepchnąłem do torby. Ubrałem się i postanowiłem nie nakładać już gumowych rękawiczek – nie miałem zamiaru już niczego dotykać. Usiadłem i zapaliłem.

Naprzeciwko skweru, przy budce telefonicznej, zatrzymała się „Wołga”. Wstałem, przez ramię splunąłem trzy razy na krzesło, na którym siedziałem, i poszedłem do ustępu. Jeszcze ostatni raz zaciągnąłem się papierosem, wrzuciłem peta do miski klozetowej i spuściłem wodę. Stałem na desce, uchwyciłem za siatkę i podciągnąłem się. Przełaząc przez otwór wentylatora pomyślałem z zalem, że siebie nie mogę wyrzucić przez tę dziurę tak, jak walizki. A kiedy już zawisłem na zewnątrz, w żaden sposób nie mogłem trafić nogą na skrzynkę. Zrozumiałem, że musiały ją strącić spadające walizki. Wisiałem tak jeszcze chwilę, a potem rozluźniłem uchwyt rąk i kiedy z rozpędu uderzyłem w pojemnik, przeszło mi przez myśl – żeby tylko nie złamać nogi!

Chwilę postąłem na czworakach – i zorientowałem się, że wszystko w porządku, w każdym razie nic nie jest złamane ani wywichnięte. Namacałem w ciemności walizki – były ogromnie ciężkie. Wstałem i otrzepałem się. Teraz trzeba przejść przez bramę i trzydzieści metrów do taksówki, i po wszystkim – robota wykonana. Ale to jeszcze mam przed sobą. A iść trzeba. Wyszedłem z bramy na ulicę.

Przy skwerku stała samotna taksówka z zapalonymi światłami postojowymi. Kierowca, zgarbiony nad kierownicą, drzemał. Ani jednego przechodnia. Doniosłem swoje walizki do samochodu i zapukałem w szybę.

– Jedziemy?...

Rozdział dwudziesty trzeci

Brylantowa broszka inspektora Tichonowa

Strasznie nie lubię dzwonienia budzika. Zgodnie z moją strukturą psychiczną jestem człowiekiem nocy. Powoli, z trudem zasypiam i głęboki sen ogarnia mnie dopiero nad ranem. Dlatego też, kiedy w ciszy rozlega się ogłuszający dzwonek budzika, mam wrażenie, że dostałem pałką po głowie. Ale kiedy uda mi się obudzić na kilka minut przed dzwonkiem, czuję złośliwą radość, jakbym go przechytrył. Z mściwym zadowoleniem wciskam przycisk i uciśnięciem budzik na następne dwanaście godzin, co powoduje, że ogarnia mnie dobry nastrój.

Otworzyłem oczy i pospiesznie wcisnąłem przycisk budzika, wstałem z tapczanu, wziąłem ręcznik, piżamę i poszedłem pod natrysk. Puściłem gorącą wodę i gdy skóra już przywykła do temperatury, powolutku zacząłem przykre-

cać czerwony kurek. Woda stygła powoli, była coraz zimniejsza i bardziej sprężysta, aż wreszcie lodowate strugi stały się twarde jak guma. Dziesiątki złych, ostrych prętów chłostały, szczypały, szarpały poczerwieniałą skórę, biły w oczy, uszy, nozdrza. Przypomniało mi to, jak mokliśmy z Szarapowem podczas ulewy w Ostankinie, przed domem staruchy Łarionichy, gdzie ukrywał się zbiegły bandyta Krot. Odniosłem wtedy kontuzję postrzałową, ale pamiętam jak dzisiaj, że najbardziej żał mi było podartego w szamotaninie nowego garnituru. Śmieszne, ale to fakt! Pięć lat temu, miałem wtedy tyle lat, ile teraz ma Saszka Sawieliew. Tej nocy zresztą go poznałem – to była jego dzielnica...

Uczucie nieznośnego zimna minęło, poczułem, jak wstępuje we mnie siła i rzeźkość, i czując każdy mięsień, każdą żyłkę, zrozumiałem, że jestem jeszcze młody. Zupełnie młody – trzydziestka to przecież całkiem niedużo!

Od włochatego ręcznika poczułem w skórze gorące mrowienie, krew tętniła mocno, było mi bardzo lekko i wesoło. Postawiłem na kuchence kawę, a sam położyłem się znowu na tapczanie i zacząłem szorować policzki golarką elektryczną. Było dopiero parę minut po siódmej i miałem przed sobą cały ogromny dzień, pełen różnych dobrych i ciekawych wydarzeń. Życie wydawało mi się piękne.

Włożyłem świeżą koszulę, starannie zawiązałem krawat, z godnością zasiadłem do kawy i wydałem się sobie człowiekiem wprost nadzwyczajnym. W szafce znalazłem zupełnie jeszcze jadalną bułkę i topiony serek, tak że i śniadanie wyszło bardzo dobre. Wypiłem dwa łyki, wstałem i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjąłem papierową taśmę. Oczywiście w kieszeni trochę się pogniotła, ale stare zagięcia były wciąż wyraźne. Popijając gorącą kawę, złożyłem taśmę na krzyż i jeszcze raz na krzyż. Wyszła banderola, w jakie owija się w bankach paczki banknotów. Taśma była dla mnie interesująca i niezrozumiała. Milicja

z Zarieczeńska, znalazłszy u zmarłego Sytnikowa cztery-
sta dolarów, nie przedsięwzięła żadnych kroków, aby
wyjaśnić, skąd pochodziły. Pracowali zgodnie z żelazną
logiką – staruszek nie żyje, mienie bezdziedziczne, pienią-
dze i tak będą przekazane państwu, no to co za różnica,
skąd je wziął? Nie mieli ani czasu, ani ochoty rozmyślać
nad takimi problemami, że często martwi żywym pozosta-
wiają w spadku swoje sprawy. No i, między nami mówiąc,
nie za taką najprostszą sprawę by się chwycili. Dobra,
pójdziemy dalej.

Skąd staruszek mógł mieć dolary? Fausto Castelli szu-
kał Sytnikowa i był w jego domu. Aż się prosiło, aby dolary
powiązać z pojawieniem się Castellego, ale Włoch zjawił
się tam, kiedy Sytnikow leżał już w grobie. W walizce
Castellego znaleziono krzyż współtowarzysza, dowódcy
i przyjaciela Sytnikowa – generała von Dietza. Tego nie da
się wyjaśnić żadnym przypadkowym zbiegiem okolicznoś-
ci. Czy to znaczy, że widzieli się wcześniej? Kiedy? Oddział
wiz i rejestracji podał, że Castelli przyjechał do Związku
Radzieckiego po raz pierwszy. Sytnikow od aresztowania
w 1945 roku początkowo był więziony, a potem przebywał
w Zarieczeńsku bez prawa wyjazdu. Niezrozumiałe. Coraz
bardziej intrygowała mnie ta banderola. Taką taśmą owija
się banknoty w bankach. Jeśli były w niej radzieckie
pieniądze – ruble, na przykład, pasowałyby rozmiarami –
wtedy dalej wszystko jest niejasne. A jeśli dolary? W ban-
kowej banderoli? Tym bardziej że napisano na niej fioleto-
wym atramentem: „500 po jedn. Wydano – 100. Do wyd. –
400”, a u staruszka znaleziono dokładnie czterysta. Pod-
niosłem się z za stołu i udzieliłem sobie pochwały za wzoro-
wy poranek. Potem popatrzyłem przez okno – na dworze
było zupełnie ciepło. Przerzuciłem płaszcz przez rękę
i udałem się na Pietrowkę.

W godzinę później szliśmy bulwarem Strastnym do

Banku Handlowego, a ja objaśniałem Saszce zaistniałą
sytuację.

– Tu możliwe są trzy warianty: Sytnikow otrzymał
pieniądze oficjalnie i to daje nam bardzo dużo, tylko że ten
wariant jest mało prawdopodobny. Drugi – kasjer rozpo-
zna banderolę i przypomni sobie, komu ją wydawał. Ten
wariant jest bardziej prawdopodobny, ale uzyskamy dużo
mniej informacji. Trzeci – w banku nie będą w stanie
przypomnieć sobie nic o tej operacji i, niestety, ten wariant
jest najbardziej prawdopodobny. Ale musimy to spraw-
dzić...

– Co jeszcze zostało po Sytnikowie? – zapytał Saszka.

– Jakaś brylantowa broszka. Ale ona też już trafiła do
skarbu państwa. Szukaj jej teraz.

Saszka podniósł z ziemi gałązkę topoli, roztarł między
palcami jej lepkie pączki.

– Jak wyglądała broszka? Czy widział ją ktoś u starego?
Jest jej opis w protokole?

– Nie wiem. W protokole napisali: broszka brylantowa
damska. To wszystko.

– To nie w porządku – poważnie powiedział Saszka. –
Ja bym, na przykład, chętnie ją obejrzał.

Wzruszyłem ramionami.

– Za późno, żeby o tym mówić.

– Trudno powiedzieć – niejasno mruknął Saszka.

Czterysta dolarów w banknotach jednodolarowych
otrzymał w Banku Handlowym 28 lutego bieżącego roku
Arystarch Sytnikow. Było to dość niewiarygodne, ale to
fakt. Kontrolerka pokazała nam dziennik. „Otrzymał –
Sytnikow, ur. 1896, dowód osobisty seria, numer, zamiesz-
kały w Zarieczeńsku, ul. Przybrzeżna 7 m. 12. Pieniądze
przekazano na podstawie polecenia płatniczego Wydziału

Spadków Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nakaz nr...” Jednym słowem, wszystko w porządku. Co za historia! Tego absolutnie nie oczekiwaliśmy.

– Co robimy, Stasiu? – zapytał przejęty Saszka, patrząc w dziennik.

– Myślę, że skoczmy do Wydziału Spadków. Co?

– Stasiu, mam taki maleńki pomysł indywidualnego użytku. Co będzie, jak dzisiaj zajmę się jego realizacją, a ty pójdziesz sam? Przecież i tak we dwu nie mamy tam co robić...

– Rozumiem. Cześć.

W Wydziale Spadków uzgodniłem, że przygotowują mi kopie wszystkich dokumentów dotyczących Sytnikowa. Były one na tyle interesujące, że należało włączyć je do akt sprawy. Dlatego Szarapowowi referowałem wszystko z pamięci, z rzadka zaglądając do notesu, w którym zanotowałem to, co zdziwiło mnie najbardziej.

– Spadek został zapisany Sytnikowowi przez baronową Annę Lizę Gustawę von Dietz, z domu Schmalbach, wdowę po generale von Dietzu, obywatelkę Stanów Zjednoczonych, była poddaną Imperium Rosyjskiego. Baronowa zmarła w listopadzie ubiegłego roku w mieście Tennessee-Port, Stan Indiana, hrabstwo Oak Ridge...

Firma Whitwatersgall Brothers

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Indiana

Hrabstwo Oak Ridge. Tennessee-Port

Dotyczy: masy spadkowej po baronowej von Dietz

Szanowni Panowie!

Dziękujemy za wasze pismo z dnia 20 września br., którego treść przyjęliśmy do wiadomości.

Zawiadamy, że śmierć baronowej Anny Lizy Gustawy von Dietz, z domu Schmalbach, wdowy po generale baronie von Dietz,

obywatelki Stanów Zjednoczonych, byłej poddanej Imperium Rosyjskiego, zgodnie z decyzją sądu okręgowego, uważa się za stwierdzoną.

Tą samą decyzją sądu jedynym spadkobiercą rodziny von Dietz uznany został stryjeczny brat zmarłej, pułkownik Schmalbach.

Wyraźną wolą baronowej von Dietz było przyznanie byłemu adiutantowi jej zmarłego małżonka, Arystarchowi Eugrafowiczowi Sytnikowowi, spadku w wysokości 400 (czterystu) dolarów USA.

... Uważamy, że klient Arystarch Eugrafowicz Sytnikow, zamieszkujący w ZSRR, w mieście Zarietzeńsk, ma znaczne szanse uzyskania przeznaczonej dla niego sumy, jako że osoba jego została wyczerpująco zidentyfikowana na podstawie przedstawionych dokumentów...

Upoważnienie

Podaję do wiadomości wszystkich, kogo to dotyczy, że ja, niżej podpisany Sytnikow Arystarch Eugrafowicz, przyjmuję zapisany mi przez baronową von Dietz, nie obciążony długami spadek, wyznaczam i upelnomocniam adwokatów firmy Whitwatersgall Brothers, posiadającej filię w mieście Tennessee-Port, stan Indiana, USA, na moich pełnomocnych i prawnych przedstawicieli.

A.E. Sytnikow

Polecenie płatnicze

Bank Manhattann Chase przekazuje zgodnie z poleceniem firmy Whitwatersgall Brothers sumę 400 (czterystu) dolarów USA do Wydziału Spadków, ZSRR, w celu doręczenia jej Sytnikowowi Arystarchowi Eugrafowiczowi.

Już zbierałem się do domu, kiedy zadzwonił Saszka.

– Stasiu, z mojego pomysłu chyba nici – powiedział zmęczonym głosem.

– Jakiego pomysłu? – zdziwiłem się, bo całkiem zapomniałem o naszej porannej rozmowie.

– No, w sprawie broszki. Cały dzień przecież spędziłem w dziale przedmiotów wartościowych. Ach, jaka to bogata instytucja! – w głosie Saszki usłyszałem zachwyt.

– Nic nie znalazłeś?

– Coś niecoś. Powstało nieporozumienie – powiedział niewinnym głosem.

– Jakie znowu nieporozumienie?

– Istnieje inna wersja. Ty mówiłeś o broszce brylantowej damskiej, a tutaj jest bardziej fachowy opis i nazwali ją inaczej... – Saszka zamilkł, a moje serce zabiło silniej.

– No?

– Pstro! „Brosza, ozdoba dekoracyjna z brylantów w białym metalu, w postaci ośmioramiennej gwiazdy.”

– Widziałeś gwiazdę?

– Mówię przecież – nici z tego. Dwa tygodnie temu gwiazdę przekazali do sprzedaży w moskiewskim sklepie komisowym numer 53...

– Byłeś w komisie?

– Spóźniłem się – westchnął Saszka.

– Sprzedali? – krzyknąłem.

– Nie, komis był zamknięty.

– Uf... – odetchnąłem z ulgą. – Rozmawiać z tobą to jak jeść zupę dziurawą łyżką.

– A co za różnica – w ciągu dwóch tygodni i tak na pewno sprzedali – smętnie powiedział Saszka.

– Sania, przecież to droga rzecz – odezwałem się z nadzieją. – Może obywatele nie rzucili się na nią od razu, przecież to nie lodówka, nie artykuł pierwszej potrzeby. Może poczekają, co, Sania?

– Może i poczekają. Ja przecież nie co dzień kupuję sobie brylantowe broszki, tak że rozeznanie w tej materii mam bardzo ogólne...

– No dobrze, to znaczy, będziemy tam przed otwarciem sklepu? Tak?

– Tak jest. Czołem.

Odłożyłem słuchawkę. Ośmioramienna gwiazda. Wyraźnie przypominałem sobie barwne plansze, które pokazywano mi w muzeum. Krzyż ze wstęgą i gwiazda. Jasny gwint. Ośmioramienna gwiazda!

Rozdział dwudziesty czwarty

...I złota szczęka

złodzieja Dieduszkina

– Co z twoimi zębami? – zapytała Zosia zaniepokojona.

– Iii... głupstwo. Pamiątka po rozmowie.

Zosia opuściła oczy i nie patrząc w moim kierunku powiedziała:

– Mówiłam ci przecież, że nie powinieneś być spotykać się z Bakumą. Nie usłuchałeś mnie...

– No i dobrze zrobiłem – wzruszyłem ramionami. – Co ty myślisz, stary kumpel nie jest wart jakiegoś głupiego zęba?

– A wielu jeszcze kumpli zamierzasz odwiedzić? – zapytała poważnie, a ja jej poważnie odpowiedziałem.

– Na dolną szczękę wystarczy.

Tak sobie porozmawialiśmy i Zosia poszła do pracy, nie pytając, gdzie szwendałem się cały wczorajszy dzień i całą noc. A przecież wiedziała, że nie nocowałem w domu, bo chociaż bardzo się spieszyłem, i tak nie zdążyłem i przyszedłem już po jej powrocie, około szóstej rano.

Nie wiem, co tam myślała sobie Zosia o moich nocnych

przygodach, ale chyba nie była zazdrosna o inne baby. Jakimś kobiecym instynktem czuła, że teraz mnie to nie interesuje. Ale duma nie pozwoliła jej zapytać, a ja też się nad tym nie rozwodziłem, bo od razu wyczułaby kłamstwo. I nie było sensu opowiadać jej o moim sklepie, o taksówce, o Dworcu Kurskim, o staruszce w ekspedycji bagażu, która za dziesiątkę szybciotko uszyła pokrowce na moje walizki, o ich wysyłce do pięknego miasta Tbilisi. Nie ma co mówić, nie ucieszą jej moje osiągnięcia i ma w nosie mój sukces.

A co do mojej szczerbatej gęby, to ma rację. Nie chodzi o to, że teraz eleganckim dziewczynom, pies je ganiał, przestanę się podobać. Niedobrze, że dla milicji będzie to poważny znak. Nie uda mi się ominąć łap Serafima Zubakina. Życie jednak jest zabawne – jeden koleś usunął mi ząb, a teraz drugi będzie go wstawiać.

Oczywiście, Serafim to nie żaden bliski przyjaciel, ale znamy się już od dawna. Rzecz w tym, że Zubakin ze wszystkich znanych mi kanciarzy jest najzręczniejszy i najbardziej obrotny. W ogóle to on jest dentystą i przez wiele lat wydawało mi się, że Zubakin to jego ksywa, ale myliłem się. To jego prawdziwe nazwisko. Tak więc, gdyby Tichonow poznał dentystę Zubakina, z pewnością poczułby do niego – tak jak do mnie – silną nienawiść. W żaden sposób, za żadne skarby, Serafim nie chce żyć, nie łamiąc kodeksu karnego. Wydawałoby się, że wrywanie zębów i wstawianie nowych to porządna praca. I dochodowa, i szanowana. Tylko że Zubakin koniecznie musi robić w złocie. A tu mu różne organa kontroli gospodarki narodowej mówią – w żadnym razie! Więc zrozumiałe: skąd Zubakin ma wziąć nie kradzione, legalne złoto? Znikąd. No to Zubakin wypiął się na organa i spokojnie robił ze złota i koronki, i mostki. Sam nieraz mu „złoty” metal ze swoich połowów opylałem. Zarabiał na tym oczywiście kolosalnie. Jasna sprawa, milicja miała na Zubakina oko,

tylko że go nie mogli nakryć. Długo na niego polowali, aż w końcu dziesięć lat temu wpadł przez głupotę.

Zgubiły go dwie rzeczy: miłość do psów i pasja do szachów. Miał pięknego pointera imieniem Dodson i wszystko mi się przewracało w żołądku, kiedy widziałem, jak obaj żrą z jednego talerza. Żeby był nie wiem jakim championem wśród psów, to tak czy owak tylko pies! A on z nim z jednej miski rąbie i aż mruży oczy z zadowolenia. Obrzydliwe! I nie dopatrzył Zubakin, jakieś bydlę wsunęło psu w pysk żelazny pręt, i champion Dodson złamał sobie od razu trzy zęby. Serafim omal się nie powiesił – pies miał iść na wystawę. Potem zrobił pointerowi trzy złote koronki. Nie wiem, czego tu było więcej – miłości do Dodsona, próżności właściciela psa czy też potwornej głupoty. W każdym razie jak w klubie hodowców zobaczyli pointera ze złotymi koronkami, to ze zdziwienia gęby pootwierali. No i oczywiście ktoś tam zameldował w naszej kochanej, tej, co nas strzeże.

Po tym wydarzeniu towarzysze w niebieskich mundurach wzięli Zubakina pod szczelny klosz. A on im sam pomógł swoją drugą pasją. Robił wtedy szczękę jednej babie przy bulwarze Gogola. W sąsiednim budynku mieścił się Centralny Klub Szachowy, gdzie często bywał, bo sam dobrze grał i bardzo interesował się tymi „e2–e4”. Przywiózł pod wieczór protezę, zacementował i pacjentka powinna była posiedzieć pół godziny z gębą zatkaną gipsem, żeby mostek wysechł. Nie miał ochoty tyle czasu patrzeć na nią, więc powiada: „Pani tu posiedzi nie otwierając ust, a ja na chwilę wyjdę”. Poleciał do klubu, a tam jakiś arcymistrz dawał pokaz symultanki. Usiadł Zubakin przy szachownicy i skamieniał, jak gips u baby w gębie. Trzy godziny przesiedział, zanim mu się przypomniało. A baba z mężem pojechała do Instytutu im. Sklifosowskiego, gdzie jej ten cement niemal łomem z ust wybijali.

Oczywiście, paskudna historia, klientka zgłosiła sprawę na milicji, no i przepadł Zubakin na trzy lata w północnych rejonach kraju.

Właśnie do tego Zubakina wybierałem się, żeby podremontować swoją fasadę, uszkodzoną przez Bakumę. Karę odbył już dawno, żył spokojnie, ale wiedziałem ze słyszenia, że jak dawniej zajmuje się śliskimi sprawami. Na mnie niewiele zarobi – na złote zęby teraz mi forsy nie starczy, ale ze starej przyjaźni – myślałem – jakiś porcelanowy ząb mi zmastruje, żeby jego brak nie rzucał się w oczy.

Serafim mieszkał na ulicy Kisielnej, w niedużym piętrowym domu. Na długi wspólny korytarz wychodziło pięćdziesiąt drzwi pięciu małych mieszkań, a z każdego dodatkowe oddzielne wyjście prowadziło na ulicę. Wydaje mi się, że przed rewolucją był tu dom schadzek. W każdym razie dla takiego działacza jak Zubakin było to niezwykle wygodne – przez drzwi frontowe się wchodziło, a kiedy i kądery człowiek wyszedł – szukaj wiatru w polu.

Powitał mnie Serafim przyjaźnie, wesoło.

– Dawno, bardzo dawno już, przyjacielu miły, nie rozpieszczęłaś mnie, staruszka, swoimi względami... Zęby w porządku czy sprawy nie w porządku?

– Sprawy w porządku, ale zęby nie w porządku – uśmiechnąłem się.

– No to raz-dwa zaradzimy. Opowiedz, jak się żyje.

– Nie mogę, bo bardzo seplenię. Pysk mi napraw, bo wyglądam jak twój świętej pamięci Dodson.

– Ale przecież nie wybierasz się na wystawę. Nawet z kompletem zębów nie dostaniesz medalu...

Zaśmiałem się niewesoło, przypomniałem sobie Tichonowa i Sawieliewa, tego ryżego menta, który mnie złapał. Zubakin opłukał ręce nad umywalką, zaciągnął dokładnie zasłony i posadził mnie przy lampie stołowej.

– Ano, otwórz gębę – zakomenderował z dobroduszną wesołością. Długo patrzył mi w usta, mocno naciskał

palcami zęby, chrząkał z niezadowoleniem, aż w końcu zapytał: – Ręczna robota, co?

– Nie – odpowiedziałem ze złością. – Zderzyłem się z wywrotką.

– Na zwinną wywrotkę trafiłeś. Załatwiła ci całą szczękę.

– Jak to całą szczękę? Przecież wyleciał tylko jeden ząb.

– Znaczy się tak: siekacz i trzonowy trzeba będzie usunąć, a ząb mądrości masz jak półgłówek – wcale nie będzie trzymał...

– No to wstaw koronkę czy co tam trzeba.

– A na co ją wstawić, racz powiedzieć. Nie mówiąc o wybitym zębie, koronka musi mieć silnych sąsiadów, żebyś mógł gryźć. Na ślinę jej nie przykleisz. Dlatego muszę ci zrobić cały zdejmowany mostek.

– I na noc do szklanki z wodą?

Serafim zmrużył oczy.

– Jeśli aż tak siebie szanujesz, Baton, i szklanka ci nie pasuje, to rąbnij gdzieś kryształową wazę...

Rozzłościłem się i popatrzyłem na niego z bliska.

– Oglądasz telewizję?

– Czasami. A co?

– Oglądaj częściej. Przedwczoraj tam cię pokazywali.

– Mnie? Gdzie?

– W Afryce. Jest taki ptaszek, nie pamiętam, jak się nazywa, ale podobny do Serafima Zubakina... Żyje zawsze razem z krokodylami. Wyłazi krokodyl na piasek, paszczękę rozdziawia na metr, a ten ptaszek o nazwie Zubakin chodzi sobie spokojnie w tej jego gębie i spomiędzy zębów wydłubuje kawałeczki mięsa. Krokodyl jest zadowolony, a Zubakin syty.

Serafim zaśmiał się życzliwie.

– No i co ten przykład ma znaczyć, Aloszka?

– Nic. Tak mi się przypadkiem przypomniało.

– Jak przypadkiem, to przypadkiem. Ty wiesz lepiej.

Tylko wątpię, czy ten krokodyl to Alosza Dieduszkin – znów się dobrotliwie uśmiechał.

– A dlaczego w to wątpisz?

Serafim ochryple chrząknął i zakrztusił się śmiechem.

– Widziałeś kiedy krokodyla z wybitymi zębami? Raczej to będzie piesek, osierocona, bezdomna psina.

Już mi złość przeszła. Serafim ma przecież rację, to mądry staruszek, który długo żyje, był mocno bity i dlatego wszystko dokoła siebie widzi wyraźnie. No i narwałem się na niego sam, więc dostałem po wybitych zębach.

– Masz rację pod każdym względem, mądry ptaszku Zubakinie. Tylko że jeszcze nie jestem sierotą ani psiną. Na razie jestem silny burek z ciężką łapą. Powiedz lepiej, co będzie z moim mostkiem.

– A co ma być? Zrobimy go – ucieszył się Serafim. – Znaczą się tak: złoty mostek, dwie koronki, a między nimi zrobimy bielutkie ząbki. Przecież szarych stalowych zębów nie chcesz? Nie jesteś jakiś tam oberwaniec, tylko porządny złodziej, człowiek szanowany.

Kiwnąłem głową.

– Znaczą się, przyjacielu, porozmawiajmy najpierw o drobiazgach.

– Dobrze.

– Złoto na mostek sam przyniesiesz czy z mojego zrobimy?

– Teraz „złotego” nie mam.

– Głupstwo! Sam dla ciebie znajdę metal. Będą złociutkie ząbki, znakomite, z czerwonym odcieniem. Za całą przyjemność sześćset rubli.

– Czyś ty zwariował, Serafim? Sześćset rubli za mostek?

– A co? Drogo?

– Jasne, że drogo!

– No to idź do przychodni, do swojej rejonowej! Przecież mamy dostępne usługi lekarskie, zupełnie bezpłatne.

Tam ci od razu, poza kolejnością, zrobią złotą szczękę z dostawą do domu jako człowiekowi zasłużonemu.

Popatrzyłem na niego i pokręciłem ze smutkiem głową.

– Bandzior jesteś – powiedziałem. – Stary obrzydliwy bandzior.

Z radości znowu zachrypiał i zagdakał.

– Właśnie. Ja jestem bandzior, a ty cherubin. Dziewica nietknięta, delikatna, z pasową różą na spiczastych pierśsiach.

Rozśmieszyło mnie to i odpowiedziałem mu zupełnie dobrodusznie:

– Niech cię diabli wezmą, rabuj biednych, pracujących złodziei. Tylko jest taka rzecz. Rozliczę się z tobą trochę później...

Wciąż jeszcze chichotał i wycierał przy umywalce ręce niezbyt czystym ręcznikiem. Pewnie nie od razu dotarło do niego to, co powiedziałem, bo jeszcze kilka razy z rozpędu się uśmiechnął, a potem tak nagle zamilkł, jakbym mu wyrwał z ręki ten brudny ręcznik i starł z jego pomarszczonej mordy uśmiech.

– Jak mam rozumieć to: trochę później? – Zapytał ostro, co aż do bólu w brzuchu przypomniało mi wyraz twarzy mojego ojczulka.

– Później to znaczy nie teraz! Teraz mnie samemu pieniądze są potrzebne. Ale za jakiś miesiąc forszę dostaniesz.

Zubakin starannie powiesił na gwoździu swoją parszywą szmatę, w zamysleniu pogładził się po siwych, rzadkich włosach i zapytał bez pośpiechu:

– A dlaczego za miesiąc?

– Przez miesiąc nazbieram pieniędzy.

– Zaliczki na złoto też nie masz?

– Nie powiedziałem, że nie mam. Powiedziałem, że mnie samemu są potrzebne. Za miesiąc będę miał dość i dla mnie, i dla ciebie.

– Rozumiem – żywo odpowiedział Zubakin i w jego wąskich, otoczonych zmarszczkami oczach pojawiło się zdecydowanie oprawcy. – Znaczy się tak: w ciągu miesiąca będzie forsa, to wtedy przyjdiesz. Zrobię ci ząbki jak na obrazku. Zgoda?

Szary, ciężki jak ołów gniew ścisnął mi gardło tak, że chyba z minutę nie mogłem nic powiedzieć.

– Jak mam to rozumieć – nie wierzysz mi na słowo czy co?

– Loszeńka, przyjacielu, proszę, żebyś mnie też zrozumiał i nie kierował się gniewem.

– A co tu jest do rozumienia? Że jesteś sukinsyn i łobuz? Przecież ja uważałem cię za kumpla, myślałem, że jesteś nasz chłop...

– Pomyłka! – cienkim ochrypłym głosem niespodziewanie przerwał mi Serafim. – Podwójna pomyłka! Nie jestem sukinsyn, to raz! Po drugie – nie jestem wasz. Ani ich! Jestem swój własny. Ty przecież swoje sprawy dla siebie nawijasz, ze mną się dola nie dzielisz, a za łobuza jakoś siebie nie uważasz.

– Co to, przyszedłem zebrać u ciebie? Poprosiłem jakby o pożyczkę, a ty obrzydliwie, wprost na moich oczach, pieniądze po kieszeniach chowasz i mówisz – nie ma!

– Nie, tak nie mówię! Nie mówię, że nie ma! Mówię, że nie mogę dać!

– Dlaczego nie możesz dać, świnię niemyta?!

– Nie denerwuj się, Alosza, jesteś przecież mądrym człowiekiem. No, pomyśl choć przez chwilę – przecież nie jestem jakiś tam Ford, przecież wszystko, co mam, składałem kopiejkę do kopiejki, a ty chcesz, żebym ci dwadzieścia gramów złota ni z tego, ni z owego wsadził w gębę. Już nie mówię o robocie.

– Przecież ci mówię, gnido, że oddam w ciągu miesiąca!

Serafim złożył ręce na brzuchu i powiedział łagodnie:

– Teraz rozumiem. W ciągu miesiąca dostaniesz nagro-

dę państwową. Albo może pokaże się film, w którym ty będziesz za głównego artystę? Albo nowy samolot wymyśliłeś, tylko zapomniałeś mi powiedzieć? Albo jeszcze w inny sposób zdobędziesz pieniądze? Co?

– Nie twój interes! Tobie przecież wszystko jedno, skąd wezmę pieniądze. Może po prostu ukradnę?

– Właśnie! Właśnie że nie wszystko jedno.

– Od kiedy zrobiłeś się taki grymaśny? Dawniej nie tylko kradzioną forszę ode mnie brałeś, ale i cudze złoto.

– Słusznie, słusznie. Tylko te pieniądze były zupełnie inne.

– Jak to inne?

– Były już dawno i szczęśliwie skradzione. Ty cały i zdrowy, i przede wszystkim wolny, przynosiłeś je tutaj. A te pieniądze, co mi za protezę obiecujesz, musisz dopiero ukraść...

– Tak. I co z tego?

– Nic. Może będziesz miał szczęście, a może wpadniesz. Przecież twoja praca to jak motocyklisty w beczce śmierci – życie twoje zależy od ryzyka i fartu. Tfu, żeby nie zapeszyć. Przecież rozumiesz, że życzę ci tylko dobrze...

Jeszcze coś mówił, ale ja wprost ogłuchłem z wściekłości, nic z jego gadaniny do mnie nie docierało i tylko owładnęła mną straszna, nieprzeparata chęć walnięcia go młotkiem w łeb. Niepojęte, skąd wzięłem siły, żeby zapytać go spokojnie:

– A ty, Zubakin, z czego żyjesz?

– Z fachu. Z moich umiejętności. Mój zawód mnie karmi, poi, daje dach nad głową...

Serafim wciąż mówił, mówił, a ja siedziałem i spokojnie, wściekle, i zarazem wesoło obmyślałem, jak go teraz zabię. Szczególnie wyrafinowany intelekt to też forma głupoty i zanadto sprytny Zubakin omylił się mówiąc, że w każdej chwili mogę spaść ze ściany. Nawet mu do głowy nie przychodzi, że nie tylko ja, ale my wszyscy, ludzie –

poszkodowani i złodzieje – jesteśmy motocyklistami w ogromnej niewidzialnej beczce śmierci i nikt nie wie, kiedy i gdzie polecą w diabły. Patrząc na mamroczącego coś Zubakina, nagle – ku swemu własnemu zdziwieniu – odczułem wprost nienormalny, pełen szczęścia, szalony zachwyty z tego odkrycia – my wszyscy, z fachem czy tylko ze złodziejskim fartem, pędzimy po ścianie i najdrobniejsza szczelina na niej, nie zauważony kamyczek czy nawet nieostrożne splunięcie na nią mogą wszystko na zawsze i nieodwracalnie zmienić. I sam poczułem, że jestem nie tylko tym, który mknie po ścianie, ale także deską tej ściany, na którą teraz Zubakin nieostrożnie splunął.

Tylko kilka chwil – zdąży zrobić zaledwie jedno okrążenie – a trafi znowu na to swoje splunięcie; ja wstanę i marmurową popielnicą rozwalę na kawałki jego płaski łeb, a on razem z całym swoim sprytem, fachem, wiedzą i rzemiosłem runie w dół – w łajno i pustkę. Nigdy w życiu jeszcze nie myślałem, że tak łatwo zabić człowieka, że tak prosto można stracić motocyklistę ze ściany. Mocno potrząsałem głową i znowu usłyszałem cienki, nudny głos Zubakina, tak jakbym włączył radio.

– ... o siódmej, to znaczy o dziewiętnastej czasu moskiewskiego zaczyna się prelekcja...

– Jaka prelekcja?

– Czyś ty ogłuchł? Przecież mówię – w klubie szachowym będzie prelekcja o mistrzostwach świata. Rozegrane partie będą analizowane przez arcymistrzów. Nie interesuje cię to? Bardzo pouczająca gra – wymaga ogromnej precyzji umysłu...

– Nie. Nie interesuje – powiedziałem i w tym momencie, kiedy popielnica miała z chrzęstem wbić się w pulchną, sklerotyczną potylicę, uderzyła mnie ostra, przeszywająca jak prąd elektryczny myśl – nie rób tego!

Nie czułem wtedy ani lęku, ani wątpliwości, ani wzbu-

żenia. Po prostu zrozumiałem, że jeśli rozkwaszę mu tą popielnicą głowę, to na stromej ścianie, po której sam pędziłem, w niezrozumiały dla mnie sposób utrzymując się na siodełku, natychmiast zrobi się strasznie ślisko. Żeby go ukarać, a samemu poczuć się pewnie, trzeba mu dołożyć lepiej niż popielnicą w makówkę. A taki sposób istnieje. Zubakin włożył płaszcz, odwrócił się do mnie i widząc, że trzymam w rękach marmurową popielnicę – nie bał się, że go zabiję, tylko lękał się, że mu ją gwizdnę – zapytał podejrzliwie:

– No i coś się tak do niej przyczepił? Rzecz stara, droga, trzeba na nią uważać...

– A po co ci, Serafim, popielniczka? Przecież ty nie palisz.

Poprawił płaszcz, nałożył kapelusz ostrożnie, żeby go nie zniszczyć, i odpowiedział niepewnie:

– Co to znaczy „nie palisz”? Inni przychodzą, palą. Tak jak ty na przykład...

Wyraźnie bał się, że zacznę wycyganiać od niego tę popielnicę. Boże, jacy ludzie są głupi! Odłożyłem ją na stół.

– Uważaj, Serafim, nie trzymaj w domu rzeczy, które nie są ci potrzebne. Jeszcze kogoś skusisz... – zaśmiałem się i poszedłem w kierunku drzwi.

– Nie tędy, nie tędy, Aloszka! – zatrzymał mnie Zubakin. – Lepiej wyjdźmy tamtędy.

Wskazał drzwi wychodzące nie na wspólny korytarz, tylko na Kisielną.

– Tymi drzwiami tylko się wchodzi – wyjaśnił. – Z zewnątrz ciężko je zamknąć – spaczony od wilgoci.

W zamku był klucz. Wyszliśmy na podwórze, z niego przez sień na ślepa uliczkę, a stamtąd na Kisielną.

– Ty w którą stronę? – zapytał Zubakin.

– Na Sokolniki. Żegnaj, Serafim. Będę miał forszę, ale do ciebie nie przyjdę. Niech ktoś inny zarobi na moich zębach, byle nie ty...

Nie mogę tego wytłumaczyć, ale nigdy w swoim złodziejskim życiu wychodząc na robotę nie cieszyłem się tak, jak teraz. Zwykle miałem gdzieś zmartwienia okradzionych. Kiedy byłem zupełnie młody, po prostu nie myślałem o nich – co czują, jak przeżywają to, że ich obrobiłem. Potem, kiedy się zestarzałem, było mi ich nawet trochę żal, ale nigdy nie cieszyłem się z ich rozpacz. A teraz byłem przepełniony rozpierającą mnie radością, wyobrażając sobie gębę Zubakina, kiedy przydrepcze do domu po arcymistrzowskiej prelekcji.

W przedśionku z pięcioma drzwiami było pusto i cicho. Możliwe, że te bałwany używają tylko kuchennych wejść. Obejrzałem zamek i wyjąłem z kieszeni dwie pary kleszczy dentystycznych. Nie wiem, jaka jest ich prawidłowa nazwa, ale było to coś w rodzaju cęgów, którymi wrywa się zęby. Zabrałem je ze stołu Serafima, kiedy on z lękiem wpatrywał się w swoją cenną popielnicę. Nawet nie wiem, jak to się stało, ale zauważyłem je od razu, bo bardzo przypominały złodziejskie szczypce do wrywania zamków. Potem o nich zapomniałem. Później, kiedy już wziąłem popielnicę do ręki, znowu rzuciły mi się w oczy. A także sterczący w zamku klucz...

Rozejrzałem się po pustym korytarzu, zapaliłem zapalniczkę, przysiadłem i obmacałem dziurkę od klucza. Stary wpuszczany zamek, potężny zardzewiały grat, jakich już nigdzie się nie montuje, z ciężkimi nakładkami pod klamki i rozdlubaną dziurką – trójkątne wycięcie z okrągłą główką. Taki otwór do podglądania, jaki rysują w „Krokodylu”. Tyle że przez dziurkę w zamku u Zubakina nic nie można było zobaczyć: od wewnątrz tkwił klucz. Zubakin umyślnie zostawił go w zamku, aby nie dało się otworzyć z zewnątrz, a sforsować taki zamek można tylko wiertarką. Ale ja miałem w rękach kleszcze dentystyczne z cienkimi, długimi i z pewnością bardzo mocnymi chwytami.

Znow oświetliłem dziurkę od klucza i ostrożnie wsuną-

łem do niej kleszcze. Były wygięte, dopasowane kształtem do zęba i chwyciły koniec klucza – niestety, trzymały słabo. Wyraźnie czułem, że są za krótkie. Włożyłem drugie i aż się uśmiechnąłem. Kleszcze mocno uchwyciły klucz, jakby nie było to zardzewiałe żelastwo, ale kieł. Trzymając silniej dźwignie, zacząłem je ścisnąć tak, aby krzywe chwytły wbiły się w hartowany metal klucza, a gdy usłyszałem cienki zgrzyt, płynnym ruchem obróciłem klucz. W zamku coś ledwo słyszalnie szcęknięło, szybko zmieniłem uchwyt ręki na kleszczach i obróciłem klucz jeszcze raz. Drzwi otworzyły się. No i widzisz, Zubakin, następny skok też mi się udał. Drogo będzie cię kosztowała twoja oszczędność.

Teraz pytanie, czy Serafim przypadkiem nie zmienił swojej skrytki. Starą znałem. Pięć lat temu ukradłem w berlińskim ekspresie walizkę, w której było dużo przedmiotów ze złota. Przyszedłem z nimi do Zubakina. Żeby utrzymać cenę, nie rzuciłem na stół wszystkiego na raz, tylko wyjmowałem z kieszeni po jednej sztuce, wściekle się o każdą targując. Serafim domyślał się obfitego połowu, ale nie wiedział, co tam jeszcze mam w kieszeni, więc postawił trzy butelki wódki. Podczas targów obficie zwilżaliśmy gardła, dopóki nie urznąłem się w trupa i nie usnąłem na nakrytym ceratą tapczanie Zubakina. W nocy przebudziłem się i zobaczyłem w promieniach księżyca klęczącego przy oknie Zubakina. Widocznie poruszyłem się nieostrożnie i zaskrzypiały sprężyny w tapczanie, bo przestraszony Zubakin podniósł się, a na podłogę z cichym brzękiem upadł złoty medalion. Widziałem go dobrze w plamie światła na podłodze. Na wszelki wypadek coś sennie mruknąłem i zachrapałem. Minęło chyba kilka minut, nim Zubakin się uspokoił i zaczął dalej grzebać za kaloryferem pod oknem. Domyśliłem się, że tam ma skrytkę. Co prawda, wtedy do głowy by mi nie przyszło grabić jego skarby. Ale teraz wszystko się zmieniło. Teraz pędzi-

liśmy po ścianie. Niech się przeklęty kutwá udławi swoją rozpaczą za to, że pożałował mi odrobiny złota, bojąc się, że pójdę do więzienia, zanim mu zapłacę...

Dzisiaj nie świecił księżyc, ale i tak dobrze znałem topografię tego pokoju. Uklęknąłem przy oknie, wsunąłem rękę za kaloryfer i dokładnie obmacałem ścianę. Była zimna, trochę wilgotna i bardzo równa. Naciskałem ją w różnych miejscach, niestety nigdzie nie natrafiłem na żadne drzwiczki. Potem równie ostrożnie i dokładnie zbadłem dolną powierzchnię parapetu. Znowu nic. Ale wtedy, w nocy, dobrze widziałem, że właśnie przy tym kaloryferze grzebał Zubakin.

Wstałem i z szuflady kredensu wyciągnąłem kuchenny tasak. Wróciłem do okna i wsunąłem tasak za listwę podłogową, szarpnąłem i cała metrowa listwa natychmiast odskoczyła. Pod nią była szczelina, a w niej ze dwadzieścia złotych monet, złota, sądząc po ciężarze, papierośnica, kilka obrączek. To wszystko. Oczywiście nie był to główny ani jedyny schowek Serafima, ale nie miałem już czasu, żeby dalej szukać. Wszystko, co znalazłem, poupychałem po kieszeniach, zapaliłem lampę na stole i swoim nowym, ukradzionym w sklepie na Domnikowce, długopisem napisałem: „Mądry ptaszku Zubakin! Szczeka potrzebna mi teraz, a nie za miesiąc. Jeśli piśniesz – od razu załapiesz dwa artykuły (chyba nie zapomniłeś, skąd to złoto?). Pozdrowienia. Twój przyjaciel, krokodyl Alosza”.

Rozdział dwudziesty piąty Sawieliew, bojowy zastępca inspektora Tichonowa

Za dziesięć jedenasta byłem już przed sklepem komisowym. Przy wystawie sterczał Saszka. Z daleka widziałem, jak wyciąga szyję, zaglądając do sklepu. Jego rude włosy płomiennie błyszczały w słońcu – bardzo przypominał lisa szykującego się do polowania. Chciałem podejść i nastraszyć go, ale kiedy byłem o dwa kroki, Saszka szybko odwrócił się i powiedział, jak gdyby kontynuując przerwana przed chwilą rozmowę:

– „Pańska dama zabita”* . Już dawno obserwuję w szybie twoją wredną gębę.

Roześmieliśmy się. Saszka zapytał:

– Nie potrzebujesz stolika do kart z czerwonego drzewa? Właśnie stoi – w dobrym stanie, za jedne czterysta dwadzieścia rubli. Wieczorami będziemy popijać herbatkę, a potem grać w karty.

– Waham się jedynie dlatego, że nie znamy gier, do których byłby potrzebny taki stolik.

– To prawda. Z konieczności nauczyłem się gier, w które grywają moi klienci, ale nie jestem pewien, czy do gry w oko, trzy karty czy szmendefera potrzebny jest stolik. Ale à propos, w jakiej to grze spłukał się Herman?

– Jaki Herman? – nie zrozumiałem.

– Ech, ty! – Saszka nie ukrywał pogardy. – Puszkowski. No, „trójka, siódemka, as...”

– Nie mam pojęcia, w co oni tam grywali. Ja w ogóle umiem grać tylko w durnia. Może to być poker?

– Aleś zasunął – roześmiał się Saszka. – Chociaż to nie

A. Puszkina „Dama pikowa”, przekład Seweryna Pollaka.

ma znaczenia. Herman i tak był skazany na zgubę, niezależnie od rodzaju gry.

– A to dlaczego?

– Mówię ci to jako kryminolog.

– Że co? – wreszcie mnie to rozbawiło. Saszka przysiadł na poręczy przed witryną, zapalił papierosa, wydobyl z kieszeni złożoną na czworo kartkę i powiedział:

– Teraz bardzo modne jest badanie faktów historycznych metodami kryminologicznymi: czy Napoleon został otruty, czy Ramzes II zmarł na raka, czy Puszkiniowi dali pistolet ze ślepym nabojem? Machnąłem właśnie artykułik do jednego piśmka, przeczytaj dla zabicia czasu, zanim otworzą sklep.

Ze zdziwieniem rozłożyłem kartkę zapisaną wzdłuż i wszerz koślawym pismem Saszki.

„Operacja, którą przeprowadził Herman ze staruchą, znajdowała się na pograniczu amoralnego postępku i przestępstwa – przeczytałem. – Był to człowiek nędzny i tchórzliwy. «Nie mogę poświęcić tego, co niezbędne, w nadziei zdobycia tego, co zbyt cenne»* – mówił. Dlatego po śmierci staruchy strasznie się denerwował – mogło się przecież wydać, że był tam. W efekcie nadmiernego obciążenia psychicznego u tak nikczemnego człowieka pojawiły się halucynacje, w których nawiedziła go starucha, wyjawiając trzy karty. Był on człowiekiem niezwykle racjonalnym i potrafił trzeźwo ocenić wiarygodność otrzymanej w tym widzeniu informacji. Ale tu zaczyna się w nim toczyć szalona walka wewnętrzna – strasznie chciałby zdobyć łatwo i szybko pieniądze, a z drugiej strony paraliżuje go strach. Ustaliliśmy, że to człowiek amoralny; aby zdobyć sekret trzech kart, gotów był zostać kochankiem stojącej nad grobem staruszki, a dążenie do wygrania pieniędzy owładnęło nim bez reszty. Ale istnieje bariera jego chci-

A. Puszkini „Dama pikowa”, przekład Seweryna Pollaka.

wości – boi się ryzykować «tym, co niezbędne». I wtedy tę barierę zaczyna forsować nie jego siła, ale jego duchowa słabość. Racjonalista, mały, trzeźwy drapieżca, stara się sam siebie przekonać, że duch zmarłej staruchy objawił mu się i wymienił trzy karty. Tak bardzo pragnie pieniędzy, tak zakochany jest w sobie i uważa się za człowieka niezwykłego, z którym niesprawiedliwie obszedł się los, iż przekonuje siebie, że to ręka opatrności. Haniebny czyn został popełniony – starucha umarła, ale on przeżył tę śmierć tak ciężko, że niesprawiedliwością byłoby zaprzepaścić to, zatrzymać się w pół drogi. I wtedy następuje egocentryczny zwrot, charakterystyczny dla psychiki każdego przestępcy, który całkowicie zapomina o moralnych i fizycznych krzywdach, wyrządzonych ofiarom. Hermanowi nie przychodzi do głowy zadać sobie pytanie: dlaczego nawiedził mnie duch staruchy? Co dobrego zrobiłem dla niej, żeby po śmierci okazywała mi taką hojność? Nie zauważając pułapki, którą sam na siebie zastawił, ostro przebiega do przodu na spotkanie klęski – jego ludzkie słabości już zburzyły barierę. Teraz trzeba wymienić trzy karty, a Herman zdaje sobie sprawę, że nikt mu ich nie poda. I znowu przekonuje siebie, że zjawia podpowiedziała mu właśnie «trójka, siódemka, as». Ostatecznie trzeba jakieś karty wybrać, a Hermanowi wszystko jedno, nawet gdyby nie miał halucynacji, tak samo by wybrał – chciwość już pokonała ostrożność. Herman wymienia trzy karty. Teraz wystarczy zajrzeć do «Matematyki na wesoło» Perelmana, a wszystko stanie się zrozumiałe – prawdopodobieństwo prawidłowego odgadnięcia kombinacji trzech kart z pięćdziesięciu sześciu praktycznie jest bliskie zera. Na tej podstawie...”

Saszka zeskoczył z poręczy rzucając niedopałek do kosza.

– Przekonywające? Do otwarcia sklepu – jedna minuta.

– Nie jestem pewien, czy Puskín zgodziłby się na taką interpretację, ale w ogóle dość ciekawe.

– Herman miał słabe nerwy – z przekonaniem powiedział Saszka. – Powinien mieć współnika w rodzaju naszego Batona.

W pustym jeszcze sklepie donośnie rozległy się nasze kroki. Wpatrzyliśmy się w gablotkę, w której na czarnym aksamicie rozłożone były różne ozdoby. Ekspedientka z zainteresowaniem popatrzyła na dwóch zapamiętałych miłośników kosztowności, z samego rana rącho rzucających się do jej lady. A my jeszcze raz obejrzeliliśmy całą gablotkę, ale gwiazdy nie było. Saszka zapytał:

– Czy pani lubi biżuterię?

– A kto jej nie lubi? – odpowiedziała wesoło dziewczyna.

– Na przykład ja – odrzekł Saszka – mam przez nią same kłopoty. Moja rodzina ma mi za złe brak biżuterii, więc postanowiłem to naprawić.

– Proszę bardzo. Mamy duży wybór – powiedziała ekspedientka patrząc z niedowierzaniem na Saszkę.

– Ale ja mam konkretne zamówienie. Macie tutaj broszkę – ośmioramienna gwiazda wysadzana brylancikami.

– Była taka. Spóźnił się pan, została kupiona kilka dni temu.

– Kto kupił? – wyrwało mi się, chociaż zdawałem sobie sprawę z głupoty tego pytania.

– Klient – wzruszyła ramionami dziewczyna – zwyczajny człowiek, mężczyzna.

Saszka oparł się o szkło gabloty i powiedział:

– Moja kochana, mnie ta gwiazda potrzebna o tak – i przejechał palcem po gardle. – Zastanówmy się razem, jak można odnaleźć tego mężczyznę.

Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– A jak można go odnaleźć? On tutaj rzadko przychodzi.

– Ale w ogóle przychodzi? – ożywiłem się. – Pani go zna?

– Jak by to panu powiedzieć? Bywa tu od czasu do czasu i coś tam kupuje. Wiem, że nazywa się Siergiej Juriewicz – tak mi powiedział.

– A nazwisko? Albo czym się zajmuje?

– Nie wiem. To nie moja sprawa. Po co panu ta gwiazda? Saszka machnął ręką.

– Dużo by trzeba mówić! Proszę mi powiedzieć, może on w innych działach coś kupuje? Może znają go inne ekspedientki?

– Nie wiem. Ale, ale, przypomniało mi się. Pod koniec ubiegłego roku oddał w komis do działu sztuki jakiś obraz. Potem podszedł do mnie i powiedział, że jest bardzo zadowolony. Obraz mu się znudził, a wycenili go bardzo wysoko.

Dokumentacji na szczęście jeszcze nie oddano na makulaturę. Kierownik sklepu zaprowadził nas do malutkiego, zakurzonego kantorku, zawalonego stertami papierów i ksiąg. Saszka zdjął marynarkę, powiesił na gwoździu i oświadczył:

– No to co – zaczynamy, w imię boże?

Pokwitowanie i odpowiedni zapis w księdze znaleźliśmy po czterech godzinach. W każdym razie mieliśmy nadzieję, że to jest właściwe pokwitowanie. Ja z zadowoleniem wydeklamowałem:

– „Pejzaż jesienny, olej, płótno, szkoła obca, aut. niezn., rama zdobiona bagietowa, nie konserw., rozm.: 67×52, cena – 110 r. Komitent – Obnorski S.J. Adres dom.: Szósta ul. Pola Oktiabrskiego 94 m. 66”. Ma rację staruszek Szarapow: nie zdarza się, żeby jakakolwiek działalność człowieka nie zostawiła po sobie śladów. Konieczny jest tylko upór i fantazja!

– Nie traktuj szczęśliwego przypadku jako swojej zasługi – powiedział Saszka, rozwalając się na stertach

papierów. Od pyłu jego twarz poszarzała i przygasł niepokojący blask jego włosów.

– Saszka, każdy przypadek – to nie usystematyzowany i nie objęty kontrolą fakt. Po prostu trzeba trochę uporządkować jego żywołowość. Wtedy wszystko wraca do normy i popolity przypadek przemienia się w dowód rzeczowy.

Saszka przyglądał mi się z uśmiechem.

– Jakoś nie zauważyłem tej pewności siebie kilka godzin temu przy pustej gablocie...

Pojechaliśmy na Pietrowkę, żeby doprowadzić się do porządku i wyjaśnić, kto to jest Siergiej Juriewicz Obnorski. Podczas gdy ja starannie czyściłem z kurzu nasze marynarki, mój zastępca gorliwie wykręcał numer biura adresowego. Przekazawszy zlecenie: „Tylko szybko, słyszycie, bardzo szybko. Czekam” – podszedł sprawdzić moje umiejętności.

– Masz dwie lewe ręce, Tichonow. Nawet marynarki nie można ci powierzyć. Na szatniarza na pewno by cię nie przyjęli.

– To już bezczelność, Aleksandrze. Jesteś urodzonym wyzyskiwaczem.

– Nie gadaj. Może nawet neokolonialistą i agentem imperializmu. A teraz nałóż z powrotem marynarkę i patrz, jak się to robi. Szczotki nie trzeba przyciskać, to nie żelazko. Szczotkować powinno się nie z dołu do góry, tylko akurat na odwrót. Poruszać szczotką należy lekko i szybko. O, właśnie tak, właśnie tak. Ech, gdybyś nie ty był moim szefem, ale ja twoim, szybko bym cię życia nauczył. A tak proces wychowywania przedłuża się.

– Nie ma świnią rogów, boby bodła – odwarknąłem i niespodziewanie spytałem:

– Sania, umiesz strzyc?

– Umiem – ze zdziwieniem odparł Saszka i dodał: – Ale nożyczkami, nie maszynką. A bo co?

– A upichcić? Zupę na przykład, drugie?

– Umiem – powiedział Saszka i ze zdziwienia malującego się na jego twarzy wynikało, że pytam o rzeczy zrozumiałe dla niego same przez się.

– A koszulę uszyć?

– Z wykroju czy tak?

– No, powiedzmy, z wykroju.

– Oczywiście, co w tym trudnego? Przyłożyć materiał, odrysować, wykroić nożyczkami i maszyną do szycia przejechać wzdłuż cięć. I gotowe.

Zadzwoił telefon. Saszka podbiegł do aparatu.

– Słucham. Tak, tak. Zapisuję. Adres mam. Tak, profesor chirurgii jamy brzusznej w III Klinice Miejskiej, telefon... Dziękuję pani. To jasne. Wdzięczność do grobowej deski. – Saszka położył słuchawkę.

– Więc tak: naszą gwiazdę kupił profesor Obnorski. Chodź, zadzwonimy do kliniki i powiększymy listę jego pacjentów.

– Dobrze.

Niestety profesora nie zastaliśmy. Przez dziesięć minut łapał go Saszka pod coraz to innymi numerami telefonów – na chirurgii, w prosektorium, w ambulatorium, na sali opatrunkowej, w gabinecie ordynatora – i wszędzie oznajmiali: właśnie przed chwilą wyszedł. W końcu, kiedy koło zamknęło się na oddziale, pielęgniarka powiedziała, że dzisiaj już go nie będzie – pojechał do domu.

– Dzisiaj 29 kwietnia – powiedziałem. – Jeśli to odłożymy do jutra, wszystko może się powtórzyć, a potem święta... Stracimy tydzień.

– Są pomysły? – rzeczowo zapytał Saszka.

– Do domu. Trzeba jechać do profesora do domu. Nie będziesz mi więcej potrzebny, masz wolne. Sam do niego pojedę.

Samotność złodzieja Dieduszkina

„Kupię ładną daczę z dużym placem. Telefonować 19 - 22.” Czytałem to ogłoszenie i w żaden sposób nie mogłem odgadnąć, czy los wabi mnie do pułapki, czy też jest to znak, że odmienił się tajemny układ kart i teraz zaczęła się dla mnie szczęśliwa passa.

Ogłoszenie przeczytałem w porzuconej przez Zosię gazecie, dodatku do „Wieczornej Moskwy”. Ludzka głupota, zmartwienia, przedsiębiorczość, bezsensowna, kolekcjonerska chciwość buszowały na tych stroniczkach. Jakaś idiotka błagała, żeby oddać jej zagubionego pieska, uczony gnojek Marek Lwowicz wymieniał, kupował i sprzedawał stare pocztówki, działacz nazwiskiem Mukosiej proponował zamianę swojego jednopokojowego mieszkania w Diegudinie na trzypokojowe w centrum, robiąc tajemnicze aluzje o „warunkach do omówienia”, kandydat nauk obiecywał, że przygotowuje nieuków do egzaminów na wyższą uczelnię, a anonimowy telefon oddawał-sprzedawał-wynajmował garaż. Dwudziestogłosowy chór usilnie błagał o gosposię do małego dziecka. A mnie zainteresował kupiec dacz z dużym placem. Sprawa wydała mi się tak prosta, że aż się przestraszyłem, czy nie skuszę zbytnio losu.

Ogłoszenie zajmowało tylko trzy wążutkie wiersze, ale po prostu przesłoniło mi cały świat. O niczym nie byłem w stanie myśleć, bo czułem, że tam można złapać przyzwoty łup, można będzie rozbić bank, a to pozwoli na długo osiąść na uboczu i przycichnąć. Tak wiele napisali mi w tych trzech wierszach: telefon, z którego łatwo dowiem się adresu, radośnie zawiadamiali, o której wracają do domu i o której kładą się spać, a przede wszystkim – wołali na cały świat, że mają w domu forszę. Oczywiście, że w ko-

modzie nie trzymają specjalnie dla mnie opakowanych grubych paczek banknotów, ale przecież nawet dureń zrozumie, że jeśli ktoś chce kupić ładną daczę z dużym placem, to przed takim zakupem nagromadził w domu wiele cennych rzeczy, bo dacz z dużym placem nie kupuje się za pieniądze zaoszczędzone na śniadaniach. Zanim się da ogłoszenie, upływa parę lat albo nawet dziesięcioleci pomyślnego, zasobnego życia i różne tam magnetofony-radia-lodówki-telewizory dawno zostały zakupione, a samochód stojący w garażu jest już zdrowo wyjeżdżony. Teraz zachciało im się świeżego powietrza, ozonu, tlenu, truskawek z własnej uprawy. Dam ja wam, taka wasza mać, truskawki, maliny, agrest – popamiętajcie mnie jeszcze!

Siedziałem przy telefonie, czekając, aż wskazówka zegarka dopełni do siódemki, i kiedy zacząłem kręcić tarczę, poczułem, że decyzja zapadła.

– Słucham – rozległ się trochę zachrypnięty, męski głos w słuchawce.

– Mówię z biura napraw telefonicznych. Przy telefonie starszy majster Czerewkow.

– Dzień dobry, towarzyszu Czerewkow.

– Drodzy towarzysze, tak przecież nie można! – zacząłem się wygłupiać. – Już czwarty dzień monter nie może się do was dostać. Bez przerwy dzwoniemy i nikt nie odbiera telefonu.

Zdziwiony i lekko zakłopotany głos odpowiedział:

– A kto ma odbierać? Wszyscy przez cały dzień jesteśmy w pracy. O co chodzi – nasz telefon chyba dobrze działa?

– Na całym odcinku wymieniamy aparaty na nowe, niemieckie, z lampką sygnalizującą wywołanie...

– Ta-ak? – zainteresował się. Chce mieć nie tylko ładny dom, dużego placu też mu mało – jeszcze za darmo niemiecki telefon z lampką by zachapał. No, bierz żywca, jeśli tak lubisz nowe telefony.

– Tak – potwierdziłem. – Do świąt powinniśmy skończyć pracę, piątego maja przerzucają nas na inny odcinek.

– No to jak będzie? Przecież w ciągu dnia nikogo nie ma w domu. Wszyscy przed świętami mają masę spraw. – Tutaj go olśniło. – A czy nie moglibyście poprosić montera, żeby przyszedł po siódmej? Troszeczkę dłużej by popracował? A my już mu się jakoś odwdzięczymy!

– Nie wiem, nie wiem, nie mogę mu dawać takich poleceń. Ale porozmawiam z nim jutro, może się zgodzi. Tam u was robi monter Wołodia Popow, porządny chłopak. Powiem mu jutro.

– Bardzo dziękuję – z przejęciem powiedział kandydat na właściciela daczy. – A my mu coś na święta, tego...

– Dobrze, proszę poczekać, zaraz zapiszę. O, jest, w porządku – mamrotałem do mikrofonu, a potem jakby mi się coś przypomniało. – Zaraz, zaraz, ja waszą kartę już przekazałem do rejestracji. Proszę powtórzyć adres...

– Oczywiście, oczywiście, proszę pisać...

No proszę, mam, adres. Dalej, Baton, idź, wydali ci miasto na łup. Malutkie miasteczko przy ulicy Worowskiego, numer 22.

W domu pusto. Jestem sam. Zosia w pracy. Czas – tuż po siódmej. Jutro rano pójdę zdobywać puste, prawie skazane na zagładę miasto. A dziś? Telewizor nie działa, zresztą i tak nie ma co oglądać. Czym by się zająć? Dobrze by było gdzieś pójść. Tylko dokąd? Do krewnych, do rodziny. Do przyjaciół. Do jakichś innych ciekawych znajomych. Zebrać trzech karciarzy i trochę pograć. Przejechać się rzeczywym tramwajem. Albo po prostu zwyczajną łódką, tak jak wtedy, dwadzieścia lat temu, w Szczukinie, z Niką Kartaszewą. Z trudem wygrzebaliśmy piętnaście starych rubli, bardzo starych, jeszcze sprzed wymiany, po trzy ruble za godzinę pływania. To było wszystko, co nam zostało po kupieniu bułki i brunatnego wędzonego leszcza. To królewskie żarcie popijaliśmy po prostu wodą z rzeki, która

leciutko zalatywała żelazem i mułem, potem leżeliśmy na plaży zupełnie sami, zresztą nie była to wtedy żadna plaża, tylko pusta zdeptana łąka i tego cichego, słonecznego, czerwcowego popołudnia zupełnie pusta, bo prom chodził tylko w niedziele, ale mieliśmy łódkę, wynajętą na pięć godzin, i godziny te były nieruchome, a zarazem bystre, jak rzeka przed naszymi oczami, przejrzysta i chłodna, jeszcze nie rozgrzana lipcowymi upałami.

Z lotniska w Tuszynie, małego i zielonego, wznosiły się srebrzyste, dziecinne samolociki, na przejrzystym błękitnie nieba pozostawiały wąski, pianisty ślad i krążyły nad nami, wykonując ewolucje – opadały prawie do powierzchni wody i znów wznosiły się w górę z ciężkim nosowym pomrukiem. Wszystko to wyglądało, jak gdyby dawali nam przedstawienie, mieszczące się w cenie tych piętnastu starych rubli, za które wynajęliśmy na pięć godzin łódkę, pustą łąkę nad rzeką i to, że mogłem leżeć w milczeniu przy Nice, trzymając rękę na jej ciepłym, prężnym brzuchu.

„Aloszka, chciałbyś zostać lotnikiem?”

„Nie. To nudne.”

Przecież nie mogłem jej powiedzieć, że nie mogę zostać lotnikiem, bo od dzieciństwa cierpię na lęk wysokości. To jakaś niezrozumiała dla mnie choroba, podobna do tego nie kontrolowanego przerażenia, jakie ogarnia mnie w pustym, zamkniętym pomieszczeniu. W każdym razie nawet na balkonie pierwszego piętra nie mogę stać spokojnie – zaczyna mnie mdlić i dostaję zawrotów głowy.

„Kim chciałbyś zostać?”

Chciałem zostać lotnikiem. A jeszcze bardziej sędzią śledczym. Ale nie wiem czemu odpowiedziałem: „Milionerem”.

W odpowiedzi na to zaśmiała się. Jej opaloną, brązową skórę pokrywał jasny, prawie przezroczysty puszek i kiedy ostrożnie, niby przypadkiem, przesuwalem ręką po jej szczupłym, bardzo gładkim udzie, wszystko we mnie drża-

ło. W ustach czułem gorycz i suchość. Leżałem na trawie twarzą w dół i głaskałem ją coraz pewniej, natarczywiej, pożądliviej, a ona nie odsuwała się ode mnie ani nie odpychała mojej ręki, ja zaś bardzo denerwowałem się tym, że z przejęcia moja dłoń robi się wilgotna i szorstka, co dla niej chyba musiało być nieprzyjemne. Ale nie odpychała mnie.

Kątem oka widziałem, że z rękami założonymi pod głowę patrzy szeroko otwartymi oczami na wysokie, wyblakłe niebo, i jej miękki profil, jeszcze nie golone włosy pod pachą, mokry perkalowy staniczek, pod którym widziałem małą, nie opaloną pierś z małą brunatną brodawką – wszystko to pamiętam, jak gdybym na chwilę przymknął oczy, i w tym momencie czas cofnął się o ponad dwadzieścia lat.

Podniosłem się na kolana i pocałowałem ją w usta, nieumiejętnie, śliniąc się, z zawstydzającym głośnym cmoknięciem. Nika jakby obudziła się ze snu, potrząsnęła głową, usiadła, objęła mnie i przytuliła, a ja drżącym, płonącym ciałem poczułem delikatną miękkość jej drobnych piersi, podobnych do małych, białych jabłuszek. „Nie można, Alosza. Teraz tego nie można. Poczekaaj, jesteś przecież taki mały.”

„Niko, ty mnie wcale nie lubisz?” – dusiłem się, po prostu nie miałem czym oddychać i myślałem, że mi pęknie serce.

A ona pocałowała mnie w oba policzki i w usta, jak małe dziecko, i znów zaśmiała się: „Kiedy urośniesz, sam będziesz wiedział”.

„Ja już wyrosłem, już wyrosłem” – powtarzałem gorączkowo, jak zaklęcie.

Nika kręciła głową.

„Jeszcze nie. Jeszcze nie. Jesteś po prostu fajny chłopak.”

„Jesteś po prostu fajny chłopak” – powiedziała wtedy.

A wieczorem fajny chłopak Aloszka, nazywany Batonem, poszedł postać na czujce Gawie Garbatemu, który robił skok na sklepik spożywczy. I wzięli ich obydwu. „Opierając się na materiałach sprawy, sąd skazuje niepełnoletniego Aleksieja Dieduszki, karanego już wcześniej, na pięć lat...”

Dlatego więcej nie spotkałem się z Niką i uważam, że nie było w ogóle żadnej plaży – pustej łąki z trawą wydeptaną przy brzegu rzeki, że nie wynajmowaliśmy żadnej łódki, nie jedliśmy wędzonego leszcza z bułką ani nie piliśmy chłodnej, trochę zalatującej mułem wody.

Ale przecież był niezgrabny piętrowy trolejbus, którym jechaliśmy od Sokoła przez całe miasto. Czy nikt nie pamięta tych śmiesznych, podobnych do słoni trolejbusów, które jeździły po całej szosie Leningradzkiej, ulicą Gorkiego aż do Maneżu?

Ja pamiętam. Pamiętam, jak jechaliśmy z Niką na górze, na pierwszej ławce. Całe miasto było pode mną i nawet nie czułem lęku wysokości, bo mocno trzymałem jej rękę i omdlewałem ze szczęścia. I bardzo się martwiłem, że nie mogę jej odprowadzić do domu. Obiecałem Gawie Garbatemu, że będę u niego o ósmej, a Garbatego bardzo szanowałem, bo był to złodziej wielce czcigodny, i jego zaproszenie stanowiło dla mnie ogromny zaszczyt. Po pierwszej szklance wódki, którą nalał mi Gawa, od razu zalałem się i bardzo zapragnąłem podzielić się z nim moim szczęściem, a także zasięgnąć rady takiego doświadczonego człowieka. On mnie uważnie wysłuchał i powiedział: „Dzisiaj załatwimy sprawę, żywą gotówkę będziesz miał w kieszeni. Znaczy się, ty tę swoją Nikę zaciągnij do domu, wlewj w nią wódkę, a sam nie pij, żebyś nie zgłupiał”.

„A po co?” – zapytałem.

Uśmiechnął się dobrotliwie i protekcjonalnie.

„Ale z ciebie szczył. Aleś jeszcze zielony. Jak ona się upije, to ty ją zaraz, no... tego...”

Chciałem dać mu po mordzie, ale po wódce zmiękłem i straciłem siłę. Szybko dał mi w ryj, przespałem się trzy godziny i słabo pamiętam, kiedy mnie obudził, gdzie postawił na czujce, nawet nie bardzo pamiętam, jak nas zabierali. Zapamiętałem tylko, że Gawa wściekał się i groził, że mnie „popruje” przy pierwszej okazji. Okazja taka się nie zdarzyła, bo po paru latach jego samego milicjanci zastrzelili na Priebrażence, kiedy brali szajkę Motki Kozła.

Dawno zdechł Gawa. I Niki nie ma, jakby jej nigdy nie było. Nie ma z kim popływać łódką w Szczukinie.

Tramwaje rzeczne również jeszcze nie chodzą – dopiero co puścił lód.

I trzech, choćby najmniejszych, partnerów do preferansa nie znajdę.

A dobra sala bilardowa jest tylko w Domu Kina, tylko że tam nie czekają na mnie.

Dworzec też nie dla mnie – milicja dworcowa i patrole kolejowe już mocno w rączkach trzymają moje fotografie.

Do restauracji też nie mogę – to najlepsze miejsce do polowania na takich głuszców, jak ja. I nowej baby szybko nie będę miał – dałby Bóg, żeby Zosia mnie nie wyrzuciła.

A z interesujących znajomych został mi tylko jeden szalony Szaman.

Nie mam ani jednego przyjaciela. Ani jednego. Krewnych też nie mam. I nie miałem.

Jestem sam na świecie.

Zupełnie sam.

Sam.

W pokoju już dawno ściemniało. Nie rozbierając się, długo leżałem na tapczanie, patrzyłem w z wolna ciemniejący sufit. Latały po nim malutkie, dziecięce samolociki, nisko krążyły, opadały prawie do powierzchni wody i odlatywały z nosowym pomrukiem. Na zawsze.

Rozdział dwudziesty siódmy Światowe kontakty inspektora Tichonowa

Państwo Obnorscy wybierali się do teatru. Kiedy zadzwoniłem do drzwi, pani domu była gotowa do wyjścia, a Siergiej Juriewicz zawiązywał krawat. Węzeł zdążył już zaciągnąć, ale marynarka z białą chusteczką w górnej kieszonce wisiała na oparciu krzesła – wszystko to widziałem w lustrze na ścianie w przedpokoju. Żona profesora, zagradzając mi wejście do salonu, powiedziała ostro:

– Siergiej Juriewicz nikogo dziś nie przyjmuje. Jest zajęty.

– Ja nie na wizytę. Mam sprawę do Siergieja Juriewicza dosłownie na dwie minuty.

– Niemożliwe. Dzisiaj nie może. Powiedziałam przecież panu wyraźnie – jest zajęty.

– Ale ja mam do niego ważną sprawę. I bardzo krótką.

– A czy są tacy, co mają mało ważne sprawy? O Boże, czy tak trudno zrozumieć, że lekarze to też ludzie, że im również należy się czas wolny, że i oni, do diabła, raz na rok mają prawo wybrać się do teatru.

Siergiej Juriewicz Obnorski, nie domyślając się, że świetnie widzę go w lustrze, wkładał spinki w mankiety. Był pogodny, młodzieńczy i przystojny tą szlachetną urodą, jaką siwizna w ostatnim okresie dojrzałości nadaje ludziom nie odznaczającym się pięknnością za młodu.

Groźny recytatyw małżonki komentował bez słów śmiesznymi grymasami, nie wiedząc, że widzę go w ściennym lustrze, jak na ekranie telewizora. Powiedziałem:

– Szczerze mówiąc, ja także poszedłbym chętnie do teatru, ale zamiast tego przyjechałem tutaj...

Profesorowa zamarła i przyjrzała mi się badawczo – wariat czy impertynent? Skorzystałem z przerwy.

– Lekarska wiedza profesora nie jest mi na szczęście potrzebna. Nazywam się Tichonow, jestem starszym inspektorem Moskiewskiego Urzędu Śledczego.

Zdumienie damy przeszło w osłupienie. Popatrzyłem nad jej głową w lustro. Obnorski podniósł głowę i zastygł – czyżby się przesłyszał. Ale przeciągająca się cisza upewniła go, że nie. Siergiej Juriewicz śmiesznie zacisnął usta, pociągnął nosem, wyrażając skrajne zdziwienie, a potem krzyknął:

– O co chodzi, Walentyno? Dlaczego rozmawiacie w przedpokoju, a nie w salonie? Przyprowadźcie gościa tutaj...

Kobieta pokryła się rumieńcem pod warstwą pudru i weszła do pokoju ze słowami:

– Ten towarzysz mówi, że jest z urzędu śledczego.

Profesor wyciągnął do mnie energicznie silną, żyłastą rękę, pokrytą szorstkimi włosami.

– Bardzo mi przyjemnie. Całe życie marzyłem o poznaniu prawdziwego detektywa w rodzaju komisarza Maigreta, ale jakoś nie wychodziło.

– Moje podobieństwo do komisarza Maigreta jest czysto zewnętrzne – powiedziałem.

Profesor obejrzał moją mizerną postać – widocznie porównywał z grubym komisarzem we flauszowym płaszczu z aksamitnym kołnierzem – i roześmiał się serdecznie.

– No więc – zapytał – czym mogę służyć?

– Piętnastego kwietnia nabył pan w sklepie komisowym numer 53 broszkę z brylantami w kształcie ośmiokątnej gwiazdy. – Mówiłem szybko, gdyż chciałem jak najprędzej załatwić formalności i dostać do rąk swoją upragnioną gwiazdę. To śmieszne, że przyszło mi tak długo za nią gonić, a teraz ona jest tuż obok, leży gdzieś o dwa kroki ode mnie w jakiejś szkatułce na biżuterię. Byłem tak szczęśliwy, że gwiazda się znalazła, że znalazł się nabywca, że zastałem go w domu, że wszystko jest w porządku i że

gwiazda leży gdzieś tutaj w pudełku, że prawie przestała mnie denerwować profesorka.

– Chwileczkę – powiedział profesor, szybko zerkając na żonę – zaszło tu jakieś nieporozumienie. Ani piętnastego kwietnia, ani innego dnia nie kupowałem żadnej broszki. To pomyłka.

– Jak to pomyłka? – zapytałem speszony. – To pan oddawał do tego komisju pejzaż jesienny, olej, szkoła obca, autor nieznany?

Żona wynurzyła się z kąta jak chmura gradowa.

– O co chodzi, Serż? O co pyta ten młody człowiek?

– Zostaw nas w spokoju, Walentyno. Inspektor interesuje się jakąś rzeczą i ma prawo zadawać pytania.

Ale reakcja żony była już nie kontrolowana.

– No i co z tego? Oddawał, oddawał. Czy nie mamy prawa sprzedać własnego obrazu? Czy jest może zarządzenie, żeby uzyskiwać w takich przypadkach zezwolenie milicji. I co to ma wspólnego z jakimiś kradzionymi broszkami?

– Uspokój się, Walentyno! – powiedział przez zęby Obnorski, którego nastrój wyraźnie się popsuł. – Kto mówi o kradzionych broszkach?

– Przecież ten człowiek nie jest z Muzeum Puszkina, tylko z milicji. A tam interesują się kradzionymi broszkami. Czy chociaż tyle rozumiesz?

Obnorski westchnął spazmatycznie, przełknął ślinę i ze złością pokręcił głową.

– Siergieju Juriewiczu, my z takim ogromnym trudem, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, odnaleźliśmy pana. Koniecznie musimy zobaczyć tę gwiazdę i zaraz ją panu oddamy. Tylko ją sfotografujemy. Ona sama wcale nie jest nam potrzebna – mamrotałem czując, jak grunt gwałtownie usuwa mi się spod nóg. – Na odwrocie gwiazdy powinien być numer, nas interesuje właśnie ten numer.

Profesor powiedział zdecydowanie:

– Żadnej gwiazdy nie kupowałem i nie rozumiem, o czym pan mówi.

Zobaczyłem, jak starczy rumieniec pokrył jego policzki.

– Jak to, nie kupował pan? Ekspedientka Nadia doskonale pana zapamiętała. Pamiętała także, że oddał pan w komis obraz.

– Ona mnie z kimś pomyliła. To pomyłka.

– Proszę przestać wreszcie wypytywać Bogu ducha winnego człowieka – krzyknęła żona profesora. – Jutro zadzwonimy do pańskich zwierzchników na Pietrowkę. Serżyk, powiedz mu, że jutro złożysz skargę.

– Wyjdź, Walentyno, ty mnie po trochu, ale skutecznie dobijasz – powiedział cicho Obnorski, a ja przestraszyłem się, że może dostać wylewu. Ale gwiazda znajdowała się gdzieś blisko, tuż obok, nie mogłem jej przecież zostawić, gdyż było w niej wszystko: Baton, Sytnikow, zaginiony bez śladu Castelli, Saszka Sawieliew, który wie, że tchórzostwo i brak moralności prowadzą do zguby, chore serce Szarapowa, Luda-Ludeczka-Miła, komisarz z głową nie z żelaza, lekkomyślne, szczupłe palce matki, całe moje nieustabilizowane życie, brak filcowych kapci i tęsknota do jazdy po ścianie.

Dlatego powiedziałem twardo:

– Siergieju Juriewiczu, ta gwiazda nie jest kradziona, ale tylko z jej pomocą mogę wykryć przestępstwo, którego rozmiarów sam jeszcze nie znam. Jeżeli odnajdę gwiazdę i okaże się, że to ta, której szukamy, stanie się jasne, że jesteśmy na dobrej drodze. Bardzo proszę, niech pan się zastanowi. Ja po prostu nie mogę bez niej wyjść...

Obnorski powiedział z uporem:

– Ja gwiazdy nie mam. Nie mam gwiazdy. I skończmy tę rozmowę.

Przez moment siedziałem oniemiały, potem wstałem i podszedłem do drzwi, ale zawróciłem.

– Wiem, że nikt nie da mi nakazu rewizji u tak szanowa-

nego człowieka, jak profesor Obnorski, szczególnie z powodu takiego drobiazgu. No i celowość rewizji niewielka: jeśli nie odda pan teraz, to zanim uzyskamy nakaz, można ją schować. Ale co z sumieniem? Także pan schowa? Pan teraz postąpił ze mną tak, jak gdybym ja, asystując panu przy operacji, schował choremu w brzuchu nożyczki. Rozumie pan?

Zupełnie ogłupiały wyszedłem na ulicę. Dlaczego, no dlaczego oni zaprzeczali? Na gębie profesorowej było wypisane, że gwiazdy nie odda. Tylko przecież nie miałem zamiaru jej zabierać. Profesor okazał przynajmniej trochę wrażliwości, ale ta ropucha gapiła mi się w oczy, jakby o żadnej broszce nie słyszała. Widać taki los tej gwiazdy – przechodzić z rąk do rąk długą, krętą drogą. Wszedłem do budki telefonicznej i zadzwoniłem do Szarki. Wysłuchał mojego opowiadania i podsumował:

– Złe zrobiłeś. Trzeba było położyć się w przedpokoju na dywanie i nie wychodzić, dopóki nie pokażą gwiazdy.

– Aha, oficer dyżurny Komendy Miasta bardzo by się ucieszył, gdyby profesorowa zadzwoniła do niego i powiedziała, że leżę na dywaniku.

– Na jego miejscu poradziłbym, żeby ci dała materac... Słuchaj, Stasiu, a może to lipny profesor? Może też należy do ich szajki?

– Nie wygłupiaj się, Aleksandrze – powiedziałem ze złością. – Nie widziałeś Szarapowa?

– Dzwonił z ministerstwa i prosił, żeby cię odnaleźć. Zadzwonź do niego zaraz.

– Dobra. To wszystko. Do jutra. Czołem.

Zatrzymałem taksówkę i pojechałem na Pietrowkę. Koło stadionu „Dynamo” zatrzymała nas kolumna czołgów i opancerzonych transporterów – moskiewski garnizon przygotowywał się do świątecznej defilady. Pomyślałem, jakie to niesprawiedliwe, że w defiladzie nie bierze udziału kolumna milicji – przecież także walczymy. Czasami z bro-

nią w rękę. I są polegli, i prawdziwi bohaterowie. Czyżby skala zainteresowania mniejsza?

Szarapow siedział za biurkiem w galowym mundurze, ważny, tajemniczy, w niebieskich przydymionych okularach. Znowu zdziwiłem się, że ma tak dużo wojennych odznaczeń. Nawet jakieś zagraniczne.

– Co to za krzyż, tato?

Szarapow spojrzał z ukosa na pierś.

– „Virtuti Militari”, polskie odznaczenie – i dodał, jak gdyby usprawiedliwiając się: – Byłem dziś w ministerstwie, trzeba było z tą całą wystawą. – Milczał, patrząc w zamyśleniu na miękkie zielone światło lampy.

– Dziwnie się składa – przez cztery lata wojny dostałem dwanaście odznaczeń, a w ciągu dwunastu lat służby tutaj – trzy.

– Bo tam walczyłeś w czołgu, a tu na krześle.

Szarapow spojrzał na mnie mrużąc oczy.

– Jeśli kiedyś siądziesz na moim krześle, zobaczysz, jak na nim wygodnie.

– Tak czy inaczej nie można tego porównać z frontem.

– Tak – powiedział Szarapow – mam nadzieję, że nie będziesz miał okazji. Musisz uwierzyć na słowo. Tylko że ze mnie marny mówca, niewiele mogę wam wyjaśnić.

Milczałem.

– Kiedy rozmawiam z wami, ogarnia mnie lekkie zmieszanie. Wy jesteście młodzi i bardzo dużo umiecie, więcej niż ja w waszym wieku. Ale wasza wiedza jest inna. Dlatego mówię do ciebie i boję się, że będziesz się śmiał – czego mnie ten dziadyga jeszcze poucza? A ja chciałbym przekazać ci to, co wiem, a czego ty jeszcze nie zdażyłeś poznać i poznasz tylko poprzez ból, gorycz rozczarowania...

– Kiedy ja się z ciebie śmiałem, tato? – zdziwiłem się szczerze.

– Ja nie o tym mówię, Stasiu. Jesteś zdolny w pracy, ale

brakuje ci wytrwałości, takiej jaką na przykład ma szewc albo krawiec. A bez tego nigdzie daleko nie zajedziesz. I jeszcze jedno: nie lubisz się uczyć – ambicja ci nie pozwala. Zawsze działasz pod wpływem nastroju. Ta-ak. A to niedobrze.

– Jestem zwolennikiem twórczego podejścia do naszej pracy.

– Prawdziwa twórczość, synku, oparta jest na wytrwałości. Rozumiesz, pomniki wznosi się nie tylko na pamiątkę genialnych odkryć, ale także na pamiątkę wytartych tyłków. Wytrwałość, widzisz, daje ogromną wiedzę, bez której nic się nie osiągnie. Ta-ak. Weźmy na przykład wojnę. Tu, wydawałoby się, czysty przypadek – trafi cię kula albo nie. I tak to jest, ale niezupełnie.

– A jak?

– A tak. Z początku na froncie zupełnie nie mogłem zrozumieć: jeżeli w pierwszych miesiącach czołgisty nie zabili, znaczyło to, że długo jeszcze powojuje. Czołgistów, procentowo oczywiście, ginęło najwięcej. Dopiero potem zrozumiałem: jeśli w pierwszych walkach nie zginął – bo szczęście dopisywało – to nauczył się właściwie walczyć. Zabić go było znacznie trudniej. I właśnie ja bym chciał, żebyś ty nauczył się dobrze walczyć. To znaczy prawidłowo.

– Posłuchaj, Włodzimierzu Iwanowiczu, chociaż nie odnalazłem gwiazdy, to mimo wszystko chyba nie zasłużyłem na taką burę.

– Ja ci nie daję żadnej bury. W moim wieku mam prawo czasami pogderać. Ja tylko tak na wszelki wypadek. Żeby cię zmobilizować. Rzecz w tym, że z Sofii przyszedł telegram.

– Dlaczego wcześniej nic nie mówiłeś? – aż podskoczyłem.

– Dlatego, żeby najpierw powiedzieć ci to, co usłyszałeś. Wezwali mnie do ministerstwa, pokazali depeszę. Są

w niej dwie ważne sprawy. Po pierwsze, znaleziona przez ciebie w walizce Castellego papierosnica została skradzioną razem z innymi kosztownościami z mieszkania znanego kompozytora Pańczo Welkowa. Bułgarzy uważają, że to jedna z całej serii kradzieży, które trwają już od trzech lat, przy czym ani razu nie odnaleźli ani przestępcy, ani kosztowności. Po drugie, obywatel włoski Fausto Castelli, przebywający w Bułgarii jako turysta, następnego dnia po przyjeździe do Sofii wyjechał do Berna. Według nich ta seria kradzieży dokonana była przez jedną bandę i cała sprawa znajduje się pod szczególnym nadzorem. Toteż tym Faustem bardzo Bułgarom pomogłeś – stało się jasne, kogo szukać. Wkrótce przyleci do nas na konsultację oficer łącznikowy z ich Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Referować sprawę będziesz ty.

– Ta-ak, sprawy...

Szarapow uśmiechnął się.

– Sprawy zawsze jednakowe – karne.

Spojrzałem na niego uważnie i spytałem:

– A co z gwiazdą? Teraz jest jeszcze ważniejsza dla nas. Jeśli się nie mylimy...

– Jutro wezwij profesora – przerwał Szarapow – i zaproś ekspedientkę z komisju. Skonfrontujemy ich. Porozmawiamy na serio.

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozmyślania

złodzieja Dieduszkin

Miałem do dyspozycji trzy pokoje. Trzy dokładnie wysprzątane, ładnie umeblowane pokoje. Sam nigdy nie miałem własnego pokoju, nawet jednego, nawet źle ume-

blowanego. Gdybym go miał, nie byłoby mi potrzebne świeże powietrze ani własne truskawki.

Ciekawe, ile tu mieszka osób? Czym się zajmują? Są porządni czy łobuzy? Pieniądze zapracowali czy także zachapali? Jakie to zresztą ma znaczenie? Oni teraz są poszkodowani! Wszyscy bezzębni! Stadni, parzystokopytni. Jeśli są w tłumie, mogą zdeptać, ale jak się takiego weźmie za gardło – jeden na jednego – to wysiada. I wokół tego stada biega, warczy, kłapie paszczką, drapie ziemię łapami, dostaje zadyszki ze złości Tichonow. Pilnuje ich umeblowania, cieszy się, że zapewnił im świeże powietrze, że ustrzegł przede mną ich bezcenne dobra. Niech was wszystkich szlag trafi, i młodych, i starych!

Bardzo jestem zmęczony. Strasznie. Brak mi już sił. Podobno gdzieś na świecie żyje facet, któremu stuknęło już sto pięćdziesiąt lat. I wszyscy durnie uważają go za starego człowieka. A przecież w porównaniu ze mną to szczeniak, zasmarkany dzieciak. Ja mam przecież już z tysiąc lat. Coś się ze mną stało – nie jestem żaden Baton, stary złodziej Alocha Dieduszkin, tylko nieśmiertelny Żyd Wieczny Tułacz. I nie uda mi się spokojnie umrzeć, bo moja nieczysta dusza, nieposkromiona, chciwa, natychmiast wcieli się w innego, nowo urodzonego złodzieja, ponieważ pamiętam dokładnie, co do słowa, jak mój obrzydliwy dziadek czytał Ewangelię. Wszystko tam było napisane o mnie, nie o podobnym człowieku, ale właśnie o mnie. W tamtym, tysiące lat temu zmarnowanym życiu, nazywali mnie Barabaszem, i chociaż może wszyscy uznają mnie za wariata, to jednak wiem dobrze, że w tym niezrozumiałym mamrotaniu dziadka zupełnie nie wzruszały mnie cierpienia Chrystusa, natomiast aż do łez było mi żal rozbójnika Barabasa, którego przez głupi przypadek – raz w życiu miał fart – oszczędzili, ale i tak nie udało mu się wykręcić od śmierci.

Jakie jest więc wyjście? Co mam dalej robić?

Idiotyczne pytania w ustach człowieka, który się już włamał do cudzego mieszkania. Trzeba brać, brać jak najwięcej, brać rzeczy najcenniejsze. Trzeba je zabierać i wynosić się stąd czym prędzej.

Zacząłem od sypialni. Otworzyłem szafę i pośpiesznie wyjmowałem ubrania – te, które miałam zamiar wziąć, rzucałem na łóżko, a resztę – na podłogę. Na półkach leżała czysta bielizna. Jednym ruchem ręki zrzuciłem ją na podłogę, aby sprawdzić, czy pod nią czegoś nie schowali.

Ze ściany patrzył na mnie złym okiem groźny facet w budionówce na głowie i z szablą u pasa... Fotografia wyblakła i popękała. Na piersi, po lewej stronie, widniał zawieszony na kokardzie order i może dlatego, że fotografia spłowiła i popękała, wydawało się, że to nie żaden order, tylko krwawiąca rana postrzałowa. Miał bardzo chmurny i zły wyraz oczu, tak jakbym to ja przestrzelił mu pierś. Odwracałem się do niego tyłem, jakoś nie miałem ochoty patrzeć w jego gniewne, wypłowiałe kartonowe oczy. Sięgnąłem do szafy po walizkę i bez żadnego związku przypomniałem sobie, jak wiele lat temu, w domu, u ojca, tam, gdzie byłem zameldowany, robił rewizję Tichonow.

Był jeszcze wtedy prawdziwym zasmarkanym szczeniakiem i poznałem po kolorze jego poczerwieniałej, chudej szyi, jaką mękę, jaki nieznośny wstyd i obrzydzenie wywołuje w nim grzebanie w cudzej szafie, w cudzych, znoszonych, brudnych łachach. Ale mimo to, powoli przechodząc od szafy do komody, od tapczanu do kredensu, przeszukiwał wszystko systematycznie, pewnie tak, jak go nauczono. W każdym razie znalazł u mnie sporo różnej starzyzny, istotnej dla śledztwa. Bardzo wtedy chciał zostać prawdziwym wywiadowcą i udowodnić mi, że nie jest już smarkaczem ani szczeniakiem.

No i co? Dopiął swego? Otóż ja spokojnie, jego metodą, przeszukuję bez żadnego nakazu mieszkanie i nie dlatego, żeby coś komuś oddać, ale po to, aby wziąć dla siebie.

Zapakowałem dwie walizki i odniosłem do przedpokoju. Kiedy wracałem do gabinetu, olśniła mnie myśl, że istnieje możliwość wyjęcia choćby części pieniędzy zebranych na domek. Biurko nie było zamknięte. Śmieszne, dawno już to zauważyłem: ludzie, którzy nie dopuszczają nawet myśli, że tutaj, w ich mieszkaniu, może szperać złodziej, i tak chowają głębiej cenne przedmioty – w jakichś niedorzecznych zresztą miejscach. Tam, gdzie szuka się w pierwszej kolejności: pod papierkami w szufladzie biurka, za bielizną w szafie, na półce między książkami. Nie wiadomo dlaczego lubią też chować pieniądze w szufladzie kredensu pod pudełkiem, w którym leżą sztuce. Jakby mieli nadzieję, że jeśli wpadnę tu przypadkiem, nie będzie mi się chciało tam zajrzeć.

Zepsuty zegarek kieszonkowy, kordzik oficera marynarki wojennej, tubka z klejem, płyta gramofonowa, rysunki na grubym papierze, teczki z papierami, dwie paczki papierosów „Nowość”, ołówki, kilka odznaczeń w pudełkach, gruby notes z przytwierdzoną do oprawy błyszcząca tabliczką metalową i wygrawerowanym napisem: „Drogiemu Mikołajowi Iwanowiczowi w dniu pięćdziesiątych urodzin”.

O, są! Trzy książeczki oszczędnościowe. Anna Fiodorowna Repnina, wkład terminowy – cztery tysiące rubli. Mikołaj Iwanowicz Repnin, wkład terminowy – dwa tysiące rubli. Mikołaj Iwanowicz Repnin, rachunek nr 7911 – czterysta dwadzieścia trzy ruble siedemdziesiąt dwie kopiejki.

Na książeczkach pieczętki z adresami i telefonami kas.

Annę Fiodorownę – z powrotem do szuflady. Dwóch Mikołajów Iwanowiczów. Jeden złożył dwa tysiące rubli w kasie oszczędnościowej przy bulwarze Suworowskim 15 września 1966 roku. Więcej wpisów nie ma, to znaczy był tam tylko raz, ładnych parę lat temu. Teraz hoduje na szarych stroniczkach książeczki swoje procenty. Na ra-

chunku drugiego Mikołaja Iwanowicza czterysta dwadzieścia trzy ruble i siedemdziesiąt dwie kopiejki. Ta liczba to wynik dwudziestej szóstej operacji w tej książeczce, założonej przy ulicy Gorkiego. To znaczy, że tam mogą go znać, czyli tego Mikołaja Iwanowicza też wrzucimy z powrotem do szuflady.

Aby wyjąć wkład, potrzebny jest wzór podpisu i tona spokoju. Przed okienkiem nie należy się trząść, kręcić, ani wyszczerzać do kasjerki w głupich, tchórzliwych uśmieszkach.

Potrzebny wzór podpisu. Na pewno jest w domu. W ogóle w każdym domu jest wszystko, czego potrzebuje złodziej, aby unieszczęśliwić gospodarzy, bo zwykli ludzie nigdy nie są przygotowani do spotkania z nim. Nawet najbardziej parszywy i podejrzliwy człowiek nie jest w stanie wyobrazić sobie, w jaki sposób złodziej może z nim postąpić. I po to, aby się bronić, trzymają Tichonowa. Ale tutaj i z niego zrobię balona.

W drugiej szufladzie biurka, zamkniętej na prymitywny wpuszczany zamek – wystarczyło dziobnąć dłutem – był dowód Mikołaja Iwanowicza Repnina i jego małżonki, Anny Fiodorowny, poza tym w aksamitnym pudełeczku bardzo stary, z poobijaną emalią Order Czerwonego Sztandaru na czerwonej jedwabnej kokardzie i oksydowany brauning z grawerunkiem na rękojeści: „Czerwonemu komendantowi Iwanowi Repninowi – Rewolucyjne Dowództwo”.

... Nie rozumiem, nie pamiętam, nie umiem wyjaśnić – czemu trzymałem go przez moment w ręku; zamierzając wrzucić go z powrotem, zawahałem się, jeszcze raz przeczytałem napis i włożyłem pistolet do kieszeni marynarki.

Na biurku stał telefon. Zwyczajny, czarny, garbaty aparat. I niech mi ktoś powie, po jaką cholerę zachciało się Mikołajowi Iwanowiczowi zamieniać go na nowy?! No, ale zachciało mu się, a teraz ja dzwonię z jego aparatu.

– Kasa oszczędności? Dzień dobry! Mówi właściciel książeczki założonej u was. Repnin. Mój numer 24685. Mam wkład terminowy w wysokości dwóch tysięcy rubli. Bardzo proszę o przygotowanie pieniędzy, przyjadę do was po południu. Nie, nie tylko procenty, cały wkład wycofuję. Aha, moja droga, gdyby to pani nie sprawiło kłopotu, to proszę przygotować rozliczenie wcześniej. Do czwartej muszę odebrać samochód. No oczywiście, bardzo chciałbym mieć go jeszcze przed świętami... Bardzo pani dziękuję...

W dowodzie u dołu stroniczki jest rubryka „podpis posiadacza”. Repnin porządnie się starał, pewnie aż język wysunął z wysiłku, stawiając swój nieprzeciętny podpis – wyraźny, równy, bez tych wszystkich głupich zawijasów. Obok leżały książeczki opłat mieszkaniowych. Widać było, że Mikołaj Iwanowicz z Anną Fiodorowną żyli sobie zgodnie i szczęśliwie, na zmianę płacili za mieszkanie i tam gdzie płacił Mikołaj Iwanowicz, widniał jego prostoduszny i wyraźny podpis, dokładnie taki, jak w dowodzie: z wielką okrągłą czapką na literze R, podobnej do wyrośniętego grzyba, i długą pierwszą kreską w literze n, dzięki czemu nazwisko napisane długopisem przypominało słowo: „Reppip”.

Wziąłem dowód i książeczkę mieszkaniową i wyszedłem z mieszkania, cicho przymykając za sobą drzwi z wyłamanym zamkiem. Chodziłem po ulicach. Pachniało gorzkim pyłem topoli, deszczem i kwietniem. Ale nie czułem zapachu wolności. Czułem tylko straszny smutek, który – jak głodny szczur – gryzł moje serce. Znowu wypełniał mnie, pulsował w każdej żyłce, zaćmiewał umysł okropny, nieznośny strach. Później poszedłem na pocztę, usiadłem przy stoliku w kącie i przez bitą godzinę ćwiczyłem podpis „Reppip”.

Na dziesięć minut przed otwarciem kasy oszczędności byłem już przy drzwiach, do okienka podszedłem jako

pierwszy, wypełniłem odcinek na stronie „wypłata”, a dowód Repnina razem z książeczką oszczędnościową trzymałem na wszelki wypadek w ręce. Podpisując się, starałem się nie przypominać sobie poszczególnych liter, bo wtedy na pewno bym wpadł. Tego absolutnie należy się wystrzeżać – są czynności, które należy koniecznie wykonywać szybko, prawie machinalnie.

Kontrolerka, młoda, nieładna dziewczyna, podniosła się, żeby odszukać moją kartę. Miała na sobie eleganckie lakierowane buty i angielski kostium z dżerseju. Kiedy szukała karty, a potem coś do niej wpisywała, patrzyłem na jej wyblakłą skórę i pryszczyki na czole, i ospale myślałem, że to straszidło i do pracy musi przychodzić w swoim drogim i z pewnością jedynym kostiumie wyjściowym, kupionym po wielu miesiącach oszczędzania, bo przecież nie może oczekiwać swego szczęśliwego losu – jakiegoś spoconego szofera albo zastraszonego studenta – tylko w święta, kiedy wszyscy inni wkładają swoje reprezentacyjne stroje. Z taką gębą i chudymi nogami musi czekać na swój los zawsze, także za tym oszklonym okienkiem, i dlatego przychodzi do pracy w swoim jedynym ładnym ubraniu.

– Mój dowód niepotrzebny? – zapytałem, podając szarą, pomietą książeczkę. Przelotnie popatrzyła na dowód, sprawdzając imię, nazwisko i podpis, a moje palce w tym momencie nie drżały, były jak skamieniałe. Kiwnęła głową i podała mi blaszany numer.

– Do kasy!

Kasjerka kończyła jeść kanapkę. Zgarnęła okruchy ze stołu na gazetę, zwinęła ją i wrzuciła do kosza. Przysunęła do siebie odcinek i przerwaną już na pół książeczkę – likwidowałem przecież wkład Repnina i powinienem jeszcze dzisiaj zdążyć do magazynu po samochód.

– Proszę podpisać jeszcze raz – powiedziała. – Podpis nieczytelny...

Ta była ładną kobietą. Trzydzieści lat temu. Była niemłoda i chyba nawet tego nie ukrywała za pomocą zwykłych kosmetycznych sztuczek, od których kobiety stają się jeszcze straszniejsze.

...Nie wiem dlaczego, ale od dzieciństwa nie lubię staruch i trochę się ich boję. Spotyka się wielu starych mężczyzn, przystojnych, dorodnych, aż przyjemnie popatrzeć, a stare kobiety napawają mnie lękiem, bo czas obchodzi się z nimi rzeczywiście niesprawiedliwie. Jeździ po ich twarzach jak traktorem, gładką skórę przekształca w sieć zmarszczek, mięśnie – ongiś aksamitne, prężne – zwisają jak puste, sflaczałe woreczki, oczy tracą blask, zapadają się, gasną, a czas wciąż szaleje, znęca się, jakby się na nich za coś mścił, kurczy je, skręca, mnie, dławi, dopóki się do woli nie nacieszy – patrzcie, dobrzy ludzie, jakie straszidło zrobiłem z tej ślicznotki, która kiedyś tak się wam podobała, której tak pragnęliście!...

Tak więc kasjerka jakoś ocalała, chociaż i dla niej czas nie minął bez śladu. Doczekała się swojego losu za tym okienkiem, zjawił się jej ukochany książę i dał jej popalić. Dojadła swoją kanapkę, nie z kielbasą czy serem, ani też z kawiosem. Na szarym chlebkę leżał kawałek mięsa z barszczu – widziałem dokładnie przyklepione do niego kawałeczki kapusty i buraka. Był to dla mnie symbol przerażającej, obrzydliwej biedy, w której oni wszyscy chcieli pograżyć i mnie, ale ja postanowiłem inaczej, i oto leżała przede mną cudza, naderwana książeczką oszczędnościowa z wkładem dwu tysięcy rubli, nie licząc procentów. Oszczędności te były wynikiem kanapek z resztkami mięsa z barszczu, nie wykorzystanych urlopów, godzin nadliczbowych, odmawiania sobie jazdy taksówką i tłoku w przepełnionych autobusach w godzinach szczytu, jednych pantofli rocznie, papierosów „Prima”, zamiast trzykrotnie droższych „Stolicznych”, i mnóstwa innych rzeczy, których nienawidziłem. I ta kasjerka pytała teraz,

dlaczego na asygnacie jest niewyraźny podpis. Zaśmiałem się i powiedziałem:

– Mam zawsze kłopot – do pięćdziesiątego roku życia nie wyrobił mi się podpis. Dlatego przy wszystkich rozliczeniach mam przy sobie dowód. Dobrze, podpiszę się staranniej...

Pokazałam dowód, podpisałem jeszcze raz, ona wyciągnęła szufladę i zaczęła liczyć pieniądze.

– Proszę. Dwa tysiące trzysta jednaście rubli...

Na Arbacie zatrzymałem taksówkę i kazałem kierowcy jechać do Miedwiedkowa – było mi wszystko jedno, dokąd pojedę, byle jak najdalej i byle jak najdłużej być samemu. Z Miedwiedkowa pojechałem przez całe miasto do Ziuzina, a potem z powrotem do centrum. Zapłaciłem wszystkiego dziewięć rubli i patrząc w ślad za odjeżdżającą taksówką mamrotałem bezsensownie i złośliwie: „Będziesz musiał poczekać na telefon i daczę, drogi Mikołaju Iwanowiczu...”

W kieszeniach przyjemnie ciążyły paczki pieniędzy i oksydowany brauning. Nagle zupełnie nieoczekiwanie pomyślałem, że Mikołajowi Iwanowiczowi będzie żal tylko pistoletu – pieniądze mu przecież zwrócą. Wszystkie pieniądze co do kopiejki, łącznie z odsetkami. A obciążą tą sumą osoby, które dopuściły się poważnego zaniedbania – kontrolerkę-straszydło w angielskim dżerseju i siwą kasjerkę, przynoszącą do pracy kanapki z resztkami mięsa z barszczu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty Siódmy, nie kupiony bilet inspektora Tichonowa

Za pięć dziesiąta byłem już w gabinecie i zaraz zadzwonili z biura przepustek.

– Pyta o was jakiś obywatel. Jego nazwisko Obnorski.

– Natychmiast wypiszcie mu przepustkę. Czekam u siebie.

Profesor wyglądał kiepsko, sprawiał wrażenie zmęczonego i widać było, że nie jest już młody.

– Witam, komisarzu Maigret. Widzieliśmy się niedawno. a ja już się stęskniłem – powiedział z uśmiechem.

– To świetnie – odpowiedziałem. – Choć nie jestem jeszcze komisarzem, tylko na razie kapitanem, ale mimo to także się stęskniłem. Właśnie zamierzałem posłać po pana, i po ekspedientkę Nadię...

– Nie trzeba – machnął ręką. – Te wszystkie kryminologiczne chwytły są zbędne.

Profesor wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął płaskie pudełeczko.

– Proszę wziąć, to pańska gwiazda.

Stało się to tak nieoczekiwanie, że osłupiałem. Obnorski zaśmiał się smutno i powiedział:

– Czemu pan nie bierze? Przecież wczoraj była panu tak potrzebna, że praktycznie pozbawił mnie pan resztek rodzinnego spokoju.

Nie słuchając go, drżącą ręką wziąłem pudełko i otworzyłem wieczko. Na czarnym aksamitnym tle błyszczała ośmioramienna gwiazda – drugi atrybut Orderu Księcia Aleksandra Newskiego. Odwróciłem pudełko i chropowata, ciężka gwiazda znalazła się na mojej dłoni. Na pociemniałym srebrze rewersu wyraźnie widoczny był numer – 46/214. Ta sama! Ostrożnie położyłem gwiazdę na stole,

otworzyłem sejf, z pudełka po papierosach wyjąłem krzyż generała Dietza i pokazałem Obnorskiemu.

– Widzi pan? Mają te same numery.

– I co?

– To nie broszka, tylko część orderu. Mój Boże, czy pan nie rozumie. To było hasło. Hasło i odzew. Krzyż – hasło, gwiazda – odzew.

Obnorski popatrzył na mnie ze zdziwieniem, następnie ostrożnie wziął do ręki gwiazdę i zaczął ją oglądać. Usiadłem za stołem, przejechałem ręką po twarzy i usiłowałem zebrać myśli. No, teraz wam pokażę! Zobaczycie, że i ja nauczyłem się walczyć. Nie udało się wam na początku wyłączyć mnie z gry, to teraz jeszcze się zobaczy, kto kogo. Sam nie wiedziałem, komu się odgrążam – Batonowi, Castellemu czy martwemu Sytnikowowi. Z zadumy wyrwał mnie głos Obnorskiego:

– Czasami żałuję, że zająłem się chirurgią jamy brzusznej, a nie psychologią.

– Dlaczego? – spytałem machinalnie, nie zastanawiając się nad jego słowami.

– W gruncie rzeczy jest ciekawsza. Dzień jutrzejszy medycyny będzie należał do psychologów.

Wydało mi się, że go zrozumiałem i spytałem życzliwie:

– To żona zabroniła panu oddać gwiazdę?

– Żona? – zdziwił się Obnorski. – Nie, ona nie ma z tym nic wspólnego. W ogóle nie wiedziała, że kupiłem tę broszkę.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Obnorski odwrócił się do okna i, jak gdyby kontynuując rozmowę z samym sobą, powiedział w zamyśleniu:

– Nie ma na świecie kłamstwa, które by kiedyś się nie wydało. Kiedy będzie miał pan tyle lat, ile ja, i nie daj Boże, zrozumie pan pewnego dnia, że przeżył życie z obcym, nieprzyjaznym człowiekiem, być może, i panu nie starczy sił, żeby zrobić decydujący krok i odejść. Z upływem lat

wszystko staje się znacznie trudniejsze. Krótko mówiąc, moja żona nie wiedziała o istnieniu broszki... Gwiazda została kupiona i przeznaczona dla zupełnie innej osoby. Wczoraj nie mogłem panu tego powiedzieć i chyba nawet nie powinienem wszystkiego wyjaśniać. Po prostu nie chciałem w pana oczach wyjść na łajdaka. Czy jestem wolny?

– Proszę chwilę poczekać, wypiszę panu pokwitowanie...

– Nie trzeba. Kiedy nie będzie już potrzebna, proszę zadzwonić do kliniki – przyjdę i odbiorę.

– Mimo wszystko bardzo proszę poczekać. To potrzebne nie tylko panu, ale także dla sprawy.

Saszka niedbale rzucił gwiazdę na stół i powiedział:

– Od razu poczułem, że coś tu nie gra. Pewien mój znajomy Niemiec mawiał w takich przypadkach: Ich habe zwei Babe.

– Zmylił mnie jego wiek, przecież on ma sześćdziesiąt lat. To chyba sporo? – spytałem Saszkę, którego uważałam za wielkiego znawcę problemów miłosnych.

– Nie szkodzi, na miłość każdy wiek dobry – uspokoił mnie Saszka. – Jednego nie mogę zrozumieć: jak się udało Sytnikowowi, we wszystkich życiowych tarapatach, zachować gwiazdę tego generała. I jak krzyż od tego orderu znalazł się u Castellego. Jakieś diabelskie sztuczki! No nic, pożyjemy – zobaczymy.

Powiedział to tak spokojnie i pewnie, jak gdyby wystarczyło pójść do pierwszego lepszego biura informacji na bulwarze Strastnym, zapłacić dwadzieścia kopiejek i otrzymać natychmiast wszystkie dane.

– Czy nie przeszkadza ci, że i Dietz, i Sytnikow są już na tamym świecie? – zapytałem ironicznie.

– Przeszkadza. Za to Castelli na tym! I należy przypuszczać, że nie pracuje sam. Zapomniałeś o Batonie – powiedział Saszka. – Pamiętam, jak jeszcze w instytucie profesor

Strogowicz mówił nam, że nie ma nie ustalonych faktów. Znajdą się fakty, których nie udało się ustalić. A to mądry facet. Czapkę nosi chyba numer sześćdziesiąt cztery. Ja mógłbym z niej zrobić sobie futro...

– Nie jestem pewien, czy Strogowicz uznałby za słuszne takie zastosowanie dla swojej czapki. Niech on lepiej nosi ją sobie dalej, a ty pochodź na razie w tym swoim chałacie nie z tej ziemi.

– Co ty chcesz od niego? – obraził się Saszka za swój niezwykle różowy płaszcz. – Takiego płaszczka nie widziałem jeszcze na nikim. Patrzcie go, nie podoba mi się moja jesionka. Zagraniczny płaszcz, można powiedzieć z importu. Sam materiał ile kosztuje: flausz jak trzeba – nie mnący, nie brudzący, trzy ruble za kilometr. Ale do rzeczy. Kiedy wczoraj przekazywali fototelegraficznie do Sofii powiększone odciski palców Castellego, pomyślałem, że to niemożliwe, aby on miesiąc temu skoczył na chwilę do Bułgarii obrobić mieszkanie kompozytora i ruszył znowu do Sytnikowa.

I tak dośzliśmy do tematu, który interesował mnie najbardziej. Teraz centrum poszukiwań nieuchronnie przesunęło się do Bułgarii. Zdawałem sobie sprawę, że teraz należałoby prowadzić śledztwo z Sofii. Ludzie, związki, ujawnione wydarzenia, punkt wyjścia przestępstwa znajdowały się oczywiście tam, i wszystko, czego dowiedzieliśmy się z Saszką, było bardzo ważne, ale tylko jako materiał pomocniczy, surowiec dla zorganizowania dobrze przemyślanego i przygotowanego śledztwa w Bułgarii. A my z Batonem pozostaniemy poza rozgrywką i to najprawdopodobniej na długo.

– Myślisz, że sprawę przekażą do Bułgarii? – spytałem Saszkę niepewnie.

Wzruszył tylko ramionami.

– Szkoda – powiedziałem. – My jak sportowcy dopiero

co się rozgrzaliśmy. Jeszcze sprawę czujemy w rękach. Szkoda, oczywiście.

– Przekażą to przekażą. Ty sam rozumiesz, że to słuszniejsze. Szkoda! Też coś! Można pomyśleć, że stworzyłeś Wenus z Milo, a tam bez ciebie nos jej odłupią...

Wstałem, przeciągnąłem się i powiedziałem wesoło:

– Nie, Sania, przecież nic takiego nie mówię. A Batona i tak nie zostawię: obiecałem mu udowodnić, że kraść nie wolno, więc choćbym miał paść – udowodnię. Oddałem już Szarapowowi raport w tej sprawie, on pojechał do ministerstwa, a my jesteśmy wolni. Dzisiaj trzydziesty kwietnia, możemy w święta bawić się na całego.

– Nie mamy dyżuru przez całe święta? – z niedowierzaniem spytał Saszka.

– Jesteśmy wolni do czwartego maja – potwierdziłem.

– Pięknie! Można pomyśleć o zbawieniu duszy. Jak mawiał ten sam znajomy Niemiec: Ich will besuchen eine kleine Piwnuchen. Chcesz piwa?

– Nie. Wybieram się na spotkanie.

– Nadzwyczaj godne zajęcie – powiedział Saszka. – Nie śmiem cię odwozić...

Po jego wyjściu zadzwoniłem do Ludy-Ludeczki-Miłej. Pogadaliśmy trochę, a potem powiedziałem:

– A jednak mi pani pomogła...

– Zostać naj-naj? – spytała Miła z zainteresowaniem.

– Nie, naj-naj – chyba nawet z pani pomocą nie zostanę. Ale pomogła mi pani coś niecoś wyjaśnić...

– Czyżby przez pół wieku to wszystko nie stało się zwykłą błahostką? – zdziwiła się.

– Miłeczko, rzecz staje się błahostką, jeśli utraci sens, który nadali jej ludzie. Ale kiedy takiej błahostce nadaje się nową treść, z powrotem staje się rzeczą. Nową, inną rzeczą.

– Ojej, pan się tylko ze mną droczy, a nic nie chce opowiedzieć.

– Co pani zamierza dzisiaj robić, Miło?
– Będę się przygotowywać do drogi.
– Do jakiej drogi? – zdziwiłem się.
– Postanowiliśmy całą paczką pojechać na święta do Leningradu.

– Och – westchnąłem rozczarowany i nagle przyłapałem się na myśli, że nie wywołuje to we mnie przykrości. – Myślałem, że się zobaczymy.

– Nie, jestem już umówiona...

– A więc zdzwonimy się po świętach?

– Czwartego wyjeżdżam w delegację do Swierdłowska – usłyszałem w jej głosie gorycz. – Czy pan pamięta naszą rozmowę o kaczkach i łabędziach?

– Tak – powiedziałem zbity z tropu. – I co?

– Bywa jeszcze gorszy los – w Australii żyją nielatające ptaki o nazwie kiwi. Czy pan wyobraża sobie, jakie to straszne urodzić się takim ptakiem, który nigdy nie lata. Ptakiem, który tylko chodzi? A w ogóle to wszystko głupstwa. Sama kiedyś do pana zadzwonię.

– Dziękuję pani za wszystko, Miłeczko. Bardzo mi pan pomogła i chodzi nie tylko o ten głupi order.

– Jeśli kiwi skoczy z góry, to i on może przelecieć kawałek – zaśmiała się Miła. – Życzę panu szczęścia. Jeszcze się zobaczymy.

I położyła słuchawkę.

Było jeszcze wcześniej, postanowiłem więc doprowadzić swoje biurko do porządku. Po świętach dadzą mi na pewno nową sprawę, którą będę musiał się zająć, powoli przygotowując się do spotkania z Batonem. Za trzy dni przyjdę tutaj z rana, usiądę za biurkiem i wszystko powinno być gotowe. Gotowe do czego?

Gotowy, gotowe – to słowo budzi we mnie dreszcz, jak zgrzyt noża po szkle. Nawet w metrze staram się wejść jak

najszybciej do wagonu, żeby nie słyszeć, jak maszynista woła na opustoszałym peronie – „gotów!” Jest w tym słowie jakaś krańcowa ostateczność, bez możliwości zmiany. Lena miała takie żartobliwe powiedzonko: „Czy jesteś gotów na spotkanie szczęścia?” Powtarzała to często i jej żartobliwe słowa płoszyły mnie, od kiedy ostatecznie uświadomiłem sobie ich sens, chociaż ona nigdy mi tego nie tłumaczyła. Lena uważała, że absolutnie wszyscy ludzie dzielą się na trzy kategorie: bardzo nielicznych szczęściarzy, którym wszystko udaje się świetnie; urodzonych pechowców – tych jest więcej niż szczęściarzy i cokolwiek robią, kończy się to porażką; wreszcie największa część ludzi jest szczęśliwa lub nieszczęśliwa w zależności od stopnia uświadomienia sobie szczęścia i przygotowania na spotkanie z nim. Myślę, że wyobrażała sobie szczęście jako ogromnego słonecznego ptaka, który przynajmniej raz w życiu przylatuje do każdego i jeśli człowiek jest gotów na spotkanie z nim, zostawia u niego maleńkie słoneczne pisklęta radości, które przez wiele lat opromieniają jego życie. Niestety większość ludzi nie zna tego barwnego radosnego ptaka, oni JESZCZE albo JUŻ nie są gotowi na spotkanie z nim i szczęście niewidzialnie, niesłyszalnie odlatuje... W jej wyobrażeniu było coś naiwnie pogańskiego, ale zawsze obawiałem się, że ona ma rację. Byłem przekonany, że kiedy ptak przyleci do mnie, nie będę gotów na spotkanie. Przecież ptaka trzeba poznać, a ja nawet teraz nie wyobrażam sobie, jakie powinno być moje szczęście. Może moim ptakiem jest Luda-Ludeczka-Miła? Przecież szczęściem nie może być radość ze zwycięstwa nad Batonem, nawet gdyby mi się to udało. A jeśli moim szczęściem jest spotkanie z Ludą-Ludeczką-Miłą, to powinienem ją kochać. Czy to jest miłość, jeśli rozmyślam o tym, jak na seminarium z prawa cywilnego? Ale ona mi się podoba – to przecież fajna dziewczyna. Ładna i mądra. Tylko jeśli się kocha naprawdę, wszystko to nie ma znacze-

nia, po prostu człowiek nie zastanawia się nad tym. I w ogóle jeśli ptak przylatuje, to, być może, nie zawsze obdziela ludzi szczęśliwą miłością. Szczęście nie bywa jednakowe dla wszystkich jak komplet sztuków. Kto wie, może mój ptak przyleciał kiedyś dawno i przyniósł mi siódmy, nie kupiony bilet...

...Był chłodny i słoneczny marcowy dzień. Nie chciało się nam uczyć, uciekliśmy więc z wykładu i wszyscy razem wybraliśmy się do kina „Powtornoje”, gdzie grali „Rzymskie wakacje”. Było nas siedmioro: Wala Rogow, który dopiero co ożenił się z Elką Lifszyc – maszerowali po ulicy Hercena, jak zwykle, trzymając się za ręce, a my za nimi w kolumnie – Nastia i Mariasza Szczegolewe, które nazywaliśmy Pomponikami, bielutkie, pulchniutkie, zupełnie identyczne, potem Bułgar Angeł Stojanow Weselinow, który w przeciwieństwie do nas bardzo dobrze rozróżniał bliźniaczki i zawsze na zajęciach usadawiał się blisko Nasti; za Angełem kroczyłem ja, a pochod zamykał „Dwóch Piotrów” – Pietka Głazyrin, ogromny, bardzo dobry, chociaż chorobliwie obraźliwy chłopak. Przechodnie uśmiechali się patrząc na nasz orszak, a Elka wstydliwie czerwieniła się, prosząc swego Waleczkę, żeby przepuścił przodem „tych zwariowanych chuliganów”. Nastia i Mariaszka, nie zwracając uwagi na przygaduszki w rodzaju „żeby choć one miały trochę wstydu”, chichotały wesoło i uparcie maszerowały za nimi. Na twarzy Walki malowała się bezmyślna, pełna czułości błogość, chytrze uśmiechał się Angeł, nieśmiało i głucho rechotał „Dwóch Piotrów” i ta głupia, wesoła zabawa, to jasne, zimne jeszcze słońce i ta cała nasza ucieczka z wykładu wprawiły mnie w radosny nastrój. Tak doszliśmy do kina, gdzie okazało się, że bilety na następny seans są wyprzedane. Nastia zaproponowała, żeby zapolować na bilety, więc pętailiśmy się przy wejściu z natrętnym pytaniem: „Czy nie ma pan (pani) biletu do sprzedania?” Pierwszy dostał dwa

bilety Angeł. Przez moment zastanawiał się i ku naszemu zdziwieniu oddał bilety nie Pomponikom, ale Wali i Elce. Potem zrozumiałem, że on ułożył cały plan: zadanie utrudniała obecność Mariaszki. Bilet, który kupiła Nastia, Angeł oddał Pietce – „Ty sam nigdy sobie nie kupisz”. Ja także znalazłem sobie ofiarę – na rogu stał chłopak z zatroskaną twarzą, co chwila spoglądając na zegarek. Tu powinny zwolnić się dwa bilety.

Nieoczekiwanie „Dwóch Piotrów” kupił bilet u jakiejś staruszki i prawie natychmiast pojawił się Angeł z jeszcze jednym. Ja twardo zająłem miejsce obok zdenerwowanego chłopaka – według moich obliczeń termin oczekiwania już minął. Kiedy wskazówki zegara zbliżyły się do piątej, chłopak z ciężkim westchnieniem sięgnął do kieszeni i pomyślałem, że szanse Angeła, aby siedzieć obok Nasti, bardzo wzrosły. Ale plan kulturalnych rozrywek chłopaka nie zależał widocznie od przeciwieństw życia osobistego, ponieważ zdecydował się odsprzedać tylko jeden bilet, chcąc zrekompensować sobie wiarołomstwo dziewczyny przyjemnością oglądania Audrey Hepburn. Film powinien zacząć się lada chwila. Zabrałem bilet Pietki i zamieniłem na dwa obok siebie dla Nasti i Angeła. Tylko dla mnie w żaden sposób nie udało się kupić biletu. Tym siódmym, nie kupionym biletem okazał się, być może, strzępek niebieskiego papieru z numerem rzędu i krzesła, który zatrzymał sobie chłopak, wystawiony do wiatru przez dziewczynę, i który, pozbawiając mnie „Rzymskich wakacji”, ofiarował mi spotkanie z Leną. Posiadacz siódmego, nie kupionego przeze mnie biletu, w małej przytulnej sali kina rozkoszował się zabawnymi przygodami czarującej księżniczki i urodziwego Gregory’ego Pecka, a ja wróciłem na uniwersytet i poszedłem do czytelni, gdzie na żelaznych schodach przed wejściem spotykali się bumelanci, żeby obgadać masę ważnych problemów, pożyczyć rubla i dowiedzieć się wszystkich studenckich ploteczek. Pokona-

łem jedną kondygnację schodów i zobaczyłem Lenę. Stała oparta o ciepły kaloryfer i przeglądała gruby zeszyt w płóciennej oprawie. Minęło dziesięć lat od tego momentu, a ja jestem pewny, że choćbym żył nawet sto lat, będę pamiętał każdy szczegół, dokładnie tak, jak w tej chwili. Nie pamiętam ani jednego słowa, które powiedziałem podchodząc do niej, ani naszej rozmowy, kiedy wyszliśmy z czytelnicy, ani kiedy spacerowaliśmy ulicą Gorkiego, siedzieliśmy w kawiarni „Siewier”, ani kiedy szliśmy ulicami Jużyńska, Triochprudną, Kudrińską, obok ogrodu zoologicznego na Krasnopriesnienskim Wale, obchodząc Wagańkowo, przez Choroszewkę i kiedy zatrzymaliśmy się przy jej domu na Mniewnikach. Nic, po prostu nie zapamiętałem ani jednego słowa, ale wszystkie inne szczegóły pamiętam tak, jakby to wydarzyło się pięć minut temu. W zeszycie były notatki z literatury powszechnej, na palcu srebrny pierścionek z turkusowym oczkiem, kwadratowa torebka na długim pasku, rozpruty szew w brązowej skórzanej rękawiczce, przez który przeświecał fragment dłoni, zaróżowione od wiatru policzki, obramowane wymykającymi się spod czapeczki czarnymi włosami, ostro załamane brwi i duże wesołe usta, prześladowający mnie przez całe życie zarys miękkich pełnych warg, błyszczące białe zęby i oczy, trochę skośne, podłużne, w kolorze starego miodu, o smutnych, ciężkich powiekach. Było zimne marcowe słońce, silny wiatr, potem krótka śnieżycą i znowu słońce oprowadzało nas po Moskwie, dopóki nie utonęło gdzieś nad Diewiczką w czerwonawoniebieskich dymiących obłokach, i niezwykle jasne gwiazdy, płonące nad nami. Przez cały czas o czymś tam rozmawialiśmy, ale słowa nie miały wówczas znaczenia, straciły swój zwykły sens i gdyby ona mówiła do mnie po japońsku, także rozumiałbym wszystko, gdyż mała dziurka w jej rękawiczce była dla mnie pułkowskim teleskopem, przez który mogłem swobodnie oglądać inne światy.

Sprzed swego domu Lena odprowadziła mnie na przystanek autobusowy, potem ja ją z powrotem do domu, później postanowiliśmy pożegnać się w połowie drogi między domem a przystankiem, ale doszliśmy znowu do jej bramy, weszliśmy na schody, gdzie pachniało kurzem i było ciepło, a ona powiedziała, że już druga w nocy i rodzice będą na nią strasznie krzyczeli, i ja też się bardzo bałem, że będą na nią krzyczeli, ale mimo to nie puszczałem jej. Ona też nie odchodziła, rozpiąłem palto i ogrzewałem ją własną pierśią, a ona szeptała: „Przecież zobaczymy się jutro rano”. Ale jutro było już dzisiaj i czekać na nią jeszcze osiem godzin było równie niemożliwe, jak przebiec jedną trzecią długości równika. Przytuliłem twarz do jej włosów, pachniały czymś nieuchwytnym, chyba pierwiosnkami, i w tym momencie nie istniało dla mnie nic, bo cały świat był we mnie, bo przyleciał do mnie właśnie słoneczny ptak szczęścia. Pechowy chłopak wyszedł już z kina i wyrzucił mój szczęśliwy siódmy, nie kupiony bilet, a ja nie byłem gotów na spotkanie szczęścia...

Potem, już nad ranem, szcęknął za Leną zamek w drzwiach, a ja jeszcze długo stałem w sennej nieruchomej ciszy na ciepłych zakurzonych schodach, dopóki sobie nie uświadomiłem, że Lena odeszła. Wyszędłem na ulicę, niebo poszarzało, zgasł oszałamiający blask gwiazd, głucho huczały na szosie wywrotki. Szedłem po asfaltowej jezdni, co chwilę wpadając w mokry, rozmiękły śnieg. Szarpało mną i miotało na wszystkie strony, gdyż moja radość była silniejsza ode mnie – wystarczyłoby jej na podniesienie sterowca, a ja nie byłem jeszcze gotów na spotkanie szczęścia.

Autobusy nie chodziły, stałem więc długo na przenikliwym porannym wietrze, zanim zabrał mnie kierowca MAZ-a. Zmorzył mnie równy głos pracy silnika, ciepło, przyjemny zapach oleju, i usnąłem. W Biegach kierowca ostro zahamował i przebudziłem się przerażony: zdawało

mi się, że śpię niewiarygodnie długo, dobę lub rok, i wszystko, co mi się przydarzyło, było snem, sennym zamroczeniem, marzeniem budzącej się świadomości. Nieprzytomnie spojrzałem na szofera i wyskoczyłem z kabiny. Pobiegłem z powrotem szosą Choroszewską w stronę Mniawników po topniejącym śniegu, skacząc przez kałuże, ślizgając się na lodzie, co chwila oglądając się w poszukiwaniu przejeżdżającego samochodu. Ogarnęło mnie przerażenie, że nigdy już nie odnajdę tego domu. Nie ma go, nie istnieje ten typowy czteropiętrowy dom z ciepłą klatką schodową, pachnący pokostem i kurzem. Nie ma tego domu. Nabudowali takich tysiące w całej Moskwie, a tylko jeden, upragniony, był stworzony w mojej fantazji. I siódmy bilet został przeze mnie kupiony, a sen po prostu zadrwił ze mnie, podsuwając mi zamiast Leny zbiegłą na wakacje księżniczkę Audrey Hepburn. Biegłem, nie wiedząc wcale, że do spotkania ze szczęściem trzeba być przygotowanym.

Podwiózł mnie na motocyklu milicjant, którego prostą, spierzchniętą twarz z malutkimi jak u niedźwiedzia, dobrnymi oczyma zapamiętałem na zawsze. A dom, oczywiście, był. Nie kupiłem przecież siódmego biletu. Wszedłem po schodach na drugie piętro, usiadłem na parapecie i czekałem. Czasami zapadałem w drzemkę, ale budziłem się przy każdym trzaśnięciu drzwi wejściowych. I stopniowo zapomniałbym, że czas zawija się w ruchu, że jutro można ujrzeć z wczoraj, i nie musiałbym męczyć się we śnie od ryku motocykla na ścianie, bo drugi wymiar – pion – już więcej by mnie nie przytłaczał.

Wróciłem ze swoich podróży w czasie, z rozmyślań o słonecznym ptaku szczęścia i siódmym, nie kupionym bilecie z powrotem do swego pokoju, do Komendy Moskiewskiego Urzędu Śledczego przy Pietrowce 38, i ta ucieczka w przeszłość do ludzi i zdarzeń sprzed lat dziesięciu nie

pomogła mi zrozumieć, dlaczego nie mogę naprawdę pokochać Ludy-Ludeczki-Miłej. Wtedy na pewno mógłbym się z nią ożenić, zakończyć proces duchowej mutacji, uspokoić się, kupić filcowe kapcie i nigdy więcej nie czyhałaby na mnie przepaść, której nie sposób przeskoczyć dwoma skokami. Wszystko wróciłoby do normy – moje życie byłoby ułożone. Zgaśnie niepokojące, kwietniowe światło mojej młodości, rozwieje się dym i dzinn po cichutku wróci do swojej butelki, bowiem z pozycji poważnego, dorosłego człowieka nie powinienem mieć żadnych zasadniczych sporów z Batonem: on – złodziej, a ja – milicjant, i kiedyś spokojnie, bez żadnego podniecenia, z niezbitymi dowodami winy złapię go na gorącym uczynku. Baton pójdzie do więzienia, a ja będę nadal ścigał jemu podobnych, dopóki nie przejdę na emeryturę, jeśli do tego czasu nie zostanie wykorzeniona przestępczość, chociaż wątpię, aby udało się to zrobić w ciągu szesnastu i pół roku, jakie pozostały mi do pełnej wysługi lat...

Takie było życie Szarapowa, a ja nie sądzę, żeby swoje lata przeżył źle czy niewłaściwie. Wierzę w dialektycznie rozszerzającą się spiralę i jeśli po prostu powtórzę wszystko to, co zrobił on w swoim życiu, to w gruncie rzeczy przekreślę cały jego wysiłek, bowiem nałożył na mnie – nigdy nie mówiąc o tym ani słowa – trudne brzemię dokonania czegoś znacznie większego. Jeśli ja po prostu powtórzę jego drogę – nie spełnię jego nadziei, będzie to oznaczało, że on poruszał się po kole i nie nadał początkowego przyspieszenia dla nowej, wyższej i ważnej orbity.

Tak, ale Miła jest przecież dobra i, być może, jej nie przeszkadzałyby moje niedorzeczności i dziwactwa. Nie, widać do szczęścia potrzebny jest siódmy, nie kupiony bilet, nawet jeśli on pomaga ci znaleźć człowieka, któremu daleko do doskonałości i który – jak nikt na świecie – przynosi i radość, i ból, cierpienie i rozkosz. Naraz ogarnął mnie smutek, gdyż zrozumiałem, że odchodzę od dobrego

człowieka, którego spotkałem w złych chwilach i w którym znalazłem to wszystko, czego mi brakuje. Ale oszukiwałem siebie, sądząc, że potrzebna mi była pomocna przyjacielska dłoń. Mnie była potrzebna miłość. Nie można kochać kogoś tylko dlatego, że jest godny miłości. Aby kochać, potrzeba słonecznego ptaka, który zatroszczy się o to, żeby przed filmem „Rzymskie wakacje” sprzedano przed kinem tylko sześć biletów.

Rozdział trzydziesty

Zadufanie

złodzieja Dieduszkina

Święto, święto, święto...

Oni wszyscy przygotowywali się do święta. Ja już się do niego przygotowałem, można nawet powiedzieć, że je uroczyście uczułem. Jak piszą gazety w takich przypadkach: indywidualne zobowiązanie. Czuję na piersi przyjemny ciężar paczek banknotów. Oczywiście nie są to skarby Golkondy ani zbiory przeora klasztoru Borysa i Gleba, ale jeśli uda się dobrze opchnąć towar ze sklepiku na Domnikowce i opylić paserom dobro Zubakina, będzie można żyć. Trzeba tylko gdzieś posiedzieć w zaciszu, a potem znowu pociągnie się los za wymię.

Ale po co czekać? Ukrywać się przed Tichonowem? Czekać, aż mu złość minie albo też zapomni o moich wyczynach? Tylko głupcy uważają, że nie należy denerwować swojego prześladowcy. I tak jesteśmy zaciętymi wrogami. Na całe życie. Nawet jeśli z okazji świąt wyślę do niego serdeczny telegram z gratulacjami na ozdobnym blankiecie z kiściami bzu, to i tak jego stosunek do mnie się

nie zmieni. Szkoda, że nie znam jego adresu – dobrze byłoby wysłać mu telegram. Wyobrażam sobie, jak by go skręcało z wściekłości... A w tekście coś w rodzaju: „Gratuluję wybitnych sukcesów w pracy śledczej. Życzę twórczych osiągnięć...” i temu podobne. Aha, jemu przecież można posłać telegram nie tylko na adres domowy. Czyżbyś się bał ostatecznie rozwścieczyć Tichonowa? To by oznaczało, że on rzeczywiście przestał być szczeniakiem? A może twój strach przerósł już ciebie samego? Nie ma na co czekać, Baton, nie można przecież bać się zawsze, wszystkich i wszystkiego... Kim jest w twoim życiu Tichonow? Czy to o nim czytał dziadek w swoich starych, załuszczonej książkach? Bo przecież nie o tobie!

„...Rozgniewał się Pan na anioła prawdy i stracił go na ziemię, i po dziś dzień chodzi on pośród ludzi zapoznany i szuka prawdy, strzeże prawdy, piętnuje kłamstwo, za co zniewagi i urągania od ludzi przyjmuje...” Czyżby Tichonow szukał i strzegł prawdy, a ode mnie zniewagi przyjmował?

Istnieje tylko jeden sposób, żeby uwolnić się od strachu, kłębiącego się w moim sercu jak zgniła mgła na moczarach. Nie ustąpi strach przed Tichonowem i jego sforą, ale przestanę bać się samego siebie, a dni, jakie mi pozostały do spotkania z Tichonowem, będę w stanie przeżyć, nie umierając w każdej sekundzie z przerażenia przed karą losu, która nazywa się pewnie przeznaczeniem.

Jeśli wyślę taki głupi telegram, to znowu będę kusił los, a to przecież nie ma sensu, ale udowodnię sobie, że Tichonow mnie nie złamał, że jestem w stanie jeszcze z nim walczyć i że powalczę na serio. A już bardziej go rozzłościć nie mogę – i tak jesteśmy wrogami do ostatniego tchu. No i w ogóle jakoś wstyd mi się bać jego złości.

I Tichonowowi nie za pomocą telegramu wypada dać nauczkę – taki numer byłby dobry na rudego menta Sawieliewa. Jeśli już zaczynać z Tichonowem, to trzeba mu

wyciąć takiego szpasa, żeby się śmiał z niego cały MUS, żeby mu nikt nie dał spokojnie przejść, żeby tego, co ode mnie dostanie, nie mógł schować do kieszeni, jak na przykład telegramu. Niech się wszyscy ubawią i poznącają nad nim, niech zazna lekceważenia i zaszczucia, jakiego doświadczam ja, gdy ludzie dowiadują się, że Alosza Dieduszkin jest złodziejem. Ale Tichonowa nie da się spotwarzyć ani zrobić z niego krętacza, bo jedyne, co ma, to ta jego zafajdana żebracka uczciwość. Jest tylko jedna rzecz, która może w oczach ludzi zrównać go ze mną – głupota. Tylko robiąc z niego głupca, wystawiając na pośmiewisko, jestem w stanie zemścić się na nim, chociaż częściowo rozliczyć się za to wszystko, co mnie przez niego spotkało, bo cały świat zna i święcie przestrzega prawdy, pozostawionej przez pradziadów – głównej recepty ich parszywego życia:

Naiwność jest gorsza od nieuczciwości!

Gorsza od nieuczciwości

Gorsza...

Jechałem taksówką i do samochodu, przesiąkniętego na zawsze wonią benzyny, farby, oleju i gumy, wpadał przez uchylone okienko gorzkawy, czysty kwietniowy wiatr. Nic wokół siebie nie widziałem, tylko ręka kurczowo zaciskała się w kieszeni na arkuszu gazety – dodatku do „Wieczornej Moskwy”, podszewkę wypychał ciężar brauninga i obok paczki z pieniędzmi uciskał serce dowód Repnina.

– Jazda, szefie, szybciej, lecimy na Czyste Prudy!

– Dobra, dobra, zdążymy...

– Szybciej, dzisiaj krótszy dzień roboczy, przedświąteczny...

Bardzo bałem się, że ogłoszenia przyjmują w samej redakcji, a wejść tam można tylko przez portiernię. Nie ma gorszych ludzi od tych karaluchów-strażników, bo są sto

razy czujniejsi i bardziej podejrzliwi od milicjantów. Wynika to chyba ze znikomych możliwości ich profesji, bo chociaż stoi taki ze spluwą w kaburze, to i tak nikt nie uważa go za przedstawiciela władzy, i przez tę stróżowską niepełnowartościowość niemal językiem dowód chce wyliżać. A wcale nie miałem ochoty, żeby taka papuga oglądała dowód Repnina w moich rękach.

Na szczęście okazało się, że ogłoszenia przyjmowane są w sąsiednim budynku, wejście wprost z ulicy. Urzędniczka wyjrzała z drewnianej ramy okienka jak kukułka z zegara.

– Pospieszcie się, towarzysze, za pół godziny kończymy pracę...

Usiadłem przy stole, położyłem przed sobą dowód Repnina, wypełniłem formularz leżący na poplamionym atramentem stole. Na minutę zamyśliłem się – tekst powinien być jak najlepszy, a jednocześnie nie może wywołać podejrzeń w redakcji. Ścisnąłem w zębach metalową nakrętkę długopisu, a potem nie spiesząc się napisałem:

W związku z pilnym wyjazdem bardzo tanio sprzedam w dobre ręce rasowego szczeniaka myśliwskiego po medalistach, z rodowodem, po kursie tresury.

Wabi się Staś. Telefonować w ciągu dnia 24-98-88.

Podąłem formularz i dowód przez okienko, urzędniczka wpisała do księgi ewidencyjnej dane z dowodu Repnina – nawet jej do głowy nie przyszło porównać moją twarz z fotografią, szybko przeczytała tekst i zapytała:

– Co to znaczy „w dobre ręce?” To złe określenie.

Uśmiechnąłem się.

– Proszę poprawić.

Zamyśliła się, ale i jej nic nie przychodziło do głowy, bo zaproponowała:

– Może to po prostu skreślimy? Przecież pan i tak nie będzie wiedział, jakie to będą ręce – dobre czy złe.

– Proszę bardzo.

Stalówką uczniowskiego pióra zaczęła szybko liczyć litery w ogłoszeniu.

– Razem 154 znaki. Jeden znak – siedem kopiejek. Płaci pan dziesięć rubli i siedemdziesiąt osiem kopiejek.

– To więcej niż cena psa...

– To może pan wykreśli „wabi się Staś” i o tresurze.

– O, nie! Przecież nie chodzi mi o pieniądze – szkoda byłoby, żeby taki szczeniak się zmarnował. Chciałem jeszcze zapytać, kiedy ukaże się ogłoszenie?

– Za dwa tygodnie – wcale nie miała ochoty ze mną rozmawiać, chciała jak najszybciej odwalić swoją robotę i zamknąć biuro.

Z rękami przyciśniętymi do piersi zacząłem lamentować:

– Ależ, proszę pani, co pani mówi?! Za dwa tygodnie mam już być w Capetown na Eldorado! Na miłość boską, proszę się zlitować i dać to wcześniej, bo szczeniak się zmarnuje!

– Gdzie, gdzie? – zadziwiła się.

– Jest takie paskudne miejsce w Ameryce Południowej – muszę tam szybko lecieć na zdjęcia filmowe. Bardzo panią proszę o wcześniejsze zamieszczenie ogłoszenia...

Odmawiała bez większego przekonania, a ja napierałem coraz natarczywiej, i wydawało mi się, że ten nachalny typ, który wyglupia się przy okienku, całkiem oszalał. Ale w żaden sposób nie mogłem się pohamować. Kiedy wreszcie obiecała, że zadzwoni do drukarni, żeby zamieścili ogłoszenie w następnym numerze, długo jej dziękowałem i obiecałem, że przywiozę jej za to z Południowej Ameryki małego wypchanego krokodyla. Zaśmiała się.

– Krokodyla proszę zachować dla siebie. Jeśli numer nie jest zapchany do ostateczności, ogłoszenie ukaże się czwartego maja.

Na Czystych Prudach wszedłem do przeszklonej, prawie

pustej kawiarenki, usiadłem przy stoliku w kącie i zamówiłem kawę, cytrynę i trzysta gramów koniaku. Siedziałem przy zimnej, przezroczystej ścianie i patrzyłem na brudną, zamuloną sadzawkę z grudami czarnego, jeszcze nie stającego sniegu.

Nie bałem się. Ale też nie czułem żadnej ulgi. Wciąż drżałem po ostatnim przeżyciu i wciąż – nie wiadomo dlaczego – wydawało mi się, że jestem cały, i z zewnątrz, i od środka, wysmarowany takim śmierdzącym, mulistym brudem, jaki leżał na dnie sadzawki. Jakoś nie odczuwałem radości z tego, że dałem Tichonowowi po gębie tak, że będzie słyszał w całej Moskwie.

Kiedy wypłem koniak i drzenie wreszcie ustąpiło, nagle, z przerażającą jasnością zrozumiałem, że sam siebie wsadziłem do więzienia.

Trzeba wycofać ogłoszenie, i to jak najszybciej, w żadnym razie nie może być wydrukowane! Szybko, z powrotem do biura! Boże, jak mi się kręci w głowie. Zupełnie oszalałem! Hej, kelnerka, rachunek. Ruszcie się wreszcie, półtrupcy!

Pędziłem po elastycznym śliskim żwirze bulwaru. Z boków przelatywały czarne rece nagich drzew, a brauning miarowo obijał mi się o brzuch, całym swoim ciężarem, miękko, jak gdyby tylko on jeden chciał mnie uspokoić – jestem z tobą, teraz tylko ja jestem z tobą, jedyny twój obrońca i jedyna nadzieja.

Wszystkiego było trzysta metrów, ale odległość ta wydawała mi się nieskończona. Wcale się nie zasapałem ani zmęczyłem, jakby ta strasznie długa droga prowadziła stromo w dół, jak rozbieg na skoczni narciarskiej, i całym swoim obolałym, zżartym przez strach sercem czułem, że dając to ogłoszenie, w napadzie szaleństwa odepchnąłem się od uchwytu na szczycie nieskończonej wielkiej skoczni i pomknąłem na złamanie karku w dół, a przede mną – bardzo blisko – bezdenna przepaść. Teraz próbowałem

zatrzymać się, zahamować ten koszmarny lot w dół, zawisnąć choćby na samej krawędzi progu, ale już na dwadzieścia kroków przed biurem ogłoszeń zobaczyłem na drzwiach wielką kłódkę i zrozumiałem, że krawędź skoczni jest poza mną, i już nie biegnę, nie żyję, nie śpię, tylko spadam w dół.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rasowy szczeniak inspektora Tichonowa

Tego słonecznego, trochę leniwego ranka, pierwszego dnia po świętach, przyszedłem do pracy około dziewiątej, zajrzałem do dyżurki, pogadałem z chłopakami, przeczytałem raporty. Zwykle, smutne koszty radości i rozrywek, jakimi święto obciąża ludzi: zranienie nożem... samochód uciekł po potrąceniu przechodnia... kradzież... komuś zerwano czapkę z głowy...

Z długiej listy ciekawe było tylko zuchwałe włamanie do mieszkania: po zgromadzeniu zdobyczy w walizkach złodziej nie wiadomo dlaczego pozostawił je w mieszkaniu, zabierając tylko dowód i książeczkę oszczędnościową gospodarza, i pobrał wkład. Za mojej pamięci był to pierwszy tego rodzaju przypadek wśród kradzieży mieszkaniowych.

Potem razem z sierżantem z komendantury zdjąłem plomby, jakimi był opieczętowany podczas świąt mój pokój, otworzyłem okno, usiadłem za biurkiem, słodko się przeciągnąłem, rozmyślając, co też za sprawę zleci mi teraz Szarapow. Gdyby można było wybierać, pogrzebałbym w tej kradzieży mieszkaniowej – czuło się w tym charakter, pomysł, rozmach. W tym momencie zadzwonił telefon.

– Proszę pana, szczeniaka pan jeszcze nie sprzedał, prawda? – rozległ się chłopięcy głos.

Roześmiałem się.

– Nie, nie sprzedałem. Nie sprzedałem, bo jak żyję, nie miałem szczeniaka. Musiałeś się, młody człowieku, pomylić.

– Oj, przepraszam!

Niewątpliwie Castelli miał jakąś ważną sprawę do Sytnikowa. To znaczy, że innych, nieważnych, nie miał. Ale co mogli mieć wspólnego ze sobą?

Zadzwonił telefon. Ten sam dźwięczny głos zapytał:

– Czy to pan sprzedaje szczeniaka?

– Znowu trafiłeś na mnie, młody człowieku. Uważniej wykręcaj numer...

– Ale wykręciłem dobrze...

Ledwie położyłem słuchawkę, gdy znowu zadzwonił telefon.

– Proszę powiedzieć, czy pański szczeniak nie brudzi już w mieszkaniu? – pytała jakaś kobieta. Co, u licha się dzieje?!

– Nie brudzi, bo nie mam żadnego szczeniaka. Pani się pomyliła.

Tak, Saszka ma oczywiście rację. Korzenie tej sprawy znajdują się w Bułgarii i poszukiwać trzeba właśnie tam. Baton przy tym wszystkim był prawdopodobnie piątym kołem u wozu, ale ta okoliczność nie likwiduje naszych porachunków. Znowu telefon.

– W jakim wieku jest ten pański piesek?

– Pomyłka – rzuciłem w słuchawkę, ale telefon odezwał się ponownie.

– Ja w sprawie ogłoszenia o szczeniaku. Czy on nie gryzie dzieci?

– Wydaje mi się, że to ja panią zaraz ugryzę! Dokąd pani dzwoni?

– Prywatne mieszkanie.

– A trafiła pani do milicji. Zadnych szczeniaków tutaj nie ma.

– Głupi kawał! Może pan jeszcze powie, że to klinika położnicza! – obrażona staruszka rozłączyła się. Jakieś nieporozumienie telefoniczne, niech diabli porwą wszystkie te szczeniaki i wiecznie nawalające telefony.

Telefon.

– Przepraszam, czy pan swojego Stasia już pokazywał na wystawie?

– Co takiego? – zapytałem i poczułem, jak gwałtownie zabiło mi serce.

– Pytam, czy swojego szczeniaka pokazywał pan na wystawie młodzieży?

– Tak – odpowiedziałem w oszołomieniu. – Proszę powiedzieć, z jakim numerem chciał się pan połączyć?

Mężczyzna podał numer mojego telefonu.

– Skąd pan wziął ten numer? – spytałem.

– Czy pan przypadkiem nie zwariował? Przecież jest podany w ogłoszeniu! Diabli nadali – dają ogłoszenia nie wiadomo po co, tylko ludziom głowę zawracają! – I ze zdenerwowania rzucił słuchawkę. Znow zadzwonił telefon.

– Ja w sprawie ogłoszenia. Ile pan chce za pieska?

– Niedużo, prawie darmo. Przepraszam, ale czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie pan przeczytał moje ogłoszenie?

– Jak to gdzie? W gazecie! A co to – pan nie wie, gdzie ukazują się pańskie ogłoszenia?

– Wie pan, sprawa wygląda tak – wymamrotałem. – W zasadzie uzgodniliśmy z żoną sprawę tego ogłoszenia, ale ona sama je dawała, a ja zapomniałem zapytać. Teraz nie ma jej w domu, dlatego pytam:

– Aha, rozumiem, w sprawie szczeniaka jeszcze państwo nie podjęli zgodnej decyzji. Małżonka dała ogłoszenie do dzisiejszego dodatku do „Wieczornej Moskwy”.

– Czy mógłby mi pan przeczytać tekst ogłoszenia?

– Oj, widzę, że małżonka przemyciła to ogłoszenie nielegalnie. – Słyszałem jego rozbawiony śmiech i ciężki oddech, widziałem, jak grube nozdrza rozszerzają się z zadowolenia, że to on będzie pierwszym i głównym uczestnikiem nadciągającej burzy rodzinnej. W głosie wyczuwało się pełen dezaprobaty szacunek dla mojej samowolnej żony i nie ukrywaną pogardę dla mego niedołęstwa. – Tak, zrećźnie zrobiła to panu żona.

Sapał w mikrofon, pewnie nasadzając okulary na nos, i tonem spikera przeczytał ogłoszenie.

– Dziękuję panu – i przycisnąłem widełki.

Szczeniak myśliwski, wabi się Staś. Jasne – to Baton. Tylko dlaczego? Żeby przypomnieć mi o mojej porażce? Ale przecież on świetnie wie, że gra jeszcze się nie skończyła. Czy może uważa to za jeszcze jeden celny strzał do mojej bramki? Chce mnie podrażnić? Wystawić na pośmiewisko? Ale przecież mogę nikomu nie powiedzieć o tych telefonach...

Telefon. Podniosłem słuchawkę i natychmiast ją położyłem. Prawie darmowym szczeniakiem po medalistach będą się długo interesować.

A czy mogę nie powiedzieć? Jak to należy traktować: jako sprawę osobistą czy służbową? Albo, jak się pisze w dokumentach – sprawa osobista mająca ścisły związek z wykonywanym zawodem? Więc co to jest – splunięcie na mnie czy wyzwanie rzucone wszystkim, którzy reprezentują MUS? A może przesadzam? Może prawda jest taka, że człowiek nazwiskiem Dieduszkin potrafił zrećźnie i bardzo dotkliwie wyśmiać człowieka nazwiskiem Tichonow, a ten, nie mając innych możliwości zemsty, zaczyna wściekać się, obwiniać Batona o obrazę swego munduru i pociągać go do odpowiedzialności.

Baton, któremu groziłem, że oduczę go kraść, spokojnie wyszedł na wolność i już raz upokorzył mnie, przysyłając skargę. Teraz zadał drugi druzgocący cios, stawiając mnie

wobec dylematu – zameldować dowództwu o tym ogłoszeniu i nieuchronnie stać się przedmiotem powszechnych kpin, bo takie rzeczy rozchodzą się błyskawicznie, czy też nikomu nic nie mówić o szczeniaku myśliwskim i przyznać się przed samym sobą do tchórzostwa i kręactwa. Baton wie, że w naszej pracy wystarczy choć raz z byle jakiego powodu użyć wybiegu – i przepadłeś.

Trzeba iść do Szarapowa i zameldować o tej całej historii. Zaczną ją dokładnie analizować, wyjaśniać, ustalać. Oprócz Szarapowa będą w tym uczestniczyć i inni; strach pomyśleć, jaką to ogłoszenie wywoła lawinę żartów, anegdot, najróżniejszych opowieści, przyjaznych i nie bardzo przyjaznych kpin – bo przecież nie wszyscy w urzędzie są moimi przyjaciółmi. Ach, niech go diabli wezmą!

Wyjąłem z szuflady książkę telefoniczną i zadzwoniłem do redakcji. Odsyłali mnie od numeru do numeru, aż wreszcie dodzwoniłem się do biura ogłoszeń.

– Mówi starszy inspektor Moskiewskiego Urzędu Śledczego, kapitan Tichonow. Zamieściliście w dzisiejszym numerze ogłoszenie o sprzedaży szczeniaka...

– Którego? W tym numerze są trzy ogłoszenia.

– Myśliwskiego szczeniaka, wabi się Staś – powiedziałem, czując, jakbym połykał papier ścierny.

– Tak, pamiętam to ogłoszenie. O co chodzi?

– Interesuje nas, kto dał to ogłoszenie.

– Chwileczkę, zajrzę do księgi rejestracyjnej – słyhać było szelest papieru – Repnin Mikołaj Iwanowicz, adres: Moskwa, ulica Worowskiego, dowód numer 2794513...

Szarapow wydawał polecenia przez telefon. Z pewnością rozmawiał z którymś z naszych inspektorów.

– Tak. I jeszcze jedno: popatrzcie, pomyślcie, sprawdźcie, czy nie wiąże się to z kradzieżą w sklepie na Domnikowce. Do roboty, czekam na wiadomości.

Odłożył słuchawkę, popatrzył na mnie ze zdziwieniem – kto mu się tutaj pęta.

– Tak więc życie płynie. Raporty czytałeś?

– Czytałem... Włodzimierzu Iwanowiczu, zdarzyła mi się przykra historia... Słuchał uważnie, nie przerywał, nie śmiał się ani nie gniewał, tylko przez cały czas rysował coś na kawałku papieru. Nie patrzył przy tym na mnie, tak że wydawało się, że moja opowieść nie całkiem do niego dociera. Kiedy skończyłem i ciężko westchnąłem, Szarapow zapytał:

– A dlaczego on dał ogłoszenie okazując dowód tego Repnina? – Twarz jego nie wyrażała nic prócz znudzenia, ale z Szarapowem pracowałem już długo i natychmiast wyczułem w naszej rozmowie jakieś niezrozumiałe napięcie nerwowe, nieuchwytnie dla postronnego obserwatora. Wydało mi się nawet, że ze wszystkich sił opanowuje wściekłość. W żaden sposób nie mogłem zrozumieć przyczyny jego gniewu – przecież ostatecznie każdy na moim miejscu mógłby stać się ofiarą wyskoku Batona. Wreszcie Szarapow rozchylił usta – doprawdy, trudno mi znaleźć inne określenie – nie powiedział, ani się nie odezwał, tylko rozchylił usta.

– Gdyby to było na froncie, to przy twoim roztargnieniu zginąłbyś przy pierwszym wyjściu z okopu...

– Włodzimierzu Iwanowiczu, Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Widzę to. Proszę cię, przypomnij sobie, od czego zaczęliśmy naszą dzisiejszą rozmowę?

– ...od czego?

– Pytałem cię, czy czytałeś raporty – powiedział cicho i pobiełymi palcami obu rąk oparł się o blat stołu. Olśniło mnie.

...Repnin! Repnin! Boże, jak mogłem o tym zapomnieć?!

– Repnin... – bąkałem z zakłopotaniem. – Kradzież

w mieszkaniu, kasa oszczędności, przestępca ukradł pamiątkowy brauning...

– Pamiątkowy brauning – powtórzył Szarapow. – A to oznacza, że teraz twój przyjaciel Baton jest uzbrojony.

– Ale po co mu broń? Przecież on obrabia podróżnych, nigdy nie włamywał się do mieszkań. Złodzieje prawie nigdy nie zmieniają swojej „maści”...

– Po pierwsze, zmieniają. Po drugie, włamywał się i wcześniej.

– Skąd to wiadomo?

– Chciałem, żebyś chociaż w święta odpoczął, i nie wzywałem cię wczoraj. Przyszedł z wyznaniem złodziej, były złodziej Bakuma. Mój stary znajomy.

– I co?

– Cholerna sprawa. Jestem w głupiej sytuacji.

– A to dlaczego?

– Szczere przyznanie się do winy może być uznane tylko w przypadku, jeśli przestępca wyczerpująco wyjaśni, kiedy, gdzie i z kim dokonywał przestępstw. A on nie mówi, z kim robił mieszkania. Napisał oświadczenie na pięć stron – kiedy i gdzie w jakich okolicznościach dokonywał kradzieży, wylicza skradzione przedmioty i zobowiązuje się zrekompensować straty. A z kim – nie mówi...

– Ale dlaczego głupia sytuacja?

Szarapow zasepił się i popatrzył na mnie z niezadowoleniem.

– Dlatego że został uczciwym człowiekiem. Naprawdę. A będzie sądzony. W każdym razie powinien być, zwłaszcza jeśli nie ujawni współnika. Dlatego że dla prawa nie istnieje półprawda.

– Ja też tego nie rozumiem. Jeśli on teraz stał się taki zupełnie uczciwy, to niech powie, z kim kradł.

– Z taką logiką można grać w szubienicę, a nie sądzić ludzi. Dla ciebie to proste – czujesz się jednocześnie oficerem dochodzeniowym, sędzią i prawem. A ja jestem

starym człowiekiem i możliwe, że czegoś nie rozumiem, ale nie utożsamiam siebie z prawem. Prawo to prawo, a człowiek to człowiek.

– Człowiek – powtórzyłem. – Ale człowiek w służbie prawa.

– Tak. A Bakuma to człowiek, który długo występował przeciwko prawu. Ale i on, i ja jesteśmy ludźmi, dużo wiemy o sobie i choć ci się to wyda dziwne, mnie osobście byłoby trudniej uwierzyć w jego uczciwość, gdyby wydał współnika.

Zatkałem uszy palcami.

– Włodzimierzu Iwanowiczu, uznajmy, że twój podwładny nie słyszał tych herezji...

Wzruszył ramionami.

– Wiesz przecież, że nie mówię szeptem nic, co bałbym się powiedzieć na głos.

– Mogę się założyć, że dowództwo nie zaaprobowałoby takiego punktu widzenia.

– Zależy, jakie dowództwo. Różnie przecież bywa. Dowódcy też miewają różne punkty widzenia. Na krótką metę większą korzyść oczywiście przyniosłoby ujawnienie przez Bakumę jego współnika. Ale jeśli spojrzeć szerzej niż przez pryzmat statystyk kryminalnych i naszej sprawozdawczości, to okazuje się, że znacznie ważniejszy jest fakt, że stary złodziej Bakuma w czterdziestym roku życia stał się uczciwym człowiekiem.

– Być może – wzruszyłem ramionami. – Ale czy nie obawiasz się, że w twojej duszy brzmi zbyt dużo czułych strun?

– Nie – odciął się Szarapow. – Z wrażliwością u mnie wszystko w porządku i na płaczących smarków też się napatrzyłem. Bakuma idąc tu wiedział, że jego wyznanie nie zostanie przyjęte, jeśli nie będzie pełne. Miał tylko nadzieję...

– Na co?

– Że ty go uchronisz od zdrady i sam ujmiesz współnika. Przecież od swojego udziału w przestępstwach się nie uchyla – gotów jest ponieść karę.

– No więc jeśli stał się uczciwy, to co to za zdrada – oddać złodzieja w ręce prawa? Coś tutaj chwieje się ta konstrukcja. Albo na jego uczciwości, albo na zdradzie!

– Nie rozumiemy się teraz – Szarapow z zakłopotaniem rozłożył ręce. – Pewnie dlatego, że wychowaliśmy się w różnych czasach. Otacza cię mnóstwo dobrych ludzi, więc po to, aby ująć złego, nie żal ci złamać innego, dobrego.

– Żal mi złamać dobrego – odpowiedziałem ze złością. – Tylko że ten twój Bakuma wcale nie jest taki dobry. Złodziej, który zgodził się więcej nie kraść. To nie jest żadna niezwykła cnota u normalnego człowieka.

– I tu masz rację – pokornie zgodził się Szarapow. Długo milczał zamyślony i zupełnie nieoczekiwanie zakończył: – Przyszło mi harować dwadzieścia pięć lat, żeby zrozumieć o tu – pokazał ręką serce – że wielu przestępców przypomina złe, pozbawione opieki sieroty, które straciły swoją mamkę...

– A kim była ich mamka?

Odpowiedział bardzo prosto, spokojnie, przez co odpowiedź zabrzmiała znacząco ważko i precyzyjnie.

– Ludzie. To znaczy ludzkość.

Odechciało mi się spierać z Szarapowem i aby jakoś zakończyć tę rozmowę, powiedziałem:

– No i jedna taka sierota – Aleksiej Dieduszkin – już narobiła szkody.

– Tak. Wydaje mi się, że właśnie jego nie chciał ujawnić Bakuma.

– A dlaczego ich łączysz?

– Nie wiem. Serce mi podpowiada. No, a poza tym ta zuchwałość, niezwykły pomysł. Sam Bakuma nie jest do

tego zdolny. Wiele szczegółów pozwala wysunąć takie przypuszczenie. Zwłaszcza to, że od dawna się znają.

– Plus kradzież u Repnina?

– Tak, plus kradzież u Repnina. W ogóle wydaje mi się, że to ogłoszenie Batona i zeznanie Bakumy są jakoś ze sobą powiązane. Coś tam się w środku dzieje, coś kipi w głębi. Baton musiał się wściec, żeby dać takie ogłoszenie.

Znowż zalała mnie fala upokorzenia.

– Jeśli się wściekł, to trzeba mu będzie założyć kaganiec...

– Nie mów hop, póki nie przeskoczysz – uśmiechnął się Szarapow. – Teraz będzie trochę trudno go wziąć. Myślę, że nie przypadkiem zabrał ten pistolet.

– Czyżbyś myślał...

– Właśnie – kiwnął głową. – To ogłoszenie – w każdym razie mnie się tak wydaje – to przeraźliwy krzyk rozpacz. Teraz z pewnością nie cofnie się przed niczym. Spalił za sobą mosty. I pamiętaj – jego brauning jest teraz stale odbezpieczony...

Kobieta miała tak ogromne zęby, że nie była w stanie zakryć ich wargami, i dlatego na jej twarzy przez cały czas pływał zakłopotany i zalekniiony uśmiech.

– Moje nazwisko Magiło – powiedziała.

– Kim pani jest dla Aleksieja Dieduszkina?

– Małżonka jestem jego ojca, znaczy się, niby macocha – wstydliwie pocierała pulchne palce o fartuch.

Siedzący w kącie na stołku starzec o ślepej, bezmyślnej twarzy nagle ochryple chrząknął, zaniósł się kaszlem, długo charczał i spluwał, przy czym plwocina padała wprost na podłogę. Potem odezwał się wyraźnym kogucim falsetem, podnosząc siny krzywy palec.

– Bliski jest Pan wszystkim wołającym go, wszystkim wołającym o prawdę. Bóg sam pójdzie przed tobą, sam

będzie z tobą, nie pozostawi cię i nie odstąpi od ciebie...

Dla ochrony przed zimnem jego nogi były okryte workiem, na którym była widoczna pieczęć: „Cukier. GOST 4762”.

– A to ichni dziadek – wyjaśniła Magiło. – Męża mojego były teść...

Przysunąłem krzesło bliżej dziadka i usiadłem naprzeciw niego. Oczy miał puste jak wytarte guziki.

– Dziadku, wasz wnuk, Aleksiej, kiedy wyszedł z domu?

Starzec patrzył na mnie nie widzącymi oczami, poruszał zapadłymi ustami i milczał.

– Potrzebny mi wasz wnuk Aleksiej. Gdzie on może być?

Kilka razy mrugnął, jak gdyby rozmyślając nad moim pytaniem, a potem nagle dźwięcznym falsetem powiedział:

– Wynagrodzenie za znaczek z trzeciego oddziału osobistej kancelarii jego imperatorskiej wysokości! Nie zapłacono mi wynagrodzenia za znaczek. Postarajcie się, łaskawy panie, abym je otrzymał!

Błysk myśli w oczach jeszcze przez chwilę utrzymywał go na powierzchni, po czym znów zapadł się w głąb swego szaleństwa.

W pierwszej chwili nawet nie dotarł do mnie sens jego słów, ale później zrozumiałem, że ten błysk poruszył górę lat i pod tym tektonicznym uskokiem nieoczekiwanie pojawiła się dawno przez wszystkich zapomniana i wszystkim obojętna ohyda samotnego, nędznego starca, owiniętego w worek po cukrze. Przede mną siedział spróchniały za życia kapuś, płatny donosiciel, prowokator, otrzymujący „wynagrodzenie za znaczek”. Dziadek złodzieja recydywisty Aloszy Batona. Myśląc o Batonie, nieoczekiwanie przypomniałem sobie słowa Szarapowa: „Złe, pozbawione opieki sieroty, które straciły swoją mamkę – ludzkość”.

Za moimi plecami ciężko westchnęła Magiło.

– Pomieszało mu się w głowie. Bez przerwy mamrocze

coś od rzeczy, ciągle żąda jakiegoś wynagrodzenia, jakby mu czegoś nie zapłacili. Ale kto i co – nie mam pojęcia. Małżonek mój złości się za to na niego. Niedawno groził, że go kijem wytłucze, a staruszek wciąż to samo – oddajcie, co moje...

Zwróciłem się do niej:

– Zaraz przyjdzie dzielnicowy ze świadkami. Będziemy musieli przeszukać mieszkanie...

Magiło przestraszona krzyknęła „och!”, a dziadek – zauważyłem to dobrze – przy słowie „przeszukać” znowu wynurzył się z głębi, a w jego oczach zamigotała jakaś myśl. Zaczął mówić cienkim głosem:

– Hiob znajdował pożywienie łowiąc ryby... Ze wszystkich ryb najwstrętniejsza to okoń, ościsty i oślizgły... Jedzą ją mahometanie, Izraelici i inni niechrześcijanie... Okoń to twór Belzebuba...

– Rozumie pani, o czym on mówi?

– A kto go zrozumie, biedaka? – Magiło wzruszyła potężnymi ramionami. – Myślę, że okoń dlatego jest dla niego taki obrzydliwy, bo Aloszka miał przyjaciela, co się tak nazywał. Kiedy jeszcze dziadek miał trochę rozumu, to razem z moim mężem często wymyślał temu Okoniowi, że niby on Aloszkę na złą drogę sprowadził, nastawił przeciwko rodzinie i dlatego Aloszka ze swoich zarobków nic do domu nie dawał. No i mój mąż razem z dziadkiem bardzo się na tego Okonia złościł. A kim on jest, co robi – nie mogę powiedzieć, nigdy go nie widziałam.

Usiadłem przy stole i zacząłem pisać protokół, ale przez cały czas nie dawała mi spokoju myśl – czyżby chodziło o byłego adwokata Okonia, który bronił Batona w czterech sprawach?

Rozdział trzydziesty drugi

Siedem przybytków złodzieja Dieduszkina

Kiedy pije się od samego rana, to jest dobrze. Wcale nie czuje się lęku. Wszystko dokoła brzęczy, huczy, płynie i wydaje się, że i ściany płyną. A ja nie jestem pijany. Wódka mnie nie bierze. Od wódki to ja jestem silniejszy. N-nie mó-ów, mnie nie połóżysz. N-nie, wygłupiasz się. Jestem bardziej pijany niż całe wino na świecie. Nie, trzeźwiejszy! Widzicie ich, gadów, wymyślili. Ale mnie nie przestraszysz. Ani nie oszukasz, nie próbuj nawet. Chcielibście Batona usunąć z gry – macie, udławcie się! Drogi obywatelu inspektorze Tichonow – a kuku! A no pokażcie, jak to Batona oduczycie kraść! Nie łaska pójść do kasy oszczędności? Otrzyma pan swój wkład...

Zosieńko! Ptaszku! Co mówisz? Nie słyszę cię! Nie mamroc – nie słyszę! Dla mnie wszyscy umarliście – nie znam was! Odpocznę sobie, odrobinę wypilem. Dwa dni piję – będę pić miesiąc! Od wódki jestem silniejszy. I pieniędzy nam starczy. Zosiu, jedziemy do kurortu! Albo wypijemy tutaj. Pieniądzy starczy! Zosiu, gdzie moje pieniądze? Oddaj pieniądze, parszywa! Jak to, nie brałaś?! A, są! Święta się skończyły?! Forsa jest – świętujemy dalej! Zosiu, zatańcz mi! Hej, gnojki, hołoto złodziejska, Baton się bawi! Łapcie szmal, mam go pełne kieszenie! Kradzione pieniądze lekkie. Za takie zabawa powinna być wesola...

Zośka, ty suko, czego kręcisz nosem? Mało ci mojej forsy? Przyniosę więcej. Stul pysk! I tak cię nie słyszę. Jazda, nalej mi jeszcze szklanke! Chlapniemy za pamięć duszy mojego ojczulka. Co, jeszcze nie zdechł? Cholera z nim, niech go jeszcze ziemia nosi! Zośka, zaśpiewaj! Już mi dawno nie śpiewałaś! Zośka, Zośka, śpiewaj „Białe pantofelki”! O! Czego, idiotko, ryczysz? Nie podobam ci

się? Chcesz do Bakumy? Szoferska szprycha Zosia! Ja was, gnidy przekłete, oboje z gnata załatwię! Widziałaś, jakiego mam gnata? Nazywa się „brauning”! Popatrz, po-opatrz, jaki, gdzież on, cholera, leży? A, jest! Czytaj, co tu nawypisywali – „Czerwonemu Komendantowi”! Rozumiesz, co? Rozumiesz? Zośka, zaśpiewajmy razem – taka fajna piosenka: „Zebrali nas jak trzy r-ruble na wódkę... I r-rozdzielili, jak wó-ódki litr na trzech...” Zośka! Jak to idzie dalej?...

A kto to tam znowu dzwoni? Zośka, przyszli goście! Wypijemy razem i pośpiewamy! Aaa! Co za gość – Jadwiga Feliksowna! Przyszła pani odwiedzić córkę Zosię i niemal prawowitego zięcia Aloszę? Proszę, proszę, na honorowe miejsce. Posadzę panią tuż obok telewizora – dla mnie pani jest piękniejsza od wszystkich spikerek telewizyjnych... No niechże pani tak nie jeży wąsów! Mnie pani nie przestraszy! I kocha pani swojego niemal prawowitego zięcia, bo jak nie, to tak stąd pogonię! Psst, psst! Na powierzonym mi terytorium cisza i raj! Melduje dyżurny celi Dieduszkina!

Jadwigo Feliksowno, napije się pani wódki? Jak 'nie, to skoczę po szampana. Albo pošlemy Zośkę, niech nam przyniesie różnych delikatesów. Proszę posłuchać, Jadwigo Feliksowno. Ostatnio jakoś mi się życie pokręciło. Zepsuło się ciążenie ziemskie, maszyna nie chce pracować. Wie pani, Jadwigo Feliksowno, co to takiego oś ziemiska? To taki drucik, dookoła którego kręci się globus. No i ta oś silnie się wygięła. Czuję się dobrze, tylko kiedy leżę. Może dlatego będę musiał położyć się już na zawsze? Odrzucić ogon i spokojnie ułożyć się w skrzynce?

...Jadwigo Feliksowno, przecież pani umie wróżyć! Proszę mi powróżyc – chcę wiedzieć o sobie wszystko! Nie, nie potrzeba kart, pani umie z ręki! Proszę – niech pani wróży! Tss, tss! W tej chacie zawsze mam fart! Tss... proszę wróżyć... Niech pani nie patrzy na mnie tymi swoimi

oczami więdźmy... Oczy ma pani przezroczyſte, niedobre, chytre. No, niech pani wróży, kij pani w oko!

... A może wcale pani tu nie ma, Jadwigo Feliksowno? Może mam już halucynacje? Co? Proszę powiedzieć – mnie teraz już nic nie przestraszy. I tak boję się wszystkiego. Po cholere chcę pani wiedzieć, jaka jest moja ulubiona liczba? Dobra, dobra, niech będzie... Siedem. Urodziłem się siódmego dnia siódmego miesiąca. Roku nie pamiętam. Nie wierzę w magiczną liczbę siedem...

... Siedmiu aniołów stoi przed obliczem Pana – Michał, Gabriel, Rafael, Uriel, Raguel, Jeremiel i Fanuel. Władają światem duszy ludzkiej, ludzkimi namiętnościami. Twój anioł to Uriel – patron sprytu i zazdrości...

Siedem planet krąży na nieboskłonie – twój świat znajduje się pod planetą Saturn, demonem, który pożarł swoje potomstwo.

Siedem jest ptaków planetarnych – dudek, orzeł, kania, łabędź, gołąb, bocian i sowa. Znak twój to sowa, bo ślepy jesteś w świetle dziennym.

Siedem jest zwierząt świętych – kret, jelen, wilk, lew, kozioł, małpa i kot, a opiekun twój to wilk, zwierzę chciwe, złe i tchórzliwe.

Siedem jest metali planetarnych – ołów, cyna, żelazo, złoto, miedź, rtęć i srebro, a twoim metalem jest rtęć – ciężka, wyciekająca z rąk, z zimnym połyskiem i trująca.

Siedem jest otworów w głowie ludzkiej – usta, uszy, nozdrza, oczy, a ty jesteś ustami w głowie człowieczeństwa, bo oczy twoje zamknięte są na cudze nieszczęście, uszy nie słyszą jęku pokrzywdzonych, nozdrza nie czują woni spalenizny, tylko usta twoje są zawsze nienasycone i nigdy nie zmęczone.

I tylko siedem przybytków oczekuje osądzonego przez los, a wszystkie są twoje: gehenna, ból śmierci, wrota śmierci, mrok śmierci, dół na odpadki, zapomnienie, piekło! Cisza. Smutek. Ciemność. Mrok śmierci?

Rozdział trzydziesty trzeci Znajomość prawa inspektora Tichonowa

Okrągłym, uczniowskim pismem napisała na końcu protokołu przesłuchania: „Zapisane wiernie na podstawie moich słów”, i podpisała się takim samym okrągłym, niewyrobionym pismem – „H. Pietrowych”.

Schowałem protokół do teczki i spytałem:

– Jak długo pracuje pani po skończeniu szkoły?

– Rok. Dwa lata kursu po szkole i rok pracy – w oczach miała nadzieję, że ja zrozumieć: nie mogła przecież przez rok nauczyć się czytać w ludziach, nie mogła wiedzieć, że istnieją łajdacy, którzy potrafią dwa razy ukraść cudze pieniądze. Przecież nawet kasjerka Antonina Pietrowna nic nie zauważyła. Ale o Antoninie Pietrownie nie wspomniała, tylko bojaźliwie pokiwała głową.

– Była pani u Antoniny Pietrowny w szpitalu?

Skinęła głową.

– Jak z nią? Lekarze prosili, żeby jej na razie nie niepokoić.

– Antonina Pietrowna jest chora na serce. Miała syna, Żenię.

– I co?

– Oblatywał nowe samoloty... i w zeszłym roku zginął. Jego żona z córeczką mieszkają z Antoniną Pietrowną – spojrzała na rozłożone na stole fotografie Batona i powiedziała. – A ten... teraz zupełnie ją dobił...

Rozległ się dzwonek telefonu.

– Tu biuro przepustek. Stanisławie Pawłowiczu, przyszedł obywatel nazwiskiem Okoń, mówi, że wzywaliście go do siebie.

– Tak, tak. Proszę wpuścić...

Podpisałem Hali przepustkę i powiedziałem:

– Proszę odwiedzić Antoninę Pietrowną i uspokoić ją. Niech pani powie, że znamy tego recydywistę i prowadzimy przeciwko niemu śledztwo. Teraz zapewne ukrywa się i nie będzie miał gdzie wydać pieniędzy. Jestem pewien, że w najbliższym czasie ujmemy go i wszystko jakoś się ułoży... – Hala milczała, a ja dodałem: – Ekspertyza wykazała, że podpisy są zgodne z oryginałem, szczególnie drugi... A więc biorąc pod uwagę, że on i dowód przedłożył, i podpisy były jednakowe – wasza wina nie wydaje się taka oczywista... – wszystko to mówiłem dziarskim głosem, ale sądząc po oczach Haliny, nie bardzo wierzyła w mój służbowy optymizm.

W minutę po jej wyjściu zjawił się Okoń. Przymknął za sobą drzwi, zdjął okulary i kiedy przecierał szkła ciemną chusteczką, jego twarz była bezradna jak tuż po przebudzeniu, a u nasady nosa czerwieniały po obu stronach wyraźne odciski okularów. Potem włożył okulary, a jego oczy poprzez silne dwuogniskowe soczewki zabłyśły jasno i zimno i znikła już jego bezradność.

– Słucham – powiedział suchym, rzeczowym głosem.

– Zaprosiłem was, obywatelu Okoń, żeby zadać kilka pytań na temat waszych stosunków z Dieduszkinem...

– „Obywatelu Okoń!” – przerwał mi, akcentując swój wykrzyknik podniesionym do góry palcem. – Posiadając pewne doświadczenie w zakresie procedury prawnej, pragnę zauważyć, że zaszczytnym mianem obywatela tytułuje się u nas nie wiadomo dlaczego osoby pozostające w kolizji z prawem. Wam się to nie wydaje dziwne? Posłuchajcie, jak brzmi: „obywatel Robespierre!”, „obywatel Okoń!” Ewolucja obyczajowa od Dantona do Dieduszki...

– To dobrze...

– Tak uważacie?

– Chciałem powiedzieć – to dobrze, że macie teraz czas i nastrój zabawiać się w ten sposób. To po pierwsze. A po

drugie, proszę mi więcej nie przerywać. Jeśli będziemy popijać herbatkę u was w domu, będziecie mogli gawędzić, jak wam się podoba. Tutaj proszę odpowiadać na moje pytania. Zrozumieliśmy się?

– Tak. Ale mam jedno wstępne pytanie, konieczne, aby formalności stało się zadość.

– Słucham.

– Jeśli macie zamiar ze mną pogawędzić, to w tym celu potrzebna jest moja zgoda.

– Oczywiście. Ale jeśli mam zamiar was przesłuchać, wasza zgoda nie jest mi potrzebna – jesteście zobowiązani odpowiadać.

– Absolutnie słusznie – przytaknął Okoń. – Bądźcie tylko łaskawi podać mi numer sprawy karnej, w związku z którą zamierzacie mnie przesłuchiwać, a także przeciwko komu jest prowadzona.

Uśmiechnął się uprzejmie, niemal nieśmiało, i życzliwie wyjaśnił:

– Zgodnie z prawem nie wolno przeprowadzać przesłuchań przed wszczęciem postępowania w sprawie karnej.

Wyjąłem z biurka teczkę, otworzyłem i spytałem:

– Podyktować? Zapiszecie czy zapamiętacie?

– Zapamiętam. Mam bardzo dobrą pamięć.

Wymieniłem numer i dodałem:

– Oskarżenie obywatela Dieduszki o dokonanie przestępstw, przewidzianych artykułami 93, 144 i 218 Kodeksu karnego.

– No, teraz wszystko w porządku – powiedział Okoń. – A w jakim charakterze zamierzacie mnie przesłuchiwać?

– W charakterze świadka.

Śmiał się długo i piskliwie.

– Nie zrozumieliście mnie, obywatelu Tichonow. Nie mam wątpliwości, że moja rola jest proceduralnie jasna. Interesuje mnie wasza rola: zgodnie z prawem inspektor

urzędu śledczego nie może prowadzić przesłuchania. –
Pocierał swoje pulchne dłonie, szczerze ubawiony.

– Może – powiedziałem spokojnie. – Jako były adwokat
powinniście wiedzieć, że pracownicy służby operacyjnej
mają prawo prowadzić przesłuchanie z upoważnienia pro-
kuratora lub sędziego śledczego.

– No i jak?

– Nie denerwujcie się – wszystko w porządku, mam
takie upoważnienie. Czy wasze wątpliwości zostały wyjaś-
nione? Można zaczynać?

– Do usług.

– A teraz, nim przystąpimy do personaliów protokołu,
proszę odpowiedzieć: do czego był wam potrzebny ten tani
atak psychologiczny?

– Odrzucam wasze pytanie jako nie mające związku
z rozpatrywaną sprawą. Możecie zapisać, że odmówiłem
odpowiedzi. W oddzielnym oświadczeniu – proszę je włą-
czyć do protokołu przesłuchania – mam zamiar stwierdzić,
że wyjaśnienie przez świadka jego statusu prawnego uwa-
żacie za atak psychologiczny.

– Aha, zaczynacie mnie już leciutko straszyć?

– Dlaczego? Po prostu ustalam nasze pozycje.

– Nie warto było, obywatelu Okoń, tracić w tym celu
tyle amunicji: życie nas już dawno ustawiło na właściwych
pozycjach.

– W życiu, niestety, dość dużą rolę odgrywa ślepy przy-
padek i społeczna niesprawiedliwość.

– Jeśli macie na myśli odsunięcie was od działalności
adwokackiej, to chyba nie można uznać tego za ślepy
przypadek?

– Natomiast jest to piękny przykład niesprawiedli-
wości!

– No, no... to raczej piękny przykład naszej nieporad-
ności – w tej historii zabrakło logicznego zakończenia.

Okoń poczerwieniał.

– Może dysponujecie niezbitymi dowodami dla wnie-
sienia oskarżenia?

– Nie. Niestety, nie dysponuję.

– Wobec tego bardzo proszę zachowajcie swoje domysły
dla siebie. – Jego twarz pokryła się wielkimi kroplami
potu.

– A niby dlaczego? Porozmawiałem sobie z wami
i upewniłem się, że jeśli Baton chce pożalić się na niegodzi-
wego, natrętnego milicjanta, to ma się kogo poradzić –
nagle, absolutnie nieoczekiwanie dla siebie, zrobiłem
„podpuchę”, chociaż bardzo tego nie lubię i zwykle staran-
nie unikam. – Jeśli Baton tak mówi, to znaczy, że was
szkaluje, prawda?

Okoń zdjął okulary, wydobył chustkę do nosa i zaczął
powoli przecierać szkła. Jego twarz znowu stała się naga
i bezbronna. Nie mogłem nadziwić się znakomitej precyzji
tego zagrania, bo niemożliwe jest chwytanie, obezwład-
nianie i demaskowanie człowieka, który w tym czasie nic
nie widzi. A Okoń myślał szybko. Nie spiesząc się włożył
okulary i poprawił je na nosie.

– Uściślijcie, co macie na myśli – powiedział.

– Wyłącznie wasze serdeczne rozmowy z Dieduszkinem
– strzeliłem na oślep.

– Pomóc człowiekowi, przy tym zgodnie z prawem – to
mój moralny obowiązek uczciwego obywatela i przedsta-
wiciela prawa. – Mówił powoli, jakby dobierał słowa.
Zrozumiałem, że zgadłem, i żeby nie stracić niespodziewa-
nej szansy, natychmiast odpowiedziałem:

– I nie przejęliście się tym, że Dieduszkin szukał wyjścia
z trudnej sytuacji oskarżając mnie? Cóż, prawdę mówiąc,
granice waszego moralnego obowiązku są bardzo elasty-
czne.

– Nie wiem, co wam powiedział Dieduszkin, ale moim
obowiązkiem jako adwokata było znalezienie uczciwej
i prostej drogi prawnej. Poradziłem mu, żeby zwrócił się

z wyznaniem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Posłuchajcie, Okoń. Przestańcie żonglować słowami. Nie jesteście już żadnym przedstawicielem prawa, nikt wam od dawna nie daje takich pełnomocnictw. Wasza działalność adwokacka jest nielegalna.

– Możecie uważać, co chcecie. Wasze zdanie jest mi obojętne.

– Niepotrzebnie się tak gorączkujecie. Patrzę tak na was i myślę ze smutkiem, że tu, na tym samym krześle, co wy, siedział przez wiele godzin zatwardziały przestępca, uznany za szczególnie niebezpiecznego recydywistę, złodziej o nazwisku Aleksiej Dieduszkin. I on wypowiadał te same słowa co wy, z tą samą intonacją, z taką samą manierą, co naprowadza mnie na myśl, że jego poza była naśladownictwem. Chyba nie będziecie udowadniać, że to wy przejęliście sposób bycia od niewykształconego, chociaż oblatanego złodzieja.

– Nic nie zamierzam udowadniać...

– No właśnie. Będę z wami równie szczery. Jako prawnik zdajecie sobie sprawę nie gorzej niż ja, że nie mam podstaw do wszczęcia przeciwko wam dochodzenia. Stąd wasza pewność siebie. Ale muszę was rozczarować.

– Ta-ak? – przeciągnął Okoń.

– Tak. Z początku byliście zdziwieni, kiedy doszliście do wniczku, że Baton już siedzi, potem nawet was to trochę ucieszyło, bo co może na was nagadać ten pospolity złodziej? Z waszego punktu widzenia to nawet lepiej, żeby on pożył spokojnie na naszym wikcie. Ale rzecz w tym, że Dieduszkin jest na wolności...

– Ta-ak? – znowu ostrożnie przeciągnął Okoń.

– Na wolności. I dokonał kilku wyjątkowo zuchwałych przestępstw. Z ostatniego miejsca włamania ukradł pistolet i teraz może pokazać, co potrafi...

– Ale co ja mogę zrobić? – krzyknął nagle Okoń.

– Pomożecie mi szukać Batona. Jeśli się na to nie

zgodzicie, ja nie pozwolę wam siedzieć tak spokojniutko w fotelu i korzystać z moralnych przywilejów uczciwego obywatela tylko dlatego, że wasza wina nie została prawnie dowiedziona.

– Co? Co chcecie przez to powiedzieć?

Szyja Okonia poczerwieniała ze złości.

– Chcę powiedzieć, że waszą sprawę prowadził leniwy lub niedoświadczony wywiadowca. A ja będę ziemię rył nosem w poszukiwaniu starych śladów. Kiedy weźmiemy Batona i on nam o was opowie, a najprawdopodobniej opowie, pojedę do wszystkich przedsiębiorstw, gdzie jesteście zatrudnieni jako radca prawny, i zwrócę na was uwagę organizacji partyjnej i załogi. Oni na pewno zainteresują się, że ich radca prawny w wolnych chwilach udziela konsultacji kryminalistom. A w ogóle to dołożę wszelkich starań, aby udowodnić, że nie można żyć tak beztrudnie tylko dlatego, że nie pozostawiło się wyraźnych śladów...

Musiałem wygłosić to z wściekłością, bo Okoń zaśmiał się i powiedział:

– Posłuchajcie, inspektorze, czemu właściwie tak się zaperzyliście. Przecież Baton to ani mój brat, ani swat. A wy macie dosyć zdrowego rozsądku, aby nie podejrzewać, że ja razem z nim buszuję po wagonach. Znamy się rzeczywiście od dawna, ale jeśli mógłbym wam pomóc w jego schwytaniu, zrobiłbym to z dużą przyjemnością.

– Właśnie od tego trzeba było zacząć – powiedziałem ostro. – Co wam wiadomo na temat miejsca pobytu Dieduszkina?

– Nic. Naprawdę nie wiem, gdzie on teraz jest. Ale doświadczenie podpowiada mi słowa Alberta Camusa.

– Jakie?

– „Kobieta była zawsze ostatnią pociechą przestępcy, a nie wojownika. To jego ostatnia przystań, ostatnie schronienie i nie przypadkiem przestępców tak często chwytają

w łóżku kobiety.” Niech to diabli wezmą! Jak słusznie i trafnie powiedziane!

Sawieliew, wysłuchawszy mojego opowiadania, natychmiast powiedział:

– To nie jest zwykła rada. On robił do kogoś aluzję, tylko na wszelki wypadek powstrzymał się od dokładnych informacji.

– Nieźła aluzja. Przeszukaj w Moskwie wszystkie łóżka, w których może się wylegiwać Baton.

– Jest jedna możliwość – powiedział Saszka. – Tylko niezbyt pewna...

– Jaka?

– Poślijmy telegram do obozu, gdzie ostatni raz odsiadywał Baton. Tam mogą mieć informacje o jego korespondencji, przesyłkach i odwiedzinach...

– Można spróbować. Napiszesz telegram?

– Dobrze. Słuchaj, a tego żuka gnojownika, Okonia, trzeba by starannie rozpracować – powiedział Saszka ze złym uśmiechem.

– Najpierw skończmy z Batonem.

Zadzwoił telefon.

– Stasiu, to ty? – rozległ się głos Szarapowa. Jest taka sprawa: z Tbilisi przyszła wiadomość. Chłopcy z urzędu śledczego miesiąc temu aresztowali Zuraba Managadze. Jego życiorys to cały wachlarz artykułów Kodeksu karnego. Przyznał się do wszystkiego. Wczoraj na jego adres przyszły z Moskwy dwie przesyłki. Walizki z wyrobami przemysłowymi. Kiedy mu je pokazali, powiedział, że w Moskwie ma tylko jednego przyjaciela, Alochę Batona, nikt inny nic by do niego nie przysłał. Takie buty. Zrozumiałeś?

– Pewnie będę musiał pojechać do Tbilisi.

Kiedy już wychodziłem do „Metropolu” po bilety, po-

nownie zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głuchy głos Szarapowa:

– Dobrze, że cię jeszcze zastałem. Zabierz akta sprawy i przyjedź do ministerstwa, do Borysowa. Wysłali po ciebie samochód – numer zero zero pięćdziesiąt dwa. Pilna sprawa, czekają na ciebie.

No, no. Coś się tam musiało wydarzyć poważnego, jeśli oczekuje mnie wiceminister spraw wewnętrznych...

Rozdział trzydziesty czwarty

Sny złodzieja Dieduszkina

To nie było przepicie ani majaczenie. Sen był przejrzysty, jasny, zapamiętałem go we wszystkich najdrobniejszych szczegółach...

Wszedłem do mieszkania Zosi i usłyszałem czyjś cichy głos w pokoju. Odsunąłem zasłonę w drzwiach i zobaczyłem, że Zosia klęczy przy tapczanie. A na tapczanie siedział dwu- albo trzyletni chłopiec. Chudziutki, w pocerowanym, szarym sweterku. Na przezroczystej twarzy ogromne czarne oczy, obramowane długimi, prawie granatowymi rzęsami. Gdzieś już widziałem tego chłopaczka, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. I Zosia przed nim – blada, zmęczona, z twarzą we łzach.

„Zosiu, kto to? Czyje to dziecko?”

„To twój syn.”

„Dlaczego go nigdy nie widziałem?”

„Bo się wtedy nie urodził...”

„A dlaczego jest tutaj?”

„Dlatego że on jest tobą!”

Wyraźne, bolesne wspomnienie ogarnęło mnie jak silny, lepki dreszcz. Wyrywało się na zewnątrz, próbowało

utrzymać się na powierzchni pamięci i byłoby dla mnie ratunkiem, gdyby zetknęło się z jawą przed moim przebudzeniem. Podbiegłem do chłopca, chciałem wziąć go na ręce, a on zwrócił się do mnie i w jego mizernej twarzy zobaczyłem jak w lustrze swoje oczy. Poczułem taki strach, że aż krzyknąłem.

I obudziłem się.

Rozdział trzydziesty piąty

Przewartościowanie dowodów inspektora Tichonowa

Otworzyłem drzwi gabinetu, niezręcznie stanąłem na baczność i łamiącym się głosem zameldowałem:

– Towarzyszu generale, kapitan Tichonow zgłasza się na rozkaz...

– Dzień dobry, kapitanie. Siadajcie.

Przy stole konferencyjnym siedziało pięciu mężczyzn i idąc do swego krzesła przyjrzałem się im. Z brzegu – Szarapow, za nim, zwrócony do mnie profilem, barczysty młody brunet, następnie nasz komisarz – komendant MUS, naprzeciw niego Komendant Głównego Urzędu Śledczego, komisarz Krawczenko, i u szczytu stołu – Borysow. Jeszcze nigdy nie widziałem z tak bliska Borysowa i bardzo się zdziwiłem – gdyby nie okulary w złotej oprawie, dodające mu powagi, można by pomyśleć, że to całkiem młody człowiek, że niedawno stuknęła mu czterdziestka. W ogóle podczas dziewięcioletniej pracy w milicji wiceministrów widywałem głównie w filmach i z niejakim rozczarowaniem stwierdziłem, że ten gabinet niczym nie przypomina gabinetu filmowego generała. Wcale nie był duży,

może odrobinę większy niż pokój Szarapowa, nie było boazerii na ścianach, ciężkich zasłon, żadnych ogromnych foteli, pufów i nie wiadomo czemu zawsze pustych biurek na wysoki połysk. Na biurku Borysowa leżały dwie sterty papierów. W jednej pewnie były sprawy już załatwione, a w drugiej – jeszcze nie rozpatrzone. Obok na stoliku stały telefony. Było ich bez liku: ministerialny wewnętrzny, miejski i jeszcze mnóstwo różnych aparatów, których przeznaczenia nawet się nie domyślałem. Zaciekawilo mnie, jak on się orientuje, który kiedy dzwoni. Niezgrabny zegar, stojący w kącie gabinetu, zachrypiał i rozległy się dziwne, kaszłące uderzenia: bam-kche-kche, bam-kche-kche...

Borysow wskazał zegar głową.

– Profesor Łuria utrzymuje, że mój zegar idealnie odzwierciedla kaszel przy skurczu oskrzeli...

Wszyscy się zaśmieli. Usiadłem naprzeciw barczystego bruneta, popatrzyłem mu w twarz i zamarłem. Z bardzo surowym, oficjalnym wyrazem twarzy, uśmiechając się tylko samymi oczami, patrzył na mnie Aniel Weselinow. Musiałem wyglądać bardzo głupio, bo Aniel nie wytrzymał i, zaśmiaawszy się, powiedział do Borysowa:

– Towarzyszu generale, moja Nastia rozkazała mi już w pierwszym dniu pobytu w Moskwie spotkać się z Tichonowem, ale nie myślała nawet, że wy mi w tym pomożecie...

Wciąż jeszcze byłem osłupiały, co pewnie wszyscy zauważyli, bo odezwał się Borysow:

– No dobrze, ogłaszam dwuminutową przerwę na odpoczynek i powitanie przyjaciół...

Objęliśmy się i dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że to Aniel Stojanow Weselinow, mój wesoły, sprytny przyjaciel Aniel, którego nie widziałem od dziewięciu lat, jest właśnie oficerem łącznikowym i że najprawdopodobniej kończy w Sofii sprawę, zaczęłą tutaj przeze mnie.

Żartowniś, kpiarz i zawadiaka, chłopak, o którym niedawno myślałem i z którym poszukiwaliśmy i nie znaleźliśmy siódmego, nie kupionego biletu. Matka uważała go za mojego jedyne go przyzwoitego kolegę, nazywała Aniołeczkiem, a my z tym przyzwoitym kolegą nocami kradliśmy w Ogrodzie Botanicznym jakieś niezwykle kwiaty dla jego Nasti, podczas egzaminów wymienialiśmy ściagi, prowadziliśmy tę samą ciężarówkę przy zagospodarowywaniu ugorów, a Goga Iwanow, który wtedy jeszcze nie jeździł w becze śmierci w parku Gorkiego, uczył nas różnych motocyklowych sztuczek. Mój przyjaciel Angeł, zawsze rozśmieszający nas wyrażeniami w rodzaju „postaw palto” zamiast „połóż marynarkę” – właśnie on we własnej osobie ścisnął mnie w gabinecie Borysowa, do którego trafiłem po raz pierwszy w życiu. Rozmowa nasza składała się wyłącznie z wykrzykników i z pewnością ciągnęłaby się długo, gdyby Borysow nie powiedział:

– Koniec przerwy. Słuchamy was, towarzyszu Wesełinow.

Angeł mrugnął do mnie i szepnął: „Zdążymy pogadać”. Powrócił do stołu i wyjął z teczki schemat operacyjny.

– ...Szajka dysponowała szybkimi samochodami, w ciągu kilku godzin mogli przenieść się z jednego krańca kraju na drugi – powiedział. – To właśnie początkowo utrudniało śledztwo. Przecież, mówiąc szczerze, nikomu wtedy nie przyszło do głowy, że zuchwałe kradzieże i oszustwa, popełniane prawie jednocześnie w różnych miastach, to robota jednej grupy... – Pokazał nam schemat, na którym różnokolorowymi, umownymi znaczkami były zaznaczone przestępstwa w Sofii, Płowdiwie, Ruse, Warnie, Plewenie i wielu innych miastach.

– To zrozumiałe – odezwał się Krawczenko, oglądając schemat. – O ile dobrze pamiętam, dotychczas takich szajek u was nie było.

Angeł przytaknął, a komendant MUS zauważył zawistnie:

– Tam u was sytuacja operacyjna przez cały rok jak w kurorcie. Raj!

– No, to towarzystwo pokazało nam „kurort” – zwrócił się ku niemu Angeł. – Rozmach i zuchwałość przestępstw spowodowały interwencję ministerstwa. Dopiero wtedy zwróciliśmy uwagę na ich podobieństwa, jednakowy „charakter”, jeśli tak można powiedzieć...

– Na czym polegało podobieństwo? – zainteresował się Szarapow.

– Zuchwałość. Zręczność... – oczy Angeła błysnęły. – Metody. Proszę zwrócić uwagę... – rozłożył schemat. – W większości przypadków drzwi otwierali tym samym narzędziem. Zamki sejfów przewiercali wiertarką elektryczną, a potem do akcji wchodził... – Angeł zamyślił się, przypominając sobie nazwę rosyjską. – U nas to się nazywa gyszczy krak...

– „Gęsia łapka” – odgadłem.

– Tak, tak – przytaknął Angeł. – Dalej. Kradzieży dokonywano tylko na parterze albo na pierwszym piętrze, żeby w razie czego można było wyskoczyć. I tylko w mieszkaniach z dwoma wyjściami. Jasne? Ciekawe, że zwykłych przedmiotów – nawet cennych – złodzieje nie brali. Tylko pieniądze, biżuterię – złoto, kamienie szlachetne i temu podobne. Za to przywiązanie do złota ludność szybko przezwala ich „złotnikami”.

– A pozostały gdzieś „palce”? – zapytał Krawczenko.

– Tak, w kilku miejscach, zawsze te same... – Angeł wziął ze stołu kartę daktyloskopijną. – To było interesujące: pracowała bez wątpienia grupa, ale odciski zostawiał tylko jeden. Założyliśmy, że reszta była już sądzona, i daktyloskopia ich zarejestrowała. Z pewnością nawet śpią w rękawiczkach, nie mówiąc już o robocie. Krótko mówiąc, pozostało niewiele – zidentyfikować i schwytać

przestępców. Ale oni pewnie mieli... pogląd diametralnie odmienny na tę sprawę.

– Circulus vitiosus – uśmiechnął się Borysow.

– Tak jest, towarzyszu generale, błędne koło – poważnie potwierdził Angeł. – Był najwyższy czas rozerwać to koło, a oni, jak na złość, przygotowywali się po mistrzowsku, ubezpieczali na wszelkie sposoby, mieli własny „wywiad”. Na miejscu kradzieży byli ostrożni do tego stopnia, że mokrą ścierką ścierali swoje ślady z podłogi, a niedopałki wyносили w kieszeniach!

– Ale przecież pozbycie się skradzionych rzeczy... – wtrąciłem.

– Słusznie! – z zapałem podchwycił Angeł. – We wszystkich miejscach skupu, komisach, bazarach były opisy, a nawet rysunki skradzionych przedmiotów. Ale oni, niech ich diabli, przysięgli się nie sprzedawać niczego! Nawet swoim dziewczynom nie dawali!

– To z czego żyli? – zainteresował się Szarapow.

– Ho, ho! W samym tylko towarzystwie lotniczym TABSO ukradli pięć tysięcy lewów, a u ginekologa Krystiu Nenowa, na przykład, siedem tysięcy. A ile było takich skoków... – Angeł wyjął z kieszeni plakat z treścią listu gończego, ostrzegającego przed niebezpieczeństwem brutalnych napaści na mienie. – Czasami złodziei ktoś widział. Na podstawie zeznań świadków zrobiliśmy ich portrety pamięciowe.

Angeł, dając nam do obejrzenia zdjęcia portretów pamięciowych, dodał:

– Mieliśmy szczęście: jeden ze świadków, z zawodu artysta malarz, nie tylko opisał złodziei, ale także namalował ich portrety. Bardzo podobne, jak się później okazało... Krótko mówiąc, mogliśmy przystąpić do działania. Powiązaliśmy wszystkie przestępstwa w jedną sprawę: kradzież w TABSO, napasć na kasjera na stadionie, kradzieże

w sklepach jubilerskich, w mieszkaniach naukowców, artystów czy po prostu bogatszych ludzi...

– Według jakich kryteriów powiązaliście przestępstwa? – zapytał Borysow.

– Na podstawie metody i obiektu ataku – odpowiedział Angeł.

– I ani razu nie udało się wam odnaleźć skradzionego przedmiotu? – zdziwił się Borysow.

– Ani razu... Co więcej, zbadano odciski palców wszystkich aresztowanych za różne przestępstwa. Starannie śledzono ludzi, którzy choćby w niewielkim stopniu byli podobni do portretów pamięciowych. Sprawdzaliśmy sądzonych wcześniej. Tak. Potem stworzyliśmy schemat chronodynamiki przestępstw – ich przebieg, jeśli tak można powiedzieć, w czasie i przestrzeni. Analiza tego schematu pozwoliła na założenie, że bazą przestępców jest najprawdopodobniej Sofia, ewentualnie Pernik albo Kius-tendił, a więc miasta-satelity Sofii.

– Tak, tak, rozumiem. – Borysow zakreślił coś ołówkiem w swoich notatkach.

– Krąg poszukiwań stopniowo się zawężał. I nagle dwie nowe zuchwałę kradzieże: nocą z biura hotelu „Gloria” w Złotych Piaskach skradziono kasetę z paszportami zagranicznymi. A na drugi dzień w porze obiadowej z magazynu strzelnicy w Starej Zagorze po wyłamaniu zamka zabrano dwa pistolety! Do przemyśleń skłaniało samo to zestawienie. No i rozumiecie... sytuacja nabrzmiała do granic ostatecznych. I wtedy właśnie inspektor milicji Cwetko Janczew trafia na ślad pewnego osobnika. Niejaki Christo Dudew, nigdzie nie pracuje, prowadzi bardzo podejrzany tryb życia, portret pamięciowy pasuje jak ulał. Tu mała dygresja. Mówiłem już, że zwykłych przedmiotów przestępcy nie brali. Z wyjątkiem jednego przypadku: była kradzież w Sliwenie i okradziony zgłosił, że oprócz zegar-

ków, pierścionków i pendary – to starożytna złota moneta, którą kobiety noszą w charakterze ozdoby – złodzieje wynieśli przeguby drążków kierowniczych od wartburga, które znajdowały się w komórce. Te przeguby nie przedstawiają żadnej wartości dla nikogo oprócz posiadaczy samochodów tej marki!

– I co, Dudew miał wartburga?! – nie wytrzymałem.

– W kolorze niebieskim i do tego nienowego. A w tych wozach przeguby drążków kierowniczych to słabe miejsce.

– I co zeznał Dudew? – niecierpliwie zapytał Krawczenko.

– Najpierw trzeba było go wziąć. Sąsiedzi powiedzieli, że wyjechał nad morze – opowiadał Anżeł. – Rozpoczęliśmy poszukiwania Dudewa i jego wartburga, a w tym czasie przyszły materiały od was – raport o Fauście Castellim, papierośnica kompozytora Panczo Wełkowa i fotografie. Już sama papierośnica stanowiła sensację – przecież to była pierwsza ze skradzionych przez „złotników” rzeczy, która znalazła się w naszych rękach w ciągu trzech lat działalności szajki...

– Co wam dały przesłane przez nas odciski palców Castelliego? – zapytał Borysow.

– To bardzo ciekawa historia. W ambasadzie włoskiej zakomunikowano, że nikt o tym nazwisku nie otrzymał od nich wizy ani nie był rejestrowany. To nas zaniepokoiło: przecież przez Bułgarię biegnie największa magistrala drogową Europa-Wschód i nie można dopuścić, żeby po niej bez przeszkód pętał się poszukiwacz przygód takiego kalibru... Krótko mówiąc, zwróciliśmy się do europejskiego biura Interpolu, dlatego że jeśli nasze podejrzenia byłyby słuszne, działalność Castelliego mogła ich bezpośrednio zainteresować. Wkrótce otrzymaliśmy odpowiedź: odciski należą do Adolfa Maria Belliniego, posiadającego autentyczny paszport na nazwisko Fausto Castelli, prze-

stępcy osądzonego zaocznie przez sąd włoski i poszukiwanego przez Interpol od sześciu lat za dokonanie różnych przestępstw...

Anżeł ciągnął dalej:

– Zostawić takiego ptaszka bez opieki oczywiście nie mogliśmy. Zawiadomiliśmy kontrolne punkty graniczne Kołotin, Wrażdebno, Dragoman i Kułata. Potem zajęliśmy się jego zdjęciami. Jak pamiętacie, tam oprócz niego byli starszy mężczyzna i dziewczyna. Jedna z naszych wersji dopuszczała, że dziewczyna jest Bułgarką, no... z tych nielicznych, które robią z siebie atrakcję dla turystów zagranicznych. Nie będę się wdawał w szczegóły, powiem tylko, że inspektor Filipe Marinow, doświadczony pracownik służby śledczej, szybko ją odnalazł. Radkę Christewą można było spotkać w cukierni „Brazylia”. Na zdjęciach Radka bez wahania rozpoznała swoich przyjaciół „turystów”: Włocha Fausta Castelliego i Amerykanina Alversena Ghee. A potem dobrowolnie pokazała nam jeszcze dwa zdjęcia, na których oprócz Castelliego i Ghee, był uwieczniony ich, według słów Radki, „wspólny przyjaciel i kompan od butelki”, Włoch Angelo Macchetti...

Anżeł przerwał i odkaszlnął. Krawczenko przysunął do niego szklanekę i nalał wody. Anżeł przełknął kilka łyków.

– ...Sprawdzenie ich nie było trudne. Alversen Ghee, były amerykański lotnik, weteran wojny koreańskiej, to degenerat i morfinista, który został przestępcą. Angelo Macchetti – zawodowy aferzysta, organizator lipnych „loterii bez przegranych”. Po niezupełnie udanej operacji z fałszywą loterią we Włoszech zostali zaocznie skazani przez sąd włoski, a kilka afer w Austrii i RFN zapewniło im miejsca na listach ogłaszanych przez biuletyn Interpolu „Revue Internationale de Police Criminelle” ... Ocalił ich pomysł przedostania się do Bułgarii. Wykorzystując lewe paszporty z autentycznymi wizami i podając się za han-

dłowców na urlopie, aferzyści urządzili się na wybrzeżu, gdzie nieustannie przepływała ogromna rzeka turystów zagranicznych.

Po ustaleniu tych faktów Alversena Ghee i Angela Macchettiego aresztowano. Podczas rewizji znaleziono u nich paszporty skradzione w hotelu „Gloria” i masę materiałów służących do fałszowania dokumentów. Po kilku dniach na punkcie granicznym Dragoman zatrzymany został niczego nie podejrzewający Fausto Castelli. Nawiasem mówiąc, celnicy, zanim go nam przekazali, znaleźli w skrytce jego zielonego chevroleta sporą partię przemycanej galanterii...

Angel znowu napił się wody i przerzucił kartkę w swoim dossier.

– Jednocześnie poszukiwaliśmy Dudewa. I oto milicjant Petko Iwanow, zajrząwszy do restauracji „Kajłyka” w pobliżu Plewenu, znajduje człowieka bardzo podobnego do portretu pamięciowego. Iwanow pod niewinnym pretekstem bierze go na stronę, a ten okazuje dowód na nazwisko... Dudew! Kiedy dyżurny na posterunku pokazał mu portret pamięciowy współtowarzysza i zapytał: „A gdzie wasz kolega?” – Dudew myśląc, że milicja już wie wszystko, odpowiedział: „A gdzie ma być? W domu”. I wszystko się wyjaśniło, a „złotnicy” wpadli. Nie wdając się w szczegóły, powiem tylko, że właśnie do tego „kolegi” – nazwiskiem Trifon Cołow – należały wszystkie znalezione przez nas na miejscach przestępstw odciski palców...

Niezauważalnie zapadł zmierzch, w gabinecie zapalono światło, a sekretarka postawiła przed nami szklanki z herbatą. Angela słuchaliśmy z uwagą, w milczeniu i tylko z rzadka kaszel starego zegara odmierzał czas, a ja powtarzałem sobie fragment z podsumowania aktu oskarżenia, który nie wiadomo dlaczego utkwiał mi w pamięci: „Od

momentu kradzieży broni zagrożenie ze strony przestępców gwałtownie wzrosło, ponieważ byli gotowi stawiać opór organom ścigania w przypadku ewentualnego nieoczekiwanego wykrycia...” Tak, z pewnością tak. No, a Baton? Szarapow mówi, że on jest teraz zdecydowany na wszystko. „Stawić opór organom ścigania...” To chyba ja jestem „organem ścigania”? I to mnie właśnie gotów jest stawić opór? Teraz już nie z pomocą sprytu czy przezorności! Teraz nosi w kieszeni brauning i nim będzie walczyć. Jakoś to śmiesznie brzmiało, nie po naszymu: „w przypadku ewentualnego wykrycia”... Ciekawe, że szajka nie zorganizowała się od razu. Początkowo połączyli się Dudew i Cołow – to oni byli prawdziwymi „złotnikami”. A „handlowcy na urlopie”, po okresie „pracy” przemycniczej, szybko poczuli się na mieliźnie, w izolacji. Pierwsza próba Alversena Ghee sprzedania paczki papierosów z opium omal nie zakończyła się wpadką. Potrzebne były znajomości, kontakty z przestępcami. Wkrótce taka możliwość się nadarzyła: przy stoliku w „Słowiańskiej Biesiadzie” podchmielony Cołow ochoczo przystał na przyjacielskie propozycje Castellego. Przestępcy szybko się dogadali i korzystna dla obu stron współpraca została nawiązana: aferzyści mieli znajomości i kontakty, a „złotnicy” z ochotą wymieniali swoją zdobycz na interesujące ich przedmioty z przemytu – biżuterię, zegarki, radia tranzystorowe, które mogli łatwo sprzedać swoim licznym znajomym. Ale „złotników” interesowała przede wszystkim umiejętność pomyślnego przekraczania granicy przez aferzystów – w dalekiej perspektywie mającyla nadzieja, że po zgromadzeniu skradzionych przedmiotów wartościowych, dysponując dobrze podrobionymi paszportami, będą mogli osiąść gdzieś w Turcji albo RFN i założyć jakiś interes. Jaki – mieli ustalić później...

– ...Na tym etapie śledztwa znowu musieliśmy skorzystać z informacji zebranych przez towarzysza Tichonowa...

– głośno powiedział Anieł i jego głos wyrwał mnie z zamyślenia. Anieł przeszedł do streszczenia epizodu z Sytnikowem.

– Początkowo Castelli nie chciał mówić o celu swojej podróży do Moskwy – mówił Anieł. – Turystyka i to wszystko. Odczytaliśmy mu zeznania pokojowej z „Ukrainy”, przypomnieliśmy o wycieczce do Zarieczeńska, do Sytnikowa. Gdy przekonał się, że wiele wiemy, opowiedział zabawną historię. Okazało się, że Alversen Ghee był siostrzeńcem baronowej von Dietz. Kiedy baronowa uznała za stosowne ogłoszenie swojej woli, Alversen ze zdziwieniem stwierdził, że na liście spadkobierców znajduje się Arystarch Sytnikow. Baronowa wyjaśniła, że Sytnikow był oddanym przyjacielem nieboszczyka małżonka, że dzielił z nim goręcy klęski w 1945 roku i losy współoskarżonego podczas procesu w 1946 r. Ale przedtem, w Charbinie, wojenne losy na krótko rozdzieliły przyjaciół. Sytnikow z grupą białogwardzistów skierował się w głąb Mandżurii, a von Dietz, chory na zapalenie płuc, pozostał. W tym krytycznym momencie, obawiając się aresztowania, von Dietz przekazał na przechowanie Sytnikowowi szkatułkę ze swoimi papierami wartościowymi – akcjami kilku europejskich spółek handlowych i nadaniami ziem w guberniach tulskiej i smoleńskiej. W szkatułce była też gwiazda Orderu Aleksandra Newskiego. Krzyż – drugi atrybut orderu – z kaprysu losu znalazł się u baronowej, w Ameryce... Reszta jest znana: Sytnikow został aresztowany i postawiony przed sądem razem z von Dietzem.

Dowiedziawszy się o tym wszystkim, Alversen Ghee wyblagał od cioci krzyż generała. Ot tak, na wszelki wypadek. Później, znajdując się w Bułgarii i odczuwając stałe kłopoty finansowe, Alversen zdecydował się poszukać szczęścia w szkatułce von Dietza. Może pozostały akcje jakichś działających przedsiębiorstw – wszystko jest możliwe! Alversen znał adres Sytnikowa, który do tego

czasu przyjął spadek po baronowej, i pomyślał, że w rozmowie z nim można by użyć krzyża jako swego rodzaju hasła. Jednocześnie należałoby ustalić, czy nie da się wejść w jakiś dogodny układ z Sytnikowem – na przykład wymianę „towaru” od „złotników” na futra czy coś w tym rodzaju. Wyjazd zlecono Castellemu – miał najlepsze dokumenty, a oprócz tego, jako jedyny z całego towarzystwa, był w stanie – choć słabo – porozumieć się w języku rosyjskim... Czym zakończyła się ta cała impreza, wy, towarzysze, nie bez udziału Batona, dowiedzieliście się wcześniej niż my...

Anieł zatrzymał się w hotelu „Leningradzkim”. Obaj porządnie się tego dnia zmęczyliśmy i postanowiliśmy zjeść kolację w tutejszej restauracji. Weszliśmy na salę, a ja mimo woli spojrzałem tam, gdzie pod ogromnym wazonem stał stolik, przy którym bardzo, bardzo dawno, prawie miesiąc temu, jadłem swój barszcz i rozmawiałem z Leną. Stolik teraz też był wolny.

– Chodź, usiądziemy tam – zwróciłem się do Anieła.

Zaśmiał się.

– Nie boisz się, że wazon może spaść na nas?

– Sprawdzony – odburknąłem. – Zdarzało mi się tu siedzieć.

Tak, zdarzało, i chociaż nie siedziałem wtedy ze starym oficerem służby kryminalnej Aniełem, z którym łączyła mnie wspólna sprawa, ale z kobietą, najbardziej pożądaną i najbardziej niedostępną dla mnie na całym świecie, to i wtedy rozmawialiśmy o pracy. Teraz przez cały wieczór nie mogłem zrozumieć, czy to błogosławieństwo, czy też jakiś diabelski figiel, bo przecież było o czym rozmawiać, było co wspominać z Aniełem po tych dziewięciu latach, a rozmowa, jakby kręcąc się wokół osi robiła niewielki obrót i wciąż powracała do „złotników”, Batona, Włocha

i nic chyba nie można było na to poradzić. Życie nasze mimo woli stało się częścią czy też formą naszej pracy i nie mogliśmy nakazać sobie nie myśleć o Batonie czy o Castellim, gdyż gra, którą z nimi prowadzimy, to nie preferans, w którym wszystko jedno, czy się przegra, czy wygra, czy zostanie przy swoim, bo nie jest ważna istota, a tylko możliwość spędzenia czasu z miłymi ludźmi. Od tego, jak przebiegają, czym kończą się nasze partie, zależy czasem całe życie, i to nie tylko partnera, ale i licznych związanych z nim ludzi, a często i własne życie. Człowiek myśli o nich, spiera się z nimi, nienawidzi albo żałuje, przymierza ich do siebie, zapominając, że ich sprawy, myśli, poczynania, wreszcie oni sami – to praca, a dzień pracy dawno już się skończył. I trwa to dość długo, dopóki nie przywyknie się do myśli, że dzień roboczy to dwadzieścia pięć lat służby – od pierwszego dnia do odejścia na emeryturę.

Rozdział trzydziesty szósty

Poszukiwany Złodziej Dieduszkina

Na stole leżały resztki jedzenia, stały puste butelki. Coś lepkiego rozlało się na ceracie. Klozet cały zarzygany. Obrzydliwy smród niedopałków i zastarzałego dymu tytoniowego.

Zegarek też stoi. Czas nie istnieje. Niebo jak całun. Przechodniów mało – jest wczesny ranek. Ciężko tutaj oddychać, wszystko zamknięte, ciasno jak w trumnie. Wkrótce będzie dzień, otworzą sklepy i kawiarnie, można będzie popić, trochę przejdzie kac, uspokoję się. Pieniądze trzeba będzie zabrać, bo nie wiadomo, czy zdarzy mi się jeszcze wrócić tutaj. Mamusia Zosi może stąd przekazać

mnie milicji z rąk do rąk. Pistolet – oto moja ostatnia nadzieja.

Wyszedłem na ulicę. Padał drobny deszczyk. Niedaleko od stacji metra zobaczyłem na słupie zegar. Piętnaście po piątej. Wkrótce ruszą tramwaje. Pojadę do centrum. Tylko po co? I w ogóle po co wyszedłem z domu? Zacząłem o czymś myśleć, a teraz zapomniałem...

Na przystanku tramwajowym stało parę osób. Poprosiłem jakiegoś robociarza o papierosa. Wyjął z kieszeni paczkę „Pamirów”.

– Często się, zagraniczną papierosy – „Górskie powietrze”.

– Dziękuję...

Gorący, gorzki dym wypełnił płuca, w ustach wezbrała ślina. Odrobinę łatwiej było oddychać. Robotnik popatrzył na mnie i powiedział ze współczuciem:

– Tak, widać, że wczoraj zdrowo tankowałeś...

Otwarcie ust sprawiało mi ból, nic nie odpowiedziałem i odszedłem. Na murze wisiało jakieś duże, widoczne z daleka ogłoszenie. Format połowy arkusza gazetowego, ze zdjęciem. Czerwone litery.

O Boże! Obudzić się jak najszybciej, przecież to wciąż ciągnie się ten koszmarny sen o nie urodzonym synu, którym byłem ja – umarły. Przecież na tym zdjęciu jest moja twarz, tylko trochę młodsza i lekko uśmiechnięta. Obudzić się! Nie mogę!

UNIESZKODLIWIĆ PRZESTĘPCĘ

Wielkie czerwone litery krzyczały ze ściany, szalały, podskakiwały, wrzeszczały, przenikliwie zawodziły, zwoływały wszystkich ludzi z ulicy, wskazywały na mnie swoimi laseczkami i łukami.

UNIESZKODLIWIĆ PRZESTĘPCĘ

Z boku szara fotografia, a na niej ja w białym garniturze i ładnym krawacie, uśmiecham się. Zdjęcie z Soczi.

Czarne litery, mniejsze od czerwonych, ostre, jadowne, rzeczowe jak wyrok, wpijały się we mnie, przyciągały do muru z ogłoszenia, wołały do ludzi z przystanku tramwajowego – czytajcie, przecież to on, na co czekacie, łapcie go!

TOWARZYSZE!

Obejrzałem się. Stali spokojnie na przystanku, palili papierosy, czekając na tramwaj. Nie wiedzieli, jeszcze nie słyszeli, że ogłoszenie krzyczy do nich, że prosi, aby mnie schwytali.

TOWARZYSZE!

W związku z popełnieniem kradzieży poszukuje się wielokrotnie karanego złodzieja recydywisty Aleksieja Siemionowicza Dieduszkina.

Wygląd zewnętrzny: wzrost średni, budowa mocna, krępy, włosy ciemne, mocno szpakowate. Oczy duże, piwne. Znaki szczególne – tatuaż: na dłoni lewej ręki „ALOSZA”, na prawym przedramieniu wizerunek żmii oplecionej wokół noża i dwu gołębi na gałązce, na lewym ramieniu podobizna kobiety w kole, na klatce piersiowej wizerunek cerkwi i dwu aniołów.

Informacje o miejscu pobytu przestępcy prosimy kierować do milicji. Przestępca jest uzbrojony i zagraża bezpieczeństwu uczciwych obywateli.

Urząd Śledczy

Podjechał tramwaj. Ludzie wsiedli, wagon odjechał z brzękiem i łomotem.

Nie, to nie sen. To Tichonow udowadnia mi, że nie wolno kraść. Bądź przeklęty, nieszczęsny dzinnie z butelki!

Ogląda mnie przez lupę swojej idiotycznej, żebraczej uczciwości, przeklętej uczciwości nędzarzy, okradzionych przeze mnie głupców. Ale kiedy zogniskuje na mnie wszystkie promienie – spali mnie. Dobrze byłoby go zabić.

Zabić. Stłuc w drobny mak butelkę, z której go wypuściłem. Powiedziała mi przecież stara wiedźma, że człowiek ma siedem otworów w głowie – trzeba mu zrobić jeszcze jeden.

Teraz koniec ze mną. Nie dziś, to jutro rozpoznają mnie i wezmą. Ze wszystkich murów będą wrzeszczeć te ogłoszenia: oto on –

ZŁODZIEJ, ZŁODZIEJ, ZŁODZIEJ

łapcie go! I oni wszyscy – towarzysze poszkodowani – z radością pomogą w naprowadzaniu na mój trop milicji.

Co robić? Gdzie się podziać?

A może pójść na Pietrowkę i poddać się?

O nie! Tak łatwo Tichonow mnie nie pokona. Jeszcze powalczę. Przecież wciąż mam jeszcze spluwę. Leży w kieszeni i grzeje się.

Trzeba spróbować przebić się przez lotnisko i lecieć do Tbilisi. Walizki już tam doszły i z pomocą Zurika Managadze towar się opchnie. Mam jeszcze prawie wszystkie pieniądze z kasy oszczędności. Przecież te ogłoszenia nie mogą wiecznie wisieć – jeśli ukryję się gdzieś na uboczu, powieszają nowe i może jakoś o mnie zapomną...

Miotał się konwulsyjnie mój udręczony, przerażony mózg, wciąż jeszcze próbował wykombinować coś sprytnego – zawsze przecież dawał sobie radę, znajdował jakieś wyjście – ale teraz nie miałem już nadziei i wiedziałem, że nadchodzi koniec całej tej obrzydliwej historii...

Rozdział trzydziesty siódmy
Spirala czasu
inspektora Tichonowa

– Weź broń – powiedział Szarapow. – Na wszelki wypadek.

– Dobrze. Ale kaburę zostawię u ciebie. Pistolet wygodniej nosić w kieszeni.

Kiwnął głową. Wstałem, rozpiąłem pasek od spodni i zacząłem ściągać kaburę. Pasek zaklinował się w pętli kabury i nie dawał się wyciągnąć. Szarpałem go coraz silniej, niezręcznie, nerwowo. Czułem się, jakby mnie rozbrajano. Wreszcie kabura zeszła z paska, odpiąłem ją i wyjąłem pistolet, ciężki, ciepły, matowo połyskujący. Odciągnąłem zamek, wyjąłem magazynek, zajrzałem w lufę i włożyłem broń do kieszeni. Oddałem Szarapowowi kaburę i przypomniałem sobie, jak on wiele lat temu, w tym samym miejscu, wręczając mi broń powiedział: „Żeby zdobyć tę broń, bandyci zabili milicjanta Mochowa, ale – jak widzisz – odzyskaliśmy ją. Noś ją teraz ty i nie zapominaj, że w twojej kieszeni spoczywa ludzkie życie i śmierć. Jak długo będziesz go nosił, pamiętaj: nie wyciągaj bez potrzeby i nie strzelaj na darmo”...

Szarapow otworzył sejf, uchylił dolną przegrodę i położywszy kaburę, zwrócił się do mnie:

– Poleży tutaj do twego powrotu.

Szedłem nie kończącym się, szarym korytarzem z żółtymi, rozmazanymi plamami lamp, mijając szeregi identycznych drzwi oznaczonych różnymi numerami. Lekko skrzypiało pod nogami pachnący świeżą pastą parkiet i nie wiadomo dlaczego nie opuszczało mnie uczucie, że rozstaję się z tym wszystkim na długo.

Zbliżając się do domu matki pomyślałem z zadowoleniem, że dzisiaj ma wolny dzień i na pewno nie spotkam nikogo z jej przyjaciół ani uczniów. Nacisnąłem dzwonek i z wnętrza mieszkania usłyszałem głos matki: „Kostia, otwórz!” Rozległy się ciężkie kroki i drzwi otworzył jej mąż – Chrulew, łysy, wysoki, przystojny mężczyzna. W przeciwieństwie do matki to człowiek opanowany, akuratywny i oszczędny, i dlatego dotychczas donasza w domu wojskowy mundur. Jego zwykły domowy strój to ranne pantofle, wojskowe spodnie i kurtka od piżamy; kiedy myślę o nim, zawsze w mojej pamięci występuje w tym właśnie ubraniu. Z czasem zmieniają się spodnie, kurtka lub pantofle, ale zestaw jako całość nie ulega zmianie. Pamiętam, że początkowo matkę bardzo szokował ten rodzaj ubioru, szczególnie podczas wizyt jej przyjaciółek, ale Chrulew był tak przywiązany do swego domowego ubrania, w każdym razie była to jedyna rzecz, w której sprzeciwił się żądaniom i pretensjom matki, tak że musiała pogodzić się z tym dziwnym strojem swego małżonka. We wszystkich pozostałych sprawach ślepo i bez sprzeciwu spełniał jej życzenia, polecenia i rozkazy.

Z taką samą gotowością postanowił mnie polubić, ponieważ wiedział, że robi tym matce przyjemność. Ale wtedy wyprowadziłem się od nich, a on zapomniał o mnie, gdyż każdą jego chwilę pochłaniała matka. Kiedy ona zwracała się do niego, widziałem, że jego łysina aż różowiła z zadowolenia. Wystarczyło, żebym pojawił się w jego polu widzenia, aby zaczęło przepelniać go szczere, ciepłe uczucie – bądź co bądź stanowiłem przecież część matki, i to było dla niego dostatecznym powodem. Kiedyś, wkrótce po ich ślubie, usłyszałem z sąsiedniego pokoju rozmowę. Chrulew prosił matkę, żeby pozwoliła, abym nazywał go ojcem – przecież jestem jej synem. Wyobrażam sobie spojrzenie mojej matki, gdyż usłyszałem jej krótką i suchą odpowiedź: „Ty zupełnie zwariowałeś, Konstan-

ty?" Nasze stosunki towarzyskie nigdy się nie ułożyły, ponieważ on w żaden sposób nie mógł przewyciężyć swego wewnętrznego przekonania, że porucznik to człowiek co najmniej o pięć stopni niższy od pułkownika. Pod pozostałymi względami był to porządny chłop i żył z matką znakomicie...

Chrulew radośnie poklepał się po pasiasto-pizamowym brzuchu i wykrzyknął:

– Chodź, zobacz, Masienko, jakiego mamy gościa.

Z kuchni przybiegła matka – w fartuchu, z papilotami zawiązanymi chusteczką, w której wyglądała naprawdę zupełnie młodo. Jej oczy błyszczały radośnie i śmiała się bezdźwięcznie w sobie tylko właściwy sposób, obnażając dwa rzędy olśniewająco białych zębów, tak równych i pięknych, że wprost nie chciało się wierzyć, że są prawdziwe. Patrzyłem na nią ciesząc się, że jest taka młoda i rozumiałem, dlaczego tak bardzo kochał ją Chrulew. On przecież był już niemłody, może jeszcze nie stary, ale niemłody, w jego uczuciach było coś ojcowskiego i przy tej różnicy wieku jej wady wydawały mu się miłymi dziecięcymi fanaberiami...

Matka powiedziała:

– Zaraz cię wspaniale nakarmię. Kostia przyniósł dziś z supersamu indyczkę, piękną i białą jak Jane Mansfield.

Matka regularnie uczęszczała na wszystkie premiery w Domu Kina i stale operowała nazwiskami jakichś nie znanych mi aktorów i aktorek. Objąłem ją.

– Niestety nie będę mógł spróbować indyczki pięknej, jak ta Jane. Wpadłem, żeby się pożegnać i pożyczyć od ciebie walizkę.

– Wyjeżdżasz gdzieś? – jej oczy zalśniły jeszcze silniej. Strasznie lubiła wszelkie wyjazdy i podróże.

– Do Gruzji – powiedziałem takim tonem, jakbym wybierał się z wizytą do Sawieliewa.

– Do Gruzji! – zachwyciła się matka. – Do Cchałtubo? Na urlop?

– Nie, do Tbilisi. Służbowo.

Matka nie wiadomo dlaczego wpadła w nieopisany zachwyty.

– Słyszysz, Kostia, Stasia wysyłają służbowo do Gruzji.

– Przekazywała mu moje słowa, jakby nie było go przy rozmowie. Najwyraźniej bardzo zdziwił ją fakt, że do Gruzji można jechać także do pracy, a nie tylko na odpoczynek.

Chrulew spokojnie wzruszył ramionami.

– No i co? Zawsze mówiłem, że Staś to zdolny chłopak. I pracowity. Poczekaj jeszcze trochę, a będziesz miała synka pułkownika.

Matka biegała po całym mieszkaniu w poszukiwaniu walizki, spinek do mankietów, chusteczek do kieszonki marynarki i nesesera na przybory toaletowe. Nawet jej na myśl nie przyszło zapytać, po co jadę do Tbilisi.

Chrulew coś mi tam opowiadał o Kutaisi, gdzie podczas wojny leżał w szpitalu, a ja siedziałem na krześle i patrzyłem na popiersie Beethovena, zęby kaszalota, świece w nowoczesnych kandelabrach, malutki obrazek Roericha, stylizowane sztychy, nuty, porozrzucane na ciemnym, błyszczącym grzbiecie fortepianu, dymiące w popielniczce papierosy, które matka co chwila zapalała i zapominała o nich, aparat telefoniczny pod fortepianem, stare meble, które zupełnie nieoczekiwanie stały się znów bardzo modne, i zastanawiałem się, jak wyglądałby nasz dom, gdyby żył mój ojciec.

Matka odezwała się do Chrulewa:

– Kostia, idź przykręć płomień w piekarniku, bo indyczka się spali. Która teraz godzina, Stasiu?

Przygotowania do podróży pochłonęły ją bez reszty. Odsunąłem rękaw marynarki i zobaczyłem, że nie mam

zegarka. Jeszcze na Pietrowce zdjąłem go, włożyłem do szuflady biurka i zapomniałem. Niech to diabli! Nie wrócę po niego. Opuściłem rękaw i powiedziałem:

– Nie wiem. Nie mam zegarka.

Nie wiadomo dlaczego matkę to bardzo zdziwiło.

– Jak to nie masz zegarka? – spytała. – Nie jesteś przecież dzieckiem. Jak się obywatel bez zegarka?

– W ogóle to mam zegarek. Po prostu zostawiłem w pracy.

– Jak sobie dasz radę bez zegarka? – przejęła się matka.

– Jak określisz czas? Przecież nie można nie wiedzieć, która godzina!

– Mamo, będę wiedział, która godzina – powiedziałem powstrzymując rozdrażnienie. – Przecież nie będę na pustyni, zegarek to nie problem.

– Ale jak będziesz określał czas? – natarczywie dopytywała się matka.

Zacząłem żałować, że powiedziałem jej o zegarku.

– Nie wiem mamo, nie wiem, jak będę określał czas – powiedziałem zirytowany. – W dzień będę pytał przechodniów, a nocą według gwiazd.

– Ależ ty mi się udałeś! – wykrzyknęła matka z goryczą.

Wyszła z pokoju, a ja policzyłem dymiące w popielniczce papierosy – było ich ni mniej, ni więcej tylko pięć. Zgasilem je dokładnie. Powinienem już iść. Matka szukała czegoś w sypialni, Chrulew miotał się po kuchni, podśpiewując przyjemnym basem: „Tbiliso urzekło mnie urodą swą...” Kiedy matka wyszła z sypialni, zauważyłem, że płacze.

– Weź to – wyciągnęła do mnie zegarek.

Stary, z wytartym niklem i pociemniałym cyferblatem, na którym ledwie można było odczytać napis ZIF, wąski, podłużny zegarek, tak stary, jakiego już nikt nie nosi. Wziąłem go do ręki i nagle owładnęło mną wspomnienie, schwyciło za gardło, zakręciło w głowie – przypomniałem

sobie! Nawet czarny, porwany, zupełnie rozlatujący się pasek był ten sam! Ten zegarek był kiedyś na ręce człowieka, który nosił mnie w ramionach, podśpiewując: „Kto to śmiał przestraszyć Stasia?” Przypomniałem sobie, jak on przysuwał zegarek do mego ucha, żebym posłuchał tykania, i teraz wykonałem ten sam gest, ale zegarek milczał i przez to milczenie ożyła w pamięci pożółkła fotografia człowieka o poważnych oczach, który teraz mówił do mnie z uśmiechem: „Tik-tak, Stasiu, tik-tak”. Jego postać ożyła i odtąd na zawsze jego twarz, jego oczy i ręce będą żywe w mej pamięci, gdyż stojący zegarek połączył nas znowu. Spirala czasu wykonała pełny obrót i ojciec po trzydziestu latach przyszedł do mnie o drugiej szesnastce, w momencie w którym zegarek zatrzymał się, żeby wyznaczyć nam punkt spotkania...

Nie wiem, czy matka rozumiała, o czym rozmyślałem, ale z pewnością coś wyczuła, gdyż powiedziała:

– Ani razu go nie nakręcałam, wciąż czekałam, że on przyjdzie i sam nakręci... Nic więcej mi po nim nie zostało...

Wielkie, przezroczyste krople łez płynęły po jej policzkach i w tym momencie ogarnęła mnie fala miłości i współczucia.

– Dziękuję, mateczko, to najlepszy zegarek na świecie. Nie zrozumiała mnie i śpiesznie wyjaśniła:

– Chociaż to stary mechanizm, ale naprawdę chodził bardzo dokładnie. Nakręć, to sam zobaczysz...

Pokręciłem głową.

– Nie trzeba. On na pewno i teraz chodzi dokładnie.

Matka spojrzała na drzwi, skąd dobiegał donośny głos Chrulewa, i cicho powiedziała:

– Proszę cię, nic mu nie mów. To jest nasza sprawa. Jeśli możesz, nie sądź mnie surowo, zła ze mnie matka...

Wszedł Chrulew. Matka umilkła, a potem powiedziała:

– Może zapakować ci kawałek indyczki na drogę?

– Rzeczywiście – ożywił się Chrulew. – Bułeczkę i kawałek piersi.

– Nie trzeba. Samolot leci do Tbilisi dwie godziny. – Wziąłem lekką, prawie pustą walizkę, w której znajdował się nesoser wypchany spinkami i chusteczkami. W drugiej ręce ścisnąłem stary zegarek na wytartym zniszczonym pasku i nikt nie wiedział, że trzymam w dłoni maszynę czasu. Powiedziałem:

– No to co? Do zobaczenia...

W domu szybko spakowałem walizkę – nie miałem nic szczególnego do zabrania. Rozebrałem się, położyłem na tapczanie, a stojący ZIF położyłem na nocnej szafce obok niezmordowanego w ciągłym wysiłku budzika. Zegarek milczał, budzik tykał, w słabym świetle ulicznej latarni miękko świeciły na ścianie słoneczniki-palmy z obrazu Leny. Ogarnęło mnie takie uczucie, jakbym na długo rozstawał się ze wszystkimi. Stukają koła wagonu, w którym wraca z Leningradu Luda-Ludeczka-Miła. Biega po mieście z pilnymi wizytami Anieł Weselinow. Nie śpi, wsłuchując się w nierówne bicie swego serca, Szarapow. Gdzieś tam za Trzydziestą Piątą Parkową odprowadza swoją kolejną ukochaną Saszka Sawieliew. Przyczał się gdzieś rozwścieczony i gotowy na wszystko Baton. W obszernej celi aresztu w Pazardziku tęskni za ulubionym cinzano Fausto Castelli. Ogłuszająco grzmi na własnym weselu Kurejew. Matka cichutko gra „Passacaglię” ospałemu po zjedzeniu tłustej indyczki Chrulewowi. W milczeniu wraca taksówką z teatru ze znieawidzoną żoną Obnorški. Po raz ostatni przed wyjściem z pracy przegląda raporty naczelnik MUS. Lena teraz... Co teraz robi Lena? Co ty teraz robisz?

Zegarek milczał, budzik tykał i tykał. Piętnaście po dwunastej. Za dwie godziny czas budzika spotka się z cza-

sem zegarka, milczącego ZIF-a, maszyny czasu, która może ożywić wczoraj i umożliwić spojrzenie w jutro. Kiedy budzik wystuka godzinę drugą minut szesnaście, otworzę oczy i w nocnym mroku mojego zaniechanego pokoju, gdzie w niebieskawym elektrycznym świetle płoną słoneczniki-palmy, zobaczę siedzącą obok mnie Lenę, jak gdyby nic nie zdarzyło się osiem lat temu i wszystko było cudownie jak dawniej.

... W przeddzień wyjazdu do Leningradu całkiem przypadkowo na placu Puszkina spotkałem Marata Lwowa. Studiował na uniwersytecie w tym samym czasie co ja – skończył wydział dziennikarski. Wrócił właśnie z Londynu, gdzie jako wysłannik agencji „Nowosti” odbywał roczny staż. Trochę pogadaliśmy, a potem postanowiłem zabrać go do Leny. Lena bardzo mu się podobała, co sprawiło mi przyjemność. Wieczór upłynął wesoło – Marat był wspaniały. Przez wiele godzin opowiadał o Londynie, o Szkocji. Bryłował i błyszczał, wplatając bez przerwy w swoje opowiadanie martini, fordy-zephyry, Westminster, kominki, automatyczne liczniki opłat za ogrzewanie, Covent Garden, derby, autostrady („tylko trochę dodałem gazu, a na liczniku już sto sześćdziesiąt”), szaszłykarnie na podczerwień pod nazwą „Grill”, gin i indyjską wodę z chininą pod nazwą „Tonic”, bankrutującego magnata prasy, lorda Beaverbrooka i przyjęcie u królowej...

Potem Marat zaproponował Lenie, że odprowadzą mnie na dworzec, na co ona zgodziła się z ochotą. Machałem im ręką przez okno pociągu i kiedy już nie sposób było odróżnić ich twarzy, kiedy na dalekim opustoszałym peronie widniały tylko stojące obok siebie dwie postacie, moim sercem szarpnęło złe przeczucie. Z Leningradu musiałem jechać do Tbilisi, potem do Tallina, a stamtąd bezpośrednio do Rygi. Z każdego miejsca wysyłałem do Leny dwa listy dziennie i wszędzie dostawałem odpowiedzi. Jej listy były dobre, wesołe, jak zwykle pełne żartów i zabawnych

rozważań. Ale z Rygi pojechałem do Lwowa i tutaj jej listy przestały przychodzić. W żaden sposób nie mogłem urwać się nawet na jeden dzień, wysyłałem więc telegramy i dzwoniłem. Ale jej telefon nie odpowiadał ani w dzień, ani w nocy. Przyleciałem do Moskwy i prosto z lotniska pomknąłem do niej do domu. Długo dzwoniłem do drzwi, ale nikt nie otwierał. Zauważyłem coś w skrzynce pocztowej. Otworzyłem ją scyzorykiem i znalazłem cały plik zawiadomień z poczty: „Telegram ze Lwowa do odebrania..”

Pojechałem nie do swego domu, ale do matki. Pamiętam, że było jeszcze bardzo wcześnie i matka otworzyła mi drzwi zaspana, w szlafroku i w papilotach. I kiedy krzyknęła: „Ach, Stasiu kochany! Sto lat cię nie widziałam!” – zrozumiałem, że stało się nieszczęście. Ledwie wyszeptalem:

– Co z nią?

– Nic, Stasiu, nie denerwuj się, nic się nie stało – żałośnie mamrotała matka.

Zrozumiałem, że właśnie na odwrót – wszystko się stało.

– Mamo, co się z nią dzieje? – spytałem i wydawało mi się, że mówię spokojnie.

– Nie powiem, za nic nie powiem! – wykrzyknęła matka. – Pomyśl chociażby o mnie.

Z tyłu błyszczała rumiana łysina Chrulewa, był już w marynarce od pizamy, wojskowych spodniach i rannych pantoflach. Powiedział żałośnie:

– Tak, tak, Stasiu, pomyśl o matce. A w ogóle to ona nie była ciębie warta.

Dopiero wtedy wreszcie zrozumiałem, że nic się jej nie stało. I nawet nie poczułem bólu, tylko ogromne upokorzenie. Upokorzenie i wstyd – za siebie, za Lenę, za nich, za całe to przedstawienie. Powiedziałem zmęczonym głosem:

– Przestańcie, proszę, przecież to skandal. Chcę z nią porozmawiać...

Chrulew ucieszył się.

– Widzisz, Masieńko, zawsze ci mówiłem, że to prawdziwy mężczyzna. On po prostu musi postawić wszystkie kropki nad „i”.

Zbiegłem po schodach na dół. Ciągle jeszcze było rano, nie dalej niż siódma. Taksówkarz widocznie wyczuł mój nastrój, bo gnał, co sił, do Sokoła, jak gdybym chciał zdążyć na samolot w Szeremietiewie, który przywiózł mnie godzinę temu.

Wpadłem na klatkę schodową, nacisnąłem kilka razy przycisk windy. W otoczonej siatką studni powoli popłynęła w górę przeciwwaga. Zrozumiałem, że musiałbym długo czekać, więc pobiegłem po schodach. Kiedy biegłem, nie zastanawiałem się nad tym dokąd i po co biegnę. Najlepiej, żeby te schody szły aż do samego nieba. Ale na siódmym piętrze były drzwi, a na nich czarna błyszcząca tabliczka: „W.M.Lwow”. Dlaczego W.M.? Przecież nazywają go Marat? Potem pomyślałem, że tak jak wszyscy młodzi ludzie, dopiero rozpoczynający szczęśliwe życie, mieszka jeszcze z rodzicami.

„... Poznajcie się, papo, to moja żona, Lena.”

„... Dzień dobry, nazywam się W.M. Witam i życzę szczęścia...”

„... Dziękuję, na pewno będziemy szczęśliwi.”

„... Marik tak dobrze mówił o pani...”

„... Tak, papo, Lena jest niezwykłą dziewczyną. Zabiorę ją do Londynu i będziemy jeździli do Covent Garden fordem-zephyrem – dodaje się lekko gazu, i od razu sto sześćdziesiąt. Będziemy tam pili martini i gin z tonikiem, a po derby napiszę wspaniałą artykuł, po którym lord Beaverbrook wykorkuje, a królowa angielska powie na przyjęciu: „Jaką piękną żonę ma ten radziecki dziennikarz...”

„... No cóż, bądźcie szczęśliwi, moje dzieci. A jak się poznaliście?...”

„... To strasznie śmieszna historia, papo. Lena miała przyjaciela, do którego kiedyś przyleciał słoneczny ptak szczęścia i przyniósł mu siódmy, nie kupiony bilet – spotkał Lenę. Ale on nie był gotów na spotkanie szczęścia – bez przerwy miota się po delegacjach, ścigając jakichś głupich bandziorów. A ostatnio przed wyjazdem spotkał mnie i poznał z Leną. Ona mi się od razu spodobała i wyobraziła sobie, że jemu to sprawiło przyjemność...”

Zacząłem dzwonić do drzwi i walić pięściami.

– Kto tam?! – zapytał ktoś strachliwie.

– Ja. To ja. Otwórzcie drzwi. Tak, tak, tak! Otwórzcie.

Szczęknał zamek i przytrzymywane łańcuchem drzwi uchyliły się – przede mną stał Marat.

– O co chodzi? – spytał.

– O co chodzi? – powtórzyłem i skurcz schwył mnie za gardło. Przełknąłem i powiedziałem z mocą: – Ty mnie pytasz, o co chodzi? Jesteś złodziej. Złodziej! Rozumiesz, co zrobiłeś?

– Przestań krzyczeć i urządzać sceny, bo zatrzęsę drzwi...

– Zatrzęsniesz drzwi? – zdziwiłem się. I nagle uświadomiłem sobie, że mimo strachu on jest zupełnie spokojny. Przecież ja nie mogę wedrzeć się do jego mieszkania, on nie jest przestępcą i prawo jest po jego stronie.

Powiedziałem ochryplym, zdławionym głosem:

– Ty draniu. Ja wchodziłem w drzwi, zza których do mnie strzelali, a ty mnie straszysz, że je zatrzęsniesz? No, jazda, mięczaku, otwórz drzwi! Otwórz, mówię ci! Bo je zaraz wyłamię!

Krzyknął nieoczekiwanie wysokim, przeraźliwym głosem:

– Przestań się awanturować i idź do diabła! Odejdź! Odejdź po dobroci!

Obiema rękami schwyłem za drzwi i szarpałem je do

siebie. Zazgrzytał łańcuch i głucho zatrzęszczało drzewo.

– Jak śmiesz! – Krzyczał przeraźliwie i walił mnie pięściami po palcach, ale ja nie czułem bólu i z narastającą wściekłością szarpałem drzwi.

Nagle usłyszałem głos Leny, miękki, niski i spokojny:

– Odejdź, Marat...

Na moment puściłem drzwi i zobaczyłem jej twarz.

– Nie trzeba, Stasiu, zaraz otworzę.

Zatrzęsła drzwi, żeby zdjąć łańcuch i usłyszałem, jak Marat mówił pospiesznie:

– Nie otwieraj, Lenoczko, mówię ci nie otwieraj. On zwariował...

Usiadłem na schodach, ogarnęło mnie otępienie i apatia. Przypomniałem sobie, jak siedem tygodni temu Lena całowała mnie na peronie swoimi dobrymi miękkimi ustami, a teraz mieszka za drzwiami z tabliczką „W.M.”. Nie usłyszałem odpowiedzi Leny, ale zamek szczęknał znowu i wyszła zamykając za sobą drzwi, a ja przypomniałem sobie, jak to niedawno, jakby to było wczoraj, czekałem na nią na parapecie okiennym na klatce schodowej przesiąkniętej wonią kurzu i pokostu. I za co to wszystko! Rozpłakałem się gorzko i bezsilnie.

Siedziałem na schodach, a Lena stała obok i gładziła mnie po głowie. Zza drzwi wyglądali ciekawscy sąsiedzi, przeszedł listonosz. Mały chłopiec, brzęcząc dzwonkiem, przeprowadził obok nas rower, którego koła głucho uderzały o stopnie, chodziła w dół i w górę winda w osłoniętym siatką szybie, ale mnie to nic nie obchodziło, gdyż czułem, że moje życie jest złamane na zawsze.

Lena odezwała się:

– Za zdradę nie ma przebaczenia. Nie przebaczaj mi nigdy, Stasiu...

Twarz jej była dziwna, jakby martwa.

Wstałem i zacząłem schodzić w dół, a droga była tak długa, jakby te schody rzeczywiście sięgały nieba...

Wstałem z tapczanu, pospacerowałem po pokoju i sięgnąłem po milczący zegarek ZIF. Godzina druga minut szesnaście – na budziku wpół do trzeciej. Lena na pewno już śpi. Po raz pierwszy od tamtego ranka spotkaliśmy się po pięciu latach. Ona rozstała się z Maratem i nie wyszła za mąż. Ja także nie ożeniłem się. I tak żyjemy...

Jutro odlecę do Tbilisi, gdzie wpadnę w zwykły kołowrót śledztwa. Nagle bardzo zapragnąłem jak najszybciej wrócić do Moskwy, schwytać Batona i postawić na tym kropkę, skończyć na zawsze ze wszystkim, co tak silnie ciągnęło mnie do przeszłości. Ale najpierw trzeba złapać Batona, bowiem spór z tym człowiekiem wyrastał z przeszłości i jego nierozstrzygnięcie oznaczałoby dla mnie niewiarę w słuszność mego dotychczasowego działania, nie pozwalałoby mi podjąć obecnie jakiegokolwiek decyzji i rodziło wątpliwości na przyszłość. To oczywiście śmieszne, ale także dla mego osobistego życia było bardzo ważne udowodnić Batonowi, że kraść NIE WOLNO.

O świcie spadł drobny zimny deszcz. Szklane ściany portu lotniczego zapotniały od wewnątrz. Setki ludzi czekały na odlot, ale loty były wstrzymane.

– Jak długo to może jeszcze potrwać? – spytałem dyżurnego. – Może lepiej wrócić do Moskwy i przyjechać później?

– Nie radzę. U nas nie ma żadnych przeszkód, tylko Krym i Kaukaz nie przyjmują samolotów. A tam, w górach, w każdej chwili mgła może się rozproszyć i zaraz zaczniemy wypuszczać samoloty. Lepiej poczekać.

Ciągnęły się godziny nudnego, bezmyślnego oczekiwania. Siedziałem i czytałem gazety, później poszedłem coś

przegryźć do bufetu, potem przyglądałem się pasażerom. Nad głową trzeszczał głośnik, unosił się ludzki gwar, huczały silniki samolotów.

W południe zadzwoniłem z automatu do Szarapowa.

– Ciągłe siedzisz? – spytał z żartobliwym współczuciem.

– Siedzę – odpowiedziałem ponuro.

– A tu Sawieliew rozkręcił się na całego.

– Co się stało.

– Odnalazł legowisko Batona.

– W jaki sposób?

– Przyszła z obozu informacja na temat damy, z którą korespondował Baton. Sawieliew pomknął tam natychmiast.

– I co?

– Nic. Nie zastali go, chociaż dama zeznała, że mieszkał u niej przez te wszystkie dni. Urządzili zasadzkę...

– Może powinienem wrócić?

– To nie ma sensu. Lepiej zorientuj się, jak idzie sprawa z tym Managadze, i przywieź rzeczy. A jeżeli Baton się pojawi, damy sobie z nim radę bez ciebie.

I znowu ciągnęły się minuty i godziny. Ściemniło się. Potem podali przez megafon: „Pasażerowie odlatujący do Tbilisi, lot 505, proszeni są o zgłoszenie się za czterdzieści minut”.

Postanowiłem znowu udać się do bufetu.

Warianty złodzieja Dieduszkina

Dzień bez końca. Kupiłem w sklepie jakąś koszmarną czapkę i chodziłem, opuszczając ją nisko na oczy, z postawionym kołnierzem. I mimo to miałem wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, starając się w nie ogolonej, spuchniętej gębie rozpoznać franta w białym garniturze, z wesołym, bezczelnym uśmiechem.

Cały czas tłumaczyłem sobie, że to bzdura, że nikt na mnie nie patrzy, że nikogo nic nie obchodzi i że w ogóle uwagę mogą zwrócić na mnie tylko przypadkowo, ale śmierdzące, wsysające bagno pod moim sercem wciągnęło mnie już po szyję.

Na lotnisku tłok. Kolejki po bilety. Dowód Repnina w trzęsącej się, brudnej ręce. Kamienny ciężar pistoletu w kieszeni.

Na Domodiedowo jechałem taksówką. Nie wiem dlaczego po drodze zapamiętałem rozrywaną wiatrem czerwono-noblękitną gazową pochodnię nad kominem jakiejś fabryki.

Pomyślałem wtedy, co jeszcze mam: niezbyt wiele pieniędzy, pistolet... i nic więcej. Okazuje się, że nie mam nic do stracenia. A może uprowadzić samolot? Stamtąd przecież do granicy jak ręką sięgnąć. Wsunę pistolet do gęby – kurs na południe. Albo dla postrachu zastrzelę jednego z pilotów. Od razu kropnę jednego, to drugi będzie się żywiej ruszał. Od Tbilisi do granicy – w linii powietrznej – będzie dwieście, może trzysta kilometrów.

Więc jak – spróbować? Przecież nie mam nic do stracenia...

Kiedy taksówka zatrzymała się na lotnisku, wciąż jeszcze nie wiedziałem, co robić.

Ludzi było mnóstwo. Loty odwołane. Trzeba zejść na dół

do bufetu i przysiąść cichutko gdzieś w kąciku. Dosiadłem się do jakichś dwu farbowanych dziewczyn. Tlenione suki. Lepiej siedzieć z nimi – samotny człowiek bardziej zwraca uwagę.

– No co, dziewczuszki, napijemy się porządnego koniaku? Na lot jeszcze trzeba będzie poczekać...

– Ach, jaki pan interesujący...

Nieustannie o czymś tam paplały, śmiały się jak idiotki i nie wiadomo kiedy wypiliśmy dwie butelki koniaku. Alkohol zupełnie mnie nie brał, tylko zalewał mnie suchy, palący gniew na ten cały przekłety świat, na te malowane dziwki, na te tłumy durniów z torbami i walizkami, na Tichonowa. Dobrze byłoby rzucić na nich wszystkich bombę atomową.

Wszystkich zamienić w popiół, niech ich diabli wezmą!

Nagle poczułem w sercu spokój i twardą determinację – wejść do kabiny pilotów, jednemu strzelę w plecy, a drugiemu dam rękojęścią po gębie i każę brać kurs na południe.

Coś niezrozumiale ogłosili przez megafony. Podniosłem głowę.

I zobaczyłem Tichonowa.

Jeszcze nie zrozumiałem, myśl się opóźniła, ale moje serce krzyknęło, że ten przekłety myśliwski szczeniak znowu stanął na mojej drodze, zasłonił plecy pilota w kabine samolotu.

Obowiązki inspektora Tichonowa

Popijałem niesmaczną kawę i powoli, bez apetytu, żułem kanapkę, myśląc o tym, jak bardzo przypomina Batona facet siedzący w kącie bufetu razem z dwiema farbowanymi dziewczynami. Trwało to dosyć długo, tak długo, aż zrozumiałem, że on nie przypomina Batona, tylko to właśnie sam Baton.

Stało się to w momencie, kiedy podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Przez jakiś czas w milczeniu patrzyliśmy na siebie. Potem Baton wstał, klepnął się po kieszeni, powiódł wzrokiem po siedzących wokół ludziach i uśmiechnął się krzywo, ukazując zęby jak wilk.

Zrozumiałem, że jestem w położeniu bez wyjścia. Gdybym próbował go zatrzymać, otworzy ogień. W pomieszczeniu pełnym ludzi. Baton poszedł w kierunku wyjścia. Podniosłem się i skracając drogę między stolikami ruszyłem za nim, a on cały czas oglądał się na mnie. Rękę trzymał w kieszeni. W żaden sposób nie mogłem pozwolić, żeby uciekł. Szedłem za nim, dojadając kanapkę, tak jakbym nie miał na świecie ważniejszej sprawy od tego, czy zdążę zjeść swoją kanapkę z kielbasą.

Baton szybko przeszedł przez halę. Do drzwi obrotowych zostało mu dwadzieścia kroków. Pobieglem. Baton rzucił się do drzwi, a ja zobaczyłem tuż obok siebie otwór – w szklanej ścianie nie było szyby. Dałem nurka w otwór, w twarz uderzył mnie ostry deszczowy pył, jaskrawo błysnęły reflektory samochodu przy wejściu, które było bardzo blisko – właśnie hamował autokar i z niego naprzeciw wybiegającemu Batonowi wysypali się pasażerowie. Na moment stracił mnie z oczu. Wybiegłem na jezdnię, żeby obiecać autobus od przodu i zająć go od tyłu, ale i on kombinował dość szybko i natychmiast zrozumiał, że au-

tobus to dobra osłona. Kiedy wyskoczył zza kabiny, zdeżyliśmy się nos w nos. Nie zdążył wyciągnąć pistoletu. Chwyciłem go w pól, a przez głowę przemknęła myśl – jeśli uda mu się wyrwać rękę z kieszeni, to koniec ze mną...

W walce wręcz jestem kiepski i mam słabo opanowane chwytty, ale tu po raz pierwszy w życiu poczułem, że jeżeli nie zdołam utrzymać Batona, to zginę w ciągu kilku sekund. Baton był cięższy ode mnie o jakieś dwadzieścia kilogramów i wyrywał się szaleńczo, ciągnąc mnie za sobą jak worek, ale nie dawałem mu wyciągnąć ręki z kieszeni. Jacyś ludzie – chyba pasażerowie autobusu – krzyczeli coś, młody taksówkarz, działając oczywiście w najlepszej intencji, zaczął odciągać mnie od Batona. Krzyknąłem: „Odsuń się, on ma pistolet” – a Baton jakby potwierdzając to, zacharczał: „Pozabijam, ścierwa przekłete!”

Ludzie nie mogli zrozumieć, co się dzieje, i stali wokół, zbici z tropu, a Baton zwinął się i uderzył mnie głową w twarz. Wszystko dokoła załomotało, jakby wystrzeliła armata, podskoczyły i zakołysały się odbite od mokrej jezdni światła, zakręciły się w szalonym tańcu gałęzi drzew i poczułem, że po twarzy cieknie mi krew. Czułem nudności od jej obrzydliwej woni. Nagle ból w całej twarzy ucichł, bo Baton wpił mi się zębami w bark. Czułem, jak wyrywa ze mnie kawałek ciała, i chyba nie wytrzymałbym tego cierpienia, ale nie mogłem go puścić, bo oni wszyscy – i ci wczorajsi, i jutrzejsi – Krot, Łagunow, Prochacuk, Biełasz, Baton – zabiliby mnie, okazaliby się silniejsi. Trzymałem go dalej. Trzymałem go w poprzek tułowia, przyciskając do jego koszuli swoją rozbitą do krwi twarz, w której bolała każda komórka, a on kopał mnie nogami, bił pięścią w dołek, w wątrobę i nie mógł dobić, zmusić do rozluźnienia chwytty. W pewnym momencie poczułem, że wkrótce stracę przytomność i chociaż jeszcze go trzymałem, w oczach miałem bezmyślną twarz dziadka Batona, a Lena mówiła: „...a za jaką cenę – jest ci wszystko

jedno, Stasiu”, i matka z błyszczącymi oczami tłumaczyła, że należy w porę urządzić swoje życie, zaś Szarapow powtarzał: „Nie wyciągaj bez potrzeby, nie strzelaj na darmo”.

Gdzieś z daleka rozległ się cienki, szczekający stukot, jakby ktoś strzelał z dziecinnego pistoletu – Baton szaleńczo szarpnął się w moim uścisku i zrozumiałem, że zbliża się motocykl patrolowy. Baton rzucił się dziko, zawył jak wilk, upadliśmy razem na jezdnię i potoczyliśmy się po kałużach, po błocie, ale nie rozluźniłem rąk. Potem podniosłem głowę i zobaczyłem, że żółty motocykl jest już zupełnie blisko, widziałem nawet dymki spalin z rur wydechowych i bryzgi wody spod kół, widziałem, jak z wózka zeskoczył i biegnie w naszą stronę milicjant. W tym momencie Baton znów mocno uderzył mnie głową w twarz, na mgnienie oka odchyliłem się, a jemu udało się wyrwać rękę z kieszeni i strzelić do mnie.

Strzelił z przystawienia. Nie słyszałem wystrzału, tylko coś uderzyło mnie boleśnie w pierś, niebo podskoczyło, jakby było z gumy, i w ostatniej chwili zobaczyłem stojącego nade mną milicjanta na tle tego sztucznego, gumowego nieba...

Rozdział czterdziesty

Aleksiej Dieduszkin

Od razu rozluźnił ręce. Ja także już osłabłem. Ktoś mnie trzymał, ktoś wyrywał z ręki pistolet, obezwładnili mnie, potracali, ktoś wciąż jeszcze krzyczał przenikliwie cienkim głosem, taksówkarz zamachnął się chcąc mnie uderzyć, milicjant go odciągnął, ludzie miotali się, deszcz wciąż padał i padał. Wokół dudniły głosy.

- Podnieście mu głowę...
- Rozstąpcie się, obywatele, tu nie ma czym oddychać...
- Pogotowie wezwane?
- Na co mu pogotowie – przecież już nie żyje...
- Boże, jaki młody! Dziecko jeszcze...
- Przeklęty bandyta!
- Co to się wyprawia, dobrzy ludzie!

Prawie nic z tego nie dochodziło do mnie, bo cały czas patrzyłem na leżącego w błocie Tichonowa. Nawet już martwy, miał gniewny i trochę zdziwiony wyraz twarzy. Krew i błoto zastygły mu na policzkach. Miał otwarte oczy. Po twarzy ściekały duże krople deszczu. Dopiero w tym momencie zrozumiałem, że to ja – ja – ja go zabiłem.

Jego twarz była podobna do twarzy mojego nie narodzonego syna z tego straszego, proroczego snu.

Mój Boże, co ja zrobiłem? Przecież to wcale nie Tichonow, zakrwawiony, poszarpany leży w deszczu na jezdni.

To ja sam własne życie rozdeptałem i poszarpałem. I oto otworzyło się przede mną siedem przybytków osądnionego przez los...

Rozdział czterdziesty pierwszy

Stanisław Tichonow

Jaskrawe światło lampy bezcieniowej. Ból. Zimno. Niepamięć. Wszystko płynie, kołysze się, nie istnieje czas, dałem w niego nurka, przebiwszy cienką błonkę snu, jak tresowany tygrys przebija w cyrku płonące, papierowe koło. Obok na krześle matka. Na salę pooperacyjną wpuszczają tylko do umierających. Więc umieram? Nie mam siły poruszyć wargami... Czyjś głos, gdzieś u wezglowia, za mną, szeleszczący, szepczący: „...Stary zegarek w kieszeni na piersi... Odchyliło pocisk... pół centymetra...”

I w ogóle to nie sala pooperacyjna, tylko beczka śmierci. Ogromny ciężar przyciska mnie do motocykla i stroma spirala szybko unosi na ryczącej maszynie coraz wyżej, ku białemu blaskowi jupiterów... Długo, długo – cały rok – jest jasno. Potem znów ciemność. Teraz znowu gwałtownie jaśnieje – przypominam sobie szeleszczący głos.

– Zegarek? – pytam.

Matka wyciąga do mnie dłoń, na której leży błyszczący, zniekształcony kwadracik, cały poszarpany i wgnieciony. Nie można dojrzeć na nim matowego cyferblatu ze starymi, czarnymi wskazówkami... Mimowolne, gorące łzy spływają mi po policzkach i nie mam siły powiedzieć matce, że trzyma w ręce pozostawioną dla mnie maszynę czasu, która rozpadła się na kawałki po to, aby ponownie podarować mi poczucie mojej nieśmiertelności – na zawsze.

Znów płyną sny, krótkie, lekkie. Otwieram oczy – na sali półmrok. Młodziutka pielęgniarka siedzi obok mnie i czyta książkę. Lekko powiewa od okna, pachnie liśćmi i deszczem. Dziewczyna kartkuje książkę, układa ją wygodniej, a ja widzę na okładce rysunek – mnich doszedł do skraju sklepienia niebieskiego i wysuwając głowę, przygląda się cudownemu i nieznanemu światu...

Spis treści

Część I

Rodział 1	
Inspektor Stanisław Tichonow	5
Rodział 2	
Złodziej Alocha Dieduszkin, pseudo Baton	12
Rodział 3	
Wolny czas inspektora Tichonowa	16
Rodział 4	
Odosobnienie złodzieja Dieduszkina	31
Rodział 5	
Ściana inspektora Tichonowa	40
Rodział 6	
Pasjans złodzieja Dieduszkina	57
Rodział 7	
Wczoraj i jutro inspektora Tichonowa	63
Rodział 8	
Szkoła sprawiedliwości złodzieja Dieduszkina	77

Rozdział 9	
Perspektywy inspektora Tichonowa	91
Rozdział 10	
List pochwalny złodzieja Dieduszkina	100
Rozdział 11	
Upokorzenie inspektora Tichonowa	109
Rozdział 12	
Godzina wolności złodzieja Dieduszkina	124
Rozdział 13	
Noc inspektora Tichonowa	141
Rozdział 14	
Złota rybka złodzieja Dieduszkina	152
Rozdział 15	
Zdaniem inspektora Tichonowa...	166
Rozdział 16	
Szaman złodzieja Dieduszkina	176
Rozdział 17	
Przedświąteczna krzątanina inspektora Tichonowa	183
Rozdział 18	
Zaciszna przystań złodzieja Dieduszkina	189

Część II

Rozdział 19	
Podmiejskie wycieczki inspektora Tichonowa	197

Rozdział 20	
Złodziej Dieduszkina walczy o prawdę	209
Rozdział 21	
...A usprawiedliwia się inspektor Tichonow	218
Rozdział 22	
Układ nerwowy złodzieja Dieduszkina	227
Rozdział 23	
Brylantowa broszka inspektora Tichonowa	242
Rozdział 24	
...I złota szczeka złodzieja Dieduszkina	249
Rozdział 25	
Sawieliew, bojowy zastępca inspektora Tichonowa	263
Rozdział 26	
Samotność złodzieja Dieduszkina	270
Rozdział 27	
Światowe kontakty inspektora Tichonowa	277
Rozdział 28	
Rozmyślania złodzieja Dieduszkina	284
Rozdział 29	
Siódmy, nie kupiony bilet inspektora Tichonowa	293
Rozdział 30	
Zadufanie złodzieja Dieduszkina	306
Rozdział 31	
Rasowy szczeniak inspektora Tichonowa	312

Rozdział 32	
Siedem przybytków złodzieja Dieduszkina	324
Rozdział 33	
Znajomość prawa inspektora Tichonowa	327
Rozdział 34	
Sny złodzieja Dieduszkina	335
Rozdział 35	
Przewartościowanie dowodów inspektora Tichonowa	336
Rozdział 36	
Poszukiwany złodziej Dieduszkin	348
Rozdział 37	
Spirala czasu inspektora Tichonowa	352
Rozdział 38	
Warianty złodzieja Dieduszkina	366
Rozdział 39	
Obowiązki inspektora Tichonowa	368
Rozdział 40	
Aleksiej Dieduszkin	370
Rozdział 41	
Stanisław Tichonow	371

„Czytelnik”. Warszawa 1980 r. Wydanie I
Nakład 100320 egz. Ark. wyd. 17,6; druk. 24
Papier offsetowy kl. VII, 60 g, 93 cm
Oddano do składania 7 VII 1979
Podpisano do druku 31 VII 1980
Druk ukończono w sierpniu 1980
Zakłady Graficzne
„Dom Słowa Polskiego” w Warszawie
Zam. wyd. 766; druk. 6113/K. C-26. Cena zł. 40.-
Printed in Poland

zł 40,-

ISBN 83-07-00154-4